

Zakład Narodowy im. Ossolińskich

DZIAŁ NOWYCH DRUKÓW ZWARTYCH

147.196

[SADOWSKA MARIA Z BRZEZINÓW]

SĄSIEDZI

Powieść

CZ.1: OJCOWIE, CZ.2: SYNOWIE

WARSZAWA [ok. 1873]

KSIĘGARNIA E. WENDE I S-KI.

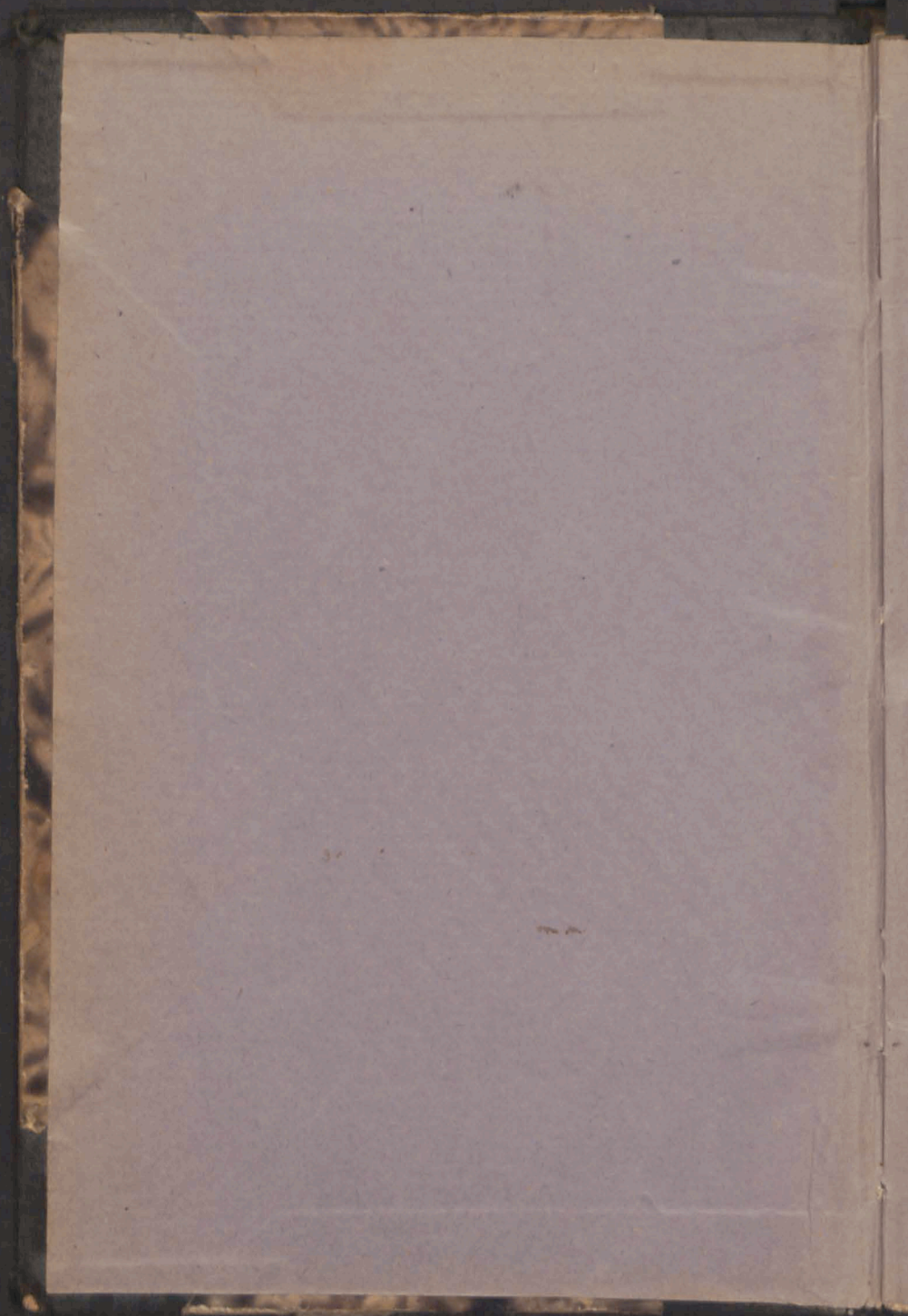


ZIGNIEW

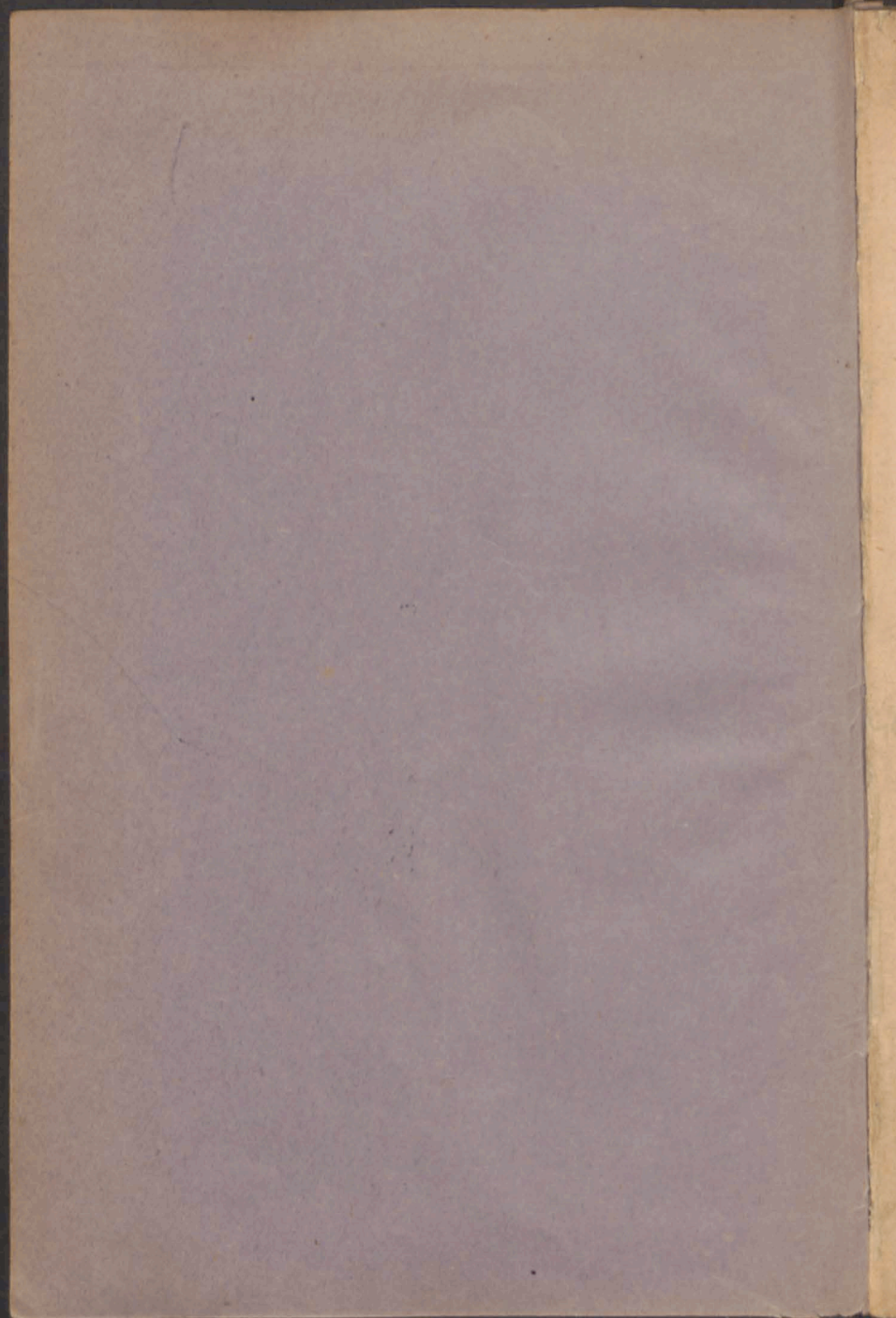
SIEDZI

BIBLIOTEKA
Zakład Im. Ossolińskich

147.196

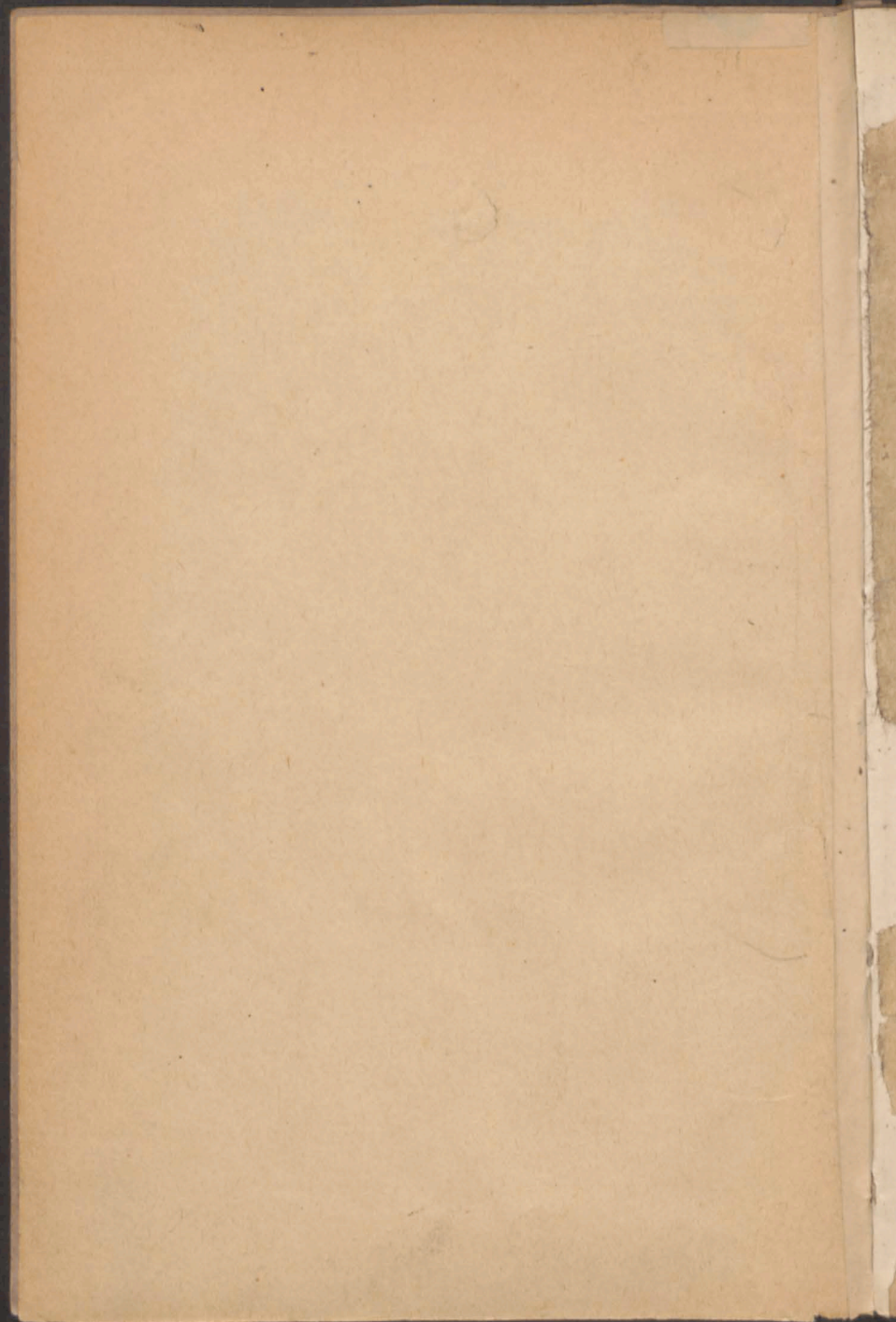


44



SĄSIEDZI.

++



ZBIGŃIEW.

SĄSIEDZI

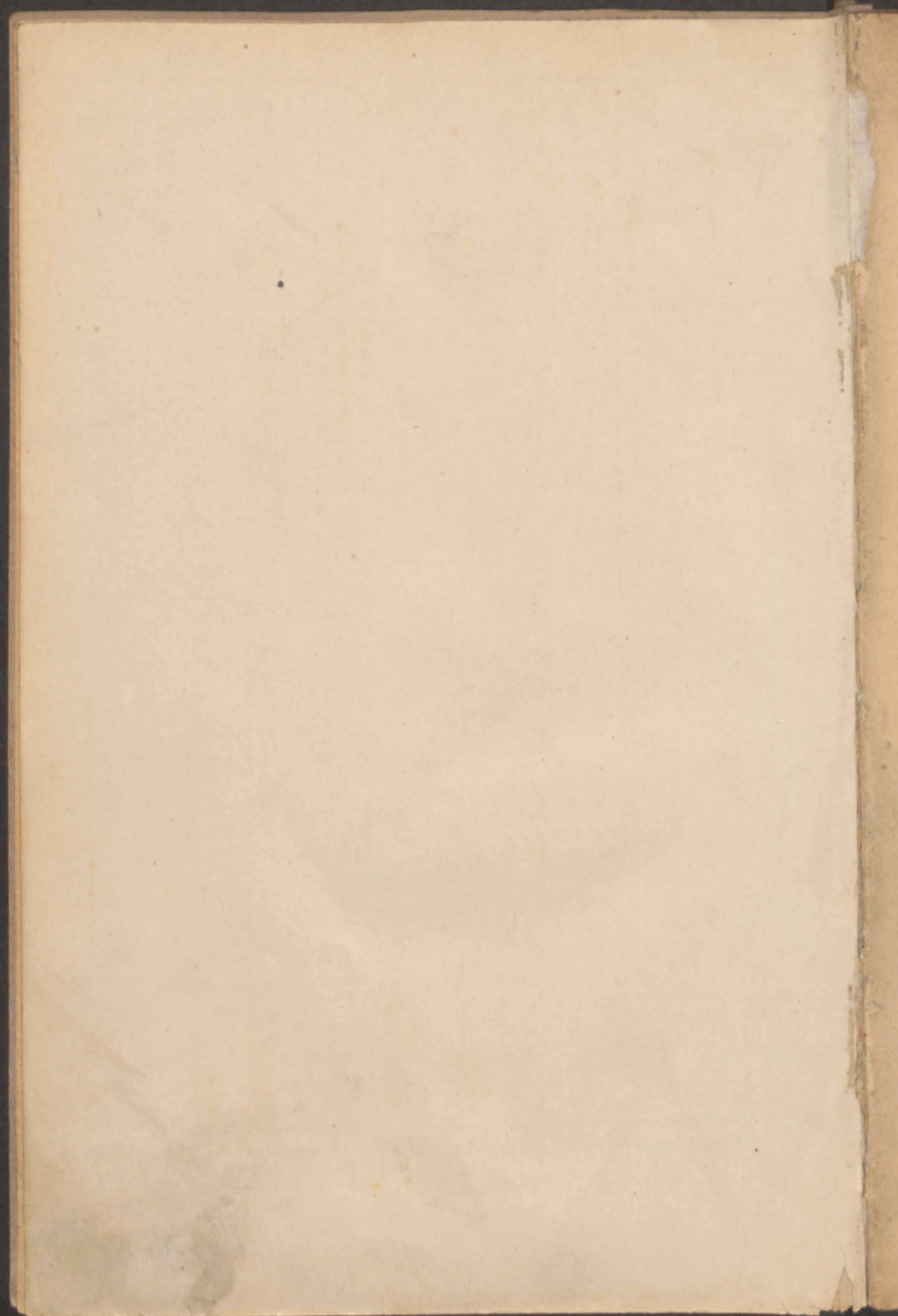
POWIEŚĆ.



WARSZAWA
Księgarnia E. Wende i S-ki.
(Ludwika Fiszera).

H 7190

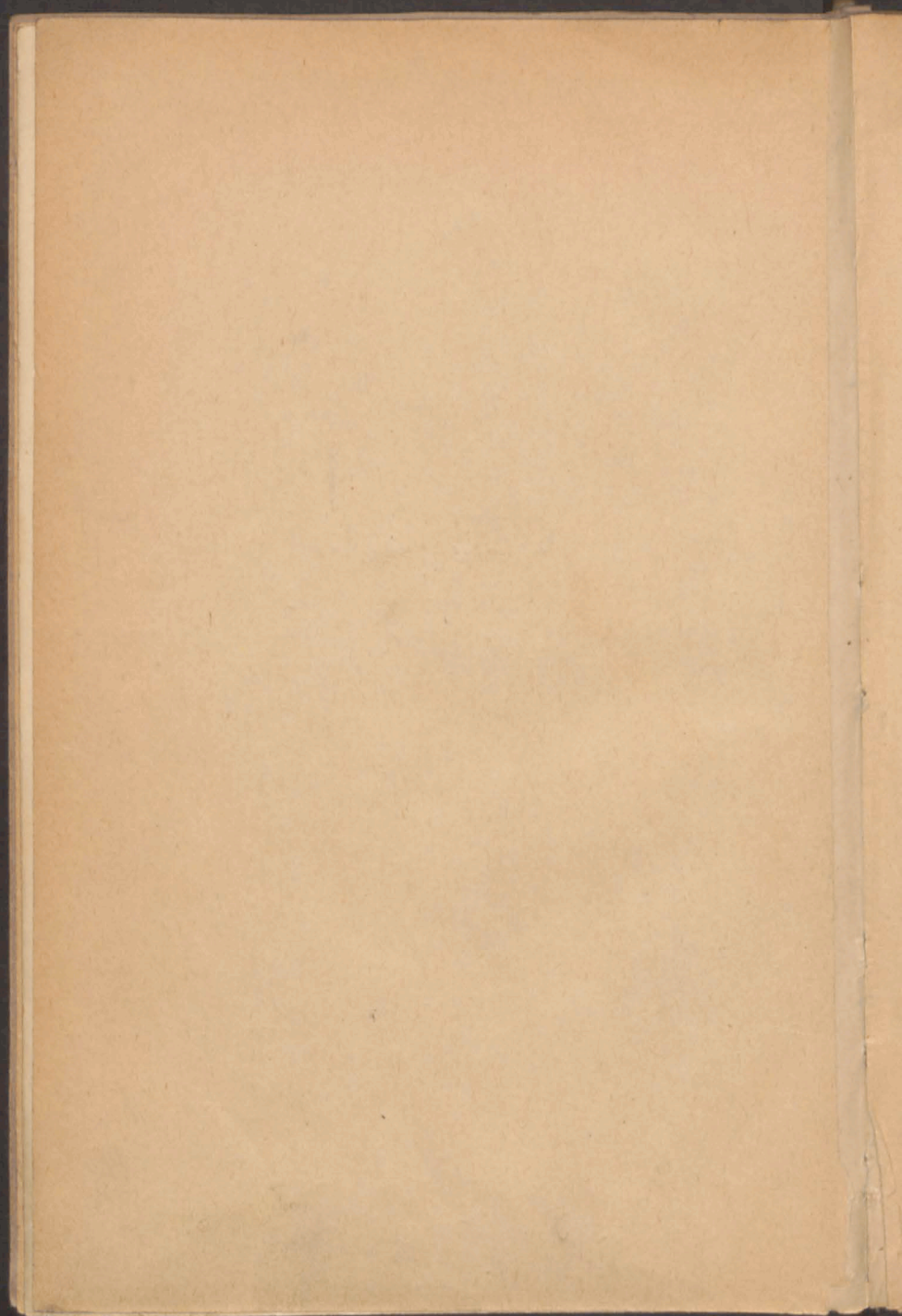
117198



CZEŚĆ I.



OJCOWIE.



I.

Pan Kapitan Haraburda.

Nad brzegiem Niemna, w pięknej okolicy, stały naprzeciw siebie dwa wielkie, murowane dwory, dwa pałace, jak je nazywano, przedzielone tylko małą łąką i ruczajem, jako samorodną granicą, rozdzielającą dwóch sąsiadów, zamożnych właścicieli.

Jeden z tych panów szlachty nazywał się pan Józef Haraburda, drugi pan Jacek Rudomina.

Ojcowie obudwóch budowali jednocześnie swoje dwory, i jak jeden, tak drugi, dał swemu dworowi nazwę od swego imienia: dwór pana Haraburdy nazywał się Antopol, a pana Rudominy Janopol.

Starzy ojcowie tych panów żyli w wielkiej zgodzie i przyjaźni; razem się poženili, razem prawie poumierali i dwom synom (bo każdy z nich zostawił tylko jedynaka) przekazali w puściźnie piękną, nieodłuzoną wioskę, oraz znaczną gotówkę w kapitałach.

Pan Jozef Haraburda służył wojskowo, jak to stwierdza tytuł kapitana, i obecnie, gdy się zaczyna nasza powieść, wrócił właśnie do dziedzicznego Antopola, po kilkoletniej nieobecności.

Pan kapitan był wielki raptus, zawadyaka, i niezmiernie lubił głośnie awantury. Ma on obecnie lat trzydzieści kilka, atletyczną budowę, ruchy pełne swobody i pewności siebie. Twarz dziwnie ładna i pogodna, na której, jak na otwartej księżce, można wyczytać wszystko, co się dzieje w głowie i w sercu. Każdy ruch mięśnia, każdy odcień gry fizyognomii wyjawiał wrażenia, których pan Haraburda doznaje. Huzarski na nim ubiór, wykwintny, zalotny, przypadają doskonale do całej jego powierzchowności. Oczy ma duże, piwne, i prześliczne blond wąsy.

Pan kapitan siedzi na koniu i komenderuje dwunastu chłopami, uzbrojonymi w siekiery, dziołbaki, obcegi i młoty. Mina jego, stosownie do okoliczności, jest groźna, a słowa gromkie.

— Ośle! gawrony! — woła na niezgrabnych, a widocznie zaambarasowanych parobków — żywo, śmiało a odważnie rozbierajcie ten młyn, żeby go i śladu nie zostało! Pokażę ja temu panu Rudominie, co to jest pogwałcenie praw sąsiedzkich, obywatelskich!

— Ależ dobrodzieju — odezwał się nieśmiało jeden ze starszych gospodarzy — my w tym młynie tak samo mielem zboże, jak i chłopci pana sędziego; to dla nas wielka wygoda.

— I nie marnuję czasu — dorzucił drugi — żeby jechać aż dwie mile do rządowego młyna, a i płacić nie trzeba, jak tam.

— Milczcie chamy! — zawołał groźnie pan Haraburda — a który gębę otworzy w obronie młyna, tego każę rozciągnąć i pięćdziesiąt batów na miejscu. Ja was tu nauczę posłuszeństwa i rygoru! Do roboty...

Przestraszeni parobcy słowami pana, jęli się siekier i dziobaków, i zaczęli rozrywać młyn, szepcząc wszakże z cicha między sobą:

— Czort wie po co rozwalać ten młyn... Toż wody nie wypije, i nikomu krzywdy nie robi.

— Ot zwyczajnie, poszło na udry. Nasz dziedziec to zawsze taki sam, jak był dawniej — mrucał pod nosem drugi parobek — u niego nieczysto w głowie.

Ale nie było gadania. Pan kazał i chłopci słuchać musieli. Pan Szabrański, ekonom, popędzał nahajem i wrzeszczał także, naśladując pana:

— A hultaje! a próżniaki! to wy tak spełniacie rozkazy jaśnie pana? Prędzej, ostro, walić młotami i rozrywać koła!

A był to mały, wodny młyn z foluszem, nad którym się tak pastwiono, postawiony na ruczaju, odgraniczającym ziemie sąsiadów.

Rzeczulka, podług planu, tak dobrze należała do pana Haraburdy, jak i do pana Rudominy; zapobiegliwy pan Jacek, jako dobry gospodarz, w czasie nieobecności sąsiada, zbudował tu młyn, dla korzyści tak jednej, jak i drugiej wioski. Ale że to się

stało bez wiedzy i zezwolenia pana Haraburdy, i jeszcze podczas jego niebytności, przyszło więc do głowy niespokojnemu kapitanowi zniszczyć to jedynym zamachem, co sąsiad jego uznał za użyteczne i potrzebne. Był bowiem wieczny antagonizm między tymi dwoma panami, jakby żywe przeciwieństwo długoletniej przyjaźni ich ojców.

Kiedy tak pan kapitan komederuje z konia, niby wódz zdobywający fortecę, ukazuje się na łące dworu janopolskiego, idący wolnym krokiem pan Moczulski, ekonom, stary sługa Rudominów.

Był to człek wierny, poczciwy, rozważny, a zarazem wielce grzeczny i uniżony dla panów.

— Co krew pańska, to nie chłopska—rozumował nieraz—panowie są na to, by ich słuchano i szanowano.

Jakoż, zdejmując zdaleka czapkę przed panem kapitanem, odezwał się wielce uprzejmym głosem:

— Ściele się do stóp jaśnie wielmożnego pana pułkownika i śmiem pytać pokornie, jaką to reparację przedsięwziął jaśnie pan we wspólnym młynie?

— A wasanu co do tego!—krzyknął pan Haraburda; — patrzcie go! jeszcze śmie drwić ze mnie i pyta o reparację młyna! Zobaczysz asan, jak ja zaraz zreparuję tę wspólną własność.

— Nie miałbym tej śmiałości — odparł z dworacką grzecznością pan Moczulski — pytać jaśnie wielmożnego pułkownika, gdybym nie odebrał rozkazu ustnie od jaśnie wielmożnego sędziego Rudominy, mego pryncypała; on to właśnie w mojej niegodnej osobie raczy pytać jaśnie wielmożnego pana

o jego zamiary względem owego młyna, postawionego w roku zeszłym na tej rzeczułce, która stanowi wspólną granicę...

Pan Haraburda targnął się niecierpliwie za swój piękny, bujny wąs, a zmarszczywszy groźnie czoło, zahuczał basem:

— U kroćset!... Nie pleć mi wasan głupstw ani w imieniu swego pana, ani w swoim, bo, na honor, obydwom wam powiem *verba veritatis*. A cóż to myślicie, że jestem baba i pozwolę sobie pluć w kaszę? Nie jestem wprawdzie jurystą, ani żadnym *Hipokratesem*, jak mój szanowny sąsiad, pan Jacek Rudomina; wszelako znam dobrze prawo i lewo, potrafię wam dowieść sądownie, żeście zrobili gwałt, najazd, nadużycie zaufania w czasie mojej nieobecności.

Pan Moczulski, wysłuchawszy cierpliwie całej tej gwałtownej repliki, połączonej z gwałtownymi ruchami gwałtownego pana Haraburdy, odrzekł spokojnie:

— Nic nie pojmuję, o jakim gwałcie i jakim nadużyciu zaufania jaśnie wielmożny pan mówi; sądzę tylko, że to być muszą jakieś plotki złych języków.

— A cóż u dyaska! — wrzasnął rozwścieczony pan Haraburda — czy to językami zbudowaliście ten młyn na mojej rzece?... Za kogóż mnie masz asan, kiedy sądzisz, że się nie znam na „jezuickich“ matactwach jegomości pana Rudominy? Ho! ho! rozumiem ja, co się święci, i nie pozwolę zdusić siebie, jak muchę! Dziś zabierzecie mi ruczaj, jutro tą-

kę, a pojutrze cały Antopol, upewniając, że to dla wspólnego dobra sąsiedzkiego!... Nie głupim dać się ułudzić słodkim słówkom pana Rudominy! Rozwalę młyn i wytoczę mu proces, jasny, dobitny, o nadużycie praw sąsiedzkich.

Pan Moczulski stał milcząc, nieporuszony, z odkrytą wciąż głową, i patrzył nieustraszenie w groźne oblicze pana kapitana; a gdy ten skończył z nim, i zawołał z kolei na próżnujących parobków:

— Hej rekruci, do roboty! Cóż to, stoicie, jak pnie, z otwartymi gębami? Dalej do siekier! — wówczas pan Moczulski, jako parlamentarz, odezwał się stanowczo, choć z uszanowaniem:

— W imieniu jaśnie wielmożnego sędziego Rudominy, kładę *veto* na ten eksces, jakiego ma zamiar dopuścić się jaśnie wielmożny pan pułkownik. Ruczaj bowiem, równie jak i łąka, należy wspólnie do obydwóch jaśnie panów, jako granica dóbr ziemskich. Przeto tak jeden, jak i drugi dziedzic ma prawo budować młyn na owej rzeczułce, jak to wyraźnie jest określone w planie topograficznym, który mam honor przedstawić jaśnie wielmożnemu panu.

To mówiąc, pan Moczulski wyciągnął z kieszeni surduta ogromny zwój papieru, będący planem topograficznym obu wsi sąsiedzkich.

Na widok mapy, roztwierającej się w rękach ekonomy, pan kapitan wrzasnął straszliwie:

— Do kroć stu tysięcy!... idź asan precz ze swemi bazgraniami! Stawiajcie młyn, kiedy chcecie, na tej osłej skórze, ale nie na mojej rzeczułce! Cóż to, ja mam wierzyć tym krętaninom malowanym

więcej, niż memu własnemu rozumowi i przekonaniu? Ha! ha! ha! powiedz asan swojemu panu, że ja, kapitan Haraburda, zrobię mu sto takich planów w jednej godzinie i jak zechcę, dowiodę, że Janopol jest moja, a nie jego wioską.

Pan Moczulski wyraźnie zgłupiał. Nie mógł bowiem ani raz dołapać się nici logicznej z panem kapitanem. Jął się więc innego sposobu i rzekł bardzo dworacko:

— Jeśli to się nie zgadza z logiką jaśnie wielmożnego pana dobrodzieja, a jaśnie wielmożny pan ma inne w tej mierze przekonanie, niż mój dostojny pryncypał, w takim razie trzeba zwołać sąd polubowy, i zgodnym sposobem to skończyć.

— Mosanie Moczulski — zawołał impetycznie pan Haraburda—kosztowałeś, jak widzę, także palestry, narówni z twoim „dostojnym“ pryncypałem, i ozorem lubisz szermować, jak uczciwi ludzie szablą. Otóż wiedz asan o tem, że ja nie rozprawiam, ale rozcinam wszystko, co mi się nie podoba; i powiedz twemu pryncypałowi, iż jeśli mu nie do gustu, że ja rozwalam ten głupi młyn, to niech mi wytoczy proces o szkodę... Będziemy się procesowali lat dzie sięć, dwadzieścia, sto!... a dowiodę mu na końcu, że moja prawda!

* * *

*

Po tej stanowczej odpowiedzi, ekonom zrobił trzy kroki w tył, schował plan do kieszeni, ukłonił się nisko i odszedł, nie rzekłszy słowa.

Pan kapitan tryumfował.

Na ganku antopolskiego dworu, stał w milczeniu pan sędzia Rudomina i patrzył przez lunetę na scenę, odbywającą się o pół wiorsty od niego.

My tymczasem zapoznamy bliżej czytelnika z tymi dwoma tak blizkimi sąsiadami.

Pan Haraburda już się zaprezentował z większego, zwróćmy się więc do sędziego Rudominy.

Pan Jacek Rudomina był prawie w tym samym wieku, co i pan Józef Haraburda, o rok coś tylko starszy od niego. A był to obywatel mądry, stateczny, poważany powszechnie. I taki mir posiadał w sąsiedztwie, że gdy rzecz jaką osądził i zawyrokował, to wszyscy jednomyślnie zgadzali się na jego sąd i zdanie, we wszelkich sporach sąsiedzkich nikt inny, oprócz niego, nie był rozjemcą zwaśnionych braci szlachty. Acz urody nie tak pięknej, jak pan Józef Haraburda, miał wszelako pan Rudomina coś dziwnie sympatycznego w całej swej powierzchowności. A dopiero kiedy otworzył usta i dał wolny bieg krasomówczej weni, wówczas wszystkie oczy nań się zwracały, a uszy chciwie łapały każdy wyraz. Rudomina był prawdziwy orator. I nienapróżno przez lat kilka kształcił się na uniwersytecie jako prawnik i matematyk; znał obie te nauki doskonale i wzbudzał admirację powszechną swoją rozległą wiedzą.

Od najmłodszych lat, pan Jacek był zawsze spokojny, rozważny, logiczny, gotów na usługi przyjaciół i sąsiadów; nadto był zawsze sprawiedliwy, sumienny, trzeźwy w zdaniu, niełatwo się obrażał,

a nigdy nie unosił. Nie lubił wszakże żadnych głośnych wylewów serca, ani popędów duchowych: każdą rzecz zawijał, z powodu namiętności ludzkich, starał się wyrozumować na sposób tezy akademickiej, każdy zwrot ducha idealniejszy i poetyczniejszy wnet wkładał pod szemat matematyczny i doprowadzał do porządku logicznego, strzegąc się, by nie zaszła pomyłka liczebna.

Nadto wielce był pobłażliwy na ułomności ludzkiej natury: przebaczał głupocie, starał się zawsze wytłumaczyć krewkość drugich, niewdzięczność nawet usprawiedliwiał brakiem niezrozumienia rzeczy. Wszelako ludzie twierdzili że sam pan Rudomina, raz obrażony, nie zapominał nigdy urazy, choć o niej nikomu nie mówił i choć dłoń jego na wet dla wroga nie była zamkniętą w potrzebie. I choć z natury pan Jacek nie lubił rozprawiać o szlachetności, ani o dobroczynności, to uważał szlachetność i wspaniałość za warunek konieczny do tego, żeby nosić godnie nazwę „szlachcica“. Było to dewizą życia pana Rudominy.

Mówiono, że był trochę za dumny, za nieprzystępny poufałości... Ale czegoż ludzie nie mówią, by wynaleźć jakąś plamę na białej odzieży bliźniego! Białość tak razi oczy...

Pan Haraburda nazywał go świętoszkiem, jezuitą, adwokatem i „Hipokratesem“—co miało znaczyć: hipokrytą. A mówił to tak głośno i wszędzie, że pan Rudomina, chcąc nie chcąc, musiał się o tem dowiedzieć.

Lecz gdy mu ktoś usłużny to powtarzał, mądry pan Jacek uśmiechał się z pobłażaniem i zwykł odpowiadać:

— Znam ja pana Józefa od dzieciństwa; takim był zawsze. To nie jego serce, tylko język grzeszy.

A gdy znowu ta odpowiedź doszła do uszu pana Haraburdy, ten się rozsrożył i wołał na całe gardło:

— Pokażę ja temu Hipokratesowi, że mój język jest więcej wart od jego „juchtowego ozora“. Co tam ten jurysta śmie prawić o sercu! U niego, zamiast serca, wsadzony jest surowy kartofel.

I sąsiedzi śmieli się głośno z dowcipu pana Józefa.

Owoż ten pan Jacek Rudomina i pan Józef Haraburda, choć wzrosli razem, razem kolegowali i na jednym wózku przyjeżdżali na wakacje i święta do domu, i nigdy, od najmłodszych lat, nie mogli się z sobą zgodzić. Martwiło to wielce starych ojców, pragnących, aby między synami utrwaliła się na wieczne czasy ta przyjaźń, której sami tak piękny przykład dawali ludziom przez lat kilkadziesiąt. Ale:

Inne drzewo, inny klin,
Inny ojciec — inny syn!

Józef i Jacek bylito prawdziwy pies z kotem. Chwilkę razem igrają, lecz wnet pies zaczyna warczeć, kot miauczeć i następuje walka dwóch rodzajów przeciwnych sobie.

Wprawdzie początek tych kłótni nie pochodził nigdy od łagodnego Jacusia, tylko od zawadyki

Józia, który zawsze rej wodził nad Jackiem, już to siłą fizyczną, już zuchwałością nad lata. I tak: czy grali w piłkę, czy w zajaca, czy się bawili pigułami ze śniegu, biedny Jacuś, powierzchowności wątej i słaby w nogach, wiecznie leżał na ziemi, powalony przez towarzysza, a ten go walił, ile tylko wlaźło, lub śnieg mu pakował w gębę do uduszenia prawie. Rozplakany Jacuś uciekał do domu i chował się pod skrzydła mamy, a tymczasem niesforny Józio śmiał się na całe gardło i wołał, stojąc pośrodku łąki, za uciekającym:

— Wleź pod pierzynę, tchórzku, babo!... Ty nigdy nie będziesz żołnierzem, jak ja, ty będziesz bakalarzem!

Co znowu słysząc z ganku, stary ojciec śmiał się do rozpuku, i choć niby groźnie przywoływał jedynaka do porządku, cicho szeptał do siebie:

— To mi zuch! To czysta krew Haraburdów!...

Z latami wszystko wzrastało.

Jacek coraz bardziej unikał Józefa — Józef nie nawidził Jacka. Młody Rudomina, z natury uposażony wielkimi zdolnościami umysłowymi, kształcił się naukowo, aż doszedł wysokich stopni, i w młodym wieku, bo zaledwie licząc lat trzydzieści kilka, obrany został sędzią, co w owym czasie było wielkim zaszczytem i chlubą.

Tymczasem pan Józef, nie ukończywszy szkół nawet, zaczął się bawić, bałamucić kobiety, grać w karty i trwonić ojcowską fortunę. A gdy mu się sprzykrzyło ubierać po cywilnemu, wstąpił do

złoty huzarów, dla zmiany stroju i monotonnego trybu życia.

I znowu przez lat kilka tracił gotówkę ojca „po wojskowemu“, reprezentując godnie przed kolegami obywatela i potomka Haraburdów. W wojsku pan Józef także rej wodził nad wszystkimi, wyzywał często zuchwałych na pojedynki, przez co miał wziętość odważnego i nieustraszonego. Sprzykrzywszy sobie w końcu wojskowość, wrócił do dziedzicznego majątku, i rozpoczął w nim rządy od zburzenia młyna na ruczaju, celem zrobienia rozgłosu i awantury ze swoim sąsiadem.

Pan Haraburda, jak widzimy, nie mógł żyć spokojnie. Nie jego w tem wina. Taka to była natura. Tymczasem mądry pan Jacek gospodarzył wzorowo i przysparzał fortuny, zostawionej sobie po ojcu; nadto ożenił się bogato, bo wziął pół miliona majątku. A przyszło mu to tak łatwo, jak innemu zerwać orzech na leszczynie.

Pan Jacek bowiem należał do tych, co to się rodzą w czepku. Wszystko mu samo lazło w ręce, choć o nic się nie starał, nie kłopotał. Gdyby, zamiast brzytwy, wziął szydło do ręki, toby go ogoliło lepiej, niż innych najostrzejsza brzytwa. I dostał żonę młodą, ładną, kochającą, a bogatą, bez najmniejszego zachodu i kłopotu.

A stało się to tak:

W sąsiedztwie blizkim żył pan Matuszewicz, szlachcic starej daty, rubaszny, weredyk i zawołany gospodarz; skąpy, zbierał fortunę dla swojej jedy-naczki, panny Doroty, którą dla jej piękności na-

zywano *różą*. Byłaż też piękną, dobrą i starannie wychowaną; a przytem dziwnie skromna i łagodna— słowem, najsmaczniejszy kąsek w całej okolicy. Mnóstwo było konkurentów do ładnej, a posażnej Dosi, lecz doświadczony pan Matuszewicz sam wszystkim dawał odkosze, powtarzając z ruska: „Nie dla psa kowbasa, nie dla kota sało.“

Stary Matuszewicz znał się doskonale na wartości zięcia i zgadywał kto pomnoży, a kto roztrwoni jego kapitały, zbierane przez całe życie. I gdy wymacał z każdej strony mądrego prawnika, pana Jacka Rudominę, rzekł do siebie, muskując siwego wąsa:

— A no, to mąż dla mojej Doni.

To sobie powiedziawszy, ruszył sam do Janopola, i obejrzawszy sumiennie całe postępowe gospodarstwo pana Rudominy, odezwał się do niego w ten sens:

— Wasan, panie Rudomina, lepiej gospodarzysz, niż my, stare borsuki; a no, czemu to waszeć nie masz żonki?

— Dotąd nie szukałem—szepnął skromnie pan Jacek;—mam jeszcze dość czasu.

— Kto wcześniej sieje i za młodu się żeni, ten nigdy nie żałuje — rzekł pan Matuszewicz. — A czy to do Chin macie jechać szukać sobie żonki? Nie znacie to tej starej zasady, że koni i żony trzeba zawsze szukać w sąsiedztwie?

Pan Rudomina widocznie się zmieszał, zamilkł i czekał dalszego ciągu.

I nie czekał długo, bo pan Matuszewicz nie lubił milczeć, gdy miał coś na sercu; ciągnął więc dalej z całą dobroduszną szczerością:

— Ot, wiecie co, panie Rudomina, znałem waszego ojca, był to godny i gospodarny obywatel; znałem was małym chłopięciem, i nie spodziewałem się, że z was będzie taki mądry a stateczny człowiek. Otóż mosanie, mówię wam krótko: „Wozmi moju doczku, dam ci złota boczku.“

Pan Jacek wcale się nie obraził tą propozycją, znał już bowiem pannę Dorotę i ocenił ją za najwłaściwszą dla siebie towarzyszkę życia; odrzekł więc skromnie, ale stanowczo:

— Jeśli to pan dobrodziej mówi na seryo, to ja i bez becзки złota będę najszczęśliwszym, posiadając rękę panny Doroty.

Pan Matuszewicz uściskał przyszęłego zięcia, dał mu *verbum nobile*, że Dorota będzie jego żoną i za-uważył, że mężowi wcale to nie zawadzi, jeśli mu za żoną przywiozą beczkę złota na wozie.

O sympatyi panny Doroty dla pana Jacka nie było wcale mowy i nikt się o nią nie troszczył; pan Rudomina uważał bowiem małżeństwo nie jako uczuciową spółkę, ale jako następstwo prawa natury, dające dwom istotom wzajemną możność spełnienia godnie obowiązków społecznych, określonych cywilizacją.

I piękna panna Matuszewiczówna, oceniwszy należycie rozum, takt i wysoką wymowę pana Jacka (bo kobiety niezmiernie lubią wymownych), oświadczyła ojcu, iż czuje się uszczęśliwioną takim

wyborem i nie waha się wcale zostać towarzyszką życia tak powszechnie szanowanego człowieka. Zostawszy panią Rudominową, Dorota czule pokochała małżonka, który ze swej strony był wzorem i przykładem mężów. Zawsze łagodny, uprzejmy, wyrozumiały i delikatny, jednej łzy nie wycisnął przez całe życie z pięknych oczów Doroty.

Co prawda, życie to młodej kobiety było bardzo krótkie, bo zaledwie lat cztery używała szczęścia małżeńskiego. Siabej a wątłej organizacyi, wypieszczona może zbyt w wychowaniu, nie wzmacniającem sił fizycznych, po urodzeniu syna, dostała suchot i gasła powoli, podtrzymywana tylko sztuką lekarzy i miłością męża. Biedna młoda kobieta była, jak ów kwiat, ostrą kosą podcięty, który jeszcze się trzyma na łądzy, jeszcze się opiera wichrom, ale już główkę skłania ku ziemi.

Pan Rudomina, zgadując nieszczęście, które weń tak rychło miało uderzyć, acz bolał wielkim, serdecznym żalem, wszelako chrześcijanin i człowiek poważny, nie wylewał się nazewnątrz ze swoją boleścią, ofiarował ją tylko w cichości Bogu i błagał Go o przedłużenie tylko życia istoty mu drogiej. Tymczasem pani Rudominowa gasła z dniem każdym, z każdą chwilą, cała przeniknięta uczuciem matki i karmiąc sama dzieciątko.

Pan Jacek, acz wiedział, że wpływ matki suchotnicy może źle wpłynąć na zdrowie dziecięcia, nie śmiał jej odebrać tej ostatniej pociechy i rozkoszy w życiu. Z początku namawiał, przekładał, prosił, tłumacząc, że stan jej zdrowia nie pozwala,

aby sama karmiła, że doktorzy jej wzbraniają tego; zaklinał na miłość, jaką miała dla niego. Ale w tej mierze pani Dorota miała swą wolę silną, niezłamaną, uporną.

— Niech umrę — mówiła — ale niech mam to największe szczęście matki: karmić własną piersią moje dzieciątko.

I karmiła rok cały małego Mieczysława, który był zdrow i tłuściutki, choć matka wyglądała, jak cień dawnej, pięknej Doroty. Wycieńczyło to do reszty jej siły i pan Rudomina postanowił na jesień zawieźć żonę do Włoch, pod promienie innego słońca, by ogrzało ten zwarzony kwiatek.

I to właśnie w chwili, kiedy się wszystko przygotowywa do podróży za granicę, a pan Rudomina głęboko był zmartwiony chorobą żony, zjawia się nagle w Antopolu pan Józef Haraburda i zaczyna swoje gospodarstwo od rozwalenia młyna na ruczaju.

Co mu tę myśl poddało? Oto zawód, jaki go spotkał na pierwszym kroku po powrocie z wojska. A zawód ten tak silnie zadrasnął jego miłość własną, że postanowił zemścić się na nienawistnym mu zawsze sąsiedzie.

Najprzód rozgniewał się siarczyście o to, że pan Jacek ożenił się z piękną Dorotą, wziął po niej kilkakroć i już ma potomka; najbardziej go jednak to piekło, że pan Rudomina jest „sędzią“ i używa powszechnego szacunku u ludzi.

— A ja! a ja! — powtarzał, co chwila targając swój bujny wąs — cóż ja mam? Straciłem połowę fortuny, nie mam żony ani syna, i nie wiem skąd

ją wziąć, bo żadna panna w sąsiedztwie nie jest ani tak ładna, ani tak bogata, jak Matuszewiczówna, co się dostała temu farmazonowi, bambizie. Ha! wiem co zrobię... — zawołał nagle, uderzając się w czoło — mam myśl, na honor! Pojadę do Janopola, udam przyjaźń dla pana Jacka i zbałamucę mu żonę. Tak! niech pęknie ze złości ten jurysta, ujrawszy, jak jego piękna małżonka padnie mi w objęcia.

I nie czekając długo, wystroił się, jak na paradę, wdział mundur błyszczący złotem, przypiął srebrne ostrogi, wąs wymuskał, usta ułożył do najśłodszego uśmiechu, wsiadł na bogato przybranego wierzchowca i popędził cwałem przez łąkę do janopolskiego dworu.

Pan Rudomina przyjął go uprzejmie, etykietałnie, ale zimno; przeczuwał jakieś tajne zamiary swego sąsiada, bo znał go już oddawna.

Pani Rudominowa wyszła także, ciekawa poznać tego pana kapitana, o którym już tyle słyszała — a i widziała go kiedyś, dawno, na sąsiedzkim balu.

Pan Haraburda wysiłał się na grzeczności, na komplementa i przypominał wdzięcznie dawną swą znajomość z panią Dorotą, kiedy ją panną jeszcze miał szczęście widzieć na balu, którego naturalnie była „królową“, i tańczyć z nią w pierwszej parze, jako „król“.

Dosia dość obojętnie odpowiadała na te wspomnienia z przeszłości, mówiąc, że jej teraźniejszość jest tak szczęśliwą, że mało zachowała pamiętek z lat panieńskich.

Ta odpowiedź nie podobała się wyraźnie panu Józefowi. Wszelako nie tracąc kurażu, jako wprawny uwodziciel, gdy został na chwilę sam z panią Rudominową—bo pan Jacek wyszedł dla dania jakichś rozkazów — odezwał się głosem melancholicznym, uderzając jedną ostrogą o drugą:

— Na honor! wiele już w życiu widziałem piękności i doskonałości kobiecych, ale dotąd żadna nie wyrównała pani sędzinie dobrodziejce. O jakże szczęśliwy ten pan Jacek, któremu się udało najcudniejszy kwiat naszych okolic zerwać tak łatwo!

— Co pan mówi? — zapytała zdziwiona pani Rudominowa, sądząc, że się przestyszała; komplement wydał się jej dziwny, rubaszny i niesmaczny.

Miała ochotę rozśmiać się głośno, ale jako osoba dobrze wychowana i delikatna, a umiejąca zawsze rzucić w porę dowcipne słówko, rzekła grzecznie:

— To pan musiałś bardzo mało widzieć kobiet w swem życiu i niewiele z niemi rozmawiać, jak wnoszę.

Tej znowu aluzji nie zrozumiał pan kapitan, odparł więc bez namysłu:

— Myli się szanowna pani: i wiele widziałem, i z wieloma rozmawiałem, i w wielu się kochałem. A co się we mnie kochało, to na honor! nie zliczyłbym przez rok cały.

— Widać, żeś pan niebardzo biegły w arytmetyce — odparła, nie hamując już śmiechu, pani sędzina.

Ten żart drasnął głęboko pana kapitana. Zamyślił się chwilkę, pogładził wąsa i rzekł:

— Ale za to pani dobrodziejka musi być biegłą w rachunkach, mając męża matematyka i prawnika.

— Tak, ja się uczę wszystkiego od mego męża — i o ile mogę, korzystam z jego światła i mądrych rad.

Nie wiadomo, coby na to odpowiedział kapitan, lecz wszedł pan Rudomina, rozmowa została przerwana, i pan Haraburda w wielce kwaśnym humorze pożegnał państwa Rudominów.

Gdy gość odjechał, pan Jacek spojrzął z uśmiechem na żonę i zapytał:

— Jakże ci się podobał nasz najbliższy sąsiad, pan kapitan?

— Ależ to półgłówek — odrzekła równie ze śmiechem pani Dorota — czy wiesz, że chciał mnie podbić swemi oczami, srebrnymi ostrogami, a prawił mi niesmaczne komplementa, jak człowiek bez najmniejszego wychowania.

— Ma dobre serce — odrzekł z pewną wyższością pan Rudomina — ale głowa to sklep norymberski. Nigdy nie wie, co mówi, co myśli, co robi; jest to junak bez odwagi, krzykacz bez złości, a romansowicz bez pojęcia o miłości. Dziecko, całe życie dziecko, i takim już umrze.

Tymczasem pan Haraburda, wróciwszy do domu w najgorszym humorze, wywracał nogą krzesła i kłął na czem świat stoi. Wytargał za ucho służącego, stłukł kilka szklanek i nie jadł kolacyi, rzu-

ciwszy cały półmisek zrazów o ziemię, mówiąc, że to dla psów, nie dla ludzi, takie jedzenie.

Pan Haraburda, jak wiemy, od dzieciństwa nienawidził pana Jacka, a ta nienawiść miała źródło w zazdrości, w którą wszystkie małe umysły wpadają. Miał dobre, poczciwe serce, ale bardzo nierozwinięte władze umysłowe. Z natury atleta o zdrowych płucach i silnych barkach, używał śmiało i odważnie tych swoich przymiotów; czelnością i zuchwalstwem zastępował brak rozumu, a pięknoscią fizyczną brak wychowania.

Zazdrościł on panu Rudominie tego wszystkiego, czego sam nie posiadał. Zazdrościł mu rozumu, wymowy, powagi, i tego powszechnego szacunku, jakim otaczano pana Jacka. I w tej swojej naiwnej zazdrości nazywał go farmazonem, Jezuitą, *Hipokratesem*, nie rozumiejąc bynajmniej znaczenia tych słów, w których był zamknięty cały jad nienawiści. Teraz, po powrocie z wojska, nowe powody do zazdrości: fortuna podwojona pana Rudominy, ładna i młoda żona, syn i tytuł sędziego.

— I jak się tu zemścić, jak go ugryźć, jak zakłócić spokój tego szczęśliwego człowieka? — zawołał rozpacznie pan Haraburda. — Z romansu już nic nie będzie, za parę tygodni wyjeżdżają oboje zagranicę; zresztą ona chora i kwaśna, nie zdaje się skłoną do prowadzenia intrygi miłosnej.

Rozmyślając, klnąc cały świat Boży, gryzł zapalczywie swoje wypieszczone wasy. Stojąc w otwartym oknie, patrzył machinalnie na łąkę, na dwór janopolski, na ruczaj i kłopotał się myślą palącą go,

jak głównia: jakim sposobem dogryźć panu Rudominie do żywego.

Naraz oczy jego zatrzymały się na wodnym młynie!

— Wygrana! mam zemstę! — krzyknął radośnie, jak dzieciak, co piłką w nos uderzy przeciwnika. — Jutro rozwalam młyn, wytaczam proces i robię głośną awanturę na cały powiat. Poczekaj ty adwokacie, *hipokondryku!* — (to miało być jeszcze coś straszniejszego od *Hipokratesa*) — napsuję ja tobie krwi niemało; dostaniesz żółtaczki, jak ci dowiodę, żeś bezprawnie zrobił, stawiając młyn na mojej rzeczulce.

Widzieliśmy, jak pan Haraburda wystąpił śmiało i odważnie, by rozwalić młyn, postawiony dla wygody włościan. I młyn został rozebrany do szczętu. Promieniejący pan Haraburda chodził nad brzegiem rzeki i jak się zdaje, oczekiwał przybycia samego pana Rudominy, z którym miał wielką ochotę rozprawić się na szable. Ale pan Rudomina nie ukażał się wcale, co więcej, nie przysłał nawet po raz drugi swego ekonoma i dozwolił spokojnie spełnić dzieło zniszczenia na niewinnym młynie.

Upłynął dzień jeden, drugi, trzeci — nie było ani procesu, ani skandalu, ani awantury.

Drzewo z rozebranego młyna leżało spokojnie na słońcu, chłopci po cichu szeptali, że ich pan ma „nieczysto w głowie“, i jak głupi, nie wie, co robi!

I na tem koniec.

Pan Haraburda zmógł się sam swoją złością i rzekł:

— Ha! boi się mnie zaczepić pan Jacek i nie skarży do sądu; wie, że to pachnie kryminałem. Mniejsza o niego! Przez wzgląd na chorą żonę, nie będę go procesował, ale w inny sposób mu dokuczę.

Lecz to znowu był sęk, w jaki to inny sposób? Ale myśl pana Haraburdy nie była jałową, gdy szło o dokuczenie panu Jackowi.

— Proces to głupstwo, rozwalenie młyna to furda!—mówił do siebie, chodząc wielkimi krokami po sali jadalnej — trzeba mu tak zależeć za skórę, żeby całe życie popamiętał, że Józef Haraburda, choć nie wycierał kątów po jezuickich bakalarniach i nie sprzedawał swego języka na wykrety i oszukiwanie ludzi, potrafi zrobić, co zechce. Al! już wiem!—zawołał radośnie—wiem, co zrobię: ożenię się i wezmę milion posagu... Tak, na honor milion! Panna Tekla Maszadro, jak mówią ludzie, jest milionową panną. Ożenię się, będę miał syna, będę miał milion, a wówczas pan Rudomina chyba pęknie ze złości.

I domawiając tych słów, pan kapitan zaczął gwałtownie dzwonić na swego famulusa, by mu przygotował srebrne ostrogi, huzarski mundur i wszystkie przyrządy toaletowe. Jechał bowiem po złote runo!

Jakoż zaledwie upłynęło pół godziny, pan kapitan wystrojony, woniejący, wskoczył do otwartego kabrioletu, zaprzężonego czwórka w lejc, by klaskanie długiego bata budziło echo po drodze.



II.

Panna Tekla Maszadro.

Zanim rączy pan kapitan zdąży do celu swoich marzeń, popędzając siarczyście czwórkę gniadoszów, my pośpieszamy także zapoznać czytelnika z osobą, która ważną ma rolę w naszej opowieści.

Maszadrowo, dziedziczna wieś rodziny Maszadrów, dostała się w puściźnie potomkowi po kądzieli, pannie Tekli Maszadro. Nie było synów, i jedynaczka, panna Tekla, po śmierci obojga rodziców, została panią i dziedziczką prześlicznej wsi z lasem, wodą i łąkami.

Panna Tekla z natury miała wysoko rozwinięty zmysł agronomiczny, a chociaż nie była w żadnej szkole rolniczej, znajomością jednak uprawy ziemi i sztuką wyzyskiwania z niej produktów, zdumiewała najbogiejszych gospodarzy. Niemen, płynący prawie u stóp Maszadrowa, wielkie temu majątkowi oddawał usługi. Na wiosnę płynęli oryle z drzewem do Królewca, w jesieni do Gdańska ze zbożem i okowitą, zimą zaś ogromna gorzelnia dawała brahę, tuczyła woły i nierogaciznę.

Okoliczni Żydkowie handlarze upędzali się o towar jaśnie panny Maszadro, chociaż u niej cena zawsze była wyższa, niż u innych sąsiadów obywateli. Kupcy twierdzili, że u dziedziczki Maszadrowa wszystko „było fain“ i nigdy żadnego „oszukaństwa“ — to jest ani plewy w zbożu, ani kąkolu w pszenicy. A ziarno suche, czyste, jak złoto; a węgna biała, wymyta i najlepszego gatunku.

Na końcu wsi, liczącej z jakie sto dymów, był mały, drewniany dworek, pokryty słomianą strzechą, o dwóch małych, drewnianych słupkach, pokrytych śpiczastym daszkiem, który niby ogromny kapelusz amerykański, zastaniał od skwaru i deszczu małe, drewniane ławeczki. Nazywało się to gankiem. Okienka w dworku były małe, z tradycyjnymi okienicami, z których każda miała wyrżnięte „serce“, przez które światło poranne dostawało się do mieszkania. Wewnątrz dworku, wyglądającego na zaścianek, było schludnie, czysto, choć skromnie; niktby nie przypuścił, że ta chatka mieści w sobie krocie — ba! nawet miliony, jak niósł powszechny rozgłos.

Dworek dzielił się na dwie połowy równe, zawierał cztery izby, przedzielone sienią. Po jednej stronie był duży pokój „bawialny“, chociaż nikt się w nim nigdy nie bawił; nie było w nim ani kanapy, ani krzesel, ani luster, ani żadnych mebli, tylko przy ścianach ciągnęły się dwie długie sofy, wypchane słomą i pokryte samodziałowym, szarym klimkiem; były tam także trzy stołki drewniane, bejcowane na czarno, a w kącie takiż mały stolik,

na którym figurował ogromny staroświecki zegar z kukułką. Na biało tynkowanych ścianach, których niebezpiecznie było się dotknąć czarną odzieżą, wisiało sześć landszaftów w czarnych, drewnianych ramach. Była to historia Józefa z Egiptu. Ten pokój tak zostawili rodzice, tak go wiernie utrzymywała panna Maszadro. Na drugiej stronie była czeladna izba i stancya dla ekonomy. Dziewki spały wszystkie pokotem w czeladnej izbie, budziła je zimą i latem o godzinie piątej sama pani.

Panna Tekla swój gust surowy rozciągała na wszystko, co ją otaczało i najskrupulatniejszy asceta nie mógłby znaleźć tam nic, coby tchnęło kokieterią kobiecą lub próżnością światową. Były wszelako dwa przedmioty, należące już do zbyt kownych; szkatułka grająca, co stała obok zegara, i dwa wazoniki z kaktusami, stojące na dwóch małych okienkach, przysłoniętych perkalowemi, białemi firankami. Szkatułka grająca okazywała, że panna Maszadro ma poczucie artystyczne i lubi muzykę, a ponsowe kaktusy, że ma pewne poczucie estetyczne. Dzięki tym kaktusom, było przynajmniej coś w tej zamartej atmosferze, co przypominało żyjącą naturę i nadawało jakiś wdzięk ponurej bawialni.

Właścicielka tego dworku jest to osoba równie surowa w życiu, jak i w otoczeniu; surowa w zasadach, w ubiorze, w rysach twarzy, słowem wzór surowości panińskiej. W chwili obecnej, panna Maszadro nie jest jeszcze starą, ma lat trzydzieści cztery i przy fortunie, jaką posiada, dawnoby mogła nosić tytuł mężatki, gdyby tego chciała. Ale tak

trudno znaleźć męża równie rządneho, surowego i skromnego w swoich wymaganiach; więc choć wielu spekulantów okolicznych wyciągało dłoń „po niezależną fortunę doletniej panny, każdy odszedł z kwitkiem, a raczej z harbuzem.

Ale i otóż ona sama; idzie z pończochą w rękę, wracając od udoju krów. Racz więc, łaskawy czytelniku, przypatrzeć się zblizka tej ciekawej osobie.

Panna Maszadro jest wysoka, tak wysoka, że patrząc na nią, trzeba dobrze podnieść głowę do góry; twarz ma chudą, długą, z wyrazem ostrej brzytwy; nos cienki, długi, podobny do strączka grochu, opada lekko na usta wąskie i zaciśnięte; broda także długa, śpiczasta, dopełnia trójkąta twarzy; oczy szare, przymrużone, mają pewien dziwny blask, przypominający owe kaktusy, odbijające krasą przy nagich ścianach jej bawialnego pokoju. W tych szarych, przymrużonych oczach, była chytrość kota, dowcip jaszczurki, a niekiedy mądrość sowy. Ten wzrok budził, jeśli nie odrazę, to pewien przestach, mimowoli oddziaływający na system nerwowy spokojnych ludzi. Dodajmy do tego ubiór czarny, surowy i włosy czarne, bujne, gładko zaczesane na skroni: głowa zdawała się być otoczoną pasem czarnego aksamitu.

Panna Tekla miała zwyczaj zawsze coś trzymać w rękę, bądź pończochę z drutami, bądź laskę, bądź chustkę od nosa, którą powiewała na wszystkie strony niby sztandarem, dla dawania znaków krzątającej się po dziedzińcu czeladzi.

Ten wzrost olbrzymi panny Tekli, ta czarna jej odzież i ta biała powiewająca chustka sprawiły, że w okolicy nadano jej przydomek: „Morowej Dziewicy“, w myśl tego, co o takim zjawisku powiedział wieszcz:

Głową przewyższa Białowieskie drzewa,
A w rękę chustą skrwawioną powiewa.

Powiedzmy, że zamiast plam krwawych na chustce panny Maszadro, były wyraźne ślady tabaki, której dużo zażywała, żeby mieć wzrok jaśniejszy.

Zaprawdę, nie właściwiej, a dobitniej nie określiła obrazu panny Maszadro, jak nazwa Morowej Dziewicy. Kto pierwszy zrobił to porównanie? Nie wiadomo, jak niewiadomy jest nigdy autor piosenek ludowych i przypowieści. Rodzą się one w powietrzu, w szumie drzew, w szmerze wody, i każdy je zrozumie, każdy pochwyci, przyswoi sobie i nie pyta o autora. Instynkt ludu, prosty a zdrowy, czerpiący swe natchnienie z natury, nie skrzywiony żadną chorobliwą fantazją, ma wierne, a poetyczne poczucie tego, co piękne, groźne i sprawiedliwe; ma on przytem swoją dobroduszną złośliwość, złączoną z naiwnością dziecka, która nieraz zdumiewa poważny umysł badacza trafnością swoich spostrzeżeń.

Słowa Morowej Panny były ostre, dobitne, stanowcze; mówiła mało, a nie śmiała się prawie nigdy. Nie cierpiała dysput i rezenowań; na głupie czyjeś pytania lub twierdzenia zwykle nic nie odpowiadała, tylko przez szczeliny bardziej niż zwykle zmrużo-

nych, szarych oczów, świeciła taka wzgardliwa ironia, że mówiący jeszcze bardziej głupiał, płatał się i nareszcie zapominał całkiem języka w gębie.

Tyle o zewnętrznosci panny Maszadro.

Co zaś do jej przymiotów wewnętrznych czyli moralnych, to trudno bardzo dać ich stanowczą definicyę. Była to bowiem istota całkiem zamknięta w sobie i nie dopuszczała ludzi nigdy do bliższego jej poznania. Zimna, nieufna, nie objawiająca nigdy żadnych zasad i przekonań, nieprzystępna dla żadnych zwierzeń sercowych, nie mogła nigdy przez nikogo być poznana, ani ocenioną właściwie. Nie wiedzieli nawet ludzie, czy litościwa i miłosierna, bo nigdy nie rozprawiała o żadnych sentymentach i nie zwracała żadnej uwagi, gdy je inni filtrowali przez słowa.

Lecz zdania ludzkie zwykle się krzyżują o wszystkim i o wszystkich. I tak, jedni twierdzili, że skąpa, twarda i mściwa; drudzy upewniali, że ludzka, miłosierna i szlachetnego serca. Na to zgadzali się wszyscy, że „mądra i bogata“.

Wiadomo, że bogaci zwykle są przedmiotem uwag i ciekawości; wiele im zazdroszczą, wiele w nich nienawidzą, ale najwięcej pobbłażają i cenią.

Jak już mówiliśmy, panna Tekla ceniła słowa swoje, jak złoto, i wcale niemi nie szafowała; wszelakoż były chwile, w których wygłaszała zdania krótkie, treściwe, przybrane w suknię maksym. Mawiała naprzykład:

„Kto grosza nie szanuje, ten grosza [nie wart“.

„Kto się z rana śmieje, ten wieczorem płacze“.

„Kto nie umie mścić się, ten i kochać nie umie.“

„Kto wszystkim wierzy, ten sobie nie ufa“.

Panna Maszadro nie bywała prawie u nikogo w sąsiedztwie; jeżeli się zdarzył wypadek rzadki, nadzwyczajny, że pojechała do kogo, to tylko wskutek jakiegoś interesu, kupna lub sprzedaży; sąsiedzi jednak nawiedzali ją dość często i pożyczali od niej pieniądze, zwykle na krótki termin i na piąty procent. Panna Tekla nie odmawiała tej sąsiedzkiej usługi ludziom, co pewną mieli ewikycę.

Ludzie, którzy zwykle wszystko chcą wiedzieć, a najbardziej to, co ich najmniej może obchodzić, dochodzili, szperali, grzebali, by się tak wyrazić, w życiu Morowej Panny, by dojść przyczyny, dla której tak zbiera pieniądze, kto będzie jej spadkobiercą, czy pójdzie za mąż, czy do śmierci zostanie westalką? Najbardziej zaś tego byli ciekawi, czy panna Tekla ma jakie „słabości“, nieodłączne od jej płci i natury? czy nikogo w życiu nie kochała? Może ma jaki „grzech żyjący“, i dla tego grzechu tak skrzętnie zbiera miliony? Inni znowu wyrzucali jej po cichu egoizm. Czemu nie weźmie do siebie jakiej krewnej lub sieroty? czemu jej nie wyposaży i nie wyda za mąż? Z tych rozmaitych „czemu“, „dlaczego“, zawyrokowano, że panna Tekla, obawiając się wdzięków młodej jakiej kuzynki, nie chce mieć przy sobie rywalki; że jeszcze nie zerwała z nadzieją zamążpójścia i że wyraźną ma słabość do młodych, a przystojnych mężczyzn. Ten ostatni punkt miał pewną podstawę w faktach; nie przyjmowała bowiem nigdy ani brzydkiego, ani podży-

łego, ani żonatego ekonoma. Owszem, bywał to zawsze młody, przystojny i bystrego umysłu chłopiec; a chociaż żaden nie pochwalił się nigdy jakimiś szczególnymi względami pani, to jednak pewne, że młodość, wdzięk i spryt, wielkie znajdowały względy w oczach surowej panny.

Dowcipna, śmiała odpowiedź, wywołała niekiedy nawet blady uśmiech na białych ustach Morowej Dziewicy, a z szarych jej oczu tryskał płomień prawdziwie taki, jak u kota, kiedy ten igra z myszą i pewny jej złapania.

Pan kapitan Haraburda słyszał te wszystkie zdania i opinie o panie Tekli i będąc pewny siebie, swego dowcipu, junakieryi i wdzięków, zamierzał śmiało podbić tę milionową fortecę, która dotąd przez nikogo zdobytą nie była. Jak już wiemy, ważne pobudki skłoniły pięknego huzara do tego stanowczego kroku. I popędził wcał za myślą.

Była godzina trzecia z południa, kiedy błyszcząca uprząż, z błyszczącym kapitanem, z trzaskiem, hukiem i łoskotem zaświeciła przed malutkim, drewnianym ganeczkiem.

Pan Haraburda, acz wiedział z opowieści, krążących po okolicy, że panna Maszadro ma pustelnicze gusta i upodobania, wszelako, kołysany przez czteromilionową podróż pięknymi obrazami milionowej fortuny, zdziwił się, zastygł, oniemiał, na widok tak malutkiego, słomą krytego dworku, i gotów już był kazać zawrócić konie i puścić się z powrotem do pysznego Antopola, który przy Maszadrowie wyglądał na pałac książęcy—gdyby nie traf złośliwy, wła-

śnie w tej chwili kierujący powolnemi krokami panny Tekli, idącej przez dziedziniec i powiewającej białą chustką.

Pan Józef wyskoczył z kabrioletu, obejrzał się i oczy jego zdumione zatrzymały się na czarnej, długiej postaci panny Maszadro.

Trzeba wyznać prawdę. Odważny serc niewieścich pogromca przeląkł się, zadrżał i mrowie przeszło po całej jego skórze.

— Na honor!—szepnął z cicha—to prawdziwa Dżuma! I to ma być ta milionowa panna?

I nie wiedział nieborak, co z sobą począć: czy podejść, ukłonić się i wypalić komplement milionom; czy też, zamrużywszy oczy, zmykać z placu boju? Stał jakiś czas nieruchomy; stracił odwagę, zgubił myśl, rzechy można, że skamieniał.

A panna Tekla szła ciągle wolnym, miarowym krokiem, jak *Fatum*, jak niecofniony wyrok, jak los nieubłagany, aż stanęła przed powozem i zapytała najspokojniej furmana:

— Któż to przyjechał?

Furman, nie przypuszczając, że ma samą panią przed sobą, odrzekł opryskliwie:

— A co asani do tego? Ten gość nie przyjechał do klucznicy, tylko do panny Maszadro.

— To się rozumie—odparła z dziwnym uśmiechem panna Tekla—lecz jeśli twój pan równie grzeczny, jak ty, mości sługusie, to...

Nie dokończyła, tylko z czeluści ocznych wysnęły migotliwe światełka, podobne do owych błędnych ogników, co to zwykle na trzęsawiska wpro-

wadzają ciekawego podróżnika. I patrzyła długą chwilę w milczeniu na złocistą postać pana Józefa, stojącego właśnie pod jasnemi promieniami słońca i bijącego, że tak powiemy, złotą luną od swojej osoby. Musimy przyznać, że w tej słonecznej kąpieli pan Haraburda wyglądał, jak Febus i dla najprozaiczniejszego oka musiał się wydać prześlicznym.

Panna Maszadro przy jego blasku wyglądała, jak czarna chmura.

Kiedy tak Febus patrzy z przestraczem na Chmurę, a Chmura z admiracją na Feba, wypada nagle z sieni ogromny brytan i głośnem szczekaniem wraca równowagę myśli obojgu.

— Azor! do nogi! — odezwała się gospodyni — niegrzeczny jesteś dla nieznajomych.

Następnie zwracając się do gościa, zapytała głosem, o ile zdołała najuprzejmiejszym:

— Zapewne mam honor witać pana kapitana Haraburdę?

— Do usług pani dobrodziejki — było całą odpowiedzią, wraz z uniżonym ukłonem.

— A, miło mi bardzo. Proszę do pokoju...

Pierwsza, jak to wypadało, posunęła przez ganek i otworzyła drzwi bawialni.

Nowy kłopot, nowe pomieszanie ze strony dotąd tak junackiego kapitana. Od czego zacząć rozmowę z Morową Dziewicą? Jaki dać pozór swojej wizycie? Jak nie obudzić podejrzeń, że do tak szpetnej osoby tylko jej miliony mogły sprowadzić takiego złotego motyla? Biedny pan Józef sapał, ocierał czoło zroszone potem i sam siebie przeklinał

w duchu za swoją odwagę, która nie wiadomo, gdzie mu się podziła.

A wiemy już, że nie był dyplomata i nie umiał słów dobierać. W tej krytycznej chwili przyszedł mu na myśl pan Jacek...

— Ha! onby wiedział, co mówić i nie stałby, jak kółek w płocie—westchnął w duchu pan Józef.

Ta własna uwaga do wściekłości go doprowadziła.

— Ba! ten farmazon oszuka samego dyabła—szeptał sobie w duchu—i wszystko zrobi, co zechce. A ja!... O, ja także zrobię, co zechcę. Najprzód zbadam, czy ta przekłeta poczwara ma pieniądze, a potem... Ha, potem zobaczymy; jeśli naprawdę ma milion, ten milion będzie moim.

I ta myśl znowu go pogodziła z Morową Panną.

Mądra panna Maszadro nie przerywała wcale tego wewnętrznego monologu swego pięknego gościa. Domyśliła się, odgadła i zrozumiała wszystko. Wielka to była psychologistka ta panna Tekla. I tak sobie rozważała w cichości:

— I ten piękny jegomość pokusił się także o moją fortunę; musiał już dużo przehulać i potrzebuje się podreperować. Odgłos o milonie, to dzwon, co wszystkich zwabia; ale niestety! dzwonnik przykre na nim zrobił wrażenie i nie umie biedak zataić tego. Wykrzywia się, jak owad wzięty na szpilkę. Dodajmy mu otuchy, a kto wie, co z tego będzie!

Z tego znowu monologu panny Maszadro łatwo się domyśleć, że złoty kapitan niepoślednie zrobił

wrażenie na umyśle, jeśli jeszcze nie na sercu Morowej Dziewicy. A było to pierwsze i jedyne wrażenie, jakiego doznała w życiu. Panna Tekla poczuła w tej chwili, że jest kobietą, że jest „dziewicą“, że potrafi kochać... a co więcej, że może pragnąć, by ją kochano.

Jakim się to sposobem stało—któż zbada i wypowie? Bo nie wszystko, co się dzieje pod słońcem, jest zbadane i zdefiniowane.

To tylko pewna, że po nad ich głowami przełatywała złośliwa wróżka, śmiała się głośno z tych dwóch monologów wewnętrznych, a za pomocą czarów tajemnych, rozlała wokół wonną atmosferę, oddziaływającą na nerwy i na zmysły ludzkie.

I oboje dostali zawrotu głowy.

Jemu kręcił się w mózgu „Bóg-milion“, wyciągał dłonie, i wskazywał wszystkie rozkosze i przyjemności życia zmysłowego. Jej stanęła przed oczyma uroczą postać, jakiej dotąd nie widziała nawet we snach swoich, i sypała przed nią kwiaty woniące, poiła ją narkotykiem, który rozpalał krew, przyspieszał bicie serca, i upajał, upajał, upajał!

Była to miłość.

Jednocześnie zaczęli oboje rozmawiać, jakby ich usta poruszyła niewidzialna sprężyna.

Rozmowa im szła tak gładko, tak prędko, tak swobodnie, jakby się znali oddawna i szukali się po świecie—jak w legendzie arabskiej dwie połowy jednego jabłka, szukające się wzajemnie.

I o dziwo! Panna Tekla, pod wpływem czarów miłości, przemieniła odrazu cały swój ustrój we-

wnętrzy: z małowój stała się gadająca, z surowej łagodną i słodką, ze skąpej rozrzutną i gotową dać pieniędzy swemu gościowi tyle, ileby zapragnął, bez procentu i terminu, bez weksłu. Kto wie, może za jeden pocałunek.

O wróżko figlarko, cóż to ty z ludźmi wyrabiasz, gdy ci przyjdzie fantazyja poogłupiać ich mózgi! I po co tu mędrą siłą się na jakieś formuły o charakterze człowieka, o jego sile woli, o zasadach i pewnikach? Bzdurstwo! Człowiek jest takim, jaką jest atmosfera, w której żyje, jakimi są otaczające go duchy.

Jak tylko owa psotnica wróżka zagościła w bawialnym pokoju panny Maszadro, wnet zleciał się cały jej orszak, z rozmaitych złożony chochlików; pouczepiały się czerwonych kaktusów, białych ścian, czarnego zegara i grającej szkatułki, a potem rozleciały się swawolniki po wszystkich kątach, zajrzały nawet do sypialni dziewiczej.

I zawisł jeden na kotarze łóżka, drugi na lustrze, stanowiącym tualetę, inny na grzebieniu, którym Morowa Panna spinała kruczy swój warkocz.

I wówczas wszystko się ożywiło, zajaśniało, rozweseliło. Zwyczajnie czary.

Pan Haraburda, wodząc oczyma po ścianach, mniemał, że są z białego alabastru; włóczkowe obrazki wydały mu się najcudowniejszym malowidłem, jaskrawe kaktusy kwiatami nieporównanej piękności, zegar antykiem królewskim, a szkatułka grająca, która jakby sama przez się zaczęła wygrywać sztafery, muzyką Orfeusza.

A gdy panna Maszadro wyszła na chwilę do sypialnego pokoju, by wyjąć z apteczki doskonałe likiery dla utraktowania gościa, i przypadkiem przejrzała się w lustrze, zadziwiła się sama, że tak jeszcze jest młodą i ładną; i ucieszyła się, że ma tak piękne czarne włosy, które dziwnie ozdabiały ogromny, szylkretowy grzebień.

O dniu szczęśliwy, w którym duchy goszczą w mieszkaniu ludzi!

Rozpromieniona, szczęśliwa, oddana wrażeniom dotąd nieznanym, weszła do bawialni, niosąc sama dwie butelki, a za nią sługa na tacy przyniosła czarną kawę, ciasta i rozmaite przysmaki domowe.

Oddawien dawna nie widziano takiej uczty w domu, nie słyszano tak łagodnej mowy pani, ani spotykano tak dostojnego gościa, któregooby tak po-dejmowano.

Gdy służąca wpadła do czeladnej izby, zawołała na głos do towarzyszek:

— Oj ludkowie moi ludkowie, toj koniec świata i „hody“! Panna gada, śmieje się i traktuje takiego ładnego oficera, że aż mrowie przechodzi po tobie, jak „łypnie“ na ciebie oczami. To nieczysta siła.

Na ten ostatni pewnik, wszystkie dziewczki potwierały szeroko gęby i chóralne „aaa!“ rozległo się po izbie.

Ale już dosyć fantazyi, przejdźmy do rzeczywistości.

Po kawie, likierach i rozmaitych przysmakach, pan kapitan był w brylantowym humorze, nie miał

bynajmniej za złe, że panna Tekla zażywa „Virginia Rappe“ dla słabości wzroku i sam ośmielił się prosić, by mu dozwolono zapalić fajkę króciuchną, którą zawsze nosił w kieszeni i bez której żyć nie mógł, jak sam dowodził. Ta mała antypka z ogromnym bursztynem miała nazwę *Alter ego*, a pan kapitan miał do niej dziwną słabość.

Naturalnie, że uprzejma gospodyni pozwoliła na ten eksces, jakiego jeszcze nie widziały ściany jej dworku. I wnet buchnęły ogromne, niebieskie kłęby dymu doskonałego sułtana.

Nie ręczymy, czy się od niego nie zakrztusiła wróżka i jej skrzydlaty orszak.

Gdy już umysł pana Haraburdy nie czuł żadnego przymusu, a serce trwogi, po długiej rozmowie o wszystkim i o niczem, odezwał się wesoło:

— Na honor, pani dobrodziejko, ze mnie dziwny człowiek! I choć pan Jacek Rudomina, szanowny mój sąsiad, utrzymuje, że się nie znam na ludziach, ja wszelako mogę się pochwalić, że odrazu poznam, kto czego wart.

— Widać, że pan ma wysoko rozwinięte władze rozumu i przecucia — odparła grzecznie gospodyni.

— Ja, szanowna pani, wszystkie władze mam wysoko rozwinięte, i nie chwałę się, chociaż nie jestem jurystą, jak pan Jacek, i nie prawię, jak on, kaznodziejskich oracyj, nie pozwolę sobie pluć w kaszę, i zawsze dokonam tego, co zamyszę. To moja zasada.

Panna Maszadro uśmiechnęła się poważnie i znowu odrzekła:

— To cechuje człowieka z charakterem i wolą.

— Do kroćset! a cóż wart mężczyzna bez woli i charakteru? To baba!.. A przepraszam... chciałem powiedzieć: to bibuła. Ot naprzykład pani dobrodziejka—ciągnął dalej, zdobywając się na dyplomatyczny komplement—to prawdziwy, jak to mówią: *hic mulier*; rządna, mądra, bez tych wszystkich fumów kobiecych, przytem jeszcze młoda i powabna...

Tu się urwało, nie wiedział, jak skończyć.

Panna Tekla przyszła mu w pomoc.

— Pan dobrodziej — odrzekła z pewną skromnością — zna mnie jeszcze tak mało i jego łaskawa opinia jest tylko prostą grzeczością.

— Na honor, że nie — twierdził z przekonaniem pan Haraburda; — ja zupełnie w w opinię nie wierzę, i dziś jeszcze mocniej się przekonałem, że jej wierzyć nie można.

— I w jakiż to sposób — zapytała z przymile niem Morowa Dziewica — czy wolno wiedzieć?

— Ha! nie robię nigdy sekretów — prawil, buchając dymem, naiwny pan kapitan. — Ot jak mnie pani widzisz żywego, tak ja się bałem pani, tyle ludzie o niej rozmaitych rzeczy gadają... A na honor, wszystko to plotki. Ani pani jesteś starą, ani brzydka, ani tak srogą, jak ludzie dowodzą. Owszem miła, przyjemna i wielce rozumna osoba.

— A o moich milionach, czy także prawią plotki? — wtrąciła pani Maszadro, nie mogąc się powstrzymać od lekkiej złośliwości, i w oczach jej mignął koci płomycek.

— A, ba! mówią, żeś pani bogata, jak Krezus, a skąpa, jak... ot nie wiem, jak kto. „Chyba, jak pan Jacek Rudomina.

— Nie mam zaszczytu znać tego pana, ale widzę, że to być musi antagonistą pana dobrodzieja.

— Gdzie tam „agronomista“, pani łaskawa, on udaje tylko dobrego gospodarza i gębą wszystko robi! Ot naprzykład, udało mu się otumanić starego Matuszewicza, i wziął po jego córce ogromne pieniądze. Ale tak biedaczkę traktuje, że ta już dogorywa na suchoty. A na honor, szkoda kobieciny, bo dalibóg ładna, jak kwiatek.

Panna Tekla pomyślała chwilę i rzekła:

— Niema czego zazdrościć fortuny, to rzecz nabyta; można tylko zazdrościć dobrej towarzyski życia, łagodnej, rozumnej i gospodarnej.

— Tak, to prawda — odrzekł pan Józef, domyślając się, że jakieś powiedział głupstwo, i chcąc naprawić je, natychmiast dodał z przesadą, przewracając swoje ogromne, piwne oczy: — Ot naprzykład taka żona, jak pani dobrodziejka, to każdemu da szczęście.

— Ale ja nie jestem tak bogatą, jak ludzie mówią — syknęła słodko-kwaśnym głosem mądra panna, która snąć chciała do gruntu zbadać charakter swego gościa.

— Furda bogactwo! — krzyknął impetycznie pan kapitan — miłość jest szczęściem na ziemi. I jeśli się kiedy ożenię, to na honor, nie, jak pan Jacek, dla pieniędzy, ale jedynie z miłości i dla miłości.

— To piękna zasada, bardzo piękna, i podzielam ją całkowicie. To samo mam przekonanie, chociaż w moim wieku...

— Co to wiek, szanowna pani, miłość nie pyta o metrykę chrztu — prawil rezolutnie pan Józef. — Przypuszczam, że pani masz lat czterdzieści, a ja trzydzieści, i mogę się w pani zakochać śmiertelnie. Takie rzeczy często się zdarzają.

I tak dalej i dalej rozmowa na ten ton szła aż do późnego wieczora. Pan Haraburda, odjeżdżając, przyrzekł, że wkrótce ponowi swoją wizytę: odebrał uprzejme zaproszenie, pocałował trzy razy w rękę miłą gospodynię i odjechał uszczęśliwiony z nowej znajomości.

III.

Ożenie się pana Haraburdy.

Nie możemy dostatecznie określić, jak długo trwał ten romans dziwny, niespodziany, pod opieką chochlików i złośliwej wróżki; dość, że się kochali wzajemnie pan kapitan Haraburda i panna Tekla Maszadro. I tak minęło lato, przeszła jesień i nastąpiła zima. Pan kapitan bywał prawie codzień w Maszadowie, naprzód kabryoletem, potem konno machał cztery mile (co wielce wzruszyło serce panny Tekli), następnie pędził saniami o dziesięciu dzwoneczkach, by w całej okolicy wiedzieli ludzie, że pan Haraburda jeździ w konkury do milionowej panny.

Jakoż miłość ta nie była nikomu tajną; gadali o niej, śmieli się głośno, po cichu zazdrościli, rozsiewali plotki, jak to zwykle wszędzie i zawsze na Bożym świecie.

A zakochanym czas ulatywał prędko, rozkosznie, niosąc na swoich okurzonych skrzydłach nadzieję spełnienia marzeń w przyszłości. Chochliki ciągle gościły w Maszadrowie. To też panna Tekla żyła ciągle w tej atmosferze miłosnej, nie wytrzewiając się ani na chwilę z uludy, jaką ją otoczyły psotniki.

Przeciwnie działo się z panem Józefem. Skoro był sam w swoim Antopolu i chodził ogromnymi krokami po jadalnej sali, rozmyślając o swojej bogdance, widział ją starą, brzydką—prawie odrażającą i wołał głośno:

— Ależ ja jej nie cierpię! To Morowa Panna! To zaraza!

I wzdrygał się na myśl, że to wysokie straszdyło ma być jego żoną; że już ludzie o tem gadają; że on sam to postanowił.

To znowu, kiedy był u panny Tekli, zmieniała się całkiem postać rzeczy. Wyobraźnia przewracała się na nice, panna Tekla była miłą, rozsądną, przyzwoitą, a nawet wielce przystojną osobą; a za nią zawsze, jak cień „idealny“, stał milion posagu...

I znowu pan kapitan dziwił się i wyrzucał sobie, że rano tak wymyślał i tak złorzeczył tej, do której czuje wyraźny pociąg, która da mu szczęście, gdy zostanie jego żoną — da mu bowiem fortunę dwa razy większą, niż posiada pan Rudomina.

Nie trzeba jednak mniemać, że piękny kapitan był materyalistą i lubił pieniądze dla samych pieniędzy. Jako żywo, tak nie było. Podobny on był do młodej dziewczyny, pragnącej pięknej sukni dlatego, że jej w tym stroju będzie do twarzy, ale która, gdy włoży na chwilę tę suknię, już o niej nie myśli, a pragnie czego innego. On chciał pieniędzy dlatego, by ich mógł używać, wyleźć z długów, odczepić się od natrętników i bawić się potem tak długo, póki wiek i siły dozwolą. Na drugim planie było: zrobić na złość panu Rudominie i mieć żonę bogatszą, niż jego żona. A koroną tych wszystkich marzeń było: mieć syna, potomka Haraburdów, i to syna nad syny, któryby sławą swoją unieśmiertelnił siebie i ojca. Pan Rudomina miał już syna, ale ten syn z matki suchotnicy zapewne będzie niedołęga, głupiec, może idyota. Jakaż to dopiero byłaby zazdrość pana Jacka, gdyby widział, że jego sąsiad, jego wróg, ma potomka pięknego, zdrowego, mądrego i z milionową fortuną!

Takie były marzenia pana kapitana.

Żydkowie grodzieńscy, którzy wiedzieli o jego marzeniach, pośpieszali z powinszowaniami dziadzi-cowi Antopola, że tak dobry robi interes, żeniąc się z „tego panną Maszadro“, a hazardowniejsi oświadczały się nawet z pożyczaniem gotówki, jeśli jej potrzebuje pan kapitan na nowy ekwipaż i meble.

Słowem nie było żadnej przeszkody na drodze pana Haraburdy do szczęścia i tylko dłoń wyciągnąć, żeby je zagarnąć, bo samo, jak to zwykle mówią, lazło mu w ręce. Lecz pan Haraburda dotąd

nie oświadczył się formalnie i choć sto razy powtórzył pannie Tekli, że ją kocha nad życie, nie prosił jeszcze, by mu oddała rękę wraz z sercem. Dlaczego odwlekał szczęście? Nie wiadomo. Może za nadto lubił życie kawalerskie? Może lękał się jarzma zbyt mądrej żony? Może... Ale co to zgadywać! On sam nie wiedział, dlaczego się dotąd nie żeni, chociaż ma do tego naocześnie otwarte wrota.

A panna Tekla?

Ta była szalenie rozkochaną w pięknym wójaku; a choć surowa i poważna, nie tała przed ludźmi, że wkrótce zostanie panią kapitanową Haraburdową.

I wraz z miłością nastąpiła zmiana stroju: miejsce czarnej, merynosowej sukni, zastąpiła jedwabna, popielata, lilowa, ciemno-zielona, wszystkie modnie zrobione i bogato przybrane. I włosy czesała podług mody, zajaśniała nawet brosza i kolczyki brylantowe, słowem to wszystko, co kobietę robi kobietą.

Nie chodziła już do udoju krów sama, nie targowała się z Żydami o zboże; gospodarka i pieńiędzy były na drugim planie. Teraz najczęściej przesiadywała na ganku zamysłona, choć szczęśliwa, i czekała z bijącym sercem, kiedy jej Febus ukaże się konno lub w kabryolecie.

O dziwna miłości, co też ty wyrabiasz za zbytki z biednymi śmiertelnikami!

Było to w grudniu. Panna Tekla, ubrana w szafrowy, aksamitny płaszczyk, podług ówczesnej mody, obłożony tumakami, mając takiż kapturek na głowie,

siedziała na ganku i łowiła uchem dalekie odgłosy w powietrzu, czy nie posłyszysz dzwoneków sani, zwiastujących przybycie ukochanego. Ale donośnych dzwoneków nie było jeszcze słychać, natomiast ukazały się w bramie małe, jednokonne saneczki, na których siedział parobek w kożuchu, a za nim jakaś figura, okutana w chustkę i szmaty, chroniące ją od zimna.

Saneczki sunęły prosto przed ganek.

Stały. Wygromoliła się z nich jakaś kobieta, nie wiedząca, co z sobą począć i w którą zawrócić stronę. Po jej nieśmiałości i zdumieniu łatwo było odgadnąć, że szuka czegoś, czego nie widzi; spodziewała się ujrzeć pałac, a stoi przed małym dworkiem. Oczy jej wyraźnie szukały pałacu, jako oznaki tych bogactw, o których śnać słyszała.

— Kto pani jesteś i do kogo przyjechałaś?— odezwał się głos suchy, ostry, mroźny panny Tekli Maszadro.

Podróżna odezwała się cicho, pokornie:

— Chciałabym się widzieć z jaśnie wielmożną panną Maszadro i do niej przyjechałam.

— Jakże się pani nazywasz i co chcesz od panny Maszadro? — ponowiła pytanie, niezbyt rada tej niespodzianej wizycie, właścicielka Maszadowa.

— Ja jestem Zuzanna Turska, blizka krewna jaśnie wielmożnej panny Maszadro, a choć nie mam szczęścia jej znać... ośmieliłam się jednak... straciwszy matkę...

Tu głos jej przytłumiły łzy, zamilkła.

— Więc cóż żądacie ode mnie? Ja jestem owa

panna Maszadro, o której zapewne ci nagadano, że bogata i skąpa.

Panna Turska, zalekniona takim powitaniem, nie wiedziała, co odpowiedzieć; z boleścią westchnęła i spojrzała ku saniom, stojącym opodal.

Panna Maszadro zrozumiała myśl dziewczyny i tknięta czy litością, czy wspaniałością dotąd niezbyt szafowaną, odezwała się głosem o wiele łagodniejszym:

— Ależ moja panno Zuzanno, ja ciebie wcale nie odprawiam z kwitkiem; jeśli żądasz ode mnie pomocy pieniężnej, ja jej nie odmawiam. Kto ma, ten dać może.

Zuzanna zbliżyła się do dostojnej ciotki i pocałowałszy z uszanowaniem jej rękę, rzekła:

— Droga pani, mówiono mi, że jesteś cioteczną siostrą mojej biednej matki, która kilka miesięcy temu umarła; zostałam sama, sierota, bez opieki i bez żadnych funduszów: Ojciec już się ożenił z inną, a macocha powiada, że u nas wielka bieda, że jestem ciężarem w domu... i kazali mi iść do służby. Ale służbę u nas trudno znaleźć, ludzie obcy będą poniewierali sierotę; uprosiłam więc ojca, by mi pozwolił udać się do pani... jako do ciotki, jeśli wolno panią tak nazywać i prosić o przytułek, o służbę. Ja potrafię wszystko robić, co pani rozkaże, byleby mały kącik i trochę serca—dodała ciszej—dano sierocie.

To szczere, serdeczne wylanie, bez oskarżenia drugich, ta prostota i pokora w słowach, wyraźnie oddziaływały na serce panny Tekli, które dziś było

miękie, czule i litościwe. Ujęła więc siostrzenicę za rękę i rzekła z dobrocią, właściwą zakochanym:

— Dobrze, moja Zuziu, ja teraz właśnie potrzebuję towarzyszki; pędzę życie samotne, przez cały dzień nie mam z kim pogadać... a choć nie jestem wielomówna, lubię czasami rozmowę. Zostaniesz więc u mnie, nie jako sługa, ale jako moja kuzynka i będziesz mnie nazywała ciotką. Każ wyjąć swoje rzeczy, niech furmanka odjedzie i rozgość się, jakbyś była u siebie.

Zuzia z całą wdzięcznością ucałowała ręce i kolana tak dobrej ciotki i pełna dobrej otuchy, zabrała się do wypakowania swoich manatków.

Wtem nagle dzwonki dały się słyszeć, panna Tekla, jak iskrą elektryczną poruszona, zerwała się z miejsca i zawołała:

— Śpiesz się, śpiesz się Zuziu, bo goście do nas jadą, a przybierz się schludnie, bo cię zaprezentuję.

Już się zmierzchnoła i panna Maszadro nie widziała jeszcze nowo przybyłej twarzy; zresztą tak była ona okutana w chustki, że oprócz nosa, nic nie było widać. Nie przyszło więc jej na myśl, że ta ubożuchna krewna może być ładną, młodą i niebezpieczną rywalką o serce złotego motyla.

* * *

Pan Haraburda pędził tymczasem po śniegu co konie wyskoczą, z miną, okazującą postanowienie oświadczenia się formalnego dziś właśnie o rękę milionowej panny.

Lecz, o stanowczości ludzka, cóż ty sama po-
dołasz, skoro cię „duchy“ opuszczają! Złośliwe cho-
chliki sprzykrzyły sobie zbyt długi pobyt w zimnej
bawialni panny Tekli i tegoż dnia właśnie wyleciały
wszystkie cichaczem, opuszczając swoją królowę
wróżkę, która w najgorszym humorze została sama
jedna, przemyśliwając o zemście nad zakochaną
parą, co ją wielce znudziła zbyt długą stałością.

Panna Tekla dnia tego, acz wystrojona w aksa-
mit i kolczyki brylantowe, wyglądała dziwnie staro
i szpetnie; pretensjonalność stroju i miłosny wyraz
żółtej, chudej twarzy, czynił ją prawie wstrętną.
Nos jej strączkowy, zaczerwieniony od zimna, bły-
szczał na końcu tabaczną perełką, która w żaden
sposób nie mogła wywołać poetycznego zachwytu.

I niestety! taką się wydała panu Józefowi, gdy
ją przy świetle witał głośnem pocałowaniem w rękę.
Panna Maszadro starała się na wszelki sposób po-
dobać swemu ideałowi, to jest nietylko zewnątrz, ale i
wewnątrz, czyli przymiotami moralnemi, które
poetyzują kobietę w oczach kochanka.

Po pierwszym przeto wylaniu sercowych afe-
któw, odezwała się sentencyjalnie:

— Kto sam szczęśliwy, ten lubi uszczęśliwiać
drugich. Nieprawdaż, panie Józefie?

Pan Józef sądząc, że ta eksplozja sercowa ma
zaraz spaść na jego głowę ze strony tej, która w obe-
cnej chwili wydała mu się tak brzydką i starą,
spojrzał ogromnemi oczami na mówiącą i mruknął
półgłębkiem:

— A no! to prawda. Lecz do czegoż to zmierza?

— To zmierza do tego, że dziś skłonna jestem robić dobrze każdemu; serce moje potrzebuje tego. Oto przed chwilą właśnie przyjąłem pod swoją opiekę jedną moją daleką krewną, sierotę, ubogą dziewczynę.

I to mówiąc, z rozczuleniem patrzyła w twarz swego Febusa, by z niej wyczytać, jakie to na nim sprawi wrażenie.

— A ładna? młoda? — zapytał niedyplomatyczny Febus.

— Nie widziałam jej twarzy i nie znam jej wieku — odparła cierpkim głosem dawczyni szczęścia. — Ale czy panu tak wiele na tem zależy?

— Mnie? A cóż to mnie może obchodzić? — tłumaczył się pan kapitan. — Ot, zapytałem przez ciekawość, bo na honor, wolę spojrzeć na młodą i ładną twarz, jak na brzydką i starą.

A nie mówił tego z jakąś aluzją, uchwaj Boże! — mówił po prostu dlatego, że tak myślał.

Panna Tekla przygryzła wążkie usta i... tabaczna perełka z nosa upadła melancholicznie na długą, śpiczastą brodę. Wszelako, umiejac zapanować nad sobą i nad przykrem wrażeniem, jakiego doznała w tej chwili, odezwała się podniesionym głosem, suchym i rozkazującym:

— Panno Zuzanno, chciej się nam tu pokazać przy świetle, radzibyśmy cię ujrzeć.

Zuzia była tuż blisko w sypialni panny Maszadro, od której drzwi do bawialni były przyknięte. Siedziało biedactwo w ciemności na swoim małym

tłomoczku z rzeczami i przemyślało ze łzami w oczach, jaki ją tu los czeka u tej ciotki, której ton i obejście nie wróżyły wielkiego szczęścia. Usłyszawszy wołanie, zerwała się, jak niewolnica, by spełnić rozkaz i machinalnie przyglądziwszy ręką włosy, będące w nieładzie podróжным, otworzyła drzwi i stanęła przed ciekawym wzrokiem dwojga widzów.

Widzowie ogarnęli wzrokiem ciekawym, badawczym, nowoprzybyłą. To nieme studyum trwało sporą chwilę. Nareszcie panna Maszadro odezwała się z pewną ironią w głosie, która jej tylko była właściwą:

— Przedstawiam panu kapitanowi moją siostrzenicę, pannę Zuzannę Turską, i polecam ją jego łaskawym względom.

— O tych nie wątpię—odparł z galanterią pan kapitan, dodając kawalerski ukłon—i radbym sam na nie zasłużyć.

Zuzia, zarumieniona, jak kraśny mak, ze spuszczone mi w ziemię oczyma, zrobiła niezgrabny, parafiański dyg i nic nie odpowiedziała. Iskrzyło się w jej oczach sto świec zapalonych, tak była zdetowana, onieprzytomnioną i rozplakałaby się w głos, gdyby nie obawa.

A było to śliczne, młode, ośmnastoletnie dziewczę, tłuściutkie, białe, rumiane, jak świeża bułeczka montowa. Twarzyczka jej okrągła, z dwoma dołkami, miała tę barwę dzieciinną prawie, ten puszek niewinności, co tak miłe sprawia wrażenie na patrzącym; oczy niebieskie, jak kwiatek chabru,

i usta czerwone, wypukłe, skłonne do śmiechu serdecznego, naiwnego, bez żadnej przesady i kokieteryi; ogromny, jasny warkocz otaczał jej głowę po wiejsku, a czarna, wełniana sukienka, z białą, żalobną taśmą, nadawała tej postaci dziwny urok, wzbudzający mimowolną sympatyę i poszanowanie dla jej młodości, jej sieroctwa i jej niewinności.

Panna Maszadro rozpatrując się w siostrzenicy, uznała, że wielki zrobiła błąd, przyjmując tak ładną dziewczynę, i z dziwnym grymasem twarzy, wskazała jej krzesło, aby usiadła.

Posłuszna, usiadła na brzeżku, a podniosłszy nieśmiały wzrok na obecnych, zdała się pytać:

— Cóż ja tu będę robiła między wami?

Pan kapitan, znawca wiosennych jagódek, pozerął ją oczami. A złośliwa wróżka, zawieszona u góry, a niewidzialna, śmiała się szalonym śmiechem, patrząc na trójkę, w której mózgach czytała, jak w rozwartej księdze.

Wieczora tego pan kapitan był ponury, mało-mówny; ssał tylko bez przerwy swoją *alter ego* i od czasu do czasu obrzucał siarczystem wzrokiem nieśmiałą dziewoję.

Tym razem niepotrzebne były chochliki. Zuzia je zastępowała bez wiedzy, woli i najmniejszego przyczynienia się do tego.

Wiejskie, zaściankowe dziewczę, które nie widziało dotąd ani huzarskiego ubrania, ani tak pięknego mężczyzny, jakim był kapitan, trwożyło się bardziej, niż zachwycało jego widokiem; a ilekroć

czuła wzrok jego na sobie, krasniała cała, skubiąc palcami koniec chusteczki.

Rozmowa tego wieczora szła kulawo, nikt nie miał humoru jej podtrzymywać. Myśl oświadczenia się formalnego, z którą jechał pan Haraburda, uciekła zupełnie z jego głowy. Panna Tekla śnać odgadła i zrozumiała, co się dzieje w sercu „lubego“, bo sama dziwnie posmutniała, a raczej osowiała, i z oczu jej tylko tryskały kocie płomyki, gdy patrzyła na biedną myszkę w postaci siostrzenicy.

Pan kapitan też niedługo bawił; odjechał, ucałowawszy, jak kazał zwyczaj, rękę gospodyni, a odając uniżony ukłon nadobnej kuzynce.

Minał dzień jeden, drugi, trzeci, nareszcie tydzień, a pana kapitana nie było widać w Maszadrowie. Panna Tekla rozchorowała się ze zgryzoty, nie pojmując przyczyny tak nagłego zerwania stosunków; przeklinała w duchu chwilę przybycia Zuzi, ale nie miała dość odwagi, by ją wyprowadzić z domu.

Zuzia, przyzwyczajona do gospodarstwa i pracy, zaczęła swoją służbę w cichości, z wytrwałością godną podziwu. Wstawała o piątej wraz z dziewczętami, szła do udoju krów, zamiatała, sprzątała, sporządzała bieliznę i zgadywała prawie myśl swojej ciotki dobrodziejki, która jej dała przytułek i opiekę. Słowem, było to dziewczę nieocenione, tak w pracy, jak w dobroci i cierpliwości, a rzadne, roztropne, gospodarne — prawdziwy skarb dla tego, ktoby je ocenić potrafił.

Nie był to umysł egzaltowany ani poetyczny, jeśli poezję uważać będziemy jako produkt zbytکو-

wy, jako pachnidło w modnych salonach pań nerwowych; ale była to poezya wiejskiego, prostego serca, nie opiewana wierszami nie rzempolona muzyką: cicha, jak modlitwa, jak ufność, jak wiara w miłosierdzie Boże. Praca, wytrwałość, poświęcenie i wdzięczność za najmniejsze dobro, to była poezya Zuzi. Nie słyszała o innej i nie pojmowała jej. Piosenki nazywała piosenkami i śpiewała je, jak skowronek, ulatujący nad oraczem, ale to nie była dla niej poezya. Muzyka zachęcała ją do tańca, która to zabawa sprawiała jej przyjemność, ale w tem także nie widziała poezyi, tylko wesołość. A miłość? Tej dotąd nie znała, ale także wyobrażała ją sobie wesołą, tańczącą, a nadewszystko wdzięczną dla tego, coby ją pokochał, przygarnął i zaopiekował się nią na całe życie. Wdzięczność i poświęcenie się, to były dwa talizmany serca Zuzi.

Czy panna Maszadro dostatecznie poznała i oceniła siostrzenicę — nie wiemy; to jednak pewna, że choć czuła do niej żal za jej młodość i wdzięki, nie mogła czuć wstrętu i gniewu, tak jej charakter był sympatyczny, a obejście szczere, naturalne.

Upłynęły dwa tygodnie, jak dwa wieki, a pana kapitana nie było widać. Panna Maszadro, rozchorowała się naprawdę z tęsknoty za pięknym Febusem. W trzydziestu kilku latach miłość jest chorobą niebezpieczną, często nieuleczoną, a czasem śmiertelną. Jedynie tylko małżeństwo zdolne z niej wyleczyć.

I biedna panna Tekla musiała się położyć do łóżka, cierpiała bowiem na zawrót głowy, bicie serca i osłabienie.

Zuzia dniem i nocą czuwała przy chorej i nie jak daleka krewna, ale jak córka, kochająca matkę, oddawała jej wszystkie posługi sama, niestrudzona, z niewyczerpaną cierpliwością, któraby się zużyła w najstalszym charakterze przy kapryсах rozkochaney starej panny.

Nareszcie w trzecim tygodniu przybył konny posłaniec z Antopola, przywożąc list od pana Hara-burdy; drżącą ręką rozpieczętowała list panna Tekla i całą swoją istotą czytała następujące słowa:

„Szanowna Pani Dobrodziejko!

Nie wiem, co Pani myślisz o mojem tak długim milczeniu; ani sam nie byłem w Maszadrowie, ani też listu nie napisałem do Pani, a to dla dwóch ważnych przyczyn, które będę miał honor wyjaśnić w niniejszym liście. Na honor! nie wiem od czego zacząć, aby Pani nie obrazić. Zacznę więc od pogrzebu. Przez kilka dni byłem bardzo zmartwiony, umarła bowiem żona pana Jacka Rudominy, mego szanownego sąsiada! Żałuję wielce tej młodej i ładnej kobiety, której śmierci mąż stał się przyczyną, gdyż była to niedobrana para, jak to nieraz mówię Szanownej Pani Dobrodziejce. On się ożenił jedynie dla posagu i dlatego też mu Bóg nie błogosławił; z czego wziętem asumpt i naukę, by go nie naśladować w tej mierze.

Następnie druga okoliczność, która zmuszała mnie czas jakiś do pozbawienia się miłego widoku Osoby Pani Dobrodziejki. Rozważałem i zastanawiałem się nad tem, że już czas porzucić stan kawalerski, a ożenić się i mieć syna, jak to zrobili

inni. Zapewne przypomina sobie Szanowna Pani, jak nieraz powtarzałem, że ożenię się tylko z miłości: to moja zasada.

Otóż właśnie wybiła dla mnie godzina. Podo-
bała mi się siarczyście Siostrzenica Pani Dobro-
dziejki, Panna Zuzanna Turska, a choć jest ubogą
i nie ma żadnego posagu, nie zraża to mię wcale;
owszem, tem większą czuję dla niej sympatyę, jako
dla sieroty i dziwnie ładnej osoby. Upraszam przeto
Szanowną i Zacną Panią o przychylenie się do mojej
prośby, oraz o wstawienie się do Panny Zuzanny,
aby mi raczyła oddać Swoją rękę i zostać panią
Haraburdową.

Ufny, że moja prośba pomyślny odniesie sku-
tek, mam honor pisać się Wielmożnej Pani Dobro-
dziejki najniższym sługą i najszczerzym przyja-
cielem.

Józef Haraburda“.

Łatwo sobie wyobrazić, jaki skutek wywarł na
rozdrażnione nerwy panny Maszadro ten list, który
był arcydziełem stylu i dyplomacyi w przekonaniu
pana Józefa. Po przeczytaniu go, krzyknęła, jak pan-
tera ugodzona kulą, list zmiętoszyła konwulsyjnie,
rzuciła go na środek pokoju i zamrużywszy oczy,
padła na poduszki.

Zuzia, przełękniiona, przybiegła do ciotki, py-
tając, co to jest, co się stało?

— Czytaj, padalcze, ten list!—było całą odpo-
wiedzią ochryptym od wzruszenia głosem.

Posłuszna Zuzia podniosła zmiętoszony list, my-
śląc, że to zapewne od macochy, która ją oczernia
przed ciotką; ale im bardziej się wczytywała, tem-

bardziej się rumieniła, oczy mroczyły się łzami, narzeczcie pobladła zupełnie i wyszeptwała głosem cichym, ledwo dostłyszonym:

— Ależ, ciociu droga, ten pan żartuje zapewne! Jest to żart z biednej sieroty; ani mnie nie zna, ani mówił słowa do mnie i prosi mnie o rękę! O, to nieszlachetnie z jego strony.

I dziewczę rozplakało się na głos.

— A jeśli to nie żarty? — zasyczała droga ciocia. — Jeśli naprawdę pragnie pojąć cię za żonę? Cóż ty, zgodzisz się na to?

Na takie pytanie, zadane głosem inkwizytora, biedna Zuzia nie wiedziała, co odpowiedzieć; spojrzała na ciotkę i przełękła się. Twarz panny Maszadro bowiem miała wyraz tak nieubłaganej złości, nienawiści, wzdardy i coś tak złowrogiego było w jej oczach, że Zuzanna myślała, iż ma przed sobą szatana, którego obraz widziała namalowany w parafianym kościele.

W tej chwili panna Tekla była prawdziwą Morową Dziewicą. Jej twarz pergaminowa jeszcze bardziej pożółkła, usta zsiniały, nozdrza się rozděły. A oczy... O bogi litewskie i pruskie! Oczy rzucały takie ognie zemsty, że przed nią zadrżały i sam junacki kapitan.

— Ciocia musi być mocno chora — szepnęła nieśmiało litościwa Zuzia, która domyśliła się, choć nie pojmowała przyczyny cierpienia sercowych ciotki. — Może ugotować jakich ziółek?

Panna Tekla rozśmiała się głośno, że aż echo tego śmiechu rozleciało się po pustym, bawialnym pokoju i rzekła ostro:

— Głupia sroko, nie myśl, że umrę i tobie zapiszę cały mój majątek. Ja mam siłę i wolę, a w sercu to błogie uczucie zemsty... która mnie napoi kiedyś rozkoszą...

— Dostała maligny!—zawołała z boleścią Zuzia. — Tu trzeba doktora, żeby krew puścił.

I już zabierała się wyjść, by wydać rozkaz posłania czempredzej koni po doktora, gdy nagle panna Maszadro oderwała głowę od poduszek, usiadła na łożku i odezwała się urywanym głosem:

— Słuchaj ty... ty młoda i ładna dziewczyno, tyś mi wydarła szczęście... życie... wszystko... Ale ja wiem, że to nie twoja wina... Widok twój jednak jest mi teraz wstrętny i nie chcę cię widzieć przez trzy dni, rozumiesz? Trzy dni ani pokazuj mi się na oczy! Niech mi usługuje Hrypina. Po trzech dniach przywołam ciebie tutaj i objawię ci moją wolę. A teraz precz!

Zuzia, zakrywszy rękami oczy, z głośnem łkaniem wyszła z pokoju ciotki, domyślając się nareszcie z jej słów, że panna Tekla musi kochać tego pięknego, młodego kapitana a on widać naprawdę oświadczył się o jej rękę.

I dziwny zamęt powstał w głowie biednego dziewczęcia; a że nie była z natury głupią, owszem, była rozsądną, a nawet dość sprytną, zrozumiała całe niebezpieczeństwo swego położenia. Bo gdzież jej biednej, ubogiej sierocie być rywalką milionowej pani? O swoich wdziękach i młodości ani pomyślała, nie znała bowiem ich wartości, ani też wielkiej ceny do nich nie przywiązywała. Dziwiła się tylko, jakim

sposobem ten tak piękny, a zapewne i bogaty pan, mógł ją przekładać nad ciotkę, kiedy go ta tak kocha, a ona zaledwie go raz widziała.

Minęło trzy dni. Hrypina przyszła oznajmić Zuzi, że pani ją wzywa do siebie.

Zalękniona Zuzanna zrobiła znak krzyża świętego i rzekła sobie w duchu:

— Niech się dzieje wola Boża! zapewne mnie wypędzi z domu... Cóż robić, pójdę szukać służby u obcych.

Pokrzepiona tą rezygnacją oraz pewnością, że nic złego nie zrobiła swojej dobrodziejce, weszła z uszanowaniem, ale z pewną spokojnością do sypialni panny Maszadro

Panna Tekla siedziała ubrana w krzesło, była znowu w czarnym, jak ongi, stroju i w białym czepcu na czarnych włosach. Twarz jej nie wyrażała żadnego wzruszenia; była zimna, spokojna, martwa. Oczy miała bardziej zmrużone niż zwykle, a pod niemi miedziane podkowy, świadczące o nocach bezsennych i wielkiem zmordowaniu umysłu i ducha.

— Zbliź się tu do mnie Zuziu — rzekła niby łagodnym głosem.

Zuzia się zbliżyła i pocałowała ciotkę w zimną rękę.

— Ile masz lat? — zapytała ciotka.

— Ośmnaście i dwa miesiące — odparła Zuzia.

— Czy masz z sobą metrykę chrztu?

— Ojciec mi ją dał, gdym wyjeżdżała.

Zuzanna nie pojmowała, do czego zmierzają te pytania.

— To dobrze. Teraz weź papier, pióro i atrament; będziesz list pisała. Wszak umiesz pisać?

— Umieam, ale nie kaligraficznie.

— Mniejsza o to, tu nie potrzeba kaligrafa.

I coś nakształt uśmiechu, jakieś wykrzywienie muskułu zjawiło się na twarzy Morowej Dziewicy.

Posłuszna siostrzenica przygotowała potrzebne przyrządy do pisania, usiadła przed stołem i czekała dalszych rozkazów.

— Pisz teraz, co ci będę dyktowała—odezwał się głos, w którym czuć było wyraźne drżenie nerwowe.

Nastąpiło *dyktandum*:

„Wielmożny Mości Dobrodzieju!

„Nie mogłam natychmiast odpowiedzieć na list Szanownego Sąsiada Dobrodzieja, mocno bowiem cierpiałam przez trzy dni na katar. Lecz dziś jestem zdrową, zupełnie zdrową i pośpieszam zaspokoić Szanownego Sąsiada, niecierpliwie zapewne oczekującego mojej odpowiedzi.

Podzielim w zupełności wzniosłą zasadę Szanownego Pana, że kto się żeni jedynie dla fortuny, temu Bóg nie błogosławi i że małżeństwo, tylko przez miłość skojarzone, jest Bogu i ludziom miłe. Mam oraz honor powinszować Panu tak szczęśliwego, a bezinteresownego wyboru, jaki padł na moją miłą siostrzenicę. Poznałam ją lepiej niż pan i mogę tuszyć, że wybrana zdoła Go uszczęśliwić podług Jego zasług i świetnych przymiotów...“

— Ależ ciociu—przerwała Zuzia, odrywając się od pisania — ja jeszcze nic nie powiedziałam..

— Jakto? Więc byłabyś przeciwną temu?... Nie chcesz za męża pana Haraburdy?...

— Ja nie wiem, droga ciotko—odrzekło szczerze dziewczę, kierowane instynktem rozsądku — chciałabym w pierw bliżej poznać, jaki to człowiek.

— Nie radzę ci tej próby—odparła sucho panna Tekla—Jeśli masz ochotę zostać panią kapitanową Haraburdową, to śpiesz się ze stanowczą odpowiedzią. Ten pan nie lubi bliższego poznania.

— Jeśli tak, jakież to będzie moje szczęście?

— I ty filozofujesz, moja mała?—zasyzczała, jak osa, pana Maszadro.—Wybieraj jedno z dwojga: albo być filozofką całe życie, albo żoną pięknegohuzara.

Biedna Zuzia była teraz podobną do owej panny, o której mówi piosenka:

Pytała się matka córki,

Co woli: chłopca, czy z miodem ogórki?

Po krótkim namyśle, odezwała się stanowczo:

— Jakże mi ciocia radzi? Ja postąpię podług jej mądrego doświadczenia i życzliwej rady.

— Jakież może mieć doświadczenie stara panna?—odparła sucho ciotka.—Co zaś do mojej rady, to ci radzę, i bardzo radzę, bo lepiej mieć męża i być samej panią, niż potrzebować cudzej łaski i opieki.

Ten argument mocno trafił do przekonania biednej, poniewieranej przez macochę Zuzi, a w tej radzie ciotki widziała jasno chęć pozbycia się jej jak najprędzej. Odrzekła więc rezolutnie, a szczerze:

— Ma ciocia wielką rację; lepiej mieć opiekuna jednego, niż szukać ich wielu po świecie. Proszę dyktować, będę pisała dalej.

Sąsiedzi.

Panna Maszadro łysnęła zdziwionemi oczami na mówiącą; nie spodziewała się po tej „trusi“ takiego rozsądku i takiej determinacyi. Nie odpowiedziała jednak nic, tylko zaczęła dyktować w ten sens:

„Siostrzenica moja, panna Zuzanna Turska, poczytuje sobie za wielki zaszczyt i honor oświadczenie się Pana o jej rękę i przyjmuje tę ofiarę z wdzięcznością, odpowiadając podobnym afektem, jaki Szanowny Pan wygłaszasz ku niej Ja zaś ze swojej strony nic nie mam przeciwko szczęściu i miłości dwojga ludzi, których serca jednorazowe widzenie połączyło zobopólnem uczuciem. A zatem szczęścia, długich lat, stałej miłości, życzy Panu Dobrodziejowi Jego uniżona

śluga i przyjaciółka,
Tekla Maszadro.

P. S. Ten list pisze moja siostrzenica, która od siebie zasyła ukłony i rada jak najprędzej poznać bliżej swego narzeczonego. Oczekujemy więc Jego łaskawej bytności“.

List ten rozczulił, rozradował, uszczęśliwił serce naiwnego pana kapitana. Zuzia podobała mu się szalenie i tak, że zapomniał o milionach panny Maszadro. Zapomniał na chwilę o przyjemnościach, jakie daje fortuna; pragnął tylko posiadać puszkciem okrytą brzoskwinie, której sam widok tak rozłakomił jego podniebienie. Jakoż nazajutrz po odebraniu listu, sam zjawił się w Maszadowie, piękny, błyszczący, woniejący, a nadewszystko promieniejący szczęściem z tak łatwego zdobycia młodej i ładnej żony.

Nie opisujemy już dalszych scen, oświadczyn, zrekowin; wszystko szło galopem aż do wesela, które się odbyło w czasie karnawałowym. I tak w kilka tygodni po poznaniu, panna Zuzanna Tur-ska została małżonką pana Haraburdy.

Panna Tekla dała przyzwoitą wyprawę siostrzenicy i kilkanaście dukatów pod poduszkę; o innym posagu nie było mowy.

Pan Haraburda wyraźnie oświadczył, że się żeni przez miłość i dla miłości.

Ojciec Zuzi, dla słabości zdrowia, nie mógł być na weselu, macochy nie zaproszono; tak więc jedna panna Tekla spełniała rolę obojga rodziców panny młodej i udzieliła jej swego błogosławieństwa.

Panu młodemu, który ukląkł przed nią, jak kazał święty obyczaj, powiedziała wiele słów grze-cznych, miodowych i zakończyła życzeniem, by mu Bóg dał potomka rodzaju męskiego. Pan kapitan, rozczulony, całował raz po raz rękę szanownej cioci i prosił naiwnie, by na niego zawsze była tak ła-skawą, jak dotąd.

Wesele było ciche; oprócz koniecznych świad-ków, nikogo nie było, bo nikogo nie zaproszono, już to dla żałoby panny młodej, którą nosiła po matee, już z powodu zwyczajów panny Maszadro, która nigdy gości nie zapraszała do siebie.

Przez te kilka tygodni, panna Maszadro zmie-niła się do niepoznania: zbrzydła, postarzała się, przygarbiła, a oczy jej już nie zmrużone, ale pra-wie zamknięte były. Strój przywdziała dawny, su-rowy, czarny — nadto włożyła czarny czepiec, któ-

rego dawniej nie nosiła, jakby na wyraźne świadectwo, że już ze wszystkimi marzeniami miłości wzięła na zawsze rozbrat.

Po weselu, państwo młodzi natychmiast odjechali do Antopola.

IV.

Pan sędzia Rudomina.

Jakkolwiek w pierwszym rozdziale daliśmy ogólny rys postaci i charakteru pana sędziego Rudominy, wszelako dla uzupełnienia całości, musimy mu jeszcze poświęcić słów kilka.

Jak już wiemy, pan Jacek używał dziwnie chlubej renomy w całym obywatelstwie. Nietylko szlachta, ale i chłopci, i Żydzi, nazywali pana sędziego „mądrym człowiekiem i zacnym obywatelem“. W stosunku do włościan, był prawdziwym ich ojcem, doradcą i opiekunem; obchodził się z nimi łagodnie, po ludzku; dawał rady i napomnienia, nie jak pan, ale jak przyjaciel i ojciec, czuwający nad dobrem małoletnich.

U pana Rudominy zakazane były surowo wszelkie kary cielesne, wszelkie nadużycia pańszczyźniane, wszelkie daremszczyzny. I choć to trochę kłuło w oczy sąsiadów, chociaż pomrukiwali z cicha, że pan sędzia psuje „chamów“ i wywołuje zazdrość u innych „poddanych“, wszelako nikt głośno nieśmiał się z tem odezwać, lękając się obrazić pana Rudominę.

Najbardziej ekscentrycznem i psującym chłopów nazywano szkófkę, założoną we wsi pana sędziego, który trzymał bakałarza, umyślnie pobudował dom dla niego, dał mu grunt, przytem dwieście złotych pensyi i ordynaryę. Sami nawet chłopci pana Rudominy krzywili się i niechętnie patrzyli na ten nowy obyczaj, dotąd wcale nie praktykowany na Litwie. I trzeba było użyć środków ostrych, a zmuszających koniecznie do posłuszeństwa w tej mierze poczciwych a ciemnych chłopów.

Z początku nie pomogły nalegania i perswazye bakałarza, dowodzącego gromadzie, że czytanie, pisanie, oraz znajomość rachunków wielce się przyczyni do dobrego bytu włościan; że oświecenie ich dzieci przyniesie im korzyść tak moralną, jak i materialną; że ich nie zdoła oszukać ani Żyd, ani Niemiec i t. p. Chłopi na te wszystkie dowodzenia odpowiadali, skrobiąc się w głowę:

— Mój ojciec nie umiał ani czytać, ani pisać, a był dobry gospodarz i uczciwy chłop; i ja nie umiem także, a nie jestem ani pijak, ani złodziej. Niechno mój syn będzie taki, jak ja, to mu nie zbraknie do śmierci kawałka chleba.

Drugi znowu odzywał się:

— Ej co tam, panie bakałarzu, mój syn nie będzie „okomonem“, nie będzie potrzebował bazgrać po papierze; on będzie taki dobry człek, jak i ja. A śprytna bestya z naturalności! Jego nie oszuka ani Żyd, ani psia wiara Miemieć. Rachuje na kiju do setki i więcej. Po co jemu suszyć głowę na „obiecadle“; on organistą nie będzie.

Inny znowu dowcipny odzywał się szyderczo:

— Panowie chcą chłopą „siermiachę“ uczyć czytać, a lasu nie dają wycinać. „Siermiacha“ z rodu nie czytał, a jadł chleb i pił wódkę, daj Boże na zdrowie!

Gromada w śmiech, a pan bakałarz skonfundowany szedł do dworu z oznajmieniem, że chłopci nie chcą posyłać dzieci swoich do szkółki, choć już są książki i seksterna porozkładane na stołach.

Wówczas pan sędzia użył energicznego środka: kazał panu Moczulskiemu, aby oznajmił gromadzie, że który z gospodarzy nie pośle do szkółki swego syna lub dziewczuchy, będzie musiał zapłacić podatek dziesięć groszy na tydzień od każdej głowy. To rzuciło wielki popłoch między chłopstwem, szczególnie między baby, lubiące niezmiernie pieniądze; uradziły nareszcie, że z dwojga złego, lepiej niech już ich dzieci chodzą do szkółki i uczą się tam tych głupstw, niż żeby rodzice mieli za to płacić podatek.

Nareszcie po kilku miesiącach włościanie jańopolscy oswoili się z tem nowatorstwem i nawet znajdowali pewną przyjemność, a raczej mogli zadowolić dumę rodzicielską, patrząc, jak dzieci w kościele modliły się z książki, wodząc sumiennie palcem po wierszach i w głos sylabizując modlitwę. Matki ze swej strony, kiedy zimową porą siedziały przy kądzieli, słuchały z nietajoną rozkoszą, jak ich córki, także przędąc, opowiadały jedna przez drugą ciekawe historye z Pisma Ś-go lub Żywotów Świętych. Niejedna rzewnie się spłakała i przyznawała głośno, że takie rzeczy są daleko piękniejsze, niżeli

owe bajki o zaklętych księżniczkach i smokach. A dopieroż to była prawdziwa uciecha i radość, kiedy przy rozdawaniu nagród, sama pani i pan obdarzali paciorkami, wstążkami, nożykami i czapkami tych, co się odznaczyli pilnością i postępem w naukach.

Słowem, kiedy już sami chłopci przyznawali po cichu i głośno, że ich pan mądry, wie co robi i że nauka na coś się przyda ich dzieciom, to szlachta oburzała się na to, dowodząc, że chłop piśmienny nie potrafi dobrze orać, ani kosić, a dziewczyna, umiejąca czytać, to kandydatka na próżniaka i nieponia.

Zdarzyło się razu jednego, że w czasie sejmików szlacheckich, kiedy pan Rudomina wystąpił z mową o koniecznej potrzebie oświaty ludu, dotąd pograżonego w ciemności, jeden z panów szlachty, przeciwny tej zasadzie, odezwał się głośno:

— Czy też to prawda, szanowny panie Rudomina, że pan w swojej wsi każesz uczyć chłopów po francusku i astronomii?

— Nie, to nie jest prawdą — odparł spokojnie pan sędzia—nie każę ich uczyć ani po francusku, ani astronomii, bo i z nas tu niewielu może się pochwalić znajomością obcych języków i nauk ścisłych. Ja kazałem uczyć moich włościan głównie tego, aby nie odzywali się głupio o tem, czego nie rozumieją.

Ta odpowiedź, acz bardzo grzecznie wygłoszona, jak to było zwyczajem pana Rudominy, dziwnie oddziaływała na usposobienie humorystyczne

owego obywatela; uśmiechnął się kwaśno, oddał ukłon panu sędziemu i wycedził przez zęby:

— A, to co innego!... to rozumiem!... mylnie byłem poinformowany! Przepraszam, bardzo przepraszam pana dobrodzieja.

— Ależ ja się nie gniewam, łaskawy sąsiedzie — odparł jeszcze uprzejmie pan Rudomina — wiesz, że nie jestem natury obraźliwej. Pan pytałeś, ja tylko odpowiedziałem, o cóż mielibyśmy się gniewać?

— Tak, tak... to był tylko niewinny żart — jakaś stropiony zupełnie antypostępowy szlachcic.

Słowa pana sędziego paraliżowały dowcip innych, odważających się czasem puszczać z nim w szermierkę; a odważali się tylko wówczas, kiedy ich było wielu, licząc zawsze jeden na pomoc drugiego. Sam na sam każdy był dziwnie skromny z panem Rudominą.

Mówiliśmy już wyżej, że pan sędzia w obejściu się z ludźmi był grzeczny, uprzejmy, delikatny; ale nie dopuszczał nikogo do zbytnej otwartości, ani wylewów sercowych. Owszem, unikał prawie tego wszystkiego, co tak lubią Litwini, to jest: serdeczności i poufałości. Nazywano go dumnym i zarozumiałym. Ile w tem było prawdy, nie wiemy, bo ludzie każdej wyższości umysłowej nie szczędzą tych zarzutów. Mimo to, pan Jacek był dziwnie pobłażliwy na ułomności ludzkie; nie szydził z nich, ani moralizował; zbywał je zwykle milczeniem i bardzo bladym uśmiechem. Snać przyszedł do tej

doskonałości, o jakiej mówi mędrzec grecki: „Kto wszystko pojął, ten wszystko przebaczył“.

I zaprawdę, ta pobłażliwość musiała być grecką, bo Chrystus jakoś o innej nam mówił. Pobłażliwość z miłości dziwny wywiera wpływ na umysł i serce bliźniego; pobłażliwość zaś z rozumu, to temperatura zaledwie letniej wody. I widzimy to często w ludziach wielce szanownych i poważnych, wielbionych nawet za swoje cnoty i dobre uczynki, którzy z miłością chrześcijańską nie mają nic wspólnego. Jest ona dla nich doktryną, podpadającą pod rozbiór równie dobrze, jak każda inna zasada filozoficzna. Z tego wypada, że każdy człowiek inaczej wypełnia swoją „cnotę“: jeden po grecku, drugi po chrześcijańsku. Nie zaprzeczamy wszakże, że cnota chrześcijańska daleko więcej głupstw narobi w życiu, niż cnota staropogańska. Ale jakżeż rozróżnić co jest głupstwem wobec świata, a mądrością wobec ducha? Niech ten odpowie, co waży na równiej szali każdą myśl, każde silniejsze uderzenie serca wobec prawdy i miłości.

Pan Rudomina, acz z natury miał wiele dowcipu i lotnej bystrości, można rzec, iż ją gwałtem tamował w sobie, doszedłszy do tego pewnika, że nie robi tak mnogich nie przyjaciół, jak dowcip i natychmiastowe jego użycie.

— Są to kleszcze — mawiał pan sędzia — co ściskają gardło człowiekowi i tamują mu oddech. Pozwólmy każdemu swobodnie oddychać.

Wszelako bywały zdarzenia, acz nader rzadkie, że i sam pan Rudomina używał tych kleszczy. Lu-

dzie mówili, że pan sędzia tylko wówczas używał satyrycznego dowcipu, kiedy w miłości własnej był podrażniony i odcinał się w sposób podobny, jak owemu obywatelowi.

Powaga pana Rudominy była może nieco sztywna, niemiecka, profesorska; już to wypływała z jego charakteru, a może szła i z tego, że długi czas będąc między Niemcami na uniwersytecie, przyjął od nich ten zimny, rozważny pogląd na rzeczy i ludzi, który cechował nawet ich wielkiego poetę, a zarazem jasnie wielmożnego radcę dworu, Goethego.

To też pan Jacek miał wyłączną cześć dla autora „Fausta“ i mówiąc o nim lub o jego dziełach, zapalał się umysłowo, jeśli może być zapal w mózgu, nie dotykający ducha.

Pan Rudomina dowodził, że Goethe dlatego był arcy mistrzem słowa i twórcą wielkich sytuacji, że znał doskonale starożytne prawa, a nadto biegłym był matematykiem. I geniusz jego kontemplacyjny czerpał swe natchnienia w znajomości ducha narodów. „Poezya—dowodził — była tylko ramami, w które oprawiał swoje filozoficzno-matematyczne zasady“. O Szyllerze mówił już daleko chłodniej, bez zapalu, a oddając sprawiedliwość jego talentowi, dawał mu miano nieco wzgardliwe: fantasty, romantyka, oraz człowieka, którego umysł był zwichnięty zbyt chorobliwą wyobraźnią.

Pan sędzia, acz z zamiłowaniem oddawał się gospodarstwu rolnemu, wszelako nie zostawał w tyle za postępem w naukach; trzymał dzienniki francuskie, niemieckie, a biblioteka janopolska co

rok wzrastała, wzbogacana dziełami poważnej treści. Beletryście wprawdzie mało poświęcał czasu, nazywając ją tylko deserem po obiedzie; wszelakoż czasem, snać dla konkokecyi, kosztował tych „konfitur“, by wiedzieć, w jaki też sposób ludzie bawią ludzi. Podług pana sędziego, wszystkie dramata i tragedye nie miały rzeczywistego celu i nie przynosiły żadnej korzyści moralnej; jedno też co miał za złe Goethemu, to jego zamiłowanie do dzieł sceniczych.

— Wszystkie gwałtowne targania nerwów i uczuć za pomocą efektów sztuki — prawil słuchającym go pan Rudomina — nic innego nie dowodzą, jak tylko chorobliwego stanu ducha, dla którego nie wystarcza prawda natury z całym jego bogactwem i pięknoscia, i który potrzebuje koniecznie monstrualności, chorobliwych objawów serca i rozumu. Wszystkie namiętności, któremi się tak lubują poeci, nie zasługują bynajmniej na ich apoteozowanie; są to raczej narośla na zdrowem ciele, które należy umiejętnie operować za pomocą zdrowego rozumu.

Miłosna tragedia w życiu, była wyraźnem głupstwem w oczach pana Rudominy; dozwalał jej figurować na płótnie, jako dziełu sztuki, pisać nawet o niej wiążaną mową i oddawać ją tonami muzyki; ale w życiu, w prawdzie życiowej była kłamstwem, do którego się nastrojano gwałtem.

Nie dziwimy się tym mniemaniom: szczęśliwy pan Jacek nie wierzył w żadną tragedye życia. Szczęśliwy od lat najmłodszych, zawsze spokojny,

zawsze trzeźwo myślący, nie przeszedł nawet tej ospy młodości, którą nazywają miłością. Pokochał kobietę dopiero, gdy była jego żoną; a pokochał z rozważą, po analizie i z całą świadomością natury swych uczuć. Posiadał wszystko, co jest udziałem wybrańców na tej ziemi: fortunę, rozum, poszanowanie u ludzi, nadto dobrą, ładną żonę i dziecię, dla którego uczucie pana Jacka podniosło się wyżej nawet nad stopień umiarkowanej temperatury, i w tej ciepłej, spokojnej a miłej atmosferze, upływały dni jego życia. I byłby szczęśliwym, najszczęśliwszym z ludzi, gdyby... najsmutniejsza z tragedyj, to jest śmierć, nie przyszła zakołać do jego domu. A chociaż prawdziwy chrześcijanin powinien uważać śmierć jako przejście do nowego, lepszego życia, jaśniejszego, szczęśliwszego, wszelako prawa jej na ziemi straszne, okropne!...

I oto właśnie przyszła godzina, w której ten gość fatalny, a niepożądany zawitał w progi szczęśliwego Janopola.

* * *

Wiemy już z listu pana Haraburdy do panny Maszadro, że piękna pani Dorota nie żyje, był bowiem na jej pogrzebie i rzewnie płakał, co mu wszakże nie przeszkadzało do ożenienia się w kilka tygodni później z panną Zuzanną Turską i wyprawienia hucznych przenosin, na których tańczono, pito, i śmiano się na całe gardło. Ha! była to wesoła komedia, chociaż w drugim dworze sąsiedzkim,

przeznaczonym tylko łąką i ruczajem, zaległa cisza ponura, żałobna.

Smutne jest to nagle wyrwanie z koła żyjących młode pięknej i szczęśliwej kobiety, okrywającej gorącymi pieśczołami ukochane dzieciątko, od którego ma iść w inne światy. Choć one może lepsze, ale ona pragnęła tu jeszcze pozostać, tu, na tej czarnej, małej ziemi, na tym padole łez — jak mówią — a która dla niej stała się rajem, tak jej było dobrze, błogo i radośnie. I któż jej pozazdrościł szczęścia, komu ona zawadzała? Czy jednego anioła zabrakło w niebie i kazano go szukać na ziemi? O naturo, nieubłagana w swoim porządku logicznym! dajesz życie jednej istocie kosztem drugiej; odradzasz i ożywasz duszę powszechną, a zabierasz pojedyncze duchy, ogałacasz je z ciała i tylko zostawiasz wspomnienie, niby smugę światła w czarnej przestrzeni, która się „czasem“ nazywa.

Kiedy nadeszła jesień, i już wszystko było przygotowane do podróży zagranicę, a pan Rudomina pocieszał się wątłą nadzieją przedłużenia życia drogiej mu istoty, biedna suchotnica zapadała coraz bardziej, coraz niebezpieczniej. Już kaszel ciężki, tamujący jej oddech, nie opuszczał jej dniem i nocą; pluła krwią i czuła silny ból piersi. Zwołani lekarze oświadczyli panu sędziemu, że ta podróż już jest zapóźną i byłaby bezowocną, bo chora za ledwie pociągnie kilka tygodni i nie mogłaby nawet dojechać do miejsca.

Pan Rudomina, wysłuchawszy tego wszystkiego, co targało ostatnią nić jego nadziei, nie wybu-

chnął głośnym rykiem, jakby to uczynił pan Hara-burda, ale zamknąwszy w sobie całą siłę boleści, powiedział z rezygnacją:

— Jeśli już takie wyroki Nieba, to człowiek z niemi walczyć nie może!

Czy w tych słowach chrześcijanina odbił się duch starogrecki? Nie wiemy. Bo tak samo mówi teista filozof i pokorny wyznawca Boskiego Mistrza. To jednak pewna, że serce pana Rudominy było złamane i po raz pierwszy tamował łzy, cisnące mu się do oczu, zapominając w tej chwili, że łzę w oku mężczyzny nazywał dotąd słabością niemęskiego ducha. Może tych łez nikt nie widział, bo zapanował nad sobą, a one opadły ciężarem kamiennym w głąb jego piersi.

Pan Rudomina, wypogodziwszy, o ile zdołał, twarz swoją, poszedł do żony, pocieszał ją, uspakał ją, upewniając, że doktorzy mieli jak najlepsze nadzieje o jej zdrowiu, tylko radzili odłożyć podróż do wiosny, bo jesienny czas mógłby w drodze stan jej pogorszyć. Dorota wszystkiemu wierzyła i na wszystko się zgadzała, co jej mąż mówił. Nie opierała się więc odłożeniu podróży na wiosnę; owszem, uradowana, że zostaje razem z najdroższem dziećciem, upewniała ze swojej strony męża, że czuje się daleko lepiej, że kaszel jest mniejszy, że z wiosną wróci jej zdrowie. Na wiosnę Mieczek będzie już starszy i będą mogli go zabrać z sobą.

Pan Rudomina zwywał na pomoc całej swej filozoficznej odwagi, by słysząc te słowa, nie zapłakać głośno. I nie zapłakał. Owszem, uśmiechał się,

jak ten, co gdy mu gwoździe do rąk wbijają, on powiada, że to nie boli.

A była to chwila „tragedyi“ w jego życiu, pierwsza, przez którą zrozumiał, że ona jest na świecie. Nie rezonował o niej, bo czuł ją za mocno. Śmierć żony była już tylko zakończeniem tej tragedyi. I zniósł ją daleko spokojniej niż owe walki wśród powolnego żony konania. Cios każdy, jeśli nie zabija odrazu, to tylko odrętwia i obezwładnia: a to odrętwienie ducha wydaje się często dla drugich spokojem, a nawet, obojętnością.

Pan Rudomina na pogrzebie żony nie płakał, nie rozpaczał, nie kazał nawet wypowiedzieć mowy pochwalnej. Dało to znowu powód ludziom do plotek i komentarzy. Wielu się gorszyło, że pan sędzia, człowiek tak mądry i zacny, nie pozwolił księdzu wygłosić nad grobem cnót nieboszczki swej małżonki.

— Filozof—mówiły niektóre panie obywatelki — zwyczajnie niemiecki filozof, nie wierzy w nieśmiertelność duszy.

— Zawsze chce się odróżniać od innych — twierdzili obywatele, szepcząc po cichu. — Sam na własne uszy słyszałem, jak pan sędzia mówił do proboszcza, który przygotował mówkę pogrzebową: „Nie potrzeba tego wszystkiego; ja tylko znałem jej cnoty i jej prawdziwą wartość, po co ludziom w czczych słowach ogłaszać to, co dla nich jest całkiem obojętne“.

— To dopiero dziwactwo! — mówił jeden.

— Brak serca i przywiązania! — mówił drugi.

— Brak religii! — twierdziły kobiety.

Jednak wszyscy żalowali serdecznie umarłej i sypali słowa pociechy w oczy pana Rudominy, niby zdawkową monetę głośno brzęczącą.

Pan Rudomina nic nie mówił, nie dziękował nawet; był całkiem zamknięty w sobie. Z rękami na piersiach założonemi, blady i ze spuszczone w ziemię oczyma, stał w kościele przez całe nabożeństwo żałobne. Zauważono, że nie modlił się nawet. A gdy martwe zwłoki wpuszczono do ziemi, ukłęknał, schylił głowę i długą chwilę został w tej pozycji. Co rozmawiał z duchem żony, co jej przyrzekał? — nikt tego nie słyszał; tylko, gdy się skończyła ceremonia pogrzebowa, wziął sam małego Mieczka z rąk sługi i sam go zaniósł do domu. Szedł pieszo, a powóz za nim jechał zdaleka. Nikogo nie zaprosił na stypę pogrzebową.

Jedna okoliczność wszystkich zadziwiła. Pan Rudomina, odchodząc od grobu, spostrzegł pana Haraburdę, klęczącego na świeżej mogile i płaczącego, jak bóbr, chociaż obu rękami zakrywał twarz zalaną łzami. Zbliżył się do niego i wyciągając rękę, rzekł cichym głosem:

— Dziękuję ci, panie Józefie!

Zerwał się pan kapitan, a ujrawszy żalobną postać pana Rudominy i blade jego oblicze, napiętnowane ciężką boleścią, zapomniał, że to jego wróg urojony i prześladowca, a rzuciwszy się nagle myślą w czasy ubiegłe, w lata dziecinne, przepędzone razem, zawołał łkając:

— Jacusiu, drogi Jacusiu, jakże ja ciebie żałuję serdecznie!

I znowu po raz pierwszy w życiu mądry pan Rudomina zrozumiał i ocenił naturalny głos serca i szczerzy jego wykrzyk. Nie odpowiedział nań wprawdzie w podobny sposób, bo tego nie umiał, ale spojrzał na pana Józefa wzrokiem dziwnie sympatycznym i wyszeptał drżącym nieco głosem:

— Pocziwy panie Józefie!

Pan Józef zapominając, że ludzie nań patrzą, a raczej nie widząc, jak tylko pana Rudominę, gwałtowny, jak zawsze, w swoich wrażeniach i uczuciach, pochwycił oburącz za szyję pana sędziego i szeptał mu do ucha łzawym od wzruszenia głosem:

— Jacku, mój ty mądry Jacku, za co ty mnie tak nienawidzisz? Ja cię kocham i wszystko ci od dziś dnia przebaczam!

Za całą odpowiedź, pan Rudomina raz jeszcze uściśnął rękę sąsiadowi i rzekł poważnie, lecz z pełnym uczuciem:

— Przyjdź jutro do mnie, kochany panie Józefie, bo dziś chcę być sam.

To powiedziawszy, odszedł.

Naiwny pan kapitan, nie rozumiawszy głębin boleści i zewnętrznego spokoju pana Rudominy, zdetonował się sam okropnie wybuchem swojej szczerości.

— Zadrwił ze mnie — pomyślał w duchu — a ja mu się rzuciłem na szyję, jak bratu i nazwałem go „drogim Jacusiem“. O jakież ze mnie osieć!

Sąsiedzi.

Ta myśl wielce rozdrażniła miłość własną pana Haraburdy. Spojrzał ukradkiem po obecnych, patrzących na tę scenę i zdało mu się, że widzi na każdej twarzy uśmiech szyderycy. Targnął wąsy, otarł łzy, które mu nie zaschły na policzkach i odezwał się do najbliższego obywatela:

— Widziałeś pan, jak ten *Hipokrates* obszedł się ze mną? Ja, jak dureń, rzuciłem mu się na szyję, by go pocieszyć w jego smutku, a on odpowiedział mi najobojętniej—„Jutro przyjdź do mnie, bo dziś chcę być sam“.

— A no — rozśmiał się głupio szlachcic — pan sędzia nie wyprawia stypy i nikogo z nas nie zaprosił.

— Do licha! ja nie mówię o stypie. Ale widzisz pan, on powinienby co innego powiedzieć, bo ja... bo ja...

I pan Haraburda nie wiedział, jak skończyć; za dużo naraz czuł i myślał, aby mógł wypowiedzieć. Tylko dziwnie markotno było mu na sercu.

Na drugi dzień nie poszedł do pana Jacka, bo czuł się wielce obrażonym jego obojętnością i jak wyrozumował sobie, jego lekceważeniem uczuć przyjacielskich.

Tak minął tydzień, a sąsiedzi się nie widzieli. Pan Rudomina pędził dni w smutku i w samotności, a pan Haraburda, oplakawszy nieboszczkę panią Dorotę, przypomniał sobie żyjącą, piękną Zuzię, i jak zwykle, niedługo się namyślając, wypalił list do panny Maszadro z oświadczeniem o rękę jej siostrzenicy. A że uraza do pana Jacka była świeżą

za nowy zawód, nie omieszkał w liście swoim zwa-
lić na niego całą winę śmierci żony. To oskarżenie
użyło mu jakoś na sercu. Następnie ślub i przeno-
siny, z muzyką i tańcami, zatarły zupełnie wraże-
nie pogrzebu.

V.

Dwa sąsiednie dwory.

Wesoło się bawił pan Haraburda przez całe
sześć tygodni, muzyka brzmiała nieustannie, co-
dzień goście, polowania i szlichtada z mnóstwem
dzwonek i grzechotek, a dwóch hajduków z ka-
gańcami poprzedzało te weselno-karnawałowe kuligi,

I dopiero to była uciecha dla wiejskich dzie-
ciaków, kiedy ta głośna a dzwoniąca kawalkata
przejeżdżała przez wieś; wszystko, co żyje, wycho-
dziło z chat, ujrząc hulaszczę wesele szlachcica
i kłaniało się nisko, zdejmując z uszanowaniem
czapki. Bose i nawpół nagie dzieciaki leciały po
śniegu za sianiami, a pan kapitan rzucał dokoła tro-
jaki, dziesiątki a często i złotych, nie przebierając
w monecie, tylko co spotkał w kieszeni.

To mi prawdziwy pan młody!

A Zuzia? Zuzia, przybrana w tumaki i w aksa-
mity, bo wszystko to jej posprawił ryczałtem mał-
żonek zaraz po ślubie, nie poprzestając na skro-
mnej wyprawie, danej przez ciotkę—Zuzia nie wie-
rzyła sobie, nie była pewną, czy to sen, czy jawa.

Szczęśliwa, oszołomiona nieznanem dotąd sobie życiem, śmiała się, chichotała, jak prawdziwe dziecko, któremu wyprawiono wielki bal ze wszystkimi przysmakami. Za każdy prezent, a prezenta sypały się gradem, pani Haraburdowa, zaczerwieniona, jak wiśnia, całowała w rękę wspaniałego męża i powtarzała co chwila:

— Ależ, jak mamę kocham, to są okropne zbytki, ja tego za lat dziesięć nie zedrę.

Słyszając to, pan Józef uśmiechał się wesoło, pokręcał wężą, pozwalał się całować w rękę i odpowiadał zwykle:

— Będiesz mieć jeszcze więcej, moja droga Zuziu, jak mi dasz syna; a staraj się jak najprędzej, żeby pan Rudomina przekonał się, że mój potomek więcej będzie wart, niż jego.

Zuzia, jeszcze mocniej się czerwieniąc, zakrywała twarz obu rękami i już nie na to nie odpowiadała. Pan kapitan szczypał żonę za jędrny policzek, mówiąc z głośnym śmiechem:

— Oj, ty filutko, udajesz skromni się, a pewno wkrótce coś będzie miauczeć w kołysce.

Mieć jak najprędzej syna, było teraz jedyną pana Haraburdy myślą.

Po kilku tygodniach, kiedy już gody, polowania i kuligi zaczęły nudzić pana kapitana, jak nudzi wszystko, co trwa zbyt długo, przebudził się jednego poranka w bardzo kwaśnym humorze i co mu się dotąd jeszcze nie zdarzyło, zaczął obliczać: ile też go kosztuje ożenienie, to jest prezenta dla żony, oraz sześciotygodniowe gody. I długo liczył,

a nie mógł jakoś policzyć; wiedział tylko, że już kasa pusta, że niema co sprzedać i niema u kogo pożyczyć. Bo grodzieńscy Żydkowie, zawiódłszy się ogromnie na ożenieniu pana kapitana, oświadczyli wyraźnie, że „kiepski zrobił interes, biorąc zamiast panny Maszadro, jakąś młodą i gołą panienkę“.

Pan kapitan zaczął filozofować, myśleć, przemyślać i mimo targania się za wasy, nic nie zdołał wymyśleć innego, jak zawołać do siebie ekonoma, pana Juliana Szabrańskiego.

Ten pan Julian Szabrański przyjęty został do dworu antopolskiego zaraz po przybyciu pana dziedzica z wojska; dziedzic oddał starego, wiernego ekonoma za niedbałe rządy, a nadewszystko za to, że pozwolił postawić młyn na ruczaju. Starego zastąpił młody, zręczny, filut, pochlebca, jakim właściwie był pan Szabrański. Syn mieszczanina z jakiegoś małego miasteczka, był w szkołach i ukończył dwie klasy; z natury sprytny i przebiegły, miał wielki dar poznawania ludzkich słabości i dziwnie umiał trafiać w słabą strunę tym, u których służył. Nadto wielki adorator płci pięknej, miał wiele pretensyi w stroju i manierach. Wszystkie te przymioty, razem wzięte, znalazły wielką łaskę u pana Haraburdy. Wyrażną do pana Szabrańskiego okazywał słabość, dozwalał mu nawet pewnej poufałości z sobą w rozmowie, szczególnie, gdy zręczny pan Julian sypał, jak z rękawa, sąsiedzkie plotki, do czego miał największy talent.

Pan kapitan lubił to bardzo, i śmiał się nieraz do rozpuku, gdy jego totumfacki kłamał, jak z nut,

opowiadając niebywałe historye, które niby się działy w Antopolu. Nie szczędził pana Rudominy, dając mu rozmaite przezwiska; kpiał, jak mógł, z pana Moczulskiego i kpilby z Pana Boga, gdyby wiedział, że to się jego panu spodoba. Wyraźnie był to próżniak, szalapat i sługus bez najmniejszego sumienia.

Pan kapitan lubiący, aby wszystko koło niego było świetne i wspaniałe, kazał pana Szabrańskiego nazywać nie ekonomem, tylko rządcą klucza antopolskiego.

Na zawołanie pana, stawił się pan rządcą natchmiast, wystrojony, wypomadowany i z najwesełszą miną w świecie, choć dobrze zgadywał o co rzecz idzie; przewidywał, że zostanie pryncypała w złym humorze z powodu przesilenia finansowego. Szło mu głównie o łaski i względy pańskie, nie zaś o suszenie sobie głowy nad brakiem pieniędzy w kasie.

Skoro się ulubieniec we drzwiach ukazał, pan kapitan Haraburda wnet odezwał się ostrym głosem:

— Do dyabła! dobrze asan gospodarujesz. mości Szabrański! W kasie zupełne pustki i ani nie sprzedać, ani już niema gdzie pożyczyć! Na wszystkie strony mnie okradają i w tem rzecz cała.

Pan kapitan wielce ulżył sobie, że miał na kogoś zwalić winę, a odetchnąwszy po pierwszym wybuchu, ciągnął dalej, nakładając fajkę:

— No, i cóż tak milczysz, mości rządcu! — Czy ci języka zabrakło w gębie?

Pan, Szabrański bynajmniej nie obrażony gnie

wem pana i posądzeniem o złodziejstwo, odparł odważnie:

— Głupstwo, jaśnie wielmożny panie; dziś niema w kasie gotówki, ale jutro być może, skoro jaśnie pan raczy pisnąć słówko.

— Komu pisnąć? Gdzie? Kto da pieniędzy? — wołał głośno pan Haraburda, rzucając fajkę na stół. — Mów, panie Julianie, mów śmiało, jeśli wiesz kogo, coby nam pożyczył pieniędzy, bo ja, to już na honor, policzyłem wszystkich na palcach i nie znajduję ani jednego.

— Furda, jaśnie panie! Czy to po ludziach niema pieniędzy? Czy to jaśnie pan bankrut? Czy to nasze dobra poszły pod eksdywizyę, żebyśmy nie mieli marnego kredytu?

— Ależ widzisz, mój kochany—mówił pan kapitan wyraźnie rozczerwając czoło — któż to tak bardzo ma leżącą gotówkę? Jeden tylko pan Rudomina, ale zje on dyabła, nim go poproszę o pożyczkę! Gdybym zdychał z głodu, nie poniżę się przed tym Jezuitą.

— Po co u pana Rudominy? — odparł z docwipną miną ekonom.—Udamy się do „innych Żydów“, co będą mieli sobie za szczęście wygodzić jaśnie panu, kontentując się lichym procentem.

— Mniejsza o procent! — zawołał wyraźnie już rozpogodzony pan Haraburda — dam dziesiąty, dwudziesty, bylebym tylko teraz, i to natychmiast, mógł dostać jakie kilka tysięcy.

— I o taką bagatelę jaśnie wielmożny pan mężczy sobie głowę? A toż zaraz, dziś jeszcze, mogę po-

jechać do Grodna i stanie się podług woli i rozkazu jaśnie pana.

Pan kapitan rozśmiał się na całe gardło i rzekł tonem pełnym poufałości:

— Oj Julku, z ciebie wielki łajdak! Ty zawsze wszystkiemu umiesz poradzić, nigdy się o nic nie troszczysz. Może to i dobrze. Ale powiedźże przynajmniej, na kogo liczysz, że nam pożyczy pieniędzy?

— Pierwszy lepszy — odrzekł kłaniając się pan Julian, wyraźnie uradowany komplementem pana. — Ja tylko jestem wierny sługa jaśnie pana i radbym duszę oddać, gdy idzie o dobro pańskie. Taka już moja natura.

Pan kapitan pociągnął za ucho chytrego pochlebce i prawił, śmiejąc się łaskawie:

— No, ja wiem, żeś urwis i nicpoń, oszukasz nawet Żyda i Cygana. Właśnie za to cię lubię, żeś nie obłudnik i nie świętoszek, jak ten „najmimorda“ Moczulski. Ale to wiadomo—zakończył naiwnie: — jaki pan, taki kram.

— Dowód to łaski pańskiej — odrzekł, kłaniając się pokornie, wytrawny oszust — każdy dobiera sługi podług swojej natury i usposobienia.

— To prawda — mówił już w najlepszym humorze pan kapitan.—Ja nie cierpię ślimaków i kreków, a pan sędzia, co ma naturę żółwia, zamkniętego w skorupie, dobiera sobie skorupiaków do usług. No i cóż tam, panie Julianie, nic nie wiesz nowego o panu Rudominie? Czy jeszcze ciągle modli się i opłakuje nieboszczkę, którą zagryzł?

I uradowany pan Haraburda nadzieją łatwego

dostania pieniędzy, cmokał fajkę, śmiał się, radby posłyszeć plotkę, coby go zabawiła. Rządca, znając dobrze swego pana i widząc, że rad słucha wszystkiego, tak kłamstwa, jak i prawdy, nie oddzielając nigdy ziarna od plewy, jął machać plewą, czyli po prostu mówiąc: kłamać beczelnie.

— A rozmaicie ludzie gadają — prawili, poprawiając bujną czuprynę — lecz nie wszystkiemu można wierzyć; często i plotki ludzie lubią.

— Co tam plotki! — zawołał pan kapitan — każda plotka pochodzi od prawdy. A jeśli wiesz co ciekawego, to gadaj i nie męcz mojej cierpliwości.

Posłuszny kłameca mówił, niby wahając się:

— Ja bo tam temu nie wierzę, bo to byłoby zanadto prędko, a pan Rudomina okazywał taki okrutny smutek po nieboszczce pani sędzinie! Wszelako ludzie już o tem gadają okolicznie.

— No, gadajże do milion kroćset! — zawołał z gorączką pan kapitan. — Czy od Moczulskiego nauczyłeś się jęczeć i jękać, gdy masz co do powiedzenia?

— A to mówią, jakoby pan sędzia zabierał się żenić „de novo“.

Pan Haraburda podskoczył na krześle.

— Co wasan mówisz? Z kim? Mów prędzej z kim się żeni ten obłudnik? A to dopiero Jezuita!

Pan rządca wyraźnie postanowił drażnić cierpliwość swego pryncypała, ciągnął więc pomалу, ze złośliwym uśmiechem:

— W tem też największa śmieszność, z kim się żeni.

— No, może ze swoją starą ochmistrzą, co jest już u nich lat piętnaście, z tą... jak się ona tam nazywa?

— Pani Sieklucka—dopomógł, śmiejąc się, pan Julian.—O myli się jaśnie pan; pan Rudomina nie głupi, żeby się żenić z ubogą kobietą i taką, coby jego matką być mogła. Zresztą, taki dumny pan, czyżby zaślubił swoją służbę?

— Więc z kimże? — krzyknął już prawie rozgniewany pan Haraburda.

— A to ponoś... żeni się z dziedziczką Maszardową.

Gdyby ognista bomba wleciała nagle do pokoju, mniejszeby zrobiła wrażenie na panu kapitanie, niż ta wiadomość. Nie zastanawiając się ani na chwilę, czy to być może prawdą lub nie, począł kłąć i wymyślać, ile się zmieściło:

— A niedoczekanie twoje, ty szczywany lisie, ty chytry wężu, farmazonie, hipokondryku! — wykrzykiwał, ścisnąwszy pięść i grożąc przez okno dworowi antopolskiemu. — Ja ci pokażę, co to jest kopać dołki pod drugim i czyhać na cudzą własność! Ha, rozbójnik! Niedosć mu, że wziął pół miliona po nieszczęśliwej Dorocie, którą zamęczył, zamordował, ale chce jeszcze zagarnąć milion, który, jako prawna sukcesya, należy się mojej żonie, pani kapitanowej Haraburdowej, i memu synowi, co wkrótce przyjdzie na świat! O przez Lucypera! żeby miał piekło całe poruszyć, to poruszę i wszystkich dyabłów zawołam na pomoc, a nie dozwolę a kiego oczywistego rozboju na gładkiej drodze!

Tą falą wymowy i argumentów, snać pan kapitan ulżył nieco swemu sercu, bo odetchnął, splunął i zwracając się do swego totumfackiego, rzekł łagodnie:

— A widzisz, panie Julianie, jak mnie podli ludzie okradają, strzygą, jak niewinnego barana! A ja nic nie wiem, siedzę cicho, spokojnie, nie wypuściwszy nawet głosu z gęby. Tak to zawsze na świecie ludziom spokojnym i delikatnym. Inny na mojem miejscu to wiesz aspan, coby zrobił? Oto dziśby jeszcze spalił Antopol i upiekł żywcem pana Rudominę.

Mówiąc to, pan kapitan wyraźnie był rozrzuwniony nad sobą i nad swoją dziwną delikatnością. W oczach mu nawet łza się zakręciła, tak go bolała niesprawiedliwość ludzka.

Pan Szabrański zadowolony, że jego bezczelne kłamstwo tak dobry odniosło skutek, a umiając grać na swoim panu, jak na basetli, odezwał się niby pokornie, niby nieśmiało:

— Żeby jaśnie pan chciał mnie posłuchać, to ja moim głupim rozumem ośmieliłbym się dać radę w tej mierze, bo jak to mówią: „Czasem nie wadzi, posłuchać czeladzi“.

— Mów Julku, mów. Ja wiem, że ty masz dobrą głowę i szczerze jesteś życzliwy swemu panu.

Julek nisko się uklonił, by ukryć śmiech, co mu błądził po ustach.

— Otóż, z przeproszeniem jaśnie pana, moja rada jest taka, żeby przed czasem nie robić żadnego harmidru i udać, że niby jaśnie pan nic o tem

nie wie; aż dopiero, gdy jaśnie wielmożna pani urodzi syna, wytoczyć proces pannie Maszadro, dowodząc, że majątek dziedziczny nie może przejść w obce ręce, tylko, podług prawa, musi pozostać w linii męskiej, to jest przy spadkobiercach nazwiska Haraburdów. I można będzie zrobić ordynacyę, jak to jest u innych wielkich panów, co to zawsze najstarszy syn ordynatem.

Pan Szabrański plótt, jak głupiec bezczelny, a naiwny pan kapitan, nie zastanawiający się nigdy nad niczem, zawołał z wyraźną admiracyą:

— Ależ mój Szabrańsiu, ty widzę jesteś kuty na cztery nogi! Podales mi myśl doskonałą! Trzeba tylko w tej mierze poradzić się jakiegoś prawnika, co się dobrze zna na kruczkach sądowych, żeby go pan Rudomina nie zjadł.

— O, ja znam takiego i rekomenduję go jaśnie panu. Jest to mój kolega szkolny i przyjaciel serdeczny, adwokat, mecenas, geometra i Bóg wie czego nie umie... To istny geniusz w ludzkim ciele! Nazywa się Protazy Sypełek, mieszka w Grodzie i trudni się interesami wszystkiej szlachty w całej gubernii.

— A to mi daj tego nieocenionego człowieka! — zawołał rozpromieniony pan Haraburda. — Daj mi natychmiast, niech mu powierzę tę sprawę.

— O, czego on już w życiu swoim nie zrobił! — ciągnął dalej pan Julian, zachwalając swego przyjaciela. — Przez cały dzień nie zliczylbym wygranych przez niego procesów, których już nikt nie chciał się podjąć. On, panie, umie nawet robić

„metryki“, jak komu potrzeba, papiery heraldyczne, a dokumenta panie, to robi takie stare, zbutwiałe, że jasnie pan przysiągłby, iż pisane jeszcze przed narodzeniem Chrystusa. To głowa, jakich mało na świecie! A służy ludziom za liche wynagrodzenie, bierze, co mu dadzą, bo ma dziwnie dobre serce.

Pan Haraburda słuchał tego opowiadania z wyraźnym natężeniem, nareszcie odezwał się:

— Postąpię podług twojej rady, panie Julianie i zapoznam się z tym Sypełkiem; widzę, że może mi być wielce użytecznym ten człowiek w sprawie z panem Rudominą. A za twoją gorliwość, weź sobie tego kasztanka na własność, na którym jeździsz w pole.

Pan Szabrański pokornie podziękował za prezent i załatwiwszy tak pomyślnie swoją ranną audyencyę, już się zabierał do wyjścia, gdy pan Haraburda przypomniał sobie kwestyę gotówki, której obecnie potrzebował jak najprędzej.

— No, a pieniędzy gdzie dostaniesz Szabrańsiu?—zapytał, zatrzymując jeszcze ekonoma. — Po wiedz prawdę, na kogo liczysz, że ci pożyczysz? Ja koniecznie potrzebuję najmniej dziesięć tysięcy złotych.

— Spora sumka — odparł dyplomatycznie, skrobiąc się w głowę, pan Szabrański. — Licho nadało terażniejszą karystyę na pieniądze; Żydzi, jakby powaryowali, oddają gotówkę do „prykazu“ na piąty procent, a nie chcą wierzyć panom obywatelom, choć ci im dają dziesiąty. Ja sam zachodzę w głowę, od kogo tu dostać?

— Sprzedajmy co! — wykrzyknął pan Haraburda. — Ja się nie będę kłaniał tym parchom! Co to, czyż już w naszym kluczu nic niema do sprzedania?

— Prawie nic — odrzekł rezolutnie ekonom. — Żyto, które jeszcze nie zasiane, sprzedaliśmy Szmulowi; pszenicę zakontraktował Icek, wyliczywszy jaśnie panu trzy tysiące przed ożenieniem się jaśnie pana; w gorzelnii siedzi Mosiek i sam pilnuje, bo także zapłacił z góry, a kartofle sprzedane już oddawna, i te, co były, i te, co mamy kopać w jesieni, a jeszcze nie posadzone.

— Więc jakto... więc nic nie mamy?—zawołał zdumiony wyraźnie pan Haraburda.

— A no, mamy jeszcze las, jaśnie panie i drzewa budulcowego huk! Nasz las dwa razy większy od janopolskiego. A choć się trochę wycięło i sprzedało, jest przecie jeszcze niemało. A co to ma gnić, lub chłopci z cudzych wsi mają nocami wykradać, to czyż nie lepiej spieniężyć i wziąć gotówkę? Już mię Szłoma grodzieński kilka razy pytał, czy jaśnie pan nie sprzeda mu trochę drzewa; on handel prowadzi wicinami z Królewcem i do brze płaci; to uczciwy Żyd.

— A to tak mi wasan gadaj! Jeśli mamy jeszcze tyle lasu, że możemy go sprzedać, to po jakiego licha mamy gnoić drzewo!... Ano dobrze, bardzo dobrze. Jedź dzisiaj do Grodna, umów się ze Szłomą, żeby przyjechał jutro do Antopola i przywiózł z sobą pieniądze; tylko targuj się dobrze, żeby jak najkorzystniej sprzedać.

— Tego mi jaśnie pan nie ma potrzeby przypominać, ja o pańskie dobro więcej dbam, niż o swoje. Szłoma nam dobrze zapłaci i z góry wszystko.

— To się rozumie, to się rozumie!—powtarzał pan kapitan, zacierając ręce. — Z góry wszystko, wszystko.

Nareszcie pan Szabrański wyszedł z najuniżeńszymi ukłonami, mając rozkaz, aby dziś na noc wyjechać do Grodna. Po jego wyjściu, ukazała się we drzwiach pani Haraburdzina, wesola, uśmiechnięta, szczęśliwa, zapraszając męża i pana swego na gorącą kawę do jadalnej sali.

I nastawiła już swój rumiany policzek do pocałunku, jak to bywało zwykle, gdy pan kapitan, po raz pierwszy zapomniawszy tej małżenskiej galanteryi, odezwał się głosem pełnym wymówki:

— A widzisz Zuziu, widzisz, co ty mnie biedy i kłopotów możesz przysporzyć swoją opieszałością.

Zuzia, zdumiona, zrobiła wielkie oczy i z przestachem patrzyła na małżonka, chcąc zrozumieć, co za znaczenie mają jego słowa. Nie śmiała zapytać, czem przewiniła, taki ją strach przejął, widząc zagniewane oblicze męża.

Nim pan kapitan puścił dwa razy ogromne kłęby dymu, rzucając w powietrze misterne koła, pani kapitanowa nabrała odwagi i zapytała z czułością:

— Czem ja przewiniłam, mój drogi, że się na mnie gniewasz? Być może mimo woli i chęci.

— To są tylko kobiece wykręty — odparł su-

cho małżonek.—Wiesz bardzo dobrze, czego pragnę i co mię zdoła uszczęśliwić; tymczasem ty jesteś zupełnie głucha na moje prośby i błagania.

Tego już było za wiele. Pani Haraburdowa, nic a nic nie rozumiejąc tych wymówek, sądziła, że ktoś zrobił na nią plotkę. Zakryła więc oczy chustką i rozplakała się na dobre.

Pan Haraburda nie lubił łez, a szczególnie w usposobieniu, w jakim się znajdował obecnie; ofuknął więc żonę ostro:

— I czegoż becysz, moja pani? Po co te spazmy i fochy, kiedy to czysta komedia.

— Ale o cóż to idzie? — zapytała przez łzy kobieta.

— O co idzie! o co idzie! I ona jeszcze śmie pytać! Czyż ci nie powtarzam codziennie jak najłagodniej, jak najgrzeczniej:—Zuziu, moja droga Zuziu, trzeba, żebyś nie zapomniała, czem się odznaczają mężatki, bo ja siarczyście pragnę syna. I cóż ty na to? Czerwienisz się, jak panna, zasłaniasz oczy i odpowiadasz, jak trusia: „Jeszcze czas, jeszcze nie pora“. A wiesz ty, co z tego może wyniknąć? — prawić dalej, zapalając się, pan Józef. — Oto, jeśli ja nie będę mieć potomka płci męskiej, majątek panny Maszadro, twojej ciotki, przejdzie w cudze ręce a ty, jedyna i prawdziwa sukcesorka, nic a nic nie dostaniesz. Ale to jeszcze nic, najokropniejsza rzecz w tem, że ta twoja Morowa ciotka, którą niech piekło pochłonie, chce wyjść zamąż, za tego Hipokratesa Rudominę i on stanie się panem jej majątku... Co? Teraz rozumiesz, mościa pani!

Zuzia naprawdę nic nie zrozumiała z tego nawału słów, i krzyku; odpowiedziała jednak prosto-
dusznie:

— Ależ to nie moja wina... ja nie wiem...

— Nie jej wina! Patrzcie, nie jej wina! A czy-
jaż? Może moja? Przecież ci nie każe, żebyś mi ju-
tro urodziła syna, ale przynajmniej mogłoby zabie-
rać się na coś podobnego, jak się starają o to inne
dobre żony. Ale tobie ani w głowie, że przez twoją
opieszalność, możemy stracić całą fortunę w przy-
szłości.

Zuzia milczała. Nie wiedziała, co mówić i jak
się tłumaczyć. Pan kapitan tymczasem góry walił
na podstęp pana Rudominy, klął pannę Teklę, da-
jąc jej najosobliwsze przymiotniki, a wykrzyczaw-
szy się, wysapawszy i zmordowawszy język, poszedł
wraz z żoną na kawę.

* * *

Zajrzyjmyż teraz, tego samego dnia, do sąsie-
dniego dworu pana sędziego Rudominy.

Cisza uroczyista, poważna, zaległa całą prze-
strzeń dworu. Żadnego ruchu, można rzec — ża-
dnego życia; ludzi nie widać i nie słyszać. A choć
cała administracja gospodarska szła zwykle w An-
topolu jednostajnym ruchem zegara lub maszyny,
której koła niewidzialne działają, przecież dawniej
było tu znać, że są ludzie żywi, którzy spełniają swe
obowiązki. Od śmierci pani Rudominowej, wszystko
przybrało charakter żałoby i smutku. Ludzie mil-
czą, choć się krzątają, a gdy mówią, to cicho; psy
nie szczekają i światła nie widać w oknach.

Sąsiedzi.

Wyraźnie czuć przejście śmierci.

Pan Rudomina, przez te kilka tygodni po stracie żony, stał się prawie niewidzialnym; odbiera tylko codzień sumiennie zdawane raporta przez Moczulskiego, ale sam w nic się nie wtrąca czynnie, nigdzie nie zagląda, jak to dawniej bywało, tylko siedzi w swoim pokoju nad jakimiś książkami, w których snąc szuka ulgi w strapieniu. Nie wiadomo, czy to były książki filozoficzne, czy teologiczne, bo pan Rudomina nie mówi z nikim, co czyta, a idąc spać, zamyka księgi do biurka. Całą jego rozrywką i przyjemnością jest pójść do pokoju małego Mieczysława, którego powierzył opiece zacnej pani Siekluckiej, starej sługi od lat kilkudziesięciu, tam bawi zwykle jakie pół godziny, trzymając dziecię na kolanach i milczy przytem. Mieczek zna już ojca i zaczyna wesoło szczebiotać; na widok jego, wyciąga drobne rączęta i woła: — „Tato!“ — Pan Rudomina przyciska synka do piersi, całuje jego złocistą główkę, ale nic prawie nie mówi do obecnych; pyta tylko o jedno: czy zdrów, czy dobrze spał? Potem zaraz idzie do swego pokoju i już go więcej nie widzą kobiety.

Pokój pani Doroty jest zamknięty na klucz i tylko jednej Siekluckiej wolno tam zajrzeć, by kurz pościierać. Na rękach pocziwej ochmistrzyni oddała ducha Bogu pani Dorota, a ostatnie jej słowa były:

— Ty, jak matka, czuwaj nad mojem dziećciem.

W pokoju nieboszczki wszystko pozostało, jak było za jej życia. Nic nie tknięto, nic nie zmieniono. W tem samym miejscu leżała jej książka do nabożeństwa, z której się codzień modliła, w tem samym robota włóczkowa zaczęta, a igły i włóczki, jak były rozrzucone tego dnia, w którym jeszcze haftowała dla rozrywki, tak samo dziś leżą nieporuszone. Łóżko tak samo posłane, klęcznik z wizerunkiem Chrystusa, suknie zamknięte w szafie, nawet małe pantofelki safianowe stoją przed łóżkiem, jak zawsze stały. Były to święte pamiątki dla pana sędziego i postanowił je przez życie całe przechować po jedynej istocie, którą kochał na ziemi.

I mówią, że pan Rudomina nie ma serca.

Była godzina szósta wieczór. Pan sędzia siedział w swoim fotelu nad rozłożoną księgą, głowę wsparł na rękę i cały był zatopiony w głębokiej zadumie.

Wtem dało się słyszeć lekkie zapukanie do drzwi.

— Można wejść — rzekł pan sędzia, odsuwając nieco książkę na bok, jakby nie chciał, by ten co wejdzie, wtajemniczał się w jego myśli.

A był to ekonom Moczulski.

Mówiliśmy, że to był stary, wierny sługa, który jeszcze za życia ojca pana Rudominy był namiestnikiem w Antopolu. To też całym sercem był przywiązany do młodego pana i boleść jego podzielał. A że dworak i wielce dyskretny, nie śmiał więc słowami pociechy, ani częściej perswazyi, przerywać uroczystego smutku swego pana. Łzy nawet szczerze ocierał ukradkiem, by nie drażniły tak świeżej rany.

Wszedł więc cicho, jak się wchodzi do pokoju chorego i oddawszy pokorny ukłon, odezwał się stereotypowo:

— Przychodzę zdać raport jaśnie panu z czynności dzisiaj odbytej.

— Dobrze, panie Moczulski — rzekł łagodnie pan Rudomina. — Pokaż ten papier, potem przeczytam. Teraz mam zadać ci kilka pytań.

Pan Moczulski wyraźnie się ucieszył, nie słyszał bowiem od kilku tygodni żadnego ze strony pana swego szczegółowego pytania; odrzekł więc z nietajoną radością w głosie:

— Jestem gotów na rozkazy jaśnie pana.

Pan Rudomina potarł ręką po czole, jakby odgarniał złowrogą chmurę, co mu zasepiła myśli i zapytał napozór spokojnym głosem:

— Czy rzeźbiarz już wykończył marmur pomnikowy?

— Niewiele już zostaje do zrobienia; za tydzień będzie skończony.

— Czy w napisie nie zrobił jakiej pomyłki?

— Nie, jaśnie panie, sam tego doglądałem; wszystko wyryte, jak należy.

— Przy postawieniu nagrobka, ja sam będę obecny.

— Stanie się według rozkazu i woli jaśnie pana.

Podczas tej rozmowy, pan Moczulski stał ciągle przy drzwiach. I dziwna, że pan sędzia, człowiek tak mądry, tak wyrozumiały i tak uprzejmy, nigdy nie ośmielił starego, siwowłosego ekonomy, by usiadł przy nim. Miałażby duma szlachecka tak da-

lece górować nad innemi przymiotami pana sędziego?

Moczulski, który niegdyś młodego Jacka przywoził ze szkół i odwoził do nich, mawiał nieraz, że młody dziedzic, choć ma wszystkie przymioty i wysoki rozum, jest wszelako niezmiernie dumny, w czem się wielce różnił od swego rodzica, który choć nie posiadał tak wysokich nauk, był jednak dziwnie popularny i nie onieśmiał nikogo swoją osobą, a przecie był panem co się nazywa.

Duma był to jeden grzech pana Rudominy. Lecz któż na świecie bez „ale“? I kryształ ma skazy, i słońce ma plamy, jak mówi przysłowie.

Pan sędzia, po pewnej chwili milczenia, znowu ię odezwał:

— Jakże tam ze szkółką? Czy dzieci codziennie przychodzą, czy uczą się pilnie i czy robią postępy?

— O jaśnie panie, teraz naszych chłopaków i dziewczuchy nie wypędzić ze szkoły, uczą się jeden przez drugiego i czytają tak gładko, jak sam bakałarz. A to już nietylko z naszej wsi — prawili pocciwy Moczulski, wyraźnie chcąc rozerwać pogadanką smutek pana — ale co dziwna, że i z An-topola kilku gospodarzy zgłosiło się do naszego zarządu, prosząc o pozwolenie, by także ich dzieci mogły uczęszczać do szkoły; chcą nawet płacić bakałarzowi.

— Jakże, i pan Haraburda pozwolił na to? — zapytał z pewnem zdziwieniem pan sędzia.

— O, pan kapitan zapewne o tem nie wie, jak i o wszystkim, co się dzieje w jego dworze. Tam

jest prawdziwa republika, jaśnie panie, wszyscy robią, co chcą i co się im podoba. Zresztą pan Haraburda nie ma czasu myśleć teraz o takich drobnostkach, on dotąd jeszcze wyprawia u siebie weselne gody. A bez obrazy uszu pańskich, zdaje się, że zbyt wesołe zabawy skończą się głośnym płaczem.

Pan Rudomina nic nie odrzekł; przewracał machinalnie karty „Życia Platona“ i dopiero po długiej pauzie, zapytał odniechceni:

— I z czegoż to wnosisz, panie Moczulski, że pan Haraburda skończy płaczem swe głośne wesele?

— A proszę jaśnie pana, toż tam już taka bieda, że aż człowieka serce boli słuchając, co ludzie gadają. I doprawdy żal nieraz bierze patrząc, jak słudzy okradają to biedne panisko. Bo choć kapitan krzykacz wielki i wielki raptus, ale, jak mi Bóg miły, to dobry i rzetelny człowiek. U niego nikt niema krzywdy, a jemu wszyscy ją wyrządzają. Ale cóż, kiedy nikogo nie słucha i żadnej pocziwej rady nie przyjmie.

To mówiąc, pan Moczulski głęboko westchnął.

— A jakąż można dać radę takiemu człowiekowi, jak pan Haraburda? — odrzekł zimno pan sędzia. — Tam nie można trafić ani do głowy, ani do serca.

— Tam serca jest kupa — odparł stary sługa — ale w głowie, to Boże odpuść, nie przymierzając, jak w grochowinach. Oj, coby to był za złoty człowiek, gdyby nie ten jego ukrop, co mu płynie w żyłach!

Pan Rudomina przerwał tę zbyt poufałą rozmowę, a nie odpowiadając na opinię ekonoma, odezwał się:

— A skądże wiesz, panie Moczulski, że pan Józef tak źle stoi w interesach?

— A któż tego nie wie jaśnie panie? Toć już wszystko w Antopolu sprzedano na pniu. Gdzie tam na pniu: jeszcze to, co nie zasiane, już sprzedane Żydkom grodzieńskim! I dziś, kiedy już niema nic do sprzedania a pieniędzy nikt nie chce pożyczyć, bo wiedzą ludzie, że się ożenił z ubogą panną, nie wzięwszy po niej złamanego grosza... dziś pan Haraburda jest w wielce krytycznej pozycji. W południe właśnie widziałem Szabrańskiego, ekonoma antopolskiego, który mi mówił, że jedzie do Grodna sprzedać Szlomie ostatni kawał lasu z drzewem budulcowem, co to jeszcze pozostało panu kapitanowi.

Pan Rudomina zamknął Płatona, zamyslił się i długo patrzył na ogień, palący się na kominie. Nareszcie podniósł głowę, jak to zwykł robić, gdy coś przedsiębrał i rzekł te słowa:

— Ja nabyłbym ten las od pana Haraburdy, ale nie chciałbym go wycinać. Zrób ten interes, panie Moczulski. Idź sam do Antopola, rozmów się z panem Józefem, jeśli się zgodzi i powie cenę, zapłać bez targu.

— Jakto bez targu? — odezwał się niezbyt domyślnie pan Moczulski. — A jeśli pan kapitan zażąda sto tysięcy za las, co nie wart teraz więcej, jak dwadzieścia i to dobrze płacąc? Przecież na taki eks-

ces nie mogę się zgodzić; a pan Haraburda miewa czasem dziwne fantazyje.

Pan sędzia spojrział na ekonoma i odrzekł sucho:

— W takim razie, nie sprzecząc się wcale, dasz mi odpowiedź, panie Moczulski, ile pan Haraburda żąda za las, a przede wszystkim, czy chce go sprzedać. Ja będę wiedział, jak postąpić.

— Stanie się według woli i rozkazu jaśnie pana. Ale jeszcze słówko. Ośmielam się zapytać, jeśli pan kapitan nie zechce sprzedać lasu całkowitego, tylko drzewo budulcowe, czy mam z nim traktować w imieniu jaśnie pana?

— Dobrze, kup drzewo i zapłać dwa razy tyle, ile będzie dawał Szłoma, mówiąc, że nam jest konieczne potrzebne drzewo budulcowe.

Pan Moczulski z osłupieniem spojrział na swego pana, nie przywykł bowiem ani do takiej hojności, ani do takiego obejścia się względem pana Haraburdy. Wiedział o wiecznej niezgodzie tych dwóch sąsiadów. Wszelako, nie robiąc już żadnych uwag, skłonił się nisko i wyszedł.

VI. Pan kapitan dyplomatą.

I stało się, jak rozkazał pan Rudomina.

Na drugi dzień, stary ekonom, ubrawszy się świątecznie, w granatową taratatkę i rogatywkę z krymskim barankiem, poszedł przez łąkę do Antopola, celem przedstawienia panu Haraburdzie zamiarów swego pana.

Pan kapitan właśnie, siedząc na ganku pod filarami, bo dzień był ciepły, słoneczny, jakie często bywają w marcu, palił fajkę ulubioną i wycze-kiwał, jak się zdaje, przybycia pana Szabrańskiego z Grodna, wraz ze Szłomą i workiem pieniędzy. Myśl o tem dodawała mu humoru i rozpędziła zupełnie złowrogie chmury dnia wczorajszego.

Ujrzawszy więc zdaleka pana Moczulskiego, sunącego miarowym krokiem prosto do Antopola, rozśmiał się głośno i rzekł sam do siebie:

— Otóż znowu poseł pana Rudominy; zapewne przypomnieli sobie młyn rozwalony i żądają zwrócenia im kosztów. Dobrze, zobaczymy, co z tego będzie.

Lecz nagle przypomniał sobie świeżą wiadomość o mariażu pana sędziego z panną Maszadro i krew mu uderzyła do skroni. Zerwał się z miejsca, by co prędzej spotkać się z Moczulskim i wyłać na niego cały wrzątek gniewu swego.

Na szczęście, w tejże samej chwili przypomniał sobie radę dowcipnego pana Juliana, by udać, że nic nie wie i nie robić żadnego harmidru przed owym procesem o sukcesyę, który miał się oddać w ręce genialnego pana Sypelka.

— Oszukam ich obydwóch—pomyślał w duchu pan Haraburda—i udam, że nic nie wiem. Ale poczekaście, szczerwane lisy!... ja wam nawarzę piwa!

Gdy pan Moczulski z odkrytą głową stanął przed panem kapitanem i oddając uniżony ukłon, odezwał się, jak zwykle: „Ścielę się do stóp jaśnie

wielmożnego pułkownika!“ — pan Haraburda odparł także tonem uprzejmym:

— A, dzień dobry! panie Moczulski, dzień dobry. Cóż tam u was słyhać, jak się ma szanowny mój sąsiad, pan sędzia Rudomina?

— Siako tako, jaśnie panie. Biedne panisko ciągle pogrążony w smutku i żałobie, siedzi zamknięty w swoim pokoju i modli się ciągle za duszę nieboszczki pani. Oj, ciężko nas pan Bóg nawiedził!... Ale taka była Jego święta wola!

— Ha! to wielkie nieszczęście, śmierć żony — odrzekł pan Haraburda, któremu te słowa jakąś dziwną markotność sprawiły na sercu, lecz nie chcąc dać poznać swego wrażenia, wnet dodał: — Pan Bóg wie, co robi! Gdy zabiera jedną to daje drugą na pocieszenie. Wszak prawda, panie Moczulski?

Pan Moczulski pokiwał smutnie głową i odparł poważnie:

— Nie dla naszego pana taka pociecha. Znam go od najmłodszych lat równie, jak jaśnie pana, którego pamiętam, gdy razem obu paniczów, z przeproszeniem, przywoziłem nieraz ze szkół na wakacje. Ot, zdaje się staremu, że to było wczora, a to już dalipan kawał czasu ubiegło... Co to bywało za figle pan Józef... a przepraszam pokornie, chciałem powiedzieć: jaśnie wielmożny pułkownik, nie wybrał naszemu Jacusiowi, czyli jaśnie wielmożnemu sędziemu...

Pan Haraburda rozśmiał się z zadowoleniem i odrzekł:

— Ależ no, nie poprawiaj się jegomość; ja wówczas nie byłem jeszcze pułkownikiem ani kapitanem, a pan Jacek nie był sędzią ani jurystą. Byliśmy ot, dwa urwisy i zawadyaki.

— O co to, to prawda, że jaśnie pan był zawsze niezmiernie wesół i skory do psot rozmaitych; ale co nasz pan, to od młodości był, jak stary. Zawsze tylko siedział nad książkami i medytował nad mądrością. Taka to już jego natura.

— A, ba! — przerwał wesoło pan Haraburda — pan Jacek, podobno jeszcze będąc w pieluchach, rznął po łacinie i po grecku. To też dziś został sędzią i wziął po żonie pół miliona posagu, a kto wie, może po drugiej weźmie milion.

Lecz nagle, przerywając sobie tę lekką aluzję, mając silne postanowienie nie zdradzić się czemkolwiek, rzekł łaskawie:

— Ale nakryjże głowę, panie Moczulski i siadaj na ławce; przecie nie przyszedłeś do mnie po służbie, tylko po sąsiedzku. Siadaj proszę, bez ceremonii, bo ja tego nie lubię.

Pan Moczulski kłaniał się i dziękował za ten dowód łaski pańskiej; wszelako choć usiadł na przeciwnej ławce, głowy nie nakrył przez respekt należny dziedzicowi i odezwał się w ten sens:

— Nie mnie ubogiemu pacholce i słudze przychodzić w odwiedziny do jaśnie panów; co pan, to pan, a co sługa to sługa. Ja oto przyszedłem właśnie z rozkazu mego pana, jaśnie wielmożnego sędziego, dla przedstawienia interesu...

— Interesu... interesu! — zawołał, znowu zapalając się, jak zapalka chemiczna, pan kapitan, a panna Maszadro ze swoim milionem, co niby miał przejść w ręce pana Rudominy, znowu, jak złowrogie widmo, stanęła mu przed oczy. Wszelako wierny swej roli wstrzemięźliwego dyplomaty, mówił niby spokojnie i bez aluzji: — To pan Rudomina bardzo wczesnie zaczyna wchodzić ze mną w traktaty o to, czego jeszcze nie posiada. Dowód to wysokiej mądrości. Lecz gdzie idzie o pieniądze, znana jest światu „akuratność“ pana sędziego.

— O, to prawdę wyrzekł jaśnie wielmożny pan; gdzie idzie o pieniądze, to pan Rudomina akuraty, jak zegar. Dziś jednak mogę upewnić jaśnie pana, że względem tego interesu, który mam przedstawić, okazał się pan sędzia dziwnie hojny, a powiem nawet, nie kalkulator. Lecz, jak wnoszę, to jedynie z przyjaźni dla jaśnie pana!..

Tego już było zanadto dla pana Haraburdy. Z tej mowy widział jasno, że pan Moczulski został przysłany do traktowania o odstępnę względem imaginowanej sukcesyi Zuzi po jej ciotce; zerwał się więc z siedzenia i odrzekł impetycznie:

— Na honor, acan, mości Moczulski, zaciekasz mnie nadzwyczajnie; pan Rudomina przez przyjaźń, dla mnie okazał się nader wspaniałym, jak mówisz? Ha, ha, ha!

I pan Haraburda śmiał się udanym, przymuszonym śmiechem.

— Powiedże acan przynajmniej, ile mi ofiaruje ze swojej „wspaniałości?“.

— Jaśnie wielmożny sędzia nie kazał się targować z panem pułkownikiem i wyraźnie powiedział: „Dasz, ile zechce pan Haraburda“.

— Ha, ha, ha! — śmiał się już na całe gardło nerwowym śmiechem pan kapitan, a w tym śmiechu czuć było, że niewiele brakuje, aby długi cybuch pana Haraburdy spadł na plecy niewinnego ekonoma.

— To mi przyjaciel, to mi sąsiad! — wołał pan Józef z ironiczną przesadą; — takich, jak pan Jacek, ródź Boże na kamieniu! Bez targu da mi tyle, ile zechcę! Co za wspaniałość, co za wielkomyślność! A sam, nie więcej, jak [tylko milion zgarnie do swojej kieszeni... i to także jedynie przez przyjaźń dla mnie! Nieprawdaż, mości ekonomie?

Pocziwy Moczulski, nie zrozumiałwszy do czego się to stosuje, nie wiedział też, co odpowiedzieć; milczał więc, rozważał sobie, jak zagać ten interes o kupno lasu, który snać wielce drażnił miłość własną pana Haraburdy. Pocziwy stary wyrozumował sobie, że pan kapitan wstydzi się, iż sąsiedzi wiedzą, że on swój las sprzedaje Żydom z powodu braku pieniędzy. Szanując więc uczucie delikatne pana Haraburdy, rzekł poufnie:

— Ten interes, jaśnie panie, można załatwić na cztery oczy i nikt nie będzie wiedział, jaka umowa stanie między nami.

— Do milion kroć! — wrzasnął pan Haraburda, rwąc ostatnią nić [cierpliwości dyplomatycznej. — Cóż u dyaska! czy za barana masz mnie

acan, mości Moczulski, i myślisz że wam nastawię karku, byście mnie strzygli? Chcecie mnie zrabować, zniszczyć i dać mi jaki nędzny grosz z łaski, jak psu kość w zęby, abym siedział cicho i pozwolił wam grabieży „prawnej, adwokackiej!“? O! zje wpierwej milion dyabłów pan Rudomina, choćby sto razy był Hipokratesem, nim się dam obłąkać jego miodowym słówkom.

— Ależ, jaśnie pan jeszcze nie powiedział, co żąda—zauważył roztropny Moczulski—przeto niema co obwiniać pana Rudominę, że chce zrabować i oszukać jaśnie pana w tym interesie sprzedaży.

— Więc to nazywacie sprzedażą! I chcecie mnie kupić? — ryknął pan kapitan. — Nie macie nawet wstydu w oczach i ambicyi odzywać się w ten sposób do uczciwego człowieka!

— Bez urazy jaśnie pana pułkownika — odezwał się rezolutnie pan Moczulski — ale ja wcale nie rozumiem, skąd taki gniew i niełaska na nas jaśnie pana? Przecież my gwałtem nie zabierzem lasu antopolskiego; a zamiast, żeby go miał kupić Żyd niedowiarek za liche pieniądze, to przecie lepiej i uczciwiej sprzedać sąsiadowi.

Teraz pan Haraburda z kolei wytrzeszczył oczy, otworzył usta i zamilkł. Nie pojmował tego zwrotu mowy o lesie, kiedy tu szło o miliony panny Maszadro.

I obaj milczeli chwilę. Nareszcie Moczulski, będąc pewny, że swoją mową pokonał upor pana Haraburdy, a biorąc dobrą otuchę z jego milczenia, odezwał się w ten sens:

— Z przeproszeniem jaśnie pana. Wczoraj właśnie dowiedziałem się od pana Szabrańskiego, że jaśnie pan ma zamiar sprzedać część lasu temu łapserdakowi Szlomie z Grodna, co to z góry wiadomo, że jaśnie pana oszuka. Rzekłem więc do mego pana, ot, tak przyszło z gadania, że jaka to szkoda, iż jaśnie pan Haraburda sprzedaje swój piękny las Żydom. A mój pan na to: „Idź, panie Moczulski, jutro do pana Haraburdy, pokłoń mu się pięknie ode mnie i zapytaj, czy nie zechce mi sprzedać ten las zamiast Szlomie“. — A kiedym go zapytał, jaką dać cenę, odpowiedział w te słowa, jak mnie jaśnie pan widzi żywego: „Zapłać, ile zechce pan Haraburda i nie targuj się wcale“.

Pan kapitan doznał kompletnego zawrotu głowy; dzwoniło mu w uszach i język mu zeszytywniał. Nic więc nie mówił, patrzył tylko na szeroką i pocziwą twarz pana Moczulskiego; zapomniawszy zupełnie, że on jest tylko biernem echem swego pana, ujrzał w nim niespodzianie człowieka, idącego ku niemu z pieniężną pomocą, a co więcej, wcale nie proszonego. I Moczulski w tej chwili wydał się panu kapitanowi jakimś duchem opiekuńczym.

Lecz gdy pan Haraburda, pogrążony w myślach, ciągle milczy, pan Moczulski odzywa się znowu głosem pokornym:

— Niech więc jaśnie pan raczy mi dać względem tego interesu stanowczą odpowiedź, którą będę miał honor zakomunikować memu panu.

Wówczas pan Haraburda, idąc za popędem swego serca, wyciągnął rękę ku panu Moczulskiemu i odrzekł z nietajonem uczuciem:

— Rozumiem cię, zacny Moczulski; dowiedziałeś się, że jestem w krytycznym położeniu i chcesz mi dopomóc po sąsiedzku! Na honor! to szlachetnie z twojej strony.

— To nie żadna pomoc, jasnie panie — odparł dworacko stary sługa — to poprostu interes, który może być korzystny dla obu stron. Mój pan chce kupić albo drzewo budulcowe w antopolskim lesie, lub też i cały las, wedle woli pana kapitana; a ponieważ wie o tem, iż Żyd nie da nigdy nad połowę tego, co warto, oświadczył więc wyraźnie, że da dwa razy tyle, ile będzie dawał Szloma. Ot i cała rzecz.

Pan Haraburda nie zastanawiał się wcale, że to pan Rudomina kupuje las i płaci hojnie; słyszał tylko, że to mówi Moczulski; na niego więc spadała cała wdzięczność. Zresztą pan Haraburda nigdy nie rozumiał słów mądrego pana Jacka i kto wie, czy w tej chwili, gdyby to on sam zrobił tę propozycję, możeby się sąsiedzi pokłócili. Ale szczerzy ekonom wzbudzał zaufanie w panu Józefie, prostotą słów rozbijał jego zaciętość. Odezwał się więc do niego z całą szczerotą:

— A no, kiedy tak, mój pocziwy panie Moczulski, to co innego; ja myślałem... bo wiesz, co już ludzie gadają... Otóż myślałem, żeś przyszedł tutaj układać się ze mną o fortunę panny Maszadro. Ale kiedy chcecie kupić las, to i owszem,

i owszem; wolę wam sprzedać niż Żydowi. Tylko po co panu Rudominie moje drzewo, kiedy ma swego podostatkiem?

— A bo to widzi jaśnie pan, nasze nie takie grube na budulec—mówił, jękając się, ekonom.—Zresztą u nas bardzo mało do wycięcia, przeto musimy kupić, i to koniecznie teraz.

— Aha! rozumiem, rozumiem! — mówił rozpromieniony pan Haraburda. — Będziecie budowali nowe chaty i potrzeba wam dobrego materiału. O, ja mam dęby i sosny, co się nazywa. Kupujcie, kupujcie, nie cały las — nie, bo wszystkiego naturalnie nie wytnę; ale sprzedam wam tyle, ile potrzebujecie.

A domawiając tego, otworzył z łoskotem drzwi do jadalnej sali i zawołał głośno:

— Hej, Macieju! prosić tu pani, niech zaraz przyjdzie. A przygotuj nam małą przekąskę. Dajcie pióluńówki, masła, sera i półgęska. Zjemy śniadanko, nieprawdaż panie Moczulski? Czuję szalony apetyt.

Pan Moczulski kłaniał się nisko i dziękował za ten dowód łaski pańskiej.

Pan Haraburda wziął go za rękę, posadził na krześle przed stołem jadalnym i rzekł poufale:

— Nie róbże ceremonij, mój stary! A czy ja to nie pamiętam, jak mnie i pana Jacka reprimendowałeś, kiedyśmy zanadto zbytkowali w drodze, wracając ze szkół? Ha! może nieprawda, żeśmy się ciebie bali, jak stracha?

Stary ekonom, widocznie rozrzewniony i obejściem się pana Haraburdy i wspomnieniem przeszłości, miał lzy szczere w oczach; odrzekł więc prosto dusznie:

— Jaśnie pan zawsze takuteńki, jak był za młodu; złote serce, choć gorączka w słowach.

Pan Haraburda rozśmiał się serdecznie.

— A cóż chcesz, mój Moczulsiu, nie takim bardzo stary, żebym się miał zupełnie odmienić; ani mi wielka mądrość nie stoi na przeszkodzie, żebym miał starymi przyjaciółmi pogardzać. Ale otóż i moja żona, pani kapitanowa Haraburdowa, z domu panna Zuzanna Turska. Nieprawdaż, panie Moczulski, że mam dobry gust? Spójrzyjno, jaka ładna.

Pan Moczulski, na widok pani kapitanowej, ukłonił się, jak mógł najniżej i bąkał swój stereotypowy komplement:

— Ściełę się do stóp jaśnie wielmożnej pani...

Pani kapitanowa oddała uprzejmy ukłon panu Moczulskiemu i zaczerwieniła się mocno przy rekomendacyi męża; a chcąc także coś powiedzieć, bo tak wypadało, rzekła z uśmiechem miłej prostoty:

— Pan musi znać dobrze mego męża i wie zapewne, jak on lubi żartować.

— O tak, mam honor znać od lat dziecinnych jaśnie wielmożnego pułkownika i wiem, że jest nieprzebrany w dowcipie i wesołości.

Wniesiono przekąskę. Pan kapitan traktował Moczulskiego, zapraszał, sam krajał szynkę i półgęsek, zmuszał do picia pióhunówki, którą niezmiernie lubił.

Po trzech kieliszkach, pan Haraburda zaczerwienił się, jak indyk, język mu się rozplątał, nabrał dziwnej szczerości; gotów był się spowiadać, wypowiedzieć wszystko, co mu ciążyło na duszy, co wiedział i co go trapiło.

Moczulski, także niezbyt tegiej głowy, podchmielił sobie wyraźnie, co było widoczne z tego, że miał ciągle łzy w oczach, ocierał je chustką czerwoną od nosa i powtarzał co chwila:

— Jak mi Bóg miły, pan pułkownik to pan, jakich dziś mało; choć przyłóż do rany. Ale gorączka... gorączka! Czy wie jaśnie pani—mówił dalej starowina, ośmielając się widocznie — że mnie na początku złażał i mego pana za to, że zrobił propozycję kupna lasu.

— At, nie pleć stary i nie oskarżaj mnie przed żoną—mówił z głośnym śmiechem pan Haraburda.— Ty nie wiesz, jak ona mnie krótko trzyma i jak łaje za wszystko. To sroga kobieta, ta moja Zuzia.

I to mówiąc, uszczypnął w policzek żonę.

Zuzia, rada karesom męża i nagłej zmianie humoru, który od wczoraj był wielce kwaśny, odezwała się z chichotem:

— Mój pan mąż to nikogo się nie boi, tylko mojej ciotki, panny Maszadro. Już jak ona co powie, to nigdy jej nie zaprzecza.

— A niech ją porwie cholera, tę twoją ciotkę! Dobrze mówi przysłowie, że w starym piecu dyabeł pali! Ta wiedźma morowa, jak ją ludzie nazywają, wybiera się jeszcze pójść zamąż.

Tu pan Haraburda ugryzł się w język i rzekł z wielce misterną miną:

— Cyt! zapomniałem, że o sznurku się nie mówi w domu powieszzonego.

— Cóż to ma znaczyć, jaśnie panie? — zapytał naiwnie pan Moczulski, ocierając zażawione oczy chustką, a siląc się udawać trzeźwego. — Któż się powiesił w Maszadrowie?

— Na pohybel Lachom i Tatarom! — zawołał z ukraińska pan kapitan. — Cóż to, asan chce ze mną tańczyć drabanta, lub grać w ciuciubabkę? Niby to nie wiesz, że panna Tekla Maszadro wychodzi zamaż, za.....

— Za kogo? — zapytał Moczulski. — Jak mi Bóg miły, nic nie wiem. Pierwszy raz to słyszę od czasu, jak jaśnie pan przestał do niej smalić cholewki. Bogiem a prawdą, było to wielce rozumnie ze strony pana pułkownika, porzucić tę starą kwokę, a wziąć sobie oto taką nadobną małżonkę, jak jaśnie pani pułkownikowa... Nie słyszałem, żeby się kto kusił o rękę tej, z przeproszeniem — Morowej Panny, jak ją ludzie nazywają.

— To asan chyba nic nie wiesz, lub udajesz głupiego? — zawołał pan Józef. — Ale co tam będę robił sekrety! Ot, powiem ci wręcz, że twój pan, a mój sąsiad, pan Jacek Rudomina, ma się z nią żenić.

— Chryste panie! — zakrzyknął wytrzeźwiony nagle pan Moczulski — a któż to jaśnie panu poplótł taką niegodziwą bajkę? Mój pan nigdy na oczy nie widział panny Maszadro, jakże się może z nią żenić? Zresztą, on od śmierci żony siedzi, nie przymierzając, jak Kameduła w swojej celi i nikogo nie widuje.

Oto dopiero złość ludzka — ciągnął Moczulski, załamując desperacko ręce — nie dadzą spokoju nawet strapionemu człowiekowi, co w cichości oplakuje śmierć żony.

I to mówiąc, Moczulski na głos zaszlochał.

Pan Haraburda, skonfundowany i mową i płaczem poczciwego starca, nie wiedział, jak go uspokoić. Nalał więc jeszcze kieliszek piolunówki i odezwał się wesoło:

— No, nie beczże jak baba, panie Moczulski; jeśli to nieprawda, to ten łajdak Julian chyba sam wymyślił ze swojej głowy. Ale przysięgał mi, że tak jest. No, napij się kilka kropel: na frasunek, dobry trunek!...

— Nie, dziękuję jaśnie panu; pić więcej nie będę, i tak zanadto pociągnąłem. Ale nie mogę darować temu urwisowi Szabrańskiemu, że taką haniebną plotkę wymyślił na mego pana.

— A widzisz, mój drogi — odezwała się pani Haraburdowa — ja ci mówiłam, że może to nieprawda, a ty tak wszystkiemu wierzysz, co ci powie ten trzpiot Szabrański.

Pan kapitan tą uwagą żony widocznie był zdetonowany; nadrabiając jednak rezonem, odezwał się kręcąc wąsy:

— Przecież to nie moja ciotka, tylko twoja, więc to mnie wcale nie obchodzi, tylko ciebie. A jeśli to nieprawda, to tem lepiej. Ja przecie sam sobie tego z palca nie wyssałem.

Moczulski tymczasem ciągle lamentował, narzekając na podłość ludzką.

— Biedne moje panisko! Lada hetka pętelka śmie go brać na język i obracać na nice; to koniec świata! wyraźny koniec!

Kiedy przy piołunówce odbywają się takie debaty, zajechała kałamaszka jednokonna przed ganek i wyskoczył z niej szparko pan Julian Szabrański, a za nim wygramolił z powagą pan Szłoma, bogaty handlarz drzewem.

Mając pełny pugilares pieniędzy, Szłoma znał dobrze i oceniał sam swoją wartość. Stosownie do tej wartości, był przybrany w atlasowy żupan i sobolową czapkę; gładził powabnie białą ręką ogromną, rudą brodę, co mu spływała na piersi.

Gdy pan Szłoma ukazał się w progu jadalnej sali, poprzedzony przez Szabrańskiego, właśnie pan Haraburda mówił do Moczulskiego:

— Porzuciwszy te głupie plotki, za które dobrze natrę uszy temu nicponiowi Szabrańskiemu, dobijajmy naszego targu o drzewo. Wiele wam sztuk potrzeba i do kogo ma należeć wywózka z lasu?

— O tem niema co mówić — odparł rezolutnie pan Moczulski — my wszystkie koszta wywózki bierzemy na siebie; główna kwestya, ile pan pułkownik żąda za sztukę?

— Ba! przeszłego roku ekonom mój sprzedawał Żydom po dziesięć złotych sztukę, to była dobra cena; lecz po sąsiedzku mogę sprzedać taniej.

I właśnie kiedy pan Moczulski chciał zrobić uwagę, że i po dziesięć złotych to jeszcze zbyt tanio

za takie wyborowe drzewo, dały się słyszeć od proga słowa nosowym akcentem wygłoszone:

— Kłaniam uniżenie wielmożnemu panu kapitanowi i bardzo się cieszę z tego, co słyszę. Jaśnie pan dobrze rozumie interes i swoim delikatnym rozumem zmiarkował, że tego roku drzewo spadło. I w Królewcu już nie płacą kupcy tak, jak łońskiego roku.

— A! to ty, panie Szloma—odezwał się z wielce kwaśną miną pan Haraburda — Więc przyjechałeś zapewne o kupno drzewa? O, to szkoda, wielka szkoda, że się spóźniłeś, bo ja właśnie już drzewo sprzedałem.

— Jakto sprzedałem? Co to sprzedałem?—mówił Żyd wielce obrażony.—Wielmożny pan żartuje! Mnie przecie gwałtem po ten interes przywiózł tu pan ekonom Szabrański; ja mam ze sobą pieniądze. Ja w Grodnie porzuciłem ogromny geszeft, a przyjechałem tu do Antopola umyślnie, żeby wygodzić wielmożnemu panu i dać z góry... połowę.

— A cóż to asan myślisz, u milion dyabłów—zawołał zaperzony pan kapitan—że ja nie mam prawa do lasu i od ciebie muszę brać pozwolenie komu sprzedać, a komu nie? Do kroćset! możesz asan sobie odjechać, jak przyjechałeś i nie gadać głupstw, że połowę z góry zapłacisz. Patrzcie, moi państwo!

A zwracając się nagle do pana Juliana, który stał wielce zakłopotany i poprawiał wciąż swoją bujną czuprynę, zawołał z gniewem:

— A waćpan, mości najemniku, jakąż to zawarłeś umowę z tym Żydem, co mi chce płacić połowę pieniędzy, a zabrać wszystko drzewo?

— Ja... ja...—bąkał faworyt, nierad z obecności Moczulskiego i tracąc widocznie swój rezon—ja nie umawiałem się wcale z panem Szłomą, tylko podług rozkazu pańskiego, przywiozłem go do Antopola... z pieniędzmi.

— Nu, po co to jaśnie pan tak się gniewa?— rzekł dominującym głosem bogaty kupiec.—Ja przecież gwałtem nie wezmę lasu pańskiego do kieszeni. A jak panu kapitanowi nie potrzebne są pieniądze, to ja także ich gwałtem nie wpycham.

— A asanu co do tego—krzyknął Haraburda—czy mnie są potrzebne pieniądze, czy nie? To ty niewstrzemięźliwy ozorze, narobiłeś znów plotek?—mówił dalej, patrząc siarczyście na swego ulubieńca.—To ty, próżniaku i kłamco, nagadałeś głupstw temu Żydowi, co mnie śmie wytykać palcem, że potrzebuję pieniędzy? Poczekaj, ja ci nie daruję tego!—krzyczał coraz bardziej, zapalając się gniewem, pan kapitan. — Nałgałeś mi wczoraj, że pan sędzia żeni się z panną Maszadro i radziłeś wytoczyć proces o ordynację? A widzisz, urwipółciu jakiś, że to wszystko nieprawda, kłamstwo, potwarz! Ja cię tu nauczę oczerniać ludzi i mleć językiem! Precz mi z oczu, bo jak cię kropnę cybuchem, to zobaczysz Częstochowę!

Pan Haraburda aż się zapienił, tak go własne słowa rozwściekliły; był to zwykły paraksyzm gniewu, w który wówczas wpadał, gdy się nie mógł połapać z logiką i porządkiem myśli. Na skronie wystąpiły mu grube żyły, z oczu tryskała zwierzęca pasya, a usta spienione wykrzywiły się konwulsyjnie. Pan

Haraburda nietylko groźny, ale i straszny był w tej chwili. Przelekniona Zuzia z płaczem wybiegła z pokoju; po raz pierwszy ujrzała „lubego“ w tak okropnym gniewie. Pan Julian także, nie czekając widoku Częstochowy, wysunął się cichaczem za drzwi; zostali tylko pan Haraburda, Moczulski i Szloma.

Po tym wybuchu gwałtownym, zapanowało głębokie milczenie. Pan kapitan sapał, jak miech kowalski i nakładał swoją fajkę, pakując tytuń całą garścią; Moczulski ocierał chustką zwilżone oczy, a bogaty Szloma trzymał uroczyście rękę na pierśsiach, a raczej na pugilaresie, w czem znajdował pewien kontenans.

Nareszcie pan Moczulski, dotąd milczący, odezwał się pokornym głosem:

— Czy jaśnie pan pułkownik pozwoli rzec małe słówko, bez urazy jego godnej osoby?

— A no, mów, panie Moczulski, co masz powiedzieć — mruknął pan Haraburda, jeszcze chmurny i groźny, ale już wielce złagodzonego głosem.

— Otóż moim głupim rozumem rozważając tę sprawę dokumentnie, można ją załatwić bez sporów, jak to zwykle czyni mój dostojny pryncypał, jaśnie wielmożny Rudomina. Najprzód niech sam powie tu obecny pan kupiec, ile żąda zakupić drzewa i po jakiej cenie myśli zapłacić. Jeśli cena będzie odpowiadała wartości drzewa, to sądzę, że jaśnie pan powinien sprzedać je panu Szlomie, jako pierwszemu pretendenciowi o kupno, a mój pan nie będzie miał o to najmniejszej pretensyi; jeśli zaś pan kupiec położy zbyt niską cenę, oraz warunek

zapłacenia tylko połowy z góry, w takim razie pan sędzia oświadczył wyraźnie, że daje wyższą cenę i płaci z góry wszystko; nadto, wywózkę z lasu przyjmuje na siebie.

Całej tej rozumnej mowy pan kapitan słuchał uważnie, nie przerywając. Szloma kiwał w takt głową i gładził majestatycznie swoją brodę, a pan Moczulski, skończywszy, z tryumfem spojrzął po obudwóch.

— Masz wielką rację, panie Moczulski—odezwał się pan Haraburda, puszczając ogromne kłęby dymu z fajki. — Tak, niech nam powie pan Szloma, wiele daje od sztuki.

Nieglupi Szloma zmiarkował odrazu, że jeśli pan Rudomina kupuje las od sąsiada, to nie dlatego, by potrzebował drzewa, ale jedynie dla zrobienia dogodności pieniężnej panu Haraburdzie; przeto nie idąc w zawody z takim kupcem, jak pan sędzia, odezwał się:

— Z przeproszeniem pana kapitana, czy to las pański idzie na licytację i kto da więcej, przy tym zostanie? No, ja nie myślę, żeby jaśnie pan potrzebował, jak bankrut, licytować swoje dobra; takim handlem żaden wielki pan się nie trudni. Ja nie wiedziałem, że to jaśnie pan sędzia kupuj drzewo od pana kapitana; bo żebyśmy to był wiedział, to ani bym przyjechał z panem Szabrańskim. Ja mam wielkie poszanowanie dla pana sędziego i wcale nie będę mu przeszkadzał; owszem, niech mu powie pan Moczulski, że Szloma nigdy nie robi podstępów dla takiego magnata, jak pan Rudomina. A teraz

żegnam panów — mówił dalej Żyd przebiegły. — Ja tu więcej nie mam co robić. Pan kapitan tylko każe mi dać furmankę z dobrym koniem, żebym prędko zajechał do Grodna.

Pan Haraburda, uszczęśliwiony tak łatwym zakończeniem drażliwego interesu ze Szłomą, odezwał się wesoło:

— A no, dam ci nawet konie do odjazdu, panie Szloma, tylko nie desperuj bardzo, że ci się nie uda tym razem mnie oszukać i kupić moje drzewo za psie pieniądze. Nieprawdaż? Co? He?

I pan kapitan rozśmiał się na całe gardło.

— Co to oszukać? Jakto psie pieniądze? — powtarzał Szloma, widocznie zmieszany dowcipem pana Haraburdy. — Czego mam desperować? Dla takiego interesu ani się nie zastrzelę, ani się powieszę. Herszte!...

To powiedziawszy, kiwnął zlekka głową i wyszedł. Innym razem ta odpowiedź byłaby wielce rozniewała pana kapitana; lecz dziś tyle już się nagniewał, że wyekspensował wszystką złość. Jął więc się śmiać, jak prawdziwe dziecko. Moczulski mu przez dworactwo wtórował:

— Jaśnie pan doskonale z tym Żydem postąpił.

Pan Haraburda, kontent z komplementu, puścił wodze swemu dowcipowi. Otworzywszy okno, wołał za odchodzącym na folwark Szłomą:

Waćpanie Polner,
Ty nie był żołnier,
A kupiec;
Przepraszam czebie,
Żeś zabił szebie,
Toś głupiec.

Jeszcze od rodów
Naszych narodów,
Nie szlichać,

Żeby ołowie
Na swojej głowie
Zapichać...

Nareszcie, po walnej naradzie z Moczulskim, stanęło na tem, że wypada, aby sam pan kapitan poszedł do Janopola, odwiedził sąsiada w strapieniu i umówił się z nim co do warunków sprzedaży lasu.

Zuzia, dowiedziawszy się o zamiarze męża, wielce pochwaliła jego rozsądek i delikatność.

Jakoż pan kapitan, wystroiwszy się świątecznie, z wolnym sercem, a wielce skłonem do zgody z nienawistnym dotąd panem Jackiem, po obiedzie udał się prosto przez łąkę do dworu janopolskiego. Szedł piechotą, co oznaczało najlepszy humor.

Lecz niestety! dnia tego wszystko się spiknęło psuć najlepsze intencje pana Haraburdy. Pan sędzia, który się rozlubował w swojej samotności i nie miał ochoty przerywać sobie czytania Platona, kazał oświadczyć przez lokaja, że nie może przyjąć sąsiada, za co najmocniej przeprasza, albowiem jest cierpiącym i nikogo zgoła nie widuje.

Ten afront, jak go nazwał pan Haraburda, ubódl do żywego serce naiwnego a szczerzego kapitana. Rozgniewał się okrutnie, i jak łatwo zgadnąć, nawymyślał, ile się zmieściło, panu Rudominie i to z takim hałasem, wrzaskiem, że pan Rudomina, chcąc nie chcąc, musiał słyszeć energiczne epitety, dawane mu przez łaskawego sąsiada. Zasapany,

czerwony, rozjuszony pan Józef, idąc przez dziedzi-
niec, spotkał właśnie Moczulskiego; cały więc grom
z tej burzy spadł na głowę ekonoma. Pan kapitan
oświadczył stanowczo, że woli oddać się w ręce Ży-
dów niedowiarków i zostać, jak sam Chrystus, przez
nich umęczony, niż mieć jakiegokolwiek interesu z po-
dobnym człowiekiem, jak pan Rudomina.

— Powiedz asan temu poganinowi — krzyczał,
kończąc swoją perorę, pan kapitan — że noga moja
więcej nie postanie na jego śmieciach i choćby on
zdychał, a ja żebym konał, to mu ręki nie podam
do śmierci!

Strapiiony stary tą tak nagłą zmianą usposo-
bienia pana kapitana, poszedł spiesźnie do pałacu
zapytać swego pryncypała, co zaszło między nimi,
że pan Haraburda jest w takiej gorączce.

Na to pan Rudomina odpowiedział najspokoj-
niej, nie odrywając wzroku od książki:

— Ja się wcale nie widziałem z panem Hara-
burdą; interes o las sam z nim załatwisz, panie
Moczulski. Wszak już mówiłem, żeby dać, ile żąda.

— Ale on już nic nie żąda, jaśnie panie — od-
parł Moczulski z westchnieniem — jemu nietyłe szło
o pieniądze, ile...

Nie śmiał dokończyć zdania, bo pan sędzia
spojrzał nań takim wzrokiem, że staremu słowa
ugrzęzły w gardle.

Skłonił się więc do samej ziemi i wyszedł
w milczeniu; wszakże nieposłuszne usta wyszeptaly
z cicha:

— Biedne panisko!

Do kogo się stosowało to westchnienie i współczucie? Nie wiadomo.

VIII.

Pani margrabina de la Prémonières.

Czy złe, czy dobre w życiu, strapienia i wesołość, wszystko przemija na skrzydłach czasu, „co to leci górą, i na świecie wszystko miecie piorunową chmurą“.

Minęło lat dwa od śmierci pani Rudominowej i od wesela pana Haraburdy.

Dwa lata, czyli dwadzieścia cztery miesiące, to spory kawał czasu. Ile to istot zejdzie ze świata, ile się narodzi! Ile wrażeń, ile nadziei, ile zawodów przejdzie przez serce człowieka!

Ta mała nasza planeta, co się nazywa Ziemią, musi być istnym kalejdoskopem dla innych wielkich planet, przypatrujących się jej z przestrzeni, a wielmożny Czas, to niby wielki sztukmistrz, trzyma w ręku ów kalejdoskop i co chwila zmienia gwiazdkowe widziadła.

W dwóch dworach sąsiednich, w Janopolu i w Antopolu, napozór nie zaszły zbyt wielkie zmiany, to jest nikt nie umarł i nikt się nie urodził; wszelako życie obu dziedziców uległo pewnej zmianie tak pod względem moralnym, jak i materialnym.

Pan Rudomina, przenosiwszy żałobę rok i sześć niedziel, przeczytałszy po kilkakroć w melancholijnym smutku „Życie Platona“ i innych wielkich

myślicieli, zamknął księgi, zrzucił krepę i zaczął na nowo wchodzić w ruch i życie czynnego obywatela i gospodarza wiejskiego. Znowu zajął się sam sprawami włościan, rozpostarł opiekę nad szkółką i zaczął prowadzić, jak przedtem, interesa handlowe z zagranicznymi kupcami.

Obecnie z większą gorliwością niż kiedykolwiek znaczny pan sędzia przysparzał fortuny dla swego jedynaka, mającego już lat cztery, prześlicznego chłopaczka. Mieczek był wykapanym portretem matki. I może to właśnie budziło w sercu pana Jacka tak gorące uczucie dla syna. Mało powiedzieć, że pan Rudomina kochał swego potomka, bo było to coś więcej, niż zwyczajna miłość ojcowska. On na niego przelał wszystkie swoje uczucia, dotąd niepożyte, wszystkie nadzieje, całą dumę i całe szczęście.

Pan Rudomina odrodził się nowem życiem w tej małej istocie; widział w niej siebie, ale stokrój piękniejszym, mędrszym, doskonalszym. A patrząc na rozkwit tej małej latorośli czuwał, jak zamięlowany botanik nad rozwojem rzadkiego kwiatu. Czuwał, pielęgnował, chuchał i otulał miłością ten pączek, co w przyszłości miał wydać kwiat nad kwiaty.

Wszystkie braki i ułomności natury ludzkiej, jakie czuł w sobie pan Rudomina, jako filozof i badacz, syn jego miał usunąć, zalety udoskonalić, a bodaj przewyższyć marzenia ojca. Słowem, miał to być kiedyś ideał nie podług wymagań ludzkich, ale podług wyobrażeń pana Rudominy, to jest mieć

wszystkie cnoty starożytnych Greków, wymowę senatorów rzymskich, rozum filozofów niemieckich, a polską szlachetność.

Pan Rudomina zawczasu nakreślił sobie drogę, po której będzie prowadził sam, własną swoją ręką, Mieczysława. Pisał nocami traktat „o Wychowaniu młodzieńca pod przewodnictwem ojca.“ Traktat ów wielce się różnił od „Chowanny“ Br. Trentowskiego; ten albowiem cały swój system stworzył przez bat i oparł na bacie, dowodząc, że kto nie bity, ten nie będzie zbawiony. Pan Rudomina, przeciwnie, dowodził, że tylko miłością wzbudza się zaufanie, zaufanie rodzi wiarę, a wiara rodzi posłuszeństwo dla ojca, który naturalnie przedstawia „ideę“ tego wszystkiego, co piękne, mądre, wzniosłe i szlachetne.

Nie śmiemy tu przytaczać żywcem ustępów z traktatu pana Rudominy, jako osobistej jego własności; odważamy się tylko streścić główną zasadę i główny cel tej pracy, przeznaczonej dla syna.

Otóż pan sędzia powiedział sobie, a raczej napisał, że jego syn, jako jego krew i ciało, jest jego bezwarunkową własnością, przeto wszystkie jego myśli, jego uczucia, jego czyny, muszą należeć najprzód do ojca i łączyć się w jedno z dawcą życia. Syn nie powinien przez życie całe mieć dla ojca żadnej tajemnicy, powinien mu spowiadać się z każdego wrażenia, z każdej myśli, z każdego błędu i z każdej cnoty. Nadto powinien ślepo wierzyć w sąd ojca; mieć swój rozum, ale tylko jako dalszy ciąg ojcowskiego; mieć swoją wolę, ale tylko jako nierozwaną nić woli swojego ojca; mieć

własne czucie, ale biorące źródło w uczuciach ojca. Słowem być tożsamością, tylko jeszcze doskonalszą, wyższą, spotęgowaną, która wszakże musi się uznać niższą wskutek braku doświadczenia życiowego, nabywanego tylko przez lata, a nie przez intuicyę. Młody człowiek, nie mogąc mieć tej przewagi za sobą, powinien czerpać wiedzę z doświadczeń ojca, który właśnie na to jest ojcem, aby był źródłem mądrości praktycznej.

I edukacja czteroletniego Mieczka już była rozpoczętą. Sam pan Rudomina zaczął go uczyć czytać, sam wykladał mu katechizm i pierwsze początki historii. Na każde pytanie dziecka odpowiadał zawsze cierpliwie, niezmordowanie, starając się zastosować wszystko do jego pojęć i rozwijać codziennie władze umysłowe, jakie już z natury posiadał chłopczyzna. Mieczek w czwartym roku życia zadziwiał wszystkich rozsądkiem i dowcipem nad lata.

Bywało nieraz, że przyczyniał tem smutku poczciwej ochmistrzyni, pani Siekluckiej, która słyszała w swej młodości, że dawno, dawno, jakiś poeta miał małą córeczkę, wielce mądrą, co się nazywała Urszulka, i że ta, mając dwa lata, już recytowała wiersze, które ojciec napisał; to też nie chowała się długo i umarło nieboże, nie doszedłszy pięciu lat życia, bo rozum ją „zmarnował.“

Na szczęście pani Siekluckiej, Mieczek, choć wiele umiał, nie umiał żadnych wierszy i prędzejby się popisał ze znajomością mitologii, niż z jakąś bajką Krasickiego. W traktacie bowiem o wycho-

waniu, pan Rudomina wyraźnie napisał: „Żadnych wierszy, żadnych poezyj nie należy dawać chłopcu, bo to osłabia hart i charakter męski.“

* * *

Kiedy pan Jacek Rudomina zajmuje się wychowaniem swego potomka i jednocześnie przysparza mu fortuny, co, według Platona, nie szkodzi bynajmniej nieśmiertelności duszy, — sąsiad jego, pan Haraburda, jest zupełnie, jak ów filozof-cynik, co zazdroszcząc bogactw Platonowi, przyszedł do niego na ucztę w zabłoconem obuwiu, żeby mu pobrukać dywany; na co mu Platon odpowiedział tylko te słowa: „Pycha pychę depce.“

Niefortunny pan kapitan nietylko zerwał stosunki z panem Rudominą i nie przyjął wcale jego propozycji kupienia lasu, ale sprzedał go Żydom za bezcen. Od panny Maszadro nie miał żadnej a żadnej pomocy, a nawet odmówiła mu nędznej pożyczki kilku tysięcy złotych na procent i na rewers. Brnął tylko w długi i smutki. Pani Haraburdowa bowiem, choć już dwa lata była jego małżonką, dotąd nie obdarzyła go potomkiem płci męskiej, ani żeńskiej.

Tak straszny zawód w błogich nadziejach wyraźnie osłabił uczucia małżeńskie pana kapitana; nietylko, że przestał kochać żonę, ale żałował głośno, że się z nią ożenił.

— Przez to głupie moje ożenienie — mówił desperacko — wpadłem, jak wilk w sieci. Nietylko, że po niej nie wziąłem złamanego grosza, ale wła-

złem w długi, sprawiając jej rozmaite przyjemności. Sądziłem przecież, że, jak inne kobiety, obdarzy mnie przynajmniej synem. Gdzie tam! To jakiś wyrodek. Tłusta, zdrowa, choć tarany o nią kruszyć, a nie może się zdobyć na jakiego małego chłopaka. Niechby sobie był mały, jak palec — mówił z rezygnacją pan kapitan — ale niechby był, żebym mógł pokazać temu Rudominie, że i ja jestem ojcem. Lecz wszystko na próżno. Rudomina codziennie, mnie na złość, bierze z sobą swego bębna i chodzi z nim po polu, żeby mi dopiec do żywego, a ja, jak dużej, patrzę na to i nie mogę się zemścić. A, to można oszaleć!

I pan Haraburda rwał wasy, ocierał oczy zwilżone łzami, przyciskał pięścią zranione serce, gotów był bić wszystkich, tak mu ciężko było na duszy.

Ale co tu począć! Gdy los się uweźmie na kogo, to już doli swojej i koniem nie objedziesz.

Zuzia, strapiona, zapłakana, straciła zupełnie swoją młodość i swoje rumieńce, a wiedząc dobrze, że wpadła w niełaskę u męża za swoją niepiętność, modliła się, pościła i prosiła gorąco Boga o łaskę, to jest o syna. Wzywała pomocy wszystkich świętych patronów i patronek, a gdy i ta protekcja w niebie nie pomogła, udała się do bab znachorek, które umieją ziołami sprowadzać cuda na ziemię.

Mimo to wszystko, w pożyciu państwa Haraburdów zaszło widocznie oziębienie; mało z sobą mówili, rzadko się widywali — tylko przy obiedzie i kolacyi. Pan polował lub jeździł do miasta dla rozrywki, nudząc się śmiertelnie w domu; pani

siedziała w swoim pokoju lub ogrodzie, stosownie do pory roku, haftując to tuwalnie, to stule do parafialnego kościoła, a zawsze przypominając Bogu swoją prośbę o potomka.

Ciotka Maszadro przez te lat dwa nie raczyła zaszczyścić krewnych swoją bytnością; obiecywała zawsze zimą, że przyjedzie w lecie, latem odkładała na zimę, i nie była dotąd ani razu w Antopolu.

Biedna Zuzia, której całe towarzystwo ograniczało się na starej ochmistrzyni i dziewczkach dworskich, serdecznie byłaby rada ciotce, choć szorstkiej i nieprzystępnej, bo zawsze była to kobieta, któraby zrozumiała jej strapienia i smutki sercowe. A tak, nie miała nikogo, przed kimby zapłakać i pożalić się mogła. Wiadomo zaś, że „trudno żyć, gdy się trzeba z żalem kryć.“

Kiedy to się dzieje w Antopolu i Janopolu, o milę drogi od tych dwóch dworów jest wieś z ogromnym pałacem murowanym, piętrowym, nazywająca się Sowie Góra. Dziedziczką tego pałacu, chyłącego się ku ruinie, jest młoda i piękna wdowa, pani margrabina de la Prémonières, bawiąca dotąd we Francyi, w dobrach swego męża, pana margrabiego de la Prémonières, a która właśnie teraz odwodowiawszy, postanowiła odwiedzić Litwę i swój pałac dziedziczny, gdzie do lat piętnastu przemieszkiwała z matką i znaną była pod nazwą „Pięknej Kasyldy.“

Matka pani de la Prémonières, straciwszy znaczną fortunę, po śmierci męża, wypuściła wieś swoją w dzierżawę na lat kilkanaście i sama wyje-

chała do Paryża z młodą córką, będąc pewna, że tam tylko jej jedynaczka zostanie właściwie ocenioną i zrobi partye, stosowną dla swego urodzenia, wdzięków i talentów. Jakoż nie zawiodła się wcale w swoich nadziejach. Piękna Kasylda, dokończywszy edukacyi w Paryżu, wyszła świetnie zamąż, wprawdzie za podżyłego, ale wielce bogatego i mitrowego śmiertelnika, pana margrabiego de la Prémonières.

Po kilku latach szczęśliwego pożycia, pani margrabina urodziła córkę, która obecnie ma lat trzy i wyrośnie, jak się zdaje, na niemniej piękną od matki.

Matka pani margrabiny była Rudominowa z domu, piękna zatem Kasylda była spowinowaconą po kądzieli z panem Jackiem Rudominą. Znali się wprawdzie mało, i to w latach dziecinnych tylko; więc znajomość była prawie żadna. Pan Jacek był w szkołach, panna Kasylda przy guwernantce; wiedzieli tylko tyle o sobie, a raczej słyszeli od ludzi, że on jest bardzo rozumny młodzieniec, a ona bardzo ładna panna. Potem pan Jacek wyjechał na uniwersytet, panna Kasylda z matką do Paryża, i już nic więcej o sobie nie słyszeli.

Kiedys matka pięknej Kasyldy powiedziała do córki te słowa:

— Jesteś piękna i rozumna, ale nie masz posagu. Jeśli w Paryżu nie spotka cię stosowna partya, to wrócimy do kraju i zostaniesz żoną pana Jacka.

— Dlaczego? — spytała córka.

— Dlatego, że rozumny i będzie z czasem bogaty, a do szczęścia kobiety to konieczne.

Kasylda nie zapomniała tych słów matki, którą kochała i w której rozum ślepo wierzyła. Lecz, że w życiu, „jak na fali“, projekt projektem, a rzeczywistość rzeczywistością, więc piękna jedynaczka znalazła zagranicą męża o wiele bogatszego od pana Jacka, choć ani tak mądrego, ani tak poważanego u swoich, jak pan Rudomina: ale z tytułem margrabiego, co w polskim uchu brzmi dziwnie pięknie. Pan Jacek, nie wiedząc, że był przeznaczony tak pięknej pannie, ożenił się z panną Matuszewiczówną, choć może mniej mądrą i ładną niż panna Kasylda, ale wygrał w tej stawce pięćset tysięcy i serdeczne przywiązanie żony. Stracił ją rychło, to prawda; ale mu Bóg zostawił po niej żyjącą pamiętkę, którą pan Jacek pokochał daleko namiętniej niż żonę.

Lecz, o dziwna igraszko losu! Pan Jacek owdowiał, Kasylda także owdowiała i przyjechała na Litwę. Dlaczego? Trudno zgadnąć. Czy zapragnęła odetchnąć wonią rodzinnych pól i kwiatów; czy się już przesycała wystawnością i zbytkiem stolicy świata, do której to nazwy Paryż ma pretensję; czy wreszcie po śmierci pana de la Prémonières, który żył zbyt wesoło a rozrzutnie, rozpatrzyła się w pozostałej fortunie i ta okazała się za szczupłą do prowadzenia dalej margrabiego dworu? A może przypomniała sobie słowa rozumnej matki, że pan Rudomina jest mądry, bogaty i w danym razie odpowiedni na męża?

Któż kiedy odgadł zamiary młodej i pięknej kobiety, gdy jest wdową, ma fortunę, a nadto ma prawo zwać się damą wielkiego świata...

Pani margrabina zapewne nie miała zamiaru zamieszkać długo w Sowiej Górze, gdyż, jak wiemy, wieś ta była wypuszczoną w dzierżawę na lat kilkanaście niejakiemu panu Dulembie, który płacił sumiennie co rok i odsyłał pieniądze do Paryża. Sam mieszkał w oficynach, jak to było zawarowane w kontrakcie, a pałac z ogrodem zostawał wolny do użytku właścicielki, w razie jej przyjazdu na Litwę. Matka panny Kasyldy także umarła wkrótce po śmierci zięcia, a umierając, zaleciła córce, żeby, jeśli zauważy, że jej margrabiowska mitra zaczyna rdzewieć, opuściła Chateau de la Prémonières, a zamieszkała w Sowiej Górze; dodała jeszcze i tę uwagę, że w razie zawitych interesów, może zawsze liczyć na pomoc swego kuzyna, pana Jacka Rudominy.

Pani margrabina miała dobrą pamięć i rozum też odziedziczyła po matce; nadto rady jej wielce szanowała, poznawszy ich skuteczność.

Pani margrabina przyjechała do Sowiej Góry nagle, niespodzianie, nie uprzedziwszy nawet o tem swego dzierżawcy. Jakby z nieba spadła z wiosennym deszczem. A było to właśnie w maju, kiedy słowiki litewskie najpiękniej śpiewają i kiedy rozkwitają róże. Piękna, trzydziestoletnia wdowa była właśnie w całym blasku i uroku balzakowskich kobiet. Miała te rzadkie dary natury, co się nie-

często łączą razem w jednej istocie, a połączone razem, tworzą całość doskonałą.

Była to jasna blondynka o szafirowych, przedudnych oczach; pleć miała jasną, delikatną, przeczoczą; ręce artystycznej piękności i figurę majestatyczną, królewską. Nadto posiadała wdzięk, powab, czar można powiedzieć, w każdym ruchu, w każdym wzięciu się, i ten takt arystokratyczno-szlachetny, co koniecznie zniewala drugich do uwielbień i holdów. Była to, można powiedzieć, prawdziwa róża, królowa kwiatów, skoro kobiety nazywamy kwiatami.

Przy wszystkich wdziękach plastycznych, posiadała pani margrabina wysokie wykształcenie, dowcip i umiejętność życia, to jest: mówienia w porę, śmiania się w porę, nawet wydobycia łez w porę. Ludzie nazywają to sztuką. Zgoda na wyraz, lecz przynajmy w szczerości ducha, że obraz w złoconych ramach piękniej wygląda, niż w zwyyczajnych, i nie powinien nigdy z ram wychodzić, jeśli chce być podziwiany.

Młoda wdowa, jak przystało na wielką panią, zjechała dwornie do Sowiej Góry, otoczona służbą francuską ugalonowaną, uherbowaną i wyszasowaną po parysku. Przywiozła bowiem z sobą dwóch lokaj, kucharza, stangreta, pannę służącą i guvernantkę Angielkę do trzyletniej Maryni, którą już tytułowano „Modemoiselle Marie“, a często i „M-lle la comtesse.“

Mały ten pączek przy świetnej róży odbijał cudnie; był to bowiem prawdziwy cherubinek o zło-

cistych puklach, ubrany w atłasy, koronki i te wszystkie eleganckie pieścidełka, jakimi matki francuskie przyozdabiają swoje żywe lalki, o czym u nas na Litwie ani słyszano wówczas, ani widziano coś podobnego. To też cały dwór w Sowiej Górze, ujrzawszy to małe stworzonko, przybrane w pióra, kokardy i złote ozdoby, wydał jeden wykrzyk zachwytu, mówiąc, że to chyba anioł z nieba, a nie dzieciątko trzyletnie.

Wszystkie baby i dziewuchy, na wiadomość, że jaśnie dziedziczka przyjechała ze swoją córką, cisnęły się w uradowaniu, by ucałować ręce pani i panienki. Pani pozwoliła na to łaskawie, z uśmiechem, który odrazu podbijał serca poczciwców. Ale śliczna panienka, ani słowa nierozumiejąca po polsku, przerażona widokiem biednych kobiet, nietylko, że cofnęła swoją rączkę, lecz zawołała nawpół z płaczem:

— *Maman, j'ai peur de ces sauvages là!*

Guwernantka Angielka spoglądała także z pełnym zdziwieniem, otworzywszy szeroko usta, na ubiory litewskie i na serdeczną ludzi uniżoność, w której dopatrzyła się poniżenia praw ludzkości i zaprzeczenia emancypacji.

Służba francuska śmiała się wesoło, dowcipując i ochoczo rozpakowując podróżne bagaże. Dla nich to była wyborna komedia. Przemawiali ciągle do parobków, którzy im pomagali, nie troszcząc się bynajmniej o to, że jedni drugich nie rozumieją.

Zanim oczyszczono pokoje pałacowe; zanim poustawiano poprzywożone świecidla, konieczne do salonów; zanim wyfroterowano, wymyto i oczesano cały pałac, archeologicznym kurzem już pokryty: pani margrabina tymczasem przeniosła się do oficyny, to jest do mieszkania pana Dulemby, a ten z galanterią starego kawalera, oddawszy wszystko, co posiadał, na usługi tak pięknej i tak wielkiej pani, sam przeniósł się na folwark, czekając tylko rozkazów jaśnie wielmożnej margrabiny. Jakoż nie czekał długo. Piękna wdowa, prowadząc życie pełne ruchu, nie miała czasu na zmordowanie się i odpoczynek; wiadomo bowiem, że kto jeździ z balu na bal, z koncertu na koncert, przyjmuje i oddaje ciągle wizyty, ten się przyzwyczaja, jak dobry żołnierz, być zawsze pod bronią i spać tylko na koniu.

Pani de la Prémonières nie spoczęła wcale po długiej podróży i nie narzekała na fatygę; owszem, odświeżywszy tylko toaletę, bardziej z nałogu niż z potrzeby, oblawszy się całą wonnościami, wyszła do ogrodu i kazała do siebie przywołać dzierżawcę.

Na szczęście, pan Dulemba był wielkim zwolnikiem flory i ogród utrzymywał z zamiłowania we wzorowym porządku i czystości. Chodniki były pogracowane, gazony zasiane kwiatami, a każdy klomb z osobna formował jakąś cyfrę lub serce, otoczone dokoła iksami z brzeziny. Nie było to wprawdzie w guście francuskim, wszelako było ładne, świeże i pachnące. Pani margrabina z widocznym zadowoleniem przypatrywała się wszyst-

kiemu i z pewną melancholią wspomnień zapuszczała się w cieniste aleje ogrodu, tak jej dobrze znanego z lat dziecinnych, a tak dawno niewidzianego.

Wspomnienia młodości mają wielki urok; nikt ich zaprzeć się nie może i jakiegokolwiek byłyby, smutne czy radosne, mają tę wielką przewagę nad terażniejszością, że w nich pozostała poetyczna iluzja tego piękna, tych nadziei, których nie daje życie, bodajby w złocie kapane.

Pan Dulemba, pięćdziesięcioletni kawaler, mały, gruby a wielce poczciwy człowieczek, nie odznaczał się ani zbytnim rozumem, ani światowością; był sobie ot takim, jakim go Bóg stworzył. Twarz jego szeroka, czerwona, bez żadnej troski, wtenczas się tylko zasepiała, gdy mszyca jadła kapustę, deszcz padał w czasie sianozęci, i zaraza padła na kartofle. Zresztą zawsze był pogodny, jak księżyc w pełni, i jeśli jakie fizyognomie żyjące dadzą się porównać przez regularność linii do wydłutowanych, to fizygnomia pana Dulemby wyglądała, jakby tylko siekierą z grubszego była ociosana.

Postuszny na zawołanie pani, stawiał się natychmiast, włożywszy na siebie granatowy frak i białą kamizelkę; nie zapominał nawet o białej chustce do nosa i różanej pomadzie, a tak wygalowany, oddał uniżony ukłon jaśnie wielmożnej margrabinie, pytając, co mu rozkaże.

Nadobna wdowa powitała uprzejmie swego dzierzawcę, z tym czarującym uśmiechem, którym się zachwycali malarze, wpadając w rozpacz, że nie

mogą przenieść go na płótno, unieśmiertelnić dla potomnych.

— Najprzód muszę panu podziękować — odezwała się swoim harmonijnym głosem pani Kasylda — za wzorowe utrzymanie ogrodu. Sprawia mi to przyjemność, wielką bowiem jestem miłośnicą kwiatów.

— O! gdybym wiedział — zawołał, składając ręce, jak do modlitwy, pan Dulemba — że jaśnie pani margrabina przyjedzie tu do nas, to dopiero, panie, wystroiłbym ogród, altany, porobiłbym najpiękniejsze ławeczki z darniny... Ale to nic nie szkodzi, panie, jutro spędzę cały szarwark i w mig wszystko porobimy, żeby pani margrabina była kontenta.

— Dziękuję panu, dziękuję za jego uprzejmość — odparła, uśmiechając się, piękna pani — ale mi się zdaje, że te ławeczki są dostateczne i altany bardzo czysto utrzymane. To dowodzi, że masz pan dobry gust i upodobanie poetyczne.

Pan Dulemba uśmiechał się tryumfalnie i odrzekł z wyraźną skromnością:

— W tem się nie myli pani margrabina dobrodziejka, wszyscy mi to przyznają, że mam gust, co się nazywa. Zeszłego roku obsadziłem altany grochem szablстым i czerwonym bobem, i daję słowo, że to, panie, było cudo piękności. Jaka to szkoda, że jaśnie wielmożna pani nie przyjechała do nas przeszłego roku...

— Tak, to wielka szkoda — odparła potakująco delikatna pani, a kryjąc uśmiech pod różą,

którą trzymała w ręku, powiedziała jeszcze jakiś komplement staremu kawalerowi, który wyraźnie był oczarowany grzecznością i pięknnością tej wielkiej damy.

Nareszcie rozmowa zesłała na inny przedmiot. Pani margrabina zaczęła się rozpytywać o sąsiedztwo, zasięgając niby rady pana Dulemby, komu ma oddać wizyty i z kim zabrać stosunki. Dodała bowiem nawiasem, że zamysła w tej pięknej rezydencji zabawić przez całe lato i dopiero na zimę wrócić do Paryża.

Pan Dulemba, siedząc na darniowej kanapce w znacznej odległości od pani Kasyldy, czuł się szczęśliwym, jak nigdy; rozmawiał z najpiękniejszą kobietą ze wszystkich, jakie widział w życiu, i do tego z wielką panią, margrabinią. I ta pani, ta magnatka, zaszczycała go poufałością, a co więcej, pytała go o zdanie. Pocziwy pan Onufry (to było jego imię), nawet we śnie nie marzył o takim zaszczycie. Wysypywał więc wszystkie swoje wiadomości na użytek pięknej pani, rozповідаł najdrobniejsze szczegóły o całym sąsiedztwie.

Pani margrabina, słuchając uważnie i z wielkiem zajęciem opowiadania pana Onufrego, dowiedziała się o wszystkim, co chciała wiedzieć. Dowiedziała się bowiem, że pan Jacek Rudomina, jej kuzyn, był już żonaty i owdowiał; że ma czteroletniego synka, który jest cudem mądrości; że tenże pan Jacek posiada ogromną fortunę, jest sędzią i taką ma sławę i poszanowanie ogólne, że gdyby tylko chciał, byłby gubernialnym marszałkiem, tak

go obywatele wysoko cenią i uwielbiają. Ale on nie przyjmuje żadnych zaszczytów i dostojeństw; poprzestaje na skromnym tytule sędziego i rozstrzyga wszystkie sprawy obywatelskie w całym powiecie.

— A! — mówił z wyraźną admiracją pan Dulemba — takiego człowieka, jak pan sędzia, to ze świecą trzeba szukać; kiedy zacznie gadać, to, panie, jak mak siał—wszyscy sza, cicho, tylko nastawiają ucha, żeby nie stracić słowa z ust jego. To też go niektórzy nazywają „Demoklesem“, co to podobno był wielkim kaznodzieją w Rzymie.

— Doprawdy, wielką mi pan sprawia przyjemność — odrzekła pani margrabina, trzymając ciągle różę przy ustach — tak mi opisując mego kuzyna, którego nie mam przyjemności znać i zaledwie przypominam sobie twarz jego. Pamiętam jednak, że już za młodu nazywano go Demostenesem dla kwiecistej wymowy.

A po pewnej pauzie, zapytała nawiasowo:

— Pani Rudominowa musiała być bardzo ładna osoba i bogata zapewne?

— O, bardzo bogata: miała więcej niż pół miliona posagu; a co do piękności, panie, to chociaż była bardzo ładna, ale—jak Boga kocham, ani się umywała do pani margrabiny.

Pani margrabina nic nie odpowiedziała na ten komplement pocziwca, który się jej wydał niezmiernie oryginalnym i przechodząc do innego przedmiotu, zapytała znowu:

— A pan Józef Haraburda, którego także przypominam sobie, że był bardzo ładnym młodzieńcem, czy się ożenił?

— Pan kapitan — zawołał, śmiejąc się, pan Dulemba — oszukał się strasznie na swej żeniączce. Trzeba bowiem wiedzieć pani margrabinie, że pan Haraburda miał się żenić z panną Maszadro, co to zapewne słyszała jasnie pani, że ją nazywają Morową Panną; tymczasem spudłował i ożenił się z jej siostrzenicą, wprowadzie młodą i ładną, ale nie wziął feniga za żonę. Teraz podobno płacze i lamentuje, że się tak oszukał, ale już zapóźno!... A co najgorsza, pan kapitan chce mieć koniecznie syna, jak pan Rudomina, a pani Haraburdowa niepłodna, jak Elżbieta, żona Zacharyasza, co to o niej napisano w biblii, jeśli sobie przypomina pani margrabina.

Pani de la Prémonières, pomagając w erudycji panu Dulembie, odrzekła z uśmiechem:

— W takim razie pani Haraburdowa, równie może jak Elżbieta, wyda na świat wielkiego człowieka, jakim był Jan Chrzciciel.

Następnie piękna pani rozpytywała się ciekawie—kto jest ta panna Maszadro, z dziwnym swoim przydomkiem; kto była z domu pani Rudominowa; czy pan Rudomina bardzo opłakuje stratę żony? Te i tym podobne pytania szły jedno po drugim.

Pan Dulemba sumiennie na wszystko odpowiadał, ciesząc się w duchu, że on, prowincyał, potrafi tak dalece zająć swoją rozmową damę wielkiego świata.

Tak minęła godzina. Nareszcie pani margrabina powstała z darniowej kanapki, pożegnała uprzejmie swego dzierżawcę, pozwalając mu nawet pocałować swoją śliczną rączkę i oświadczyła, że jutro rano poprosi go, aby sam pojechał do pana Rudominy z listem.

Pan Dulemba z rozkoszą przyjął to poselstwo, zapewniając z góry, że pan sędzia będzie uszczęśliwiony z przybycia swojej dostojnej kuzynki.

Wieczorem tegoż dnia pani Kasylda napisała list do pana Jacka, prosząc o łaskawe przybycie do Sowiej Góry, jako kuzyna i znajomego z lat dzieciennych.

Służba miała zalecone przez panią, aby przez całą noc porządkować w pokojach pałacowych, by na jutro wszystko było gotowe.

Ruchliwi Francuzi zrobili to przez jedną noc, czegoby Litwini przez cały tydzień nie potrafili. Główny salon był wyfroterowany, jak lustro; rozłożono dywany, poprzybiano kandelabry, rozstawiono podług mody francuskiej graty i graciki w tak symetrycznym nieładzie, że pusty, zimny pałac w Sowiej Górze, przez jedną noc, jakby pod laską czarodziejską, zmienił się w jasny, woniejący, ocieplony „château“. Pan Dulemba, ze swojej strony, zapomniawszy o niewywcześnie, oddał się całkiem galanterji; znosił sam wazony z oleandrami, z daturą i rozmaitemi kwiatami, jakie były w jego oranżeryi.

Na drugi dzień, gdy pani margrabina weszła do owego salonu, który wczoraj tak przykre na

niej zrobił wrażenie, niezmiernie się ucieszyła jego przemianą i wynagrodziła hojnie francuską służbę za jej gust i pośpiech. Panu Dulembie uśmiechnęła się tak wdzięcznie, tak ponętnie, że ten byłby jej upadł do nóg z radości. Ale nie było na to czasu; kazano mu natychmiast jechać do Antopola i prosić pana Rudominę na obiad, to jest na godzinę piątą, podług francuskiego zwyczaju pani margrabiny.

Pani de la Prémonières, aczkolwiek już dawno skończyła się żałoba po mężu, nosiła wszakże suknie w ciemnych kolorach, może dlatego, że jeszcze żałowała w sercu za utraconym małżonkiem; a może też dlatego, że, jak i lustro stwierdzało, jasnej blondynce w ciemnych barwach było dziwnie pięknie.

Tego dnia, w którym miał przybyć pan Rudomina, pani margrabina miała na sobie popielatą morową suknię, spadającą w szerokich fałdach ku ziemi w powłóczysty ogon. Suknia ta, której stanik był arcydziełem kunsztu modniarki, wyraźnie odznaczała jej kształtną kibić, objętą szerokim, aksamitnym paskiem, spiętym złotą klamrą. Ozdoby sukni były z czarnych koronek, a na głowie, śród niezmiernego bogactwa jasnych blond włosów, misternie przypięta złotymi szpilkami czarna koronka miała reprezentować kwef wdowi. Było to „demi deuil“, jak nazywają Francuzi.

Gdy się przejrzała w lustrze, uznała sama, że jeszcze jest piękną i może być pewną, iż żaden śmiertelnik nie oprze się jej wdziękowi.

O godzinie piątej, gdy guwernantka Angielka z małą Marynią weszły do salonu, zastały panią margrabinę przeglądającą się w lustrze z całą admiracją dla swojej osoby. Za ich przybyciem, piękna pani natychmiast przybrała wyraz twarzy poważny, uroczysty i odezwała się głosem pani do guwernantki:

— Proszę pamiętać, aby Marie była ubrana biało z czarnym aksamitem; nie kłaść żadnych świecideł. Nadto, niech miss nie przychodzi z nią do salonu, póki nie wydám rozkazu.

Guwernantka, ukłoniwszy się, wyszła, zabierając ze sobą pannę margrabanke, a jaśnie pani zasiadła na kanapie i zaczęła machinalnie przewracać karty jakiegoś francuskiego romansu.

Upłynęło jeszcze chwil kilka, gdy nareszcie dał się słyszeć turkot powozu, zajeżdżającego pod filary pałacowe.

— Przyjechał!—zawołała głośno pani margrabina, będąc pewną, że nikt nie słyszy jej wykrzykniku i spojrzała raz jeszcze przelotnie w lustro, poprawiła kwef koronkowy, gdy kamerdyner Francuz zaanonsował:

— *Monsieur le comte de Radomin!*

Pan Rudomina zdziwił się nieco tytułem hrabiego i acz przekreconem, ale swoim nazwiskiem, wygłoszonem przez lokaja wprzód, zanim powiedział, kto jest.

Ale Francuz wiedział już naprzód, że przybędzie „Comte Radomin,“ bliżki kuzyn pani.

Pan sędzia wszedł do salonu i oddał głębok ukłon pani de Prémonières.

Kasylda powstała na jego powitanie tak, że jej cała wydłutowana figura i elegancya stroju odrazu wpadły w oczy przybyłego.

Powiedzmy prawdę, że rozważny pan Rudomina został olśniony pięknnością i wdziękiem kuzynki, którą zaledwie, jak przez sen, pamiętał młodą dziewczką. Choć zawsze wymowny i pewny siebie, na ten raz nie wiedział, co przemówić, jakiego użyć słowa do tak czarującej istoty. Ale za to czarodziejka, wprawna w żargon salonowy, a nie tracąca nigdy przytomności, jak dzielny strategiczny wódz na placu boju, odezwała się pierwsza słodkim, jak syreny, głosem:

— Nietylko zaszczyt i przyjemność sprawia mi przybycie pana, ale czuję prawdziwą wdzięczność za tak rychłe spełnienie mojej prośby.

— Pani—odrzekł pan Rudomina, oddając jeszcze raz ukłon pełen uszanowania — rozkaz pani spełnić było dla mnie obowiązkiem, i ja tylko mogę jej składać dzięki za zaszczyt, jaki mi wyświadczyła pani margrabina, każąc stanąć przed sobą.

— Pan mię „szarmujesz“ swoją delikatną grzecznością — odrzekła pośpiesznie piękna wdowa — i miło mi powtórzyć panu, że matka moja przekazała mi sukcesyjnie wielką życzliwość i szacunek dla pana, a ja teraz szczęśliwą jestem, że sama mogę stwierdzić jej słowa.

Pan Rudomina, który umiał także tworzyć wybornie madrygały salonowe, acz ich rzadko używał

nie dał się zwyciężyć szermierce na piękne słówka, odparł tedy, jak prawdziwy „ch^évalier fran^çais“:

— Pani, to zbyt łaski! I gdybym się nie lękał obrazić ją śmiałością słów moich, tobym także mógł wyrzec, że wszystko, com dotąd słyszał o pani, było zaledwie słabem echem tej czarującej rzeczywistości, jaką mam dziś szczęście poznać osobiście i złożyć jej mój hołd najwyższy.

Pani margrabina była cała rozpromieniona. Galanterya i światowość pana Jacka przeszły jej oczekiwania; spodziewała się ujrzeć uczonego pedanta i trochę niezręcznego parafianina, a spotkała się z wymownym salonowcem, co mógł iść o lepsze w dowcipie i galanteryi z całą arystokracją francuską.

Pan Rudomina nie zapomniał o etykiecie nawet co do ubioru; choć był całkiem czarno ubrany (także w „demi deuil“), jednak frak jego był najświeższej mody, koszula batystowa haftowana na piersiach z takimiż mankietami. Jego białą chustkę na szyi, jak wówczas noszono, spinał przepyszny soliter w szpilkę oprawny; miał złote okulary, jak zwykle, z pod których rozumne jego oczy z podziwieniem wpatrywały się w nadobną postać wdowy. Przyznał w duchu, że dotąd nie widział w życiu tak pięknej kobiety; a że umiał oceniać prawdziwy rozum, równie jak i prawdziwą piękność, nic więc dziwnego, że tak doskonała kobieta, jak pani margrabina, piękna i rozumna, niepospolite zrobiła na nim wrażenie. Biedna Dosia, której pamięć żyła dotąd w sercu pana Rudominy, jako „ideał

kobiety“, w tej chwili — mamyż wyznać prawdę? — kryła się w cieniach cyprysu, jak błądy promień księżycy przy blasku słońca.

Piękna Kasylda zrozumiała, jakie wywarła wrażenie na panu Jacku, postanowiła, by to wrażenie pozostało w jego sercu, nietylko w głowie.

— To człowiek, jakiego mi potrzeba — powiedziała sobie — musi mnie pokochać, bo ja chcę tego.

Na szczęście, pan Rudomina nie słyszał tych słów, powiedzianych w głębokości ducha, nie odgadł ich nawet z twarzy pięknej pani, tak ta twarz była spokojną, anielską i dziwnie szczerą. Są bowiem lica kobiece, na których przyroda wyciska wdzięk niestarty do późnej starości. Ten wdzięk ozdabiał twarz pani margrabiny stokroć więcej, niż najklastyczniejsze linie rysów. Pani Kasylda wiedziała o nim i dlatego była pewną, że każdy jej uśmiech, każde słowo, każdy gest, nacechowany jest rysem estetycznym, który podbija ludzi.

Po grzecznościach, które nareszcie musiały ustać, jak kazał smak dobry i przyzwoitość, nastąpiła rozmowa sentymentalna, zabarwiona dowcipem pani de la Prémonières, a podniesiona mądrością i głęboką erudycją pana Jacka Rudominy. Pani margrabina знаła dobrze literaturę francuską, angielską i niemiecką; znała romanse, poezye i rozmaite broszury na czasie; nie znała wprawdzie ani filozofii niemieckiej nowoczesnej, ani starożytnej, wszelako w nagłych wypadkach umiała się posłużyć tak jedną, jak drugą, niby dwiema niewolnicami, którym nie dozwolono wiele mówić, których obo-

wiązkiem jest wypełniać, co im każą. A wiadomo, że na rozkaz pięknej kobiety, każda mądrość jest niewolnicą.

I znowu pan Rudomina musiał przyznać w duchu, że nie spotkał w życiu tak rozumnej i tak dobrze wychowanej kobiety. I znowu błady cień żony usuwał się coraz bardziej w mgły innych światów.

Do obiadu kazano przywołać guwernantkę z Marynią, oraz pana Dulembę, dla powiększenia liczby biesiadników. Mała margrabianka, której śmiałe a dowcipne odpowiedzi wzbudzały podziw powszechny, podobała się niezmiernie panu sędziemu. Pan Dulemba śmiał się także i przyklaskiwał, choć ani słowa nie rozumiał po francusku, a tylko w tym języku rozmawiano przy stole, gdyż inaczej ani „Marie“, ani guwernantka, nie mogłyby mieć udziału w rozmowie, jako nie rozumiejące po polsku.

Pani margrabina przyjemnie została zdziwioną doskonałą francuzczyzną pana Rudominy, a jeszcze bardziej się zdziwiła, gdy zaczął rozmowę po angielsku z miss Blatwon.

— Doprawdy, szanowny kuzynie—mówiła przy deserze pani margrabina—co chwila pan mię wprowadzasz w podziwienie, w admirację! Nietylko posiadasz wszystkie mądrości, ale jeszcze władasz każdym językiem tak doskonale, jakbyś życie całe poświęcił lingwistyce wyłącznie.

Pan Rudomina odparł skromnie, że łatwość w nauczaniu się języków bynajmniej nie jest zaletą rozumu, gdyż zdarzały się wypadki, że ludzie z bardzo ograniczonymi władzami umysłowymi posiadają

największy dar języków, jest to bowiem czysta mechanika pamięci, zbliżona bardzo do mechaniki rąk i nóg, czem się odznaczają akrobaci i skoczki.

Pani margrabina, podając rękę panu Rudominie przy powstaniu od stołu, pożegnała skinieniem głowy guwernantkę, co miało znaczyć, że jej obecność już niepotrzebna; zaś panu Dulembie raczyła łaskawie dozwolić wejść razem do salonu i pozostać na kawie. Uszczęśliwiony stary kawaler dobrocią tak wielkiej pani, znalazłszy sposobną chwilę, szepnął do ucha panu Rudominie:

— A co, nie mówiłem panu sędziemu dobrodziejowi, że to cudo, ta pani margrabina!

Pan Rudomina nic nie odpowiedział na to, ale spojrział takim wzrokiem na poczciwca, jakby mówił:

— Czyż i ten robak poznał się na piękności gwiazdy?

Przy kawie, pani de la Prémonières i pan Rudomina zamilkli na chwilę, dozwalając mówić panu Dulembie. Była to pauza konieczna. Oboje bowiem przez ten czas obserwowali siebie, dozwalając gadać szczeremu wieśniakowi, który się nie troszczył bynajmniej o to, aby mu odpowiadano, zajęty będąc jedynie tem, co sam mówił. Wygadawszy się dowoli, przypomniał sobie, że ma dać dyspozycyę ekonomowi na jutro; wstał więc, pożegnał towarzystwo i wyszedł uszczęśliwiony.

Po jego wyjściu, młody wdowiec i młoda wdowa jeszcze jakiś czas milczeli. I była to właśnie ta niebezpieczna chwila, w której cichaczem wkrada się miłość do serc przez milczące usta. Pani mar-

grabina przypatrywała się niby jakiemuś widokowi Szwajcaryi w albumie, leżącym na stole, a pan Rudomina przypatrywał się piękności czoła, składowi ust i całemu wyrazowi twarzy pani Kasyldy. I on, co dotąd nie znał miłości w swem życiu, tylko przyjaźń, szacunek i przywiązanie, zatrwożył się i prawie przeląkł, nie mogąc oderwać oczu od wdzięków tej, którą po raz pierwszy widział.

— Co to jest? — pytał siebie. — Jaki ona czar rzuciła na mnie? Ja siebie nie poznaję.

I rzeczywiście, pan Rudomina nie poznawał siebie, jak chory na ospę, gdy się przejrzy w lustrze.

Mądry pan sędzia, acz wszystko wiedział, nie wiedział jednak tego, że miłość jest ospą, której każdy śmiertelnik dostać musi za młodu lub na starość. Prędzej czy później nie minie go ta choroba.

Pani Kasylda, przewróciwszy wiele kart, podniosła swoje duże, szafirowe oczy i patrząc niemi na bladą twarz pana Jacka, śmiało a niewinnie (bo taki był ich wyraz), odezwała się słodko:

— *Mon chère cousin*, przebacz mi, że przerywam twoje milczenie, ale smutno mi widzieć pana zatopionego, jak się domyślam, w bolesnych wspomnieniach. To jedno na pociechę twoją mogę powiedzieć, że oboje jesteśmy w jednakowem położeniu. Pan straciłeś żonę, ja straciłam męża. Obojeśmy osieroceni. Jednak — dodała sentencyjonalnie — nie powinniśmy się oddawać melancholicznym wrażeniom, mając przed sobą tak święte obowiązki. Pan masz syna, ja mam córkę; życie nasze do nich należy.

Pan Rudomina, który w tej chwili wcale nie był w krainie umarłych, drgnął mimowoli na to przypomnienie jego wdowieństwa. I dziwna! zamiast kontynuować teorię margrabiny, jak tego się po nim można było spodziewać, nic nie odpowiedział po wabnej wdowie, tylko myślał sobie:

— Ona wolna i ja wolny. Lecz czy ona zdolna pokochać tak, jakbym ja ją pokochał?

Pani margrabina, znająca mężczyzn tak dobrze, jak swoje rękawiczki, odgadła z czoła mędrca myśl, która się zrodziła w jego mózgu i także powiedziała sobie w duchu: „Kuć żelazo póki gorące”—a głośno jej wdzięczne usta wygłosiły tę sentencję:

— Göthe, mój ulubiony poeta, powiedział pięknie: „Tylko słabe dusze raz w życiu kochają, a gdy ich to uczucie zdradzi, lub śmierć je im wydrze, zapadają w nicestwo, jak owady, którym dozwolono żyć tylko chwilę. Wielkie zaś serca nie tracą nigdy siły i mocy w uczuciu, a miłość ich nie odstępkuje do najpóźniejszej starości“.

Pan Rudomina patrzył przez okulary, jak człowiek senny, którego budzono w najroskoszniejszych marzeniach, lecz wnet oprzytomniawszy, odparł:

— To pani lubi Göthego? Jakże się cieszę, że nasze zamiłowania tak się zbliżają w tej mierze. Ja go uwielbiam, jest to najwznioślejszy geniusz wieku.

Pani margrabina myślała chwilę i znowu się odezwała, modulując głos tak, że brzmiał, jak harfa:

— Jakże mi pana inaczej przedstawiono, a inaczej dziś sama go rozumiem i oceniam! Mówiono

mi zawsze: „Ten pan Jacek zimny, mądry, niecierpi poezji, kocha tylko filozofię, i jej się oddaje z całym zamiłowaniem“. Przyznam się w szczerości ducha — ciągnęła dalej z czarującym uśmiechem — że bałam się trochę człowieka, co gardzi poezją, tą córą niebios, i kobietę analizuje podług systemu filozoficznego.

Na co pan Rudomina odparł:

— Nie zaprzeczam, że filozofia była moją ulubioną nauką; wszelako ta mądrość wyższych duchów umie należycie ocenić idealne piękno, zamknięte tak w słowie, jak w kolorach i tonach muzyki, składa cześć kobiecie, jako najdoskonalszemu dziełu Stwórcy, jeśli w niej idea Boska ożywia piękno fizyczne.

— Dajmy temu pokój — odezwała się z miłą lekliwością młoda wdowa — rzućmy zdania filozofów, a powiedz mi szczerze, szanowny kuzynie, czy także w to wierzysz, że raz tylko w życiu można kochać?

Pan Rudomina nigdy dotąd nie rozprawiał o miłości i ciężko mu było wywiązać się w tej chwili z pytania tak nagle rzuconego. Wszelako, jako rozumny i dyplomatyczny, odparł:

— Daruje mi pani margrabina, że jej na to pytanie nie odpowiem własnymi słowy, ale słowy także wielkiego poety i romantyka Szyllera, które mi w tej chwili budzą się w pamięci.

— Ah! powtórz pan, powtórz... Szyller, to mój ideał! — zawołała z zapalem pani Kasylda.

— Otóż ten Szyller tak mówi — ciągnął pan Jacek, patrząc badawczo na panią margrabinę: — „Biedny robak czuje się szczęśliwym w małej kropki

wody, póki nie wie o rozległym morzu, po którym krążą okręta i w którym kąpią się wieloryby. Lecz gdy ujrzy to wielkie, wspaniałe morze, odbijające w sobie cały strop niebios, kropla wody już mu nie wystarcza i zamiera w tęsknocie za tem, co widział.“

— To jeszcze nie odpowiedź — rzekła pani Kasylda — to tylko erudycya, piękna, nie przeczę, ale mnie nie wystarcza.

Jak widzimy, pani margrabina kuła żelazo, nie lękając się, by pękło pod zbyt silnem uderzeniem.

Pan Rudomina zamilkł, z kolei wziął także album i zaczął przeglądać. Dowcipna wdowa pozwoliła mu się namyślać, a będąc pewna, że silne zrobiła wrażenie na filozofie, nie lękała się o swe powodzenie. Po długim milczeniu, znowuż zaczęła:

— Choć to może zadziwi kuzyna, co mu powiem, ale będę szczerą, bo wiem z góry, że zostanę zrozumianą i wypowiadam się z głębin mego ducha. Ja, kobieta trzydziestoletnia, wdowa, matka, ja nie znam dotąd, co to jest miłość; czuję ją, odgaduję, ale niestety! dotąd jej nie zaznałam! A! co to musi być za szczęście na ziemi kochać i być kochaną!

I piękna pokusa dłonią zakryła oczy, jakby tonąc w rozkosznem marzeniu.

Pan Rudomina po raz pierwszy w życiu nie wiedział, co odpowiedzieć; oblał się tylko jaskrawym rumieńcem po raz pierwszy! spuścił oczy ku ziemi.

— Potępisz mnie pan — odezwała się melancholicznie piękna wdowa — ale ja jestem szczerą i mówię prawdę, bo przed panem kłamaćbym nie

potrafiła. Ja męża mego szanowałam, czułam dlań przyjaźń życzliwość, ale nigdy go nie kochałam. Wydano mnie, nie pytając mego serca, i to serce upomina się o swoje prawa.

Pan Rudomina, ujęty szczerością kuzynki, odrzekł uroczyście:

— Nie mam prawa potępiać pani za to, żeś nikogo dotąd nie kochała, bo i ja... dotąd... znam tylko przyjaźń i szacunek.

Po wyjeździe pana Jacka, piękna wdowa chodziła długo po salonie, układając plany na przyszłość. Zасыpiając, jeszcze wyszeptwała sobie, niby pacierz:

— *Eh bien!* nie będę margrabiną co prawda, ale będę mieć męża rozumnego, bogatego i zakonchanego we mnie.

Ziewnęła i sen skleił jej powieki.

Pan Rudomina, wróciwszy do domu, otworzył przez nałóg Platona, lecz wnet go rzucił, nie przeczytawszy ani jednej stronicy; położył się, a usypiając, jeszcze rozmawiał z cudną kuzynką.

VIII.

Zemsta Morowej Dziewicy.

Stała się wielka radość i ucieszenie w anto-polskim dworze: pani Haraburdowa, w trzecim roku pożycia małżeńskiego, weszła w stan błogosławiony

Nie wiadomo, czy leki znachorek, czy jaka inna przyczyna to sprawiła, dość, że było to widoczne i nikomu nie tajne; pan kapitan bowiem szalejąc z radości, że będzie miał syna, wszystkim opowiadał tę szczęśliwą nowinę.

Sam też odmienił się do niepoznania; rozjaśnił czoło, rozchmurzył lica, żonę ubóstwiał; klękając przed nią, obsypywał jej ręce pocałunkami za szczęście, jakie mu obiecywała. Zuzia także nie posiadała się z radości, śmiała się płakała i ze swojej strony obdarzała męża najtkliwszą czułością.

Jedna rzecz niepokoiła pana kapitana: nie był pewny, czy pan Rudomina wie o jego szczęściu; a jeśli wie, co mówi? A że stosunki z dworem janopolskim oddawna były zerwane zupełnie, nie mógł więc zaspokoić się w tej mierze i prze-myślał, czy nie możnaby użyć trąby morskiej i po rosie wytrąbić tę nowinę wprost do ucha panu Jackowi. Na reszcie znalazł łatwiejszy sposób: spotkawszy bowiem starego Moczulskiego, opowiedział mu swoją radość i kazał to co do słowa powtórzyć panu sędziemu, dodając:

— Niech pęknie farmazon ze złości!

Interesa pana kapitana zawsze były w złym bardzo stanie, a nawet coraz się pogarszały; ale obecnie pan Haraburda nie myślał o niczem, tylko o synu, mającym przyjść na świat. I pocieszał się w duchu tą myślą, że bogata ciotka żony, choć dotąd nic nie daje, wszelako zmieni swój system zatwardziałości, ujrzawszy potomka Haraburdów, pięknego, mądrego i dzielnego.

Pan Haraburda postanowił prosić pannę Maszadro, aby trzymała do chrztu jego syna: sądził, że jej tem wyświadczy najwyższy zaszczyt, jaki ją kiedy spotkał w życiu. A idąc logicznie z jednej myśli do drugiej, sam napisał list do panny Tekli, oświadczając jej, że będzie matką chrzestną w drugiej parze i da jej za kuma majora od huzarów, człowieka niepospolitych przymiotów i zasług.

Panna Maszadro nic na ten elegancki list nie odpisała; kazała tylko ustnie powiedzieć przez posłańca, że kłania się obojgu państwu i winszuje im przyszłego potomka.

Na świecie, tak szczęście, jak i nieszczęście, idzie zawsze w parze, nigdy pojedynczo. Jeśli kogo zła dola w bok szturgnie, wnet klęska policzkuje go z obu stron, a rozmaite drobne biedy zaczynają, niby pchły, skakać po tym człowieku i tak mu dokuczać szpilkowemi ukłuciami, że nie sposób opędzić się temu robactwu.

I znowu przeciwnie: jak tylko coś uśmiechnie się do kogo, wnet radość wita go uprzejmie, a szczęście daje mu pocałunki.

Tak się też działo z panem Haraburdą. Nie tylko, że mu żona miała urodzić syna, ale jeszcze odebrał szczęśliwą, a najmniej spodziewaną wiadomość, że jego krewny po matce, niejaki pan Totwen, człowiek bardzo bogaty a bezdzietny, umierając, zapisał panu kapitanowi dwieście tysięcy złotych polskich. Nie były to wprawdzie miliony ciotki

Maszadro, ale przy nieświetnych interesach pana Józefa i w chwili, kiedy syn ma się mu urodzić, był to złoty deszcz, spadły z nieba, jako wyraźna łaska Boża.

Ten pan Totwen cały swój ogromny majątek rozdzielił równo na wszystkich członków rodziny, tak po matce, jak i po ojcu. A że mieszkał i umarł w Kijowie, testament więc bogatego kawalera złożony był w rękach rządu i tenże zawiadomił przez gazety i listy prywatne całą rodzinę, by się zjechała jednocześnie dla wspólnych układów, oraz odbioru sum.

Było to trochę nie na rękę panu Haraburdzie jechać samemu aż do Kijowa, właśnie w chwili, gdy żona spodziewała się blizkiego rozwiązania. Myślał więc i przemyślał, czy nie mógłby się wyrezygnować plenipotecją, daną jakiemu uczciwemu człowiekowi, któryby nie zdradził jego zaufania. Lecz trudno było znaleźć naprędce takiego człowieka, tembardziej, że ulubieniec pana kapitana, znany nam Julian Szabrański, od kilku miesięcy już nie był w usługach, jako wypędzony przez Haraburdę w przystępie złego humoru.

Dziś mocno tego żałował i twierdził, że się to stało przez plotki i złe języki ludzkie; ale pan Julian nic na tem nie stracił, bo przyjął służbę u jakiegoś magnata na Wołyniu, który go także dziwnie sobie upodobał i darzył podobnym, jak i pan Haraburda, zaufaniem.

Pan kapitan długo naradzał się z żoną, która teraz miała ważny głos u małżonka, a pana.

— Co tu zrobić? — mówiła ze łzami Zuzia. — Pomyśl tylko, mój najdroższy! Podróż do Kijowa tam i napowrót, w Kijowie także musisz jakiś czas zabawić, wszystko razem zabierze ci najmniej dwa miesiące, a ja za sześć tygodni najdalej będę potrzebowała, abys był przy mnie i przyjął przychodzące na świat twoje dziecko.

Pan Józef uznał uwagi żony za słuszne; targał się więc za wasy, jak zwykle w krytycznych razach i biedził się z myślami, co począć. Nie pojechać do Kijowa na termin wyznaczony, niepodobna; ta sukcesya, to jego jedyny ratunek, jedyne wydzwignienie z toni, a obecnie potrzebował pieniędzy bardziej, niż kiedykolwiek.

— Ha, mam dobrą myśl! — zawołał nagle, uderzając się w czoło. — Pojadę sam do Maszadowa i będę prosił, błagał pannę Teklę, aby w mojej nieobecności zastąpiła ci matkę i zaopiekowała się dzieckiem; ta kobieta ma serce, ja to pamiętam. Był czas, kiedy sam tego doświadczałem na sobie; to w gruncie dobra i poczciwa istota, tylko stetryczała przez długie panieństwo.

Na wspomnienie o pannie Tekli, Zuzia drgnęła mimowoli; jakiś nieznany strach ją ogarnął, jakieś niezrozumiałe, a złowrogie przeczucie czegoś, z czego zdać sprawy sobie nie umiała. Odrzekła więc z obawą:

— O mój drogi, jabym nie chciała mieć podówczas przy sobie ciotki. Zresztą, może ty sam wrócisz na czas.

— Nie, nie—upierał się pan Haraburda — ja ciebie tak nie zostawię na łasce sług i obcych ludzi. Uproszę twoją ciotkę, zaklnę ją w imię tej przyjaźni, jaką miała dla mnie, a zobaczysz, że ona wszystko zrobi dla mnie.

Zuzanna niedowierzająco potrząsnęła głową, westchnęła i zamilkła; wiedziała, że jej mąż uparty był, jak każdy człowiek zarozumiały, który, gdy się na co uweźmie, to nic go nie przekona.

I zrobił, jak powiedział.

Nie odwołując, pojechał tegoż jeszcze dnia do panny Tekli, pokazał jej list, wzywający go do Kijowa po znaczną sukcesyę po nieznanym mu krewnym, opowiedział jej swoją boleść, że żonę musi zostawić samą i w zapale rozczulenia, padł na kolana przed panną Maszadro, zaklinając ją na dawną przyjaźń, by pojechała do Antopola i nie odstępowała jego Zuzi, aż do jego powrotu z Kijowa.

Panna Tekla słuchała całego opowiadania z wielką uwagą, oświadczyła nawet swoją radość na wiadomość o sukcesyi, winszując kochanemu kuzynowi tak dobrego interesu, radziła mu niezwłocznie jechać samemu do Kijowa, a nareszcie, widząc klęczącego pana kapitana, rozczuliła się tak dalece i tak żywy wzięła współdział w jego położeniu, że bez drożenia się żadnego przyrzekła, iż cały czas jego nieobecności przepędzi w Antopolu i zajmie się Zuzią, jak rodzona matka, a nowonarodzonem, jak babka.

Uroczyste te słowa wymówiła takim głosem, jakiego jeszcze nie słyszał pan kapitan; w oczach

panny Tekli błyskały takie płomienie radości i czegoś jeszcze, czego nie rozumiał, że gdyby to widziały i słyszały czarownice z Łysej góry, niezawodnie pannę Maszadro nazwałyby swoją siostrą.

— Mój miły kuzynie — mówiła Morowa Dziewica przy pożegnaniu, ściskając gwałtownie rękę pana Haraburdy — ja zwykle mało mówię, ale wiele czynię. I oto nadszedł czas, kiedy będę mogła dowieść, że w mojem sercu nie zgasła ta iskra uczucia, którąś w niem zapalił. Tak, ono dotąd płonie i przyjdzie czas, w którym się przekonasz, jak z małej iskry może być wielki pożar.

Na co pan Haraburda odpowiedział, całując ciotkę w rękę po trzykroć:

— Najdroższa ciociu, ja znam twoje dobre i szlachetne serce; starałem się przekonać żonę, że ty jedna zastąpisz jej matkę, ojca i męża. I dzięki Bogu, słowa moje się sprawdziły. Odjeżdżam spokojny i szczęśliwy.

* * *

Jakoż w dni kilka pan kapitan pojechał do Kijowa po złote runo, a w parę dni po jego wyjeździe, przyjechała do Antopola ciotka Maszadro na kilkotygodniową rezydencję. Zuzia zdziwiła się mocno, a można rzec, przeraziła się dziwną dobrocią i łagodnością podstarzałej panny. Miodowe słowa płynęły z jej ust, choć z oczu wyskakiwały jaszczurki. Prawiła o swoim przywiązaniu do siostrzenicy, o radości, jaką jej sprawia widok jej stanu; nie skąpiła pochwał dla pana Haraburdy,

upewniając, że męża tak czułego i tak kochającego żonę, nie zdarzyło się jej widzieć przez życie całe.

Zależniona Zuzanna słuchała tego z największą uwagą, jakby nie wierzyła uszom swoim i patrzyła wielkimi oczami na ciotkę, jakby chciała się upewnić, że to ta sama, co ją kiedyś traktowała tak twardo, tak z góry, nie okazawszy nigdy cienia przywiązania do kuzynki. Ale poczciwy a łatwo-wierny umysł szczerzej kobiety oswoił się prędko z tą przemianą złego na dobre i w kilka dni uwierzyła całkowicie, że nie umiała się poznać na ciotce. Jako już „doświadczona“ kobieta, a nie młoda dziewczyna, powiedziała sobie w duchu (jakby robiąc wielkie odkrycie), że cała dotychczasowa nienawiść ciotki ku niej... pochodziła jedynie z zazdrości o to, że ta biedna ciotka widocznie kochała się w jej mężu i opuszczona przez niego dla innej, znienawidziła tę inną. Lecz dziś, po trzech latach, zapomniała urazy, przebaczyła po chrześcijańsku i wraca swoje serce obojgu małżonkom.

Po tem logicznem wyrozumowaniu, Zuzanna uczuła się swobodną, a obecność ciotki w Antopolu stała się dla niej wielce przyjemną. Nic bowiem nie męczy bardziej poczciwego serca, jak podejrzliwość i nieufność.

Tymczasem Morowa Dziewica knuła wielkie zamiary zemsty, do której jej dziwnie los dopomógł, wydalając z domu pana Haraburdę.

My nie mamy potrzeby robić tajemnicy z zamiarów panny Maszadro i wypowiemy je czytelnikowi.

Stara panna, chcąc się zemścić na niewiernym kochanku, co zakłóciwszy jej spokój życia dla pieniędzy, obudził nagle w jej sercu miłość dla swojej pięknej osoby, a potem najniewdzięczniej porzucił i ożenił się z inną, prawie nieznaną — postanowiła sprawić, aby i on także cierpiał, jak ona.

Przez lat dwa szukała napróżno sposobu, by się upoić zemstą; lecz mądra i dobrze obmyślona zemsta nie tak łatwo daje się wykonać. Nie znajdując innego środka, postanowiła już, z rozpaczy, zemścić się pospolicie, trywialnie, bez pociechy za życia, to jest swój cały majątek zapisać obcym; nędzarzom, klasztorom, mniejsza o to komu, byleby nie Zuzi i nie panu Józefowi. Lecz dziś, kiedy widziała radość i szczęście pana kapitana, odżyła żmija w jej sercu i Morowa Pana powiedziała sobie:

— Zemszczę się inaczej, a oczy moje będą widziały, a serce będzie się radowało widokiem boleści i rozpaczy tego niewdzięcznika. Wykradnę mu syna, oddam obcym ludziom, aby nie znał swego ojca, aby go nie kochał; ojciec nie dozna najwyższej rozkoszy, jakiej się spodziewa.

Panna Tekla nie myślała o tem, że pan kapitan może mieć drugiego i trzeciego syna; jej szło o pierworodnego. Co będzie — nie wiadomo, a co jest — to wiemy.

Stara historia wykradania dzieci była dla panny Tekli całkiem nową, niezwykłą, nadzwyczajną. Już obmyśliła, gdzie go umieści, jaki mu los przeznaczy i powiedziała sobie, że dopiero w testamencie po jej śmierci, okrutna tajemnica zostanie odkryta.

Naturalnie, pan kapitan wpraw od niej umrze, a więc się nigdy nie dowie.

Biedne dziecko, poświęcone zemście, wspaniale zostanie za to wynagrodzone majątkiem tej, która go pozbawiła pieczyoty matki, przywiązania ojca i prawowitego nazwiska. Panna Maszadro, również jak pan Haraburda, była pewną, że Zuzanna powije syna; nie zakresliła więc planów na córkę, mogącą przyjść na świat, a zresztą wykradzenie córki nie sprowadziłoby takiego żalu panu Haraburdzie, jak wykradzenie syna.

Zuzanna ciągle rozprawiała o synu i po całych dniach szukała w kalendarzu imienia dla niego. Znachorka upewniała też ze swej strony o męskiej płci spodziewanego potomka. Nikt nie wątpił, że wkrótce się narodzi ten, którego tak oczekiwano.

Pani Haraburdowa szyła czepeczki, koszulki, pieluszki i powijaczki dla oczekiwanego gościa. Panna Tekla pomagała jej w tej robocie, pocieszała w żalu po nieobecny męży, uspokajała jej przecucia, których Zuzia od siebie odpędzić nie mogła, tłumaczyła, że poddawanie się im szkodliwe być może

— Przecucia nie istnieją — twierdziła filozoficznie Morowa Dziewica, bo gdyby one były prawdą, człowiekby zawsze uniknął nieszczęścia, które ma go spotkać, ostrzeżony wpraw przecuciem.

Raz, gdy te panie siedziały w ogrodzie na darniowej ławeczce, a było to już o zmroku, dały się

słyszeć nagle pomieszane głosy, krzyki i nawoływania rozmaitych imion. A krzyki te wybiegały od strony Niemna, którego koryto dość blisko płynęło po za ogrodem antopolskim.

— Co to jest? — zawołała Zuzia, drżąc cała ze strachu. — Tam jakieś nieszczęście się stało! Ciociu na Boga, idź dowiedz się, bo ja się boję.

Panna Maszadro, acz niezbyt nerwowa, uczuła także pewien niepokój i pomieszana widocznie, rzekła do siostrzenicy:

— Najlepiej będzie, gdy pójdziemy stąd do domu, a jeśli to pożar we wsi lub jakie inne nieszczęście się stało, to nas przecie zawiadomią.

Zuzanna, blada i drżąca na całym ciele, dała się powodować ciotce. Wyszły z ogrodu, lecz właśnie, gdy przechodziły dziedziniec, ujrzały gromadę mężczyzn, rozprawiających głośno wpośród bab i dziewczek czeladnych. Dwaj parobcy nieśli jakiś biały przedmiot na rękach, łamiący się własnym ciężarem. A choć już było ciemno, Zuzanna rozpoznała zdaleka, że to było ciało kobiety, zapewne wyciągniętej z wody.

— Ciociu! — krzyknęła, zakrywając twarz rękami. — Oni niosą trupa!... Ktoś się utopił! Co za nieszczęście! Nogi się chwieją pode mną, ja zemdleję...

I rzeczywiście blizką była omdlenia.

Panna Maszadro zaczęła wołać na dworskich, by pośpieszyli ku nim, gdyż pani mdleje, a ona nie ma sił zanieść ją sama do domu. I wnet ich otoczyło kilka bab, wrzeszcząc i lamentując jedna

przez drugą tak, że zrozumieć nie można było, o czym gadały. Tylko jeden wyraz: — Nastka! Nastka! — brzmiał w całym lamencie.

— Mówcież, co się z nią stało? Czy umarła, czy żyje? — zapytała surowo panna Maszadro.

— Oj, nieszczęście!... oj dolaż jej, dola! — wołały wszystkie razem. — Utopiła się, umarła, na śmierć umarła, jejmościuniu złota.

— Ta jeszcze żyje kruszynkę — przerwała druga — bo Maciej mówił, że jej serce bije... Ale to nic, nie na długo... ono tak, jak u topielca.

Zuzanna nagle oprzytomniała i nie zemdlawszy wcale, jako mocna z natury, zawołała:

— Trzeba jej dać ratunek czempredzej; nie tracąc czasu, nieście ją do dworu. Ja wiem, jak ratować topielców; już raz widziałam w domu, jak odratowano napół umarłego.

Rzeczywiście biedna dziewczyna żyła jeszcze, a woda ustami i nozdrzami wybuchała. Owinięto ją w wełniane dery, ogrzewano jej członki i wódkę gwałtem lano w gardło. Po półgodzinnych nad nią usiłowaniach, zaczęła oddychać wolniej, otworzyła oczy, a przypomniawszy, co się z nią stało, wybuchła głośnym płaczem, mówiąc do otaczających ją ludzi:

— Oj, puście mnie, dobrzy ludzie, ja wolę zginąć marnie, jak mieć taki wstyd na całe życie!

A była to ładna, młoda dziewczeczka, córka biednej wdowy, którą zwano komornicą, bo siedziała na pustce a z łaski dworu miała ogród i kilka zagonów. Matka była uczciwą i pracowitą, córka

także używała w całej wsi najlepszej reputacji; nawet synowie bogatych gospodarzy chcieli się z nią żenić, tak dla jej wdzięków, jak i dla nadzwyczajnej pracowitości. Ale odmawiała parobczakom i błagała matkę, by jej nie zmuszała do zamążpójścia, gdyż był ktoś, umiejący piękniej mówić niż prości zalotnicy i obiecywał się z nią ożenić. Ten ktoś był pan Julian Szabrański. Zakochane dziewczę oddało mu się z duszą i ciałem, a on potem porzucił chłopkę, oświadczając jej, że głupia, jeśli naprawdę myśli, że on, szlachcic, młody, piękny i uczony, może z nią się ożenić.

Nieszczęśliwa ofiara łatwowierności, opuszczona i sponiewierana przez kochanka, który już oddawna opuścił Antopol i wyjechał na Wołyń, kryła przed ludźmi i przed matką swoją rozpacz i swój wstyd. Myśl samobójstwa, jak zły duch kusiciel, nie odstępowała jej dniem i nocą. Ale w dziewiętnastym roku życia, żał go jej jeszcze było, żał było starą matkę zostawić samą na świecie. Wszystko jednak ma swój kres, a długa walka z sobą męczy, nuży i obezwładnia słabe dusze. Nastka, nie mogąc już ukryć swojej hańby, bo w całej wsi prawie palcem ją wytykano, postanowiła raz skończyć i szukać spokoju, uciec od ludzi aż na dno rzeki.

Na szczęście czy na nieszczęście, ci sami ludzie, co wczoraj sztydziłi i pomiatali nią, dziś rzucili się z krzykiem i płaczem na jej ratunek.

I wyratowali! Zmuszali ją żyć, płakać i cierpieć... a może i odpokutować życiem za winę życia.

Gdy się pani Haraburdowa dowiedziała od bab wiejskich o tej smutnej historii, wielce się rozczuliła dla ofiary, a srodze oburzyła się na nikczemność uwodziciela; kazała odejść wszystkim i sama tylko została z płaczącą Nastką, siedzącą na ziemi przed ogniem, palącym się na kominie. Panna Tekla wyszła także z pokoju. Gdy się Nastka ujrzała sama z jaśnie dziedziczką, wybuchła głośnem, spazmatycznym szlochaniem, a rzucając się do nóg pani, zawołała błagalnie:

— Pani! dobrodziejko moja! nie potępiajcie mnie i nie patrzcie tak na mnie, jak inni ludzie patrzą... bo mi serce pęknie z bólu.

Zuzia jeszcze w życiu swoim nie widziała takiej rozpaczy; rozplakała się więc rzewnemi łzami, a wzięwszy Nastkę za rękę, rzekła do niej z dobrocią:

— Uspokój się, moja biedna Nastusiu. Ja cię nie potępiam wcale za twój błąd, bo nie ty pierwsza na świecie stałaś się ofiarą podłości ludzkiej; ja ci tylko mam za złe, że nie pamiętając ani na Boga, ani na swoją duszę, chciałaś ją zatracić na wieki! A to wielki grzech, moje dziecko.

— Oj, matko rodzona!... — jęczała Nastka — to „zły“ tak mi doradził; głowa moja pękała, a serce rwało się na szmaty ze wstydu i poniewierki ludzkiej. Matula moja biedna nic niewie, co ja zrobiłam.

Zuzanna pocałowała w czoło strapioną dziewczynę i jeła ją pocieszać, jak mogła, żądając tylko, by jej przysięgła na szkaplerz Matki Boskiej, który miała na piersiach, że już się nie targnie na swoje

życie, a ona zaopiekuje się nią i jej dzieckiem. Nastka przysięgała, że zrobi wszystko, co dobra pani rozkaże, będzie jej służyła do śmierci, byleby ją i jej dziecko wzięła w swoją opiekę. I całowała nogi, kolana pani Haraburdowej, dając jej najśłodsze i najtkliwsze przydomki, będące poezją litewskiego ludu.

Obie kobiety, wyplakawszy się dowoli, zaczęły nareszcie rozmawiać poważnie.

— Ah, jak to dobrze, moja kochana Nastusi! Jeśli ja sama nie będę mogła karmić mego synka, to ty będziesz jego mamką.

Dziewczyna się zamyśliła i odrzekła pokornie:

— Stanie się, jak każecie, moja „najjaśniejsza“ pani; ale kto będzie karmił moje dziecko?

— A no — rzekła trochę zakłopotana pani Zuzanna — oddamy go innej kobiecie... Tak to zawsze bywa!...

I szły dalej narady, gadania, wzajemne zwierzenia się, a po godzinie dwie młode kobiety, pani i poddanka, pokochały się wzajemnie, jakby były sobie równe. Nastka oddałaby życie za panią, a Zuzanna postanowiła bronić i opiekować się Nastusią, jak rodzoną siostrą.

Bodaj to dobroć i niezepsucie światowe!...

W tym samym czasie panna Maszadro chodziła wielkimi krokami po swoim pokoju, zadowolona w głębokich myślach, co znać po jej czepku,

przesuniętym na jedno ucho i tabaczej perełce, wiszącej pod nosem; oczy jej pokrywa jakaś mgła, usta wykrzywają się niby uśmiechem i półgłosem mówi sama do siebie:

— Tak, to będzie pewniej, to będzie lepiej... to będzie rozumniej. Sama Opatrzność podaje mi zemstę w rękę... głupi, kto z niej korzystać nie umie!

Na drugi dzień po tej tragicznej scenie, sprowadzono matkę Nastki do dworu na stałe mieszkanie; pani Zuzanna może po raz pierwszy w życiu okazała ludziom, że umie być panią, obywatelką i opiekunką.

Kazała przywołać do siebie ochmistrzynię i wszystkie kobiety dworskie, poczem odezwała się do nich w te słowa, przybrawszy poważny wyraz twarzy:

— Żądam i rozkazuję, aby ta oto kobieta, ze swoją córką Nastusią, zamieszkały tu, we dworze; starej Hrypinie oddaję zarząd drobiem i nabiąłem, Nastkę zaś biorę do moich usług. Ktoby zaś w czemkolwiek ubliżył tym kobietom słowem dwuznacznem, lub nieprzyzwoitym żartem, ten będzie odpowiadał przede mną i przed moim mężem; ja bowiem w jego imieniu to postanowiłam i jestem pewna, że wszyscy będą temu posłuszni.

Klucznica i baby pokłoniły się nisko jaśnie pani, co miało znaczyć, że zastosują się do jej rozkazu.

Panna Maszadro, zdumiona tą powagą i stanowczością pokornej dotąd i cichej Zuzi, zdziwiła

się bardzo niespodzianem odkryciem woli i rozumu w swojej głupiej, jak ją nazywała, siostrzenicy. Zbliżyła się więc do pani Haraburdowej i rzekła do niej:

— Dziś dopiero poznaje, że jesteś moją krewną; nie umiałam się dotąd poznać na tobie.

* * *

I upłynęło parę dni w spokoju. Odebrano list od pana Haraburdy, donoszący o pomyślnym obrocie interesów. W tym liście było pełno czułości dla żony, komplementów dla ciotki i pytań o potomka. Zalecał przedewszystkiem wielką troskliwość, baczną i opiekę nad żoną. Przyjazdu swego nie oznaczał stanowczo, bo sam nie wiedział, kiedy będzie mógł ruszyć w drogę z powrotem.

Dwa tygodnie upłynęły prędko. Sprowadzono znachorkę, starą Gudulę, mieszkającą o milę od Antopola, którą już знаła pani kapitanowa.

Gudula była znaną w całej okolicy, jako sławna doktorka, umiejąca zamawiać rany od ukąszenia jadowitych wężów, przywracać mleko krowom i odwracać uroki. Była to stara baba, brzydka, jak czarownica, ponura, złowroga, a ogromnie łakoma na pieniądze. To też ludzie mówili, że ona trzyma z dyabłem do współki i że dyabeł jej dopomaga.

Nie miała męża ani dzieci, a żyła tylko z psem i kotem. Panna Tekla znała ją także i wyrozumowała sobie, że znajdzie w niej pomocnicę do wykonania swych zamiarów. Wzięła ją do swego pokoju, zamknęła drzwi na klucz i zaczęła się narada cicha, tajemnicza między niemi.

Po tej naradzie między Morową Panną a czarownicą, stanęło na tem, żeby do Grodna zawieźć panią Haraburdowę.

— W mieście — przekonywała panna Maszadro opierając się temu projektowi Zuzię — daleko łatwiejsze i prędsze środki w niebezpiecznych razach. Pan kapitan oddał mi cię w opiekę i musisz mi być posłuszną. Ja za ciebie odpowiadam. Guduła tak radzi, a ona już wie najlepiej, jak być powinno.

Zuzanna zgodziła się wreszcie na ten wyjazd, dopominała się jednak, aby zabrać z sobą Nastusię, czemu panna Tekla przywodziła.

W Grodnie panna Maszadro miała swój własny dom na Bernardyńskiej ulicy. I dziwnym trafem, w tym domu lokatorem, zajmującym jedną izbę na dole, był pan Onufry Sypełek, z tytułem geometry czyli „komornika“, jak mówią w tamtych stronach, ów przyjaciel pana Szabrańskiego. Panna Maszadro znała pana Sypełka od czasu, jak był jej lokatorem i przyjeżdżał parę razy do Maszadrowa, ofiarując jej swoje usługi w miernictwie, lub w jakiejbądź sprawie zawilej, a trudniej do rozgmatwania. Dotąd panna Tekla nie potrzebowała go nigdy, lecz dziś go sobie przypomniała.

A był to dziwny, szczególny człowiek. Że łotr, sprzedajnik, bez sumienia i wiary, to mniejsza, bo takich jest wielu na świecie; lecz miał niepospolite, nadzwyczajne talenta, jakie nie wielu posiada. Umiał bowiem naśladować każde pismo i to tak doskonale, że żadne podobizny nie mogły być le-

psze. Nadto dorabiał pieczęcie do akt urzędowych, które także umiał tworzyć, jak i pergaminy stare, zbutwiałe. Robiłby nawet fałszywą monetę, gdyby nie obawa, że to przedsięwzięcie może być trochę niebezpieczne.

Bo raz o mało co pan komornik nie popadł w wielką biedę, podrobiwszy dowody legitymacyjne pewnemu mieszczaninowi, z czego miał powstać potomek kasztelanów i wojewodów; w porę się jednak cofnięto, dokumenta spalono i zatarto ich ślady, a bogaty mieszczanin, wyrzekłszy się antenatów, znowu wrócił do swego imienia, opłaciwszy grubo swą zachciankę.

Zacny archeolog uszczęśliwiony był niezmiernie, gdy piątego dnia po przyjeździe panny Maszadro do Grodna, został przywołany do niej,

— Gotuje się dobry interesik — mówił, zacierając ręce i idąc na górę — niedarmo przywołuje mnie do siebie ta Morowa piękność.

Pan Onufry Sypełek był równie elegancki i okazały, jak przyjaciel jego i kolega, pan Julian Szabrański. Idąc do właścicielki domu, wystroił się świątecznie, nie zapomniał nawet o rękawiczkach i perfumach.

Zastał pannę Maszadro zagłębianą w dużym krześle, z głową podpartą na obu rękach. Była wielce zamyśloną, a nawet ponurą.

Zaledwie skinieniem głowy powitała przybyłego, a zapuściwszy weń swój wzrok badawczy, podobny do dwóch noży, zatopionych głęboko w serce czło-

wieka, odezwała się tonem rozkazującym, niby inkwirent jaki:

— Pan jesteś Onufry Sypełek, geometra?

— Do usług jaśnie wielmożnej pani.

— Masz asan jaką fortunę?

— Żadnej, wielmożna pani — odrzekł z udaną pokorą fałszerz. — Żyję uczciwie z pracy rąk, języka i mego geniuszu.. że tak śmiem się wyrazić.

— Nie potrzeba mi ani rąk, ani języka, ani geniuszu waszmości — odparła z dumą Morowa Dziewica. — Ja potrzebuję milczenia i zapłacę za nie dobrze, jeżeli asan podejmiesz się milczeć za pieniądze.

— Cóż łatwiejszego, jaśnie pani? Ja umiem milczeć, jak ryba, jak wieloryb nawet, jeśli tego potrzeba; lecz w pierw muszę wiedzieć, za co będę milczał i jaką jest główna treść milczenia?

Panna Maszadro spuściła oczy, wzdrygnęła się mimowoli, jakby pasując się ze sobą, czy ma się powierzyć temu człowiekowi, gotowemu na wszystko za pieniądze. Ale nie było innego środka, konieczność nagliła, on jeden mógł jej pomóc w zamiarach. Pomyślawszy więc chwilę, rzekła:

— Pani Haraburdowa, siostrzenica moja, powiła córkę; a pan Haraburda zaklął się, że zabije żonę, jeśli nie chłopiec, tylko dziewczyna, na świat przyjdzie.

— To nieszczęście! — zawołał, zwracając oczy w niebo, pan Sypełek. — Jakże tu przemienić?... Gdyby był dokument lub pergamin... jabym zaraz temu zaradził.

— Nie przerywaj asan! — syknęła ostro panna Maszadro. — Ja nie jestem fałszerką do podrabiania papierów, działam uczciwie i legalnie. W tym razie powinnością moją obronić biedną kobietę od śmierci... bo jestem pewną, że pan Haraburda w zapędzie gniewu...

— Zabije żonę — pochwyił domyślny geometra. — O! i ja jestem tego pewny, znam pana kapitana.

— Otóż postanowiłam temu zapobiedz, jako chrześcijanka i bliska krewna pani Haraburdowej. Przypadek dopomógł mi w tej mierze. Jedna ze sług pani kapitanowej powita syna i...

— Cudownie! Same nieba ulitowały się nad panią kapitanową! — zawołał patetycznie pan Sypełek. — Zamienić nie mowłeta i koniec, a może być jaśnie pani pewna, że one nie wydadzą tajemnicy.

Dowcip pana Sypełka nie podobał się pannie Tekli, odparła więc sucho:

— Pan za dużo gadasz, abyś potrafił milczeć.

— Nic mi jeszcze nie włożono w gębę, jaśnie pani — odparł bezczelnie pan komornik — a wierzby wtenczas tylko milczy, kiedy ma paszczę pełną.

Panna Maszadro mówiła dalej, nie patrząc na pana Sypełka:

— I asan będziesz miał czem zapchać swoją paszczę, abyś milczał; w razie zaś, gdy ją otworzysz, pamiętaj, że to ze mną, Teklą Maszadro, będzie sprawa. Ja płacę, ale i mszczę się na zdrajcach.

— Uchowaj Panie od zdrady! — krzyknął niby przerażony pan Onufry. — Prędejbym się udawił własną głową, jak kogo zdradził. To moja zasada.

— Ile pan chcesz za milczenie?—zapytała panna Maszadro, nie wchodząc w dysputę o zasady.

— Jeszcze nie znam interesu — odparł treściwie pan Onufry.

— A prawda, asan jeszcze nie wiesz, co żądam od niego. Słuchaj więc. Ten mały chłopak, dziecko Nastusi i wiarołomnego ojca, będzie uważany odtąd jako syn pana Haraburdy, a chrzciny sprawi mu sam pan Haraburda za przyjazdem, uprawniając swoje ojcostwo; dziewczyna zaś pani Haraburdowej ma być natychmiast ochrzczoneą tu, w Grodnie, a ja z waćpanem będziemy ją trzymać do chrztu.

— Wielki to zaszczyt dla mnie — odparł, kłaniając się nisko, geometra. — Lecz pod jakim nazwiskiem ją ochrzcimy?

-- Mówiłam już asanu — odparła wyniośle, jakby obrażona w swej godności, panna Maszadro— że ja nie jestem fałszerką i postępuję legalnie... Tylko konieczność mię zmusza użyć pewnego...

— Obejście prawa!... — pochwycił pan Sypełek ze złośliwym uśmiechem — i zrobienia małej przemiany w rodzajach... Ale kiedy to w świętych i bogobojnych celach, to sumienie jaśnie pani jest czyste, jak kryształ.

— Nie do asana należy roztrząsać moje sumienie—odparła sucho jaśnie pani—od asana żądam tylko posłuszeństwa dla mej woli... i milczenia, za

co ci zapłacę. Słuchaj więc asan i nie przerywaj. Legalna córka państwa Haraburdów, urodzona z matki Zuzanny Turskiej i ojca Józefa Haraburdy, ma być ochrzczoną w kościele Bernardyńskim, przez księdza, który nie zna wcale tej rodziny i nie ma żadnych stosunków światowych. Następnie wyjmiesz asan kopię metryki i mnie wręczysz.

— Spełnię wolę jaśnie wielmożnej pani i stwierdzą przysięgą, jeśli będzie potrzeba, chociaż nie byłem przy urodzeniu panny Haraburdówny.

— Nikt od asana nie będzie żądał przysięgi; tajemnica bowiem ma być utrzymana tylko dopóty, dopóki ja sama nie uznaję potrzeby jej wyjaśnienia. Asan zostałeś przeze mnie wezwany tylko dlatego, że potrzebuję kogoś za chrzestnego... by akt urodzenia był w porządku należyty. Teraz pytam asana, ile za swoje milczenie żądasz?

— Nie będę się targował z jaśnie panią o marny grosz — odparł z godnością pan komornik — tembardziej, że będę miał zaszczyt być kumem jaśnie pani. Co łaska, wszystko przyjmuję... i to jedynie dlatego, że mię los pokrzywdził.

Panna Tekla pomyślała chwilę, naradzając się ze swoim skąpstwem i obawą zdrady na przypadek, gdyby za mało dała; rzekła więc, zażywając tabakę:

— Dostaniesz asan za swoje milczenie co rok tysiąc złotych.

— To mało jaśnie pani; za gadanie uważałbym to dostateczne, lecz milczenie to rzecz trudna, wymaga bowiem wielkiej mądrości.

— Dobrze — przerwała panna Maszadro — do-

staniesz asan dwa tysiące, czyli trzysta rubli co rok, a po akcie chrztu, dam z góry tysiąc złotych. Lecz jeszcze żądam jednej posługi.

— Bodajby stu! Jestem zawsze na rozkazy jaśnie wielmożnej pani.

— Wyszukasz mi asan jaką zacną, uczciwą kobietę, którejbym mogła powierzyć opiekę małej Haraburdówny, lecz żądam koniecznie uczciwej i sumiennej—dodała z przyciskiem panna Maszadro.

— Znam taką—zawołał z tryumfem Sypełek— i odpowiadam za jej... honor.

— To niepewna ewikcyja — mruknęła panna Tekla. — Zresztą przyprowadzisz ją asan jutro do mnie, a ja sama ją poznam i ocenię.

— Stanie się według woli i rozkazu jaśnie pani.

Gdy pan geometra wyszedł, by spełnić swoją misję, panna Maszadro poszła do pokoju Zuzanny.

Nie widziała ona dotąd swego dziecka i dopiero czując się lekkim snem nieco pokrzepioną, zażądała, by je pokazano.

— Patrzcie wielmożna pani, jaki ładny chłopak, istny ojciec!... — wołała Gudula, pokazując Zuzannie dziecko Nastusi.

Zuzanna obsypywała dziecię pocałunkami, powtarzając z cicha:

— Dzięki Bogu! Jakaż to będzie radość dla męża! Trzeba natychmiast mu donieść.

Znachorka wzięła dziecko z rąk Zuzanny i chciała coś powiedzieć, gdy otworzyły się drzwi z łoskotem

i wpadła z krzykiem blada, jak trup, Nastusia, wołając:

— Gdzie moje dziecko, gdzie mój syn? Ukradli mi mego chłopaka i podłożyli cudzą dziewczuchę!..

A spostrzegając swoje dziecię na rękach znachorki, rzuciła się ku niemu, by je wyrwać z rąk Guduli, wołając:

— To moje; to moje!..

Panna Maszadro patrzyła ostro na znachorkę, jakby ją pytając: skąd ta kobieta wie to, czego nie powinna była wiedzieć.

— Oddalić tę waryatkę! — zawołała groźnie — ona zmysły straciła!

— Moja złota jejmość, moja dobrodziejko — błagała Nastka, składając ręce — ja nie waryatka i klnę się na rany Chrystusa, że to moje dziecko, mój chłopak...

— Oszalałaś! — zawołała z wściekłością panna Maszadro. — To syn pani Haraburdowej, a dziewczyna jest twoją. Patrzaj — dodała, wskazując na omdlałą podczas tej sceny Zuzannę — patrzaj, coś zrobiła twoją głupotą... ona umiera.

Nastka rzeczywiście w tej chwili blizką była obłąkania. Tu jej wmawiają, że to nie jej dziecko... tu umiera jej dobra pani, która ją przygarneła do serca... i to z jej winy!... Powiódłszy błędnym wzrokiem dokoła, zawołała z rozpaczą:

— Ratunku! ratunku!... Dwie czarownice chcą nas zabić i nasze dzieci!..

A wrzeszcząc tak wniebogłose, rzuciła się ku omdlałej Zuzannie, obsypując jej ręce pocałunkami.

Panna Maszadro, lękając się, by te krzyki nie zwróciły uwagi sąsiadów, porwała Nastkę i zatknawszy jej silnie usta chustką, wyniosła ją na własnych rękach do swego pokoju. Tam dozwoiliwszy jej wypłakać się i wyjęczeć do woli, rzekła:

— Słuchaj mnie uważnie, bo od tego, co powiem, zależy twoje życie i życie twego dziecka. Nie mylisz się twierdząc, że chłopiec jest twoim, ale uważaj, co ci powiem. Życie pani Haraburdowej, która cię pokochała, jak własną siostrę, dała przytułek i opiekę tobie i twojej starej matce, jest w wielkim niebezpieczeństwie. Pan Haraburda bowiem, który jest wielkim impetykiem i nie cierpi swojej żony, zapowiedział jej odejść, że jeśli nie będzie miała syna, tylko córkę, to ją powiesi na drzewie... Słyszysz, jaka śmierć czeka twoją panią i dobrodziejkę? Otóż ja, zapobiegając temu, kazałam twego syna oddać pani Haraburdowej, a jej córką będę się sama opiekowała i oddam ją na wychowanie uczciwej kobiecie. Czy rozumiesz? Ty będziesz karmić twego własnego syna, lecz nigdy, przenigdy z ust twoich niema wyjść słowo o tem, co zaszło. Nie powiesz nikomu, nawet księdzu na spowiedzi. A jeśli byś słowo pisnęła, to cie zamknę do lochu na całe życie i już nie ujrzysz nigdy twego dziecka.

Nastusia, zakrywszy głowę fartuchem, głośno jęczała.

— Czego beczysz, głupia?! — zawołała panna Maszadro. — Powinnaś się owszem cieszyć, że syn twój nie będzie prostym chłopem, ale mu dadzą

naukę i majątek; ożeni się bogato i będzie panem, szlachcicem...

— Ale mnie nigdy nie nazwie matką! — wyrzekała, łamiąc ręce, Nastusia—i to całe jego państwo będzie tylko oszukaństwem ludzi.

— Wybieraj więc jedno z dwojga.—krzyknęła groźnie Morowa Panna: — albo pójdziesz do więzienia na całe życie, albo będziesz milczała, jak grób i uszczęśliwisz twego syna.

— O Matko Paczajowska, dopomóż mi!—wyjęła biedna dziewczyna—co ja mam zrobić? Wyrzec się dziecka i oszukiwać dobrych ludzi? Zabijcie mnie lepiej, a po mojej śmierci zrobicie, co zechcecie!...

Kiedy Nastka, niezdecydowana, pasuje się z sobą i własnym sumieniem, wpada znachorka, mówiąc, że pani Haraburdowa dostała maligny i trzeba co prędzej doktora.

Przestraszona panna Tekla pobiegła do siostrzenicy, której stan rzeczywiście był nader niebezpieczny. Przywołany doktor oświadczył, że nie ręczy za jej życie. Jakoż tego samego dnia wieczorem biedna Zuzia umarła, nie uściskawszy nawet swojego dziecka, które ochrzczono imieniem Anny Teresy i oddano pod opiekę niejkiej Bauerowej, Niemce, wdowie bezdzietnej. Panna Maszadro wysłała list do pana Haraburdy, donosząc mu o jego szczęściu i nieszczęściu zarazem, to jest, że ma syna, jak pragnął, ale postradał żonę.

Nastka, którą przekonywano, że to z jej winy umarła pani Haraburdowa, wpadła w nieutulony żal i rozpacz i zgodziła się już na wszystko, czego od

niej wymagano, przysięgając przed krucyfiksem, że nikomu nic nie powie.

Pocziwa Bauerowa serdecznie przygarnęła odaną jej sierotę, nie pytając, czyje to dziecko. Może i robiła o tem jakie wnioski, zwłaszcza, że panna Maszadro hojnie uposażyła swoją pupilę, obiecując Bauerowej, że co pół roku wypłacać jej będzie pewną sumę za małą Terenię i będzie się nią opiekowała przez całe życie, jako sierotą, nie mającą rodziny.

Pan Sypełek dostał z góry swoje tysiąc złotych i milczał, jak niemy.

IX.

Spełzłe nadzieje.

Upłynęło całe lato, nadchodziła jesień, a piękna pani margrabina przemieszkuje ciągle w Sowiej Górze, nie myśląc ani o swoim domku w Pikardyi, ani o Paryżu, do którego nie tęskni. Owszem, jak sama powiada, tak jej dobrze, tak przyjemnie na Litwie, jak w raju i gotowaby na zawsze tu pozostać, gdyby nie interesa majątkowe, które wymagały koniecznie jej obecności we Francyi. Choć odbiera częste listy od swego plenipotentą, wzywające ją do powrotu, odpisuje tylko, wynajduje zwłoki i odkłada swój przyjazd. I nie dziwno, że trzydziestoletnia wdowa nie może się oderwać od miejsc, w których

dla niej zakwitła wiosna uczuć, poezji i tego idealnego piękna, co to się zowie marzeniem na jawie. Jednym słowem, pani margrabina zakochała się w panu Rudominie, a tem silniej i niebezpieczniej, że ta miłość była pierwszą w jej życiu, chociaż to życie liczyło już trzydzieści wiosen.

Najprzód piękna Kasylda postanowiła tylko oczarować pana Rudominę, widzieć go rozkochanego u nóg swoich i wziąć go za męża, jako stosowną partyę dla siebie. Lecz niedarmo mówi przysłowie: „Chłop strzela, Pan Bóg kulę nosi“. Pani margrabina, zastawiając sieci, sama w nie wpadła i stała się z królowej niewolnicą. Pokochała bowiem mądrego pana Jacka tak, jak umieją kochać kobiety trzydziestoletnie, których miłość unieśmiertelnił Balzac w swoich romansach.

Była to miłość płomienna, namiętna, oddana cała swemu ideałowi, gotowa na wszystkie ofiary, jakich jej bóstwo zażąda. Duch w takiej miłości mały bierze udział, ale za to ciało, temperament, zmysły, potęgują jej siłę do olbrzymich rozmiarów i często taka miłość kończy się tragicznie, choć w niej nic nie było tragicznego, prócz burzy zmysłowej. Ludzie jednak apoteozują takie uczucia. Rozkochana pani margrabina zapomniała, że już jej pierwsza młodość przekwitła, że jest wdową, że ma córkę i pod wpływem miłości przeistoczyła sama siebie w młodą, naiwną dziewczę, która kocha po raz pierwszy i pragnie bezbrzeżnego uczucia nawzajem.

A pan Rudomina cóż na to?

Pan Rudomina był także rozkochany w pani margrabinie i także po raz pierwszy w życiu, ale uczucie jego szło inną koleją. Najprzód był oczarowany, olśniony wdziękami i rozumem światowej kobiety; następnie pokochał ją bez celu i bez oględności na jutro, kochał dla samej przyjemności kochania, jak prawdziwy amator, nie myśląc wcale o małżeństwie powtórnem. I każdego wieczora, gdy wracał z Sowiej Góry rozmarzony, rozkochany i gdy mu krew biła do skroni, na wspomnienie pięknej wdowy, brał za pióro i pisał swój „Traktat o wychowaniu“, dowodząc, że wdowiec, mając syna, nie powinien drugi raz się żenić. Jeśli postąpi inaczej popełnia zbrodnię — raz dlatego, że daje dziecku obcą kobietę za matkę; powtóre, że uszczupla mu majątku, dzieląc go na innych członków rodziny, mogących się zrodzić z powtórnego małżeństwa.

Pisanie to uspakajało go, dawało hart i siłę do wstrzymania się od wyznań, które mu cisnęły się na usta wobec czarodziejki.

O mądry panie Rudomino!...

Gdy pani margrabina, rozdrażniona udaną obojętnością i zimną rozwagą pana Jacka, pierwsza wyznała mu swoją miłość i w uniesieniu złożyła gorący pocałunek na jego ustach, pan Rudomina zachwiał się, onieprzytomniał i mimowoli powiedział:

— Kocham cię!

To słowo, wyszłe z ust takiego człowieka, jak pan Rudomina, ma wielkie znaczenie i wkłada nań odpowiedzialność na całe życie. To też gdy sam pan Jacek usłyszał jego oddźwięk, przestraszył się

wielce i już nie nie mówił, tylko całował i całował Kasyldę, chcąc jej także zamknąć usta, by więcej nie mówiła.

Od tej chwili pani margrabina była pewną zwycięstwa i nie ukrywała już wcale swojej miłości przed okiem ludzi. Wszyscy we dworze mówili głośno i po cichu, że ich pani wychodzi za mąż za „hrabiego“ Rudominę.

Pan Rudomina wszelako nie wypowiedział dotąd ostatecznego słowa pięknej wdowie; a choć ich kochanie było w punkcie kulminacyjnym, choć pan Jacek czuł się niejako skrępowany honorem i naglony do ożenienia się z tą, której wyznał miłość, pieczętując to wyznanie pocałunkami, wszelako dziwne jakieś skrupuły, wahanie się, niepokój i trwoga oładnęły jego umysłem. Nie pisał już dalej „Traktatu“, nie czytał Platona, ale jakoś dziwnie posmutniał i stracił tę pewność siebie, która go dotąd uwydatniała wśród ludzi. Nawet dając dyspozycje Moczulskiemu, spuszczał oczy ku ziemi i starał się jak najkrócej rozmawiać z wiernym sługą. Pan Rudomina, rzec można, był jak Adam w raju, kiedy go Ewa skusiła słodkim jabłkiem. A najbardziej stronił od swojej klucznicy, pani Siekluckiej, co to choć była poczciwą z kośćmi, wszakże miała wadę właściwą wszystkim ochmistryniom i starym kobietom: lubiła nowinki i rada je rozpowiadała drugim. Ona jedna nie bała się pana Rudominy i często go zaczepiała poufale, mówiąc z właściwą sobie naiwnością:

— To skaranie Boskie z temi językami!... Czy wie jaśnie pan, że już ludzie go żenią z tą panią na Sowiej Górze, co to jest ponoś kuzynką jaśnie pana? Ja kłóczę się z ludźmi zęb za zęb, że to plotki i oszczerstwa! Bo gdzieżbyto pan miał zrobić takie monstrualne głupstwo i dać macochę biednemu sierotce, coby go poniewierała?

Na taką mowę serdecznej babiny, zwykle pan sędzia nic nie odpowiadał, udawał, że nie słyszy i pytał, czy nie potrzebuje zboża dla kur i indyków. To łagodziło usposobienie pani Siekluckiej, zaczynała znowu gderać na skąpstwo pana Moczulskiego w tej mierze.

Otóż ta pani Sieklucka była prawdziwym archaniołem z ognistym mieczem, stojącym u bram raj i wypędzała zeń nielitościwie Adama.

Szczęśliwszą była Ewa. Jej nikt nie stał na przeszkodzie: ani córka, ani żadna ochmistrzyni, ani jej własne sumienie. Dla niej, odkąd pokochała swój „ideał“, nie było ani dziecka ani świata, ani żadnych obowiązków. Żyła w Edenie, pojąc się miłością i nadzieją, że ten, co potrafił wzbudzić tak gorącą miłość w jej sercu, stanie się wkrótce jej małżonkiem.

Powiedzmy prawdę, na zaletę pani margrabiny, że teraz nie majątek pana Jacka był dla niej celem, ale on sam, jego rozum i jego skromna, cicha, a tak wymowna miłość. Pan Jacek był różnym od innych ludzi.

Pewnego dnia pan Rudomina był jakoś w złym humorze; bolała go głowa od rana, spotkał się z panią

Sieklucką, która mu natrąbiła w uszy rozmaitych plotek i zdało mu się, że Moczulski rozmawiając z nim, miał jakiś złośliwy, a nieprzychylny uśmiech na ustach. Nadto źle spał tej nocy i śniła mu się nieboszczka Dosia cała we łzach, tuląca Mieczka do piersi. Pan Rudomina wielce był wrażliwy i ten sen dziwnie zaniepokoił jego umysł. Zamknął się więc w swojej bibliotece i postanowił tego dnia nie jechać do Sowiej Góry. Dlaczego? On sam nie wiedział. Ot poprostu chciał być sam i czytać. Ale i czytanie mu nie szło. Platon go znudził, Göthe drażnił, a Kant i Hegel sprowadzili mu jeszcze silniejszy ból głowy. Przypadkiem oczy jego zwróciły się na starą, okurzoną książkę pod tytułem: „Zegar monarchów“ i zaczął machinalnie przewracać jej karty, a trafiwszy na „Listy Marka Aureliusza do żony Faustyny“, zaczął je czytać.

Są dnie, w których się wszystko składa na to, by w człowieku wahającym się wywołać silną energię do czynu przedsięwziętego, lub zabić całkowicie ten zamiar i dać mu silną wolę do postąpienia w przeciwnym kierunku. Taki dzień fatalny nadszedł właśnie dla pana Rudominy.

Pan sędzia czytał te słowa Marka Aureliusza:

„O niech mi bogi zapomną, że tak wielki błąd w życiu popełniłem, poświęcając dla ciebie, Faustyno, moją dobrą i skromną Liwię! Wprawdzie ona nie była, jak ty, córką cesarów, tylko zwyczajną obywatelką rzymską; wszelako enoty Liwii czyniły z niej prawdziwą królową, gdy ty, Faustyno, acz wielce gładkiego lica i bystrego rozumu, życiem,

jakie wiesz, stajesz się podobną do greckich heter, nie zaś do dostojnej małżonki cezara. Biedna Liwia umarła dawno i duch jej kosztuje słodczy bogów, a patrząc na mnie ze swoich wyżyn, dziwi się i lituje, że upadłem tak nisko, poślubiając kobietę tak płochą, jak ty, Faustyno...“

Pan Rudomina czytał i rozczytywał się w listach mądrego cezara, a słowa jego zdały mu się pisane ognistemi głoskami, niby owe: „Mane, Tekel, Fares“ na uczcie Baltazara. Po ustach jego błdziły imiona: Liwia, Faustyna, Dorota, Kasylda. Stał się podobny do człowieka, zawieszzonego między niebem a ziemią.

Wtem dał się słyszeć nagle głośny płacz Mieczka i kołatanie jego małą rączką do drzwi biblioteki. Mieczek wołał zagniewanym głosem:

— Otwórz papo!... Sieklucka mówi, że mnie papa nie kocha, ale to nieprawda.

Pan Rudomina poskoczył, jak iskrą elektryczną poruszony, a porywając chłopca na ręce, zapytał z przerażeniem prawie:

— Któż ci to powiedział, dziecię moje drogie, że ja cię nie kocham? Nie wierz temu, ja cię kocham bardzo, bardzo!

I przytulił go do piersi, okrywając pocałunkami.

Mieczek, zawieszony na szyi ojca, jał prawie:

— A to mówiła babcia Sieklucka, że tatko nie kocha ani mnie, ani mamy tej, co poszła do Bozi, że mi chce dać drugą mamę, co będzie bić Mieczka i będzie się nazywać macocha. Ale ja nie chcę tej złej mamy, papeczku drogi, serdeczny; ja tylko kocham tę, co u Bozi....

Pan Rudomina zalał się rzewnymi łzami, a tułac dziecko w objęciach, mówił uroczyście:

— Uspokój się, mój aniołku, nie płacz. Sieklucka tylko żartowała z ciebie, żebyś był grzeczny; a papo ciebie kocha nad życie i nigdy ci nie da drugiej mamy.

— A tę piękną i dobrą mamę, co poszła mieszkać do Bozi, papo bardzo kocha? — pytał okrutnik, nie wiedząc, że nóż zapuszcza w serce ojca.

— Kocham... kocham bardzo! — mówił spazmatycznym głosem pan Rudomina — i przysięgam ci, mój aniołku, że nigdy nie będziesz mieć innej mamy, prócz tej, co poszła do Bozi.

Pan Jacek, mówiąc do dziecka, przysięgał przed samym sobą.

Podczas kiedy się ta uczuciowa scena odbywa w bibliotece, wbiega lokaj i oznajmia, że jaśnie pani margrabina przyjechała z wizytą i jest już w salonie.

Jakby piorun spadł w tej chwili na pana Jacka; zapanował jednak nad sobą i odrzekł spokojnie:

— Dobrze, zaraz tam przyjdę.

Nikt nie dziwił się wcale przybyciu pani margrabiny, jako blizkiej krewnej pana Rudominy; wreszcie nie pierwsza to była wizyta pani de la Prèmonières. Przez czas jej pobytu w Sowiej Górze, pan sędzia często podejmował u siebie piękną wdowę, wyprawiając jej obiady i podwieczorki eleganckie.

Pan sędzia, ukazawszy się w salonie, powitał z uszanowaniem, ale chłodno, etykietalnie, a nawet przymusowo swoją piękną kuzynkę. Pani Kasylda

natychmiast to spostrzegła, a nie mogąc ukryć swego zdziwienia, zapytała z przerażeniem:

— Co ci jest mój drogi? Czy nie jesteś słaby?

— Tak — odpowiedział pan Jacek, nie patrząc w oczy mówiącej.

Piękna wdowa nadstawiła swoje czoło do pocałowania, lecz pan Rudomina ominął to szczęście i bardzo etykalnie pocałował ją w rękę.

Kasylda cofnęła się parę kroków i zawołała głosem nieudanej boleści:

— Ależ ja ciebie nie poznaję! Taka zmiana od wczoraj!

— W czymże tak się odmieniłem? — zapytał chłodno pan Rudomina.

Pani margrabina blizką była spazmów: panując jednak, o ile mogła, nad sobą, udała spokój, a biorąc za rękę swój „ideał“, rzekła:

— *Mon chère ami*, widzę wyraźnie i serce moje odczuwa, że od wczoraj dzieli nas straszna przepaść; w całym twojem obejściu się ze mną, w wyrazie twarzy, w spojrzeniu twojem, widać przymus i obojętność. Na Boga! nie dręcz mnie dłużej, nie udawaj, i powiedz prawdę, co zaszło, co się stało? Czy jakie plotki, czy się gniewasz na mnie?

— Ależ pani — odparł z wymuszonym uśmiechem pan Jacek — czy posądzasz mnie o taką lekkość, bym dawał ucha plotkom? A gniewać się na panią za co? Nie mam najmniejszego powodu.

Ta odpowiedź dobiła całkiem kobietę i nie panując już nad swoim wzruszeniem, zawołała z rozpaczą:

— Więc mnie nie kochasz! Więc udawałeś miłość, lub może zrobiłeś niegodny żart z uczuć biednej kobiety! I dziś, kiedy ona duszą i ciałem należy do ciebie, ty się z niej śmiejesz i odtrącasz ją od siebie!

I pani Kasylda wybuchła głośnym płaczem.

Pan sędzia wyraźnie był pomieszany; stał, jak winowajca, nie miał słów na usprawiedliwienie siebie. Nareszcie po pewnej chwili namysłu, zbliżył się do Kasyldy, omdlewającej prawie w fotelu i biorąc jej piękną, białą rączkę w dłoń swoją, mówił te słowa głosem pełnym spokoju i rozwagi:

— Kasyldo, pani, wyrzekłeś słowa, które głęboko zraniły serce moje; posądziłaś mnie o podłość, którą się brzydzę i gardzę. Lecz ja ci to przebaczam, bo mało mnie znasz pani. Ja w całym moim życiu nie grałem z ludźmi komedyi i nie kłamałem uczuć, miałbym się tak zniżyć wobec ciebie, której oddałem całe moje serce i miłość jedyną, jaką zaznałem w życiu? Tak, powtarzam to dziś jeszcze, może po raz ostatni, że żadnej kobiety tak nie kochałem, jak ciebie, chociaż Bóg widzi, jak serdeczne i szczerze moje uczucie było dla... dla mojej ukochanej żony. Nie była to jednak miłość, jak sam dziś to poznaję: było to przywiązanie, szacunek, przyjaźń, uwielbienie nawet...

Margrabina przerwała mu z twarzą promieniącą radością, choć jeszcze zalaną łzami i w tej chwili wyglądała, jak prawdziwa róża, z błyszczącą na niej rosą.

— Więc mnie kochasz! Więc mi nie odbierasz swego uczucia! O mój najdroższy, przebacz nieszcześliwej tę chwilę zwątpienia... Lecz ja tak jestem trwożną o twoje dla mnie uczucie, że nawet kiedy mi mówisz o zmarłej swej żonie, żmija zazdrości szarpie moje serce!... O! ja ciebie tak Kocham!...

I w uniesieniu namiętnem, kobieta rzuciła się na pana Jacka. Mądry kochanek lekko się wysunął z objęć piękności i rzekł uroczyście:

— Pani droga! nie tu miejsce na podobne rzeczy... może ktoś nadejść!... Mówmy spokojnie!...

Oczy zapłomienionej pani margrabiny trysnęły znowu perlistemi łzami: patrząc jednak bacznie w bladą a surową twarz pana Jacka, rzekła stłumionym głosem:

— Mów pan, słucham cię, bo przewiduję, że od tej rozmowy zależy mój los, szczęście, a może i życie.

Pan Jacek usiadł obok wdowy i patrząc w ziemię, zaczął w ten sposób:

— Srodze zawiniłem względem ciebie, Kasyldo i względem moich powinności jako ojca i opiekuna małego sieroty... Miłość porwała mię swoim wirem, przekroczyłem granice, których człowiek honoru nie powinien nigdy przekroczyć. Za to też błagam cię o przebaczenie i sądzę, że je otrzymam od tak szlachetnej istoty, jaką ty jesteś pani. Pogwałcone zaś obowiązki względem mego syna, będę się starał naprawić w dalszym ciągu życia mego, poświęciwszy je całkiem i wyłącznie dla niego...

— Do czego zmierza to kazanie? — zawołała

Sąsiedzi.

niecierpliwie pani margrabina, obrażona widocznie w własnej dumie i godności. — Oskarżając siebie, starasz się pan mnie potępić... Czy i to ma być także szlachetnością?

— Nie chcesz mię pani zrozumieć, jak widzę— odparł grzecznie pan sędzia—ale przyjdzie czas, że przyznasz sama słuszność moim słowom i memu postępowaniu, a wtedy będę szczęśliwy posiadaniem jej szacunku i przyjaźni trwałej aż do śmierci.

— Przyjaźń! szacunek!—zawołała piękna wdowa. — Czemuż od początku nie przemawiałeś pan do mnie tym językiem?

— I w tem moja wielka wina—odrzekł z pokorą pan Rudomina.—Słusznie mnie o to pani obwiniasz. Nie byłem dość silny ani dość rozsądny, by nakazać ustom milczenie, kiedy serce wołało... Niestety! usta powtórzyły to samo. Acz było to i jest prawdą, wszelako tej prawdy nie wolno mi było wyznać przed tą, która nigdy żoną moją nie może zostać.

— Dlaczego? — spytała złamanym głosem kobieta. — Któż nam może zabronić połączenia się na zawsze, jeżeli się wzajemnie kochamy i szanujemy? Wszak oboje jesteśmy wolni i zależymy tylko od siebie?

— Właśnie, że nie, droga pani—odrzekł z uczuciem pan Rudomina. — Nie jesteśmy niezależni. Ty jesteś matką, ja jestem ojcem i istoty nasze tak moralnie, jak materyalnie, należą do naszych dzieci, sierot. Duchem możemy wylecieć w świat ideałów, bo ducha trudno przykuć do ziemi; lecz tam, gdzie duch panuje, tam cielesność umiera... i nasza mi-

łość idealna, duchowa, może trwać do końca życia, nie obrażając ani praw Bożych, ani ludzkich. Zostaniemy dla siebie na zawsze, czem dziś jesteście.

Mówił to pan Jacek z rozrzewnieniem, a łzy szczere miał w oczach.

Chciał potem ująć rękę pani Kasyldy, by na niej złożyć bratni pocałunek.

Ale pani Kasylda w tej chwili nie zrozumiała zupełnie pana Jacka, a zasadę jego o miłości i obowiązaniach biorąc za hypokryzyę, odrzekła ze spazmatycznym śmiechem, choć łzy gradem zasypywały jej cudną twarz:

— Kochany kuzynie, dałeś mi dziś wielką lekcję moralności; posłuż mi ona na całe życie... Bodajbyś tylko nie żałował tego, żeś zatruł na zawsze spokój i szczęście kobiety, która ci nic złego nie zrobiła... która cię zanadto kochała.

Nie mogła dokończyć, zakryła twarz rękami, pierś jej falowała spazmatycznym płaczem.

Pan Jacek ukląkł przed margrabiną, a będąc pod wpływem dramatu życiowego, którym niegdyś gardził i w który nie wierzył, jako w „chorobliwą fantazyę poetów“, zawołał, jakby mówił sam do siebie:

— Przeklęty, kto za młodu nie przebolewał sercem, kto nie znał miłości w wiosnie życia, bo ona mszcząc się nad nim na starość, bierze na tortury jego serce. Wierzaj mi, Kasyldo — mówił dalej drżącym głosem — jam dotąd nie kochał żadnej kobiety prócz ciebie. Nie wierzyłem nawet w miłość, nazywając ją głupstwem. Dziś, kiedy kocham,

kiedy cierpię z całym pojęciem i świadomością moich cierpień, nie jestem zrozumiany przez tę, którą kocham... I ty szyderstwem depcesz moje serce, kiedyś powinna je ukoić, dodać mu hartu i odwagi dla spełnienia naszego obowiązku... wspólnego!

Pan Rudomina był piękny, wzniosły, kiedy to mówił; z oczu jego mądrych tryskał promień wielkiego poświęcenia, a cała jego twarz tchnęła prawdą i szczerością.

Płocha, acz namiętna, Kasylda odczuła w tej chwili, że ma z człowiekiem żelaznym do czynienia; uwierzyła w prawdę słów jego, a dumna miłością tak niepospolitego charakteru, zatrwożyła się sama, by zbytniem naleganiem o związki małżeńskie nie zbudzić w nim posądzenia jej o niskie cele, aby nie cofnął jej swego szacunku i przyjaźni. Ona pragnęła teraz jakimkolwiek uczuciem panować w sercu pana Rudominy; porwała więc gwałtownie jego rękę i przyciskając ją do ust, mówiła z zapalem:

— Rozumiem cię, rozumiem, mój ideale!... Tyś wielki, a ja mała wobec ciebie. Ale ci dowiodę, że miłość moja nie ustępuje twemu uczuciu. I oto przysięgam ci, że nigdy nie pójdę zamąż, nie będę kochać nikogo, prócz ciebie. Życie moje będę kształtować na wzór twojego. Poświęcę je dla mojej córki, oddam się cała jej wychowaniu, nauczę ją cnót, których sama nie posiadam... Lecz — dodała z wahaniem — zrób mi jedną łaskę... daj słowo... że...

— Rozkazuj! — zawołał rozpromieniony pan Jacek. — Wszystko zrobię, co w mojej mocy...

— Oto pragnę — mówiła pani margrabina, trzymając dłoń pana Rudominy w obu rękach swoich — pragnę całą duszą, aby dzieci nasze kiedyś się połączyły. Niech choć córka moja będzie twoją córką, a syn twój będzie moim zięciem. Umrę szczęśliwa, jeśli mi to przyrzeczesz.

— Dobrze! — zawołał pan sędzia prawie bez namysłu.—I daję ci moje słowo, że tak wychowam syna, iż żadnej nie pokocha kobiety, prócz twojej Maryni.

Pan Rudomina, czysty pan Rudomina nie wiedział sam, jak ciężko zgrzeszył pychą w tej chwili.

Gdy się oboje uspokoili po przejściu „tragicznego momentu“, rozmowa stała się wylewną, szczerą, poufną, anielską. Pani margrabina oświadczyła, że wkrótce opuści Sowią Górę i pojedzie do Paryża tak dla interesów, jak i dla wychowania Maryni. Pan Rudomina obiecał dopomagać radą i osobą swoją we wszystkim nadobnej kuzynce, o jedno tylko prosił, aby mu niezupełnie zcudzoziemczyła synowę, bo pragnie, by przyszła jego córka umiała mówić, pisać i myśleć po polsku. Pani Kasylda przyrzekła uroczyście zastosować się w tem do jego woli.

* * *

Pan kapitan Haraburda, ukończywszy najpomysłniej swój interes sukcesyjny i mając w workach sporą gotówkę, był już na wyjeździe do domu; czuł się najszczęśliwszym z ludzi: po całych dniach biegał po starożytnym grodzie, robiąc sprawunki

dla żony i dla spodziewanego syna. Kupował wszystko ryczałtem, nie rachując się bynajmniej z pieniędzmi, bo tego nie umiał przez całe życie. Płacił, ile żądano, a powtarzał ciągle:

— Byleby się tylko to podobało mojej żonie memu i synowi.

Już parę dni tylko przedzierało go od terminu wyjazdu z Kijowa, gdy przyniesiono mu list z czarną pieczętką, a pod jego adresem.

Był to list panny Maszadro, donoszący o urodzeniu się syna i o śmierci żony.

Pan Haraburda czytał i czytał, nie dowierzając własnym oczom, a ręce mu drżały febrycznie i krew uderzała mu do skroni; a gdy po raz trzeci przeczytał to nieszczęsne pismo, krzyknął okropnym głosem i runął, jak długi, na ziemię.

Pan Haraburda dostał ataku apoplektycznego. Szczęściem doktor mieszkał w tym samym domu; przywołano go natychmiast, puszczone krew choremu, postawiono mu pijawki i użyto wszelkich środków, jakich się zwykle używa w takim razie. Życie pana kapitana ocalono, ale nie wyleczono go z ciężkiej boleści, w jaką zapadł po stracie Zuzi. Jęczał, płakał i wrywał sobie włosy, na co wszystko pozwalał doktor, dowodząc zapewne mądrze, że takie gwałtowne natury tylko gwałtowna bolesć wydobyc może z niebezpieczeństwa.

Biedny pan Haraburda parę tygodni musiał przeleżeć w łóżku. I dziwna rzecz: przez cały ciąg choroby nie wspominał nawet tak upragnionego syna, jakby go wcale nie było na świecie; ciągle

tylko mówił o ukochanej żonie, a płacząc jak bóbr, wyliczał jej cnoty, wdzięki i rozum przed obojętnymi ludźmi, którzy przez grzeczność tylko słuchali jego spowiedzi, na lzy cudze patrząc z równą obojętnością, jak na liście, spadające z drzew w jesieni. Szepitano tylko po cichu: „Jak on kochał żonę!“ — i robiono wnioski o tem, czy też prędko ożeni się z drugą. Na tem kończyło się całe współczucie obojętnych, choć środków materyalnych ratowania zdrowia nie szczędzono, bo chory miał czem płacić.

Nareszcie przyszedłszy całkiem do siebie, pan Haraburda smutny, melancholiczny, zmizerowany, opuścił Kijów. Przyjazd jego do domu rozrzewnił wszystkich domowników; poczciwa czeladź zanosila się z płaczu, widząc jak ich pan, przestąpiwszy próg domu, padł na kolana w sypialnym pokoju przed łóżkiem nieboszczki i zawołał z rozpaczą:

— O Boże, miłosierny Boże! za cóżeś mnie tak ciężko pokarał, odbierając mi najlepszą w świecie kobietę... Niema już jej, niema... i ja już nigdy jej nie ujrzę.

I płakał rzewnymi łzami, i bił się w piersi, i modlił się za spokój duszy ukochanej żony. A gdy, chcąc go pocieszyć, pytano się, czy nie chciałby zobaczyć małego synka, odparł z gniewem:

— Nie pokazujcie mi na oczy tego dzieciaka, to zabójca matki, mojej najdroższej Zuzanny.

I nikt nie śmiał sprezentować panu jego potomka, którego, płacząc ciągle, Nastusia u siebie trzymała.

Panny Maszadro nie było już w Antopolu; po pogrzebie Zuzi, zaraz wyjechała do siebie, powierając malca opiece Nastki, a tłumacząc się przed ludźmi, że strata ukochanej synowicy odbiera jej siły do widzenia się z panem Haraburdą. I nikt się temu nie dziwił.

Po paru tygodniach, gdy się gwałtowna boleść pana kapitana uśmierzyła i łzy nieco oschły, kazał przywołać do siebie mamkę z dziecią. Biedna Nastusia, blada, jak trup, drżąc na całym ciele, jak winowajca przed sędzią, stanęła przed dziećcem. Pan Haraburda, nie patrząc na mamkę, zaczął się przypatrywać dziecku — i mały powiedział prawdę? — w pierwszej chwili uczuł do niego jakąś dziwną odrazę, jakąś instynktową niechęć; nie pocałował go nawet, nie popieścił, tylko rzekł obojętnie:

— Jakaż to brzydota to dziecko! Niepodobny ani trochę do matki.

Obecna temu matka Nastusi, poczciwa, serdeczna kobieta, nieświadoma tajemnicy i pewna tego, co jej powiedziano, że wnuczka jej urodziła się nieżywa, chciała pocieszyć pana Haraburdę:

— Co prawda, to panicz podobny do jaśnie pana, jak dwie krople wody do siebie.

Pan Haraburda nic na to nie odpowiedział, wzruszył tylko ramionami pogardliwie.

I tak znowu upłynęło parę tygodni.

Szczyściem, pan Haraburda, jak wiemy, nie należał do ludzi oddających się długo jednej myśli i jednemu uczuciu. Płakał jeszcze często, modlił się codziennie za duszę nieboszczki, ale tęsknota jego

o wiele się zmniejszyła. Powoli zaczął szukać niewinnej rozrywki, to jest polować, jeździć w sąsiedztwo i znowu uśmiech pokazał się na jego twarzy; a choć jeszcze czuł ciężar na sercu, już nie oddawał się czarnym myślom, które zresztą nic nie pomogą, bo umarłej nie wskrzeszą, a ludzi żywych odstręczają.

Ze zmianą myśli, nastąpiła i zmiana usposobienia dla dziecka; kazał mamce już codzień przychodzić do siebie z małym, zaczął mu się pilniej przypatrywać i równie, jak matka Nastusi, znajdował w nim podobieństwo do siebie. Następnie brał go na ręce, pieścił, całował i dziwił się niezmiernie, dlaczego kilkotygodniowe dziecko nic jeszcze nie gada.

Nastka zawsze smutna, choć nadzwyczajnie przywiązana do dziecka, nie podobała się panu Haraburdzie.

— Ta kobieta nigdy się nie uśmiechnie — mówił pan kapitan do klucznicy — dziwnie ponura i małowólna. Tonie dobrze, żeście wybrali taką mamkę dla mego syna; on z mlekiem gotów wyssać jej charakter i będzie także mrukiem.

Klucznica, którą dawno już świerzbiał język, żeby opowiedzieć panu o katastrofie Nastusi, jej topieniu się, a potem protekcyi nieboszczki pani, pochwyciła tę sposobność i pan Haraburda dowiedział się o wszystkim. Wysłuchawszy całej tej naracyi z wielką uwagą, uczuł wielką litość dla Nastusi, a słowa klucznicy, że ją pani Haraburdowa dziwnie sobie upodobała i uważała, jak równą, tak rozmiękczyły poczciwe serce pana Józefa, że zapytał z wielkim zajęciem:

— A gdzie jest dziecko tej nieszczęśliwej dziewczyny?

— A to proszę jaśnie pana, umarło nieboże, czy już podobno nieżywe przyszło na świat—odpowiedziała ochmistrzyni, rada, że rozmową swoją potrafiła zająć uwagę pana. — Gdzieżby się to cho-
wało?—zrobiła uwagę.—Kiedy matka była topielcem, to dziecko musiało być nieżywe.

Odtąd pan Haraburda inaczej już patrzył na Nastusię i choć z nią wcale nie rozmawiał o jej przeszłości i o nic nie rozpytywał, znać wszakże było, że czuje dla niej pewną życzliwość i sympatyę. A widząc jej gorące przywiązanie i macierzyńską opiekę dla jego synka sieroty, postanowił Nastusię wyposażyć i wydać zamaż za jakiego uczciwego gospodarza.

* * *

Pewnego dnia, gdy pan Haraburda szedł przez las z fuzją na plecach, spotkał się oko w oko z panem Rudominą, który szukał także samotnej przechadzki po wyjeździe pani margrabiny. Sąsiedzi oddawna się nie widzieli i w milczeniu patrzyli na siebie, jakby czekając, który odezwie się pierwszy. Nareszcie pan Rudomina zaczął:

— Kochany sąsiedzie, rad jestem, że cię spotykam i chciej wierzyć, że boleść twoją serdecznie podzielam. Obaśmy teraz wdowcy, każdy z nas ma syna. Boleść naszą ofiarujemy Bogu, którego wyroki są niezbadane, a żyjmy w poświęceniu i miłości dla naszych synów, którzy kiedyś ocieplą i rozradują

naszą starość, jeśli ich wychowamy na godnych obywateli i rozumnych ludzi.

A mówiąc to, pan Rudomina wyciągnął rękę ku panu Haraburdzie. Pan Haraburda ze swej strony uścisnął szczerze dłoń sąsiada i odrzekł:

— Jużto wy, panie Jacku, zawsze umiecie pięknie mówić, a słowa wam, niby kwiaty, z ust wypadają... Ale cóż kiedy macie wiele pychy w sercu i pomiatacie zawsze mniej mądrym od siebie.

Pan sędzia nie obraził się bynajmniej temi słowy pana kapitana i odrzekł z dziwną pokorą w głosie:

— Może masz i słuszność, zacny panie Józefie, dziękuję ci szczerze za twoją przyjacielską uwagę. Lecz któż z nas bez grzechu? Kto nie ma wad i ułomności? Zasługa tylko należy temu, kto je pozna i stara się z nich poprawić.

Pan Haraburda nie wierzył swoim uszom, że to mówi pan Rudomina, a pocziwie jego serce zabolalo go wielce, że tak ostro upokorzył miłość własną tego, co z całą życzliwością wyciągnął doń pierwszą rękę. Chcąc więc naprawić swój błąd, zawołał z życzliwością:

— Daruj mi, drogi panie Jacku, żołnierską moją rubasznosc; już taka moja głupia natura.. co w myśli to i na języku... A na języku nieraz gorzej, niż w myśli. Ty filozof, ty mędrzec... wiesz, kiedy co powiedzieć i jaki dać obrót słowom; a ja! at! Ale co to gadać! Znasz mnie lepiej, niż ja sam siebie i mimo tylu głupstw moich, nie stronisz ode mnie.

Pan Haraburda mówił to drżącym od wzruszenia głosem. Pan Rudomina ze swej strony skłonny był do czułości i przerwał panu Haraburdzie w te słowa:

— Nie znam szlachetniejszego serca, jak twoje, panie Józefie. Zapomnijmy już wszystkich naszych uraz i dziecinnych gniewów; żyjmy odtąd, jak sąsiedzi, jak koledzy szkolni, jak bracia... Mówmy sobie wzajemnie prawdę i wspierajmy się wzajemnie w naszych troskach.

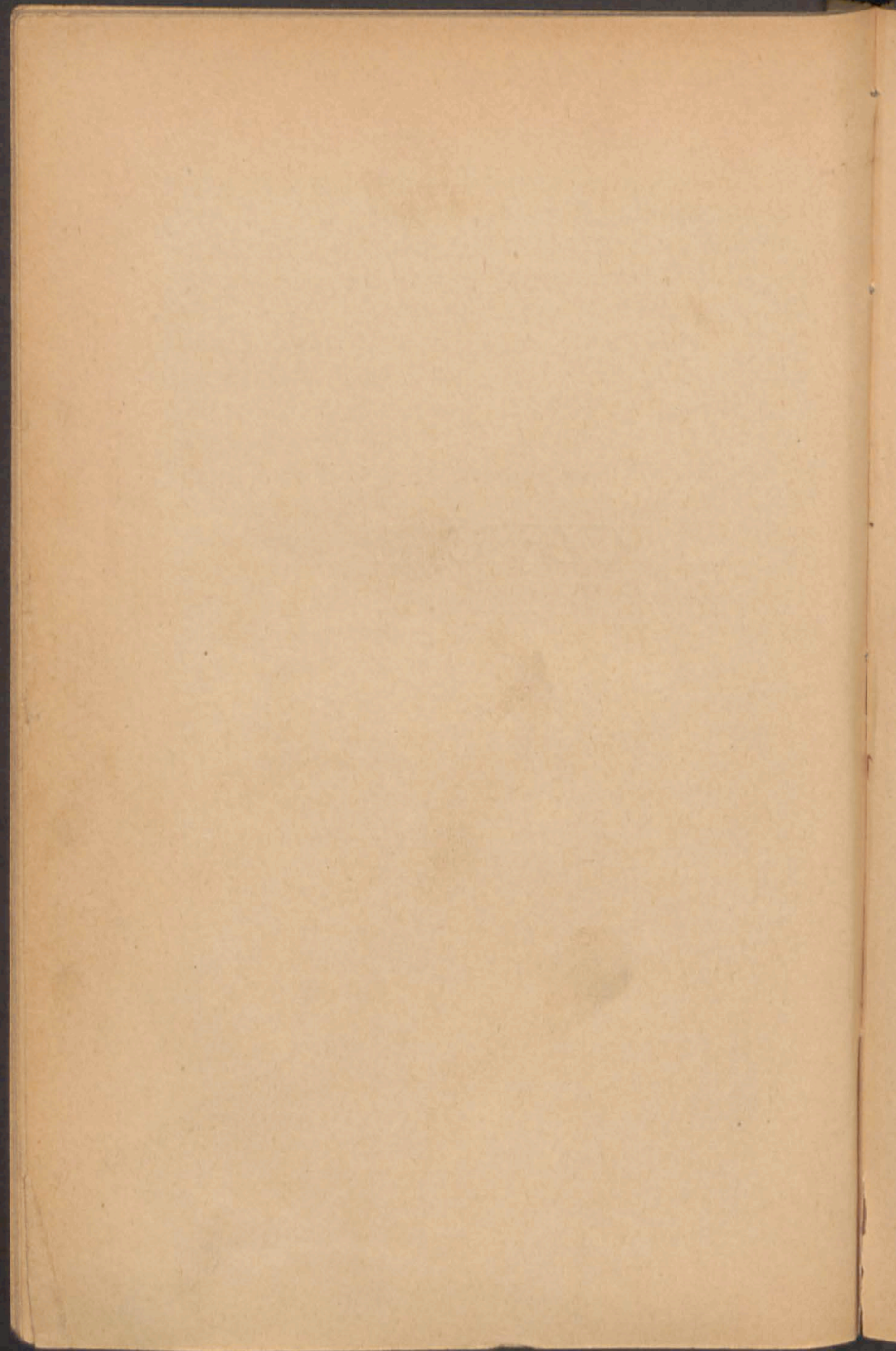
— Święte twoje słowa, mój drogi Jacusiu! — zawołał pan Haraburda, otwierając szeroko ramiona do uścisku bratniego, a oczy jego były łez pełne.— O! jakaż to szkoda — zawołał po chwili namysłu — że jeden z nas nie ma córki! Gdybyś ty nap. panie Jacku, miał córkę, to mój syn z niąby się ożenił i pojednałby nas na całe życie.

— To prawda! — odrzekł z uśmiechem pan Rudomina.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

CZEŚĆ II.

S Y N O W I E.



ROZDZIAŁ I.

Szkolni koledzy.

Jest w Grodnie zajazd, znany powszechnie i uczęszczany przez szlachtę, panów wielmożnych, a nawet przez jaśnie wielmożnych.

Zajazd ten ma szczególne dwie cechy, wyróżniające go od innych zajazdów: dawne istnienie i nadzwyczajne niechlujstwo. Gdzie rzucisz okiem, wszędzie brud; śmiecie tygodniowe leżą kupami na dziedzińcu, woda w rynsztokach cuchnąca, a w pokojach gościnnych kurz warstwami na wszystkich sprzętach.

Krzesła, stoły, łóżka, stoczone robactwem, z wypadłemi wnętrzościami, połamanemi nogami i połamaniemionemi pokrowcami, drogocennemi niegdyś, jak mówi podanie o świetności zajazdu. Numerów, znanych także z tradycyi, było w zajeździe cztery; przechowały się w nich, niby w składzie archeologicznym, stare owe rupiecia. Nazywano te numera „pryncypalnemi pokojami“, miały bowiem krzesła, stoliki, łóżka i lustra, krzywo odbijające w sobie przedmioty, a nadto landszafty kolorowe z Genowefą Brabancką, oraz ważniejszymi scenami z opery „Wolny Strzelec“.

Tak utrzymywała pani Mendlową, właścicielka zajazdu, która się nietylko znała i przyjaźniła z całą okoliczną szlachtą, ale była także skarbnicą erudycyi historycznej.

Inne numera, zwane już tylko „stancyami“, nie należały do kategorii historycznych; były to poprostu brudne dziury, każda z jednym łóżkiem bez materaca, a nawet bez siennika, przytrząśniętem z lekka starą słomą, z jednym drewnianym stołkiem i czemś mającem pozory stołu. Nie opłacano wprawdzie drogo tych numerów, ale też nie zalecały się najmniejszą wygodą; mimo to zawsze były zajęte. Bo gdy inne, o wiele porządniejsze zajazdy grodzieńskie utyskiwały na brak gości, u pani Mendlowej zawsze było pełno, tak, iż musiano odmawiać mniej „ważnym“ osobom przyjęcia. Na dziedzińcu stały karety, landary, nejtyczanki, bo wozownia, zbyt mała, niemogła pomieścić naraz tyle pojazdów. A choć deszcz moczył i słońce przepalało lakiery i skóry, szlachta zajeżdżała do pani Mendlowej, a nie gdzieindziej.

Nie sam tylko stary nałóg sprowadzał tam licznych gości; sama właścicielka niemało przyczyniała się do tej sympatyi dla swego brudnego zajazdu. Pani Sara Mendlowa była typem dziś już rzadkim, portretowym. Ogromna, tłusta, wesola, uprzejma, serdeczna, znała wszystkich, znała każdego interesa, przymioty i wady; lubiła swatać i prawić miłe wszystkim komplementa. Mimo swej świadomości o wszystkim, nie była nigdy niedyskretną; owszem, wiernie dotrzymywała powierzonego jej sekretu. Bardzo

lubiała godzić poróżnionych sąsiadów obywateli, a udawało się jej to często z wielkim tryumfem i sławą. Pożyczała chętnie pieniędzy znajomym i zaufanym panom, była niezmiernie cierpliwą, dyskretną wierzycielką. Nie dziw więc, że pani Mendlowa posiadała taką estymę u szlachty, a nawet u szaraczków i chłopów, bo dla wszystkich była dobrą, naturalnie w miarę ich wartości osobistej.

Pani Mendlowa dla każdego ze swoich gości miała inną, odpowiednią nazwę, i odpowiednie przemówienie. Tego witała: „Jak się masz acan?“—innego znowuż: „Witam kochanego pana“. Ojciec familii, obywatel zacny, zamożny, był witany wykrzyknikiem: „A! wielmożny, mój zacny papa dobrodziej... padam do nóżek! Co za szczęście dla mnie witać tak znakomitego gościa!“ Jaśnie wielmożny znowu inaczej był witany, z pewną wykwinną etykietą: „Ścieleę się do stóp jaśnie pana; to wielki dla mnie honor, że jaśnie pan nie pomiął, będąc w Grodnie, swojej uniżonej sługi. Proszę, bardzo proszę pofatygować się na górę; jest numer *Radziwiłowski* na usługi pańskie“. Za takim gościem uprzejma gospodyni zajazdu sama wchodziła do numeru pryncypalnego ścierała kurze i wskazywała fotel do siedzenia.

Jako dyskretna, znająca dobrze humory i usposobienia swoich gości, zwykle nie bawiła długo, nie chcąc być natrętną, chyba, że sam gość prosił, by mu udzieliła coś ze swoich licznych wiadomości. Wówczas pani Mendlowa skłaniała się chętnie do prośby, zostawała na herbacie, którą bardzo lubiała,—

i rozmowa szła wielce ożywiona, a nieraz i poufna, między jaśnie panem a panią Mendlową.

Za to pana Mendla mało kto znał i prawie nigdy go nie widywał. Mąż pani Mendlowej podobno był bardzo uczony, ciągle siedział nad „Talmudem“ i wyciągał stamtąd korzyści duchowe, gdy praktyczna żona zajęta była tylko światowemi korzyściami. Mimo to, małżeństwo żyło w przykładowej zgodzie.

Pewnej soboty, pani Mendlowa, ubrana w perły na szyi i zausznice brylantowe, w grodeturowej sukni z bardzo krótkim stanem i w czepcu z kwiatami, stała na ganku, trzymając się pod boki, jak było jej zwyczajem, kiedy odpoczywała, gdy zajechał z turkotem jednokonny wehikuł z banhofu kolei żelaznej, jak się można było domyślać z dwóch dużych tłumoków, zaledwie się mieszczących na małej dorożce, a podtrzymywanych rękami siedzącego w niej mężczyzny. Nowoprzybyły gość był młody, przystojny, i choć w podróznym stroju, znać było wykwintność i gust zagraniczny.

Pani Mendlowa, popatrzwszy uważnie na swego gościa, zawołała radosnym głosem:

— Jaktó? czy mnie oczy nie mylą?... To mój kochany, wielmożny pan Mieczysław Rudomina... Aj, aj! aż mi serce bije z radości! Jak się pan ma? Proszę wysiadać, jest dla pana pokój *Kasztelański*.

Mówiąc to, własnymi rękami zdejmowała dość ciężki tłumok, by ułatwić przybyłemu wyjście z dorożki.

Młody człowiek, a był nim rzeczywiście pan Mieczysław Rudomina, wyskoczył lekko i z uprzejmym uśmiechem podał rękę pani Mendlowej, mówiąc:

— Witam, serdecznie witam kochaną panią Mendlowę! Jakże zdrowie, co tu słyhać? Tak dawno już nie byłem w Grodnie, że doprawdy z dziwną radością ujrzałem hotel pani Mendlowej, jakby to był już mój kochany Janopol.

— Aj! aj! — cmokała rozpromieniona pani Mendlowa — co to będzie radości dla papy, dla jaśnie pana sędziego! Jak on się ucieszy przyjazdem swego jedynaka! A to blisko dwa roki, jak wielmożny pan Mieczek wyjechał do Paryża i tak długo tam siedział. No, ale ja się temu nie dziwię — mówiła z domyślnym uśmiechem pani Mendlowa — ja wiem wiele rzeczy, choć nie nie mówię.

Cała ta rozmowa toczyła się na ciemnych i dziurawych wschodach, wiodących do *Kasztelańskiego* numeru.

Gdy Mieczysław zdjął kapelusz i paltot, prosił panią Mendlowę, by usiadła, i jął rozpytywać o swego drogiego ojca, o którego zdrowiu musiała zapewne wiedzieć pani Mendlowa.

— Co nie mam wiedzieć, jak się ma jasny pan sędzia? — mówiła z zadowoleniem pani Mendlowa. — Albo to dziedzic Janopola staje gdzieindziej, a nie u swojej starej Mendlowej? Dwa tygodnie temu właśnie był w Grodnie i przez całą dobę stał oto w tym samym numerze. Nu, chwalić Pana Boga, papa wielmożny zdrów, nic mu nie brakuje, zawsze mądry i łaskaw dla wszystkich, a choć

nie chciał zostać marszałkiem, jak go cała okoliczna szlachta o to prosiła, to wyprawił wielki obiad dla panów obywateli i mówił... Nu, ja wiem, co mówił, choć tam nie byłam.

— Cóż mówił, kochana pani Mendlowa? — pytał z widocznym wzruszeniem młody Rudomina. — Wiesz pani, że wszystko, co się tyczy mego ojca, mocno mnie interesuje.

— Albo ja tego nie wiem — odparła, kiwając głową, mądra Żydówka — jak pan Mieczysław kocha i szanuje swego papę i jak ten papa miłuje swego jedynaka? Ale co prawda, że warto kochać takiego ładnego i rozumnego, jak wielmożny pan.

— Ale co mówił mój ojciec na owym obiedzie? — przerwał Mieczysław, ciekawy szczegółów o ojcu.

— Nu, mówił wiele rzeczy mądrych, jak zawsze. Dziękował pięknie panom obywatelom, że go koniecznie chcą obrać gospodarzem powiatu, ale mówił też pan sędzia: — Już ja jestem za stary na ten dostojny urząd; mój syn go spełni lepiej niż ja, jeśli wasz wybór padnie z równą życzliwością na niego.

— Ja? — zawołał ze zdumieniem Mieczysław. — Ja mam być marszałkiem? Ależ ja nie mam do tego żadnych kwalifikacyj?

— Co to kwalifikacyj? Jakiej kwalifikacji? — mówiła przekonywająco pani Mendlowa. — Czy to wielmożny pan nie ma delikatnego rozumu, nauki i milionowej fortuny, żeby nie mógł być marszałkiem? Kto tu na całą okoliczność bogatszy i rozumniejszy od pana Rudominy? A wiadomo, co przysłówie mówi:

Jakie drzewo — taki klin,
Jaki ojciec — taki syn.

Mieczysław rozśmiał się i rzekł:

— To przysłowie niezawsze się sprawdza w życiu. Ale proszę panią Mendlowę, aby była łaskawa nie przestraszała mnie tak na początku mego przyjazdu z zagranicy, prorokując mi przyszłe marszałkostwo. Doprawdy, gotowem zaraz wrócić do Paryża, aby nie zostać marszałkiem.

— To od woli wielmożnego pana zależy — rozśmiała się także pani Mendlowa. — Ja przecież gwałtem nie zrobię marszałka z pana. Ale jakby to było pięknie, żeby taki młody już był marszałkiem powiatu. Herste! Niejedenby pękł z zazdrości. Ot, nie długo szukając, taki pan Aleksander Haraburda, pański sąsiad, oddałby cały Antopol, żeby go wybrano na marszałka.

Mieczysław, chcąc już skończyć rozmowę o marszałkostwie, zapytał ciekawie:

— A, powiedz też kochana pani, co się dzieje z Olesiem, z moim przyjacielem i kolegą szkolnym? To dobry, poczciwy chłopiec.

Pani Mendlowa milczała dość długą chwilę, kiwając głową i uśmiechając się dowcipnie; nareszcie zaczęła zwolna prawić:

— On, ten urwis Oleś, przyjaciel i kolega pana Mieczysława Rudominy? To mnie dziwi, to mnie mocno dziwi! Jaki to może być kolega, kiedy on wyszedł z trzeciej klasy i już więcej nie wrócił do szkół mówiąc, że już wszystko umie, co potrzeba na obywatela? Nu, a pan Mieczysław Rudomina nie

tylko, że skończył szkoły, ale pojechał jeszcze na Uniwersytet do Dorpatu i tam ze cztery lata uczył się rozmaitych mądrości. I jakie to koleżeństwo, jaka to przyjaźń może być między mądrym a głupim?.

— Oh, za bardzo jesteś pani surową dla biednego Haraburdy; można się długo uczyć i niewiele umieć, a przeciwnie—brak wiadomości książkowych często zastępuje zdrowy rozsądek i praktyka życia. Oleś, chociaż nie skończył szkół, miał przecie wiele wrodzonego dowcipu i to, czego się nauczył, rozumiał dobrze. Byliśmy zawsze dobrymi przyjaciółmi od najmłodszych lat. Przecieżeśmy razem na jednej łące grali w piłkę i w śnieżki; czubiliśmy się i przepaszali. Są to wspomnienia lat dziecinnych, najmilszych w życiu i nigdy nie zatartych. O! moja pani Mendlowa — mówił Rudomina z pewną poetyczną melancholią w głosie — kto dobrowolnie potarga pamiątki z dziecinnych lat, ten wątpliwe ma prawo do nazwy człowieka.

Te wyrazy, wypowiedzane bez względu na miejsce i osobę słuchającą, ujawniały naturę szczerą i poetyczną, skłonną do marzeń i do uniesień.

Pani Mendlowa spojrziała badawczo na mówiącego, a że instynktem odgadywała wszystko, nawet to, co niezrozumiałe było w słowach, odparła więc sentencyonalnie:

— Nu, ja widzę, że wielmożny pan nie tylko mądry, ale i dobre, poczciwe ma serce. To rarytas! Ale ja zawsze mówię prawdę i cenię ludzi podług mego głupiego rozumu, więc jeszcze raz powtórzę, że ten pan Oleś Haraburda, to nie wart panu Mie-

czysławowi czyścić buty... z przeproszeniem pańskim. Już ja nie mówię, co on umie, ale co on robi.

— A cóż on złego robi? — przerwał, niecierpliwiąc się widocznie, młody Rudomina. — Że siedzi przy ojcu i pomaga mu w gospodarstwie, to bardzo naturalne. Pan kapitan już stary, przytem scho-rzały, syn więc jest mu pomocą i wyęczeniem.

Pani Mendłowa zaczęła się śmiać głośno, a całe jej obfite ciało trzęsło się w krześle. Wyśmiawszy się nareszcie dowoli, rzekła:

— Jakto znać, że pan wraca z Paryża, bo nic nie wie, co się dzieje w jego sąsiedztwie. Ha, ha, ha! Pan Aleksander gospodaruje, pomaga ojcu! Prawda, że on pomaga ojcu, ale do tracenia pieniędzy. On nic nie robi, nie zna nawet, co pszenica a co owies. Jeździ tylko po całej gubernii i szuka posażnej panny, ale wszędzie dają mu odkosza, bo kawaler niewiele wart, a majątek zadłużony po uszy. Czy wie wielmożny pan, że pan Oleś ma długów w Grodnie więcej niż włosów na głowie? Już mu teraz żaden Żydek nie pożyczycy i dwóch złotych, bo stary pan Haraburda zapowiedział, że nikomu nie odda, kto będzie pożyczyczał jego synalkowi i nie chce wcale słyszeć o jego długach. On i ojciec żyją, jak pies z kotem. Syn czeka tylko śmierci starego, a ojciec odgraża się, że go wydziedziczy za tyle zmartwień, co mu narobił w życiu. Aj! to długie historye gadać o nim, jak on okpiwa ojca, żeby dostać pieniędzy. A jak ma pieniądze, to zaraz prze-hula w Grodnie, albo w karty przegra.

Mieczysław, paląc cygaro, zamyślił się głęboko i rzekł z cicha:

— To smutne, to bardzo smutne, co słyszę. Biedny Oleś, za lekko patrzy na życie. Ale to młodość, niedoświadczenie; z czasem przyjdzie rozwaga i poprawi się z tych wad.

Gdy Mieczysław domawiał tych słów, na dziedzińcu zajazdu dały się słyszeć silne trzaskania z bata i turkot powozu.

— Ktoś przyjechał! — zawołała, zrywając się z krzesła, pani Mendlowa.— Wielmożny pan przebaczy, że ja wyjdę, ale muszę sama widzieć gościa, żeby wiedzieć, jaki dać mu numer.

I mówiąc to, śpiesznie wyszła.

My tymczasem przypatrzmy się bliżej młodemu człowiekowi.

Mieczysław Rudomina jest to słuszny, pięknej budowy mężczyzna, liczący lat dwadzieścia kilka; wygląda jednak na więcej, wskutek czarnej brody i bujnego zarostu twarzy. Twarz jego ściągła, blada, o dziwnie delikatnych rysach i prześlicznych ciemnych oczach, wzbudzała odrazu ciekawość, zajęcie i mimowolne pytanie: — Kto to jest?—Młody Rudomina żywy był z natury, serdeczny i łatwy w pożyciu, kochany przez kolegów i przyjaciół za dziwną gotowość do usług i poświęceń; nie zwykł się liczyć z następstwami, za które odpowiedzialność zwykle sam brał na siebie. Kieszeń jego, równie jak serce, zawsze była otwartą i hojną. W uniwersytecie uchodził nawet za dzielnego bursza, należąc zwykle do hazardowych figlów młodości. Mimo to wszakże

w gruncie był to umysł poetyczno-melancholiczny; wszystko, co zmysłowe, dotykało go tylko po wierzchu, nie dochodząc głębin duszy. Śmiał się, dowcipkował, robił nieraz głupstwa, ale sam się niemi nie bawił; często znudzony powtarzał w duchu:

— Jakże mię męczy takie bawienie drugich!

Dziwna była sprzeczność w jego charakterze, którą ci tylko pojowali, co znali pierwotne jego wychowanie. Mieczysław lękał się, jak hańby, by go nie posądzono o poetyczność. Najwznioślejsze swoje myśli i pojęcia oblekał w słowa żartu, a niekiedy egoizmu. Śmiał się głośno z poetów, a nocami całemi pożerał ich utwory, płonąc ich ogniem natchnienia. Sam także pisał wiersze do nieznanego ideału, ale wolałby niemal oddać głowę pod topór, jak żeby je oko ludzkie ujrzeć miało. Stary pan Rudomina rozpywał się z radości, że syn jego taki mądry, uczony, a bynajmniej nie poeta. Wszelako piękna, wyrazista twarz Mieczysława zdradzała jego walkę wewnętrzną; kto się tylko w nią pilnie wpatrzył, łatwo rozpoznał maskę, pokrywającą wulkan wewnętrzny. On jeden tylko nie przypuszczał, by się domyślano jego wewnętrznej wartości. Była to, że tak się wyrazimy, prawdziwa westalka, pielęgnująca swój święty ogień dla niewidzialnych bogów, a kryjąca go starannie przed oczyma ludzi.

Dziwny był stosunek między ojcem a synem. Stary Rudomina kochał syna namiętnie, bezgranicznie, widząc w nim wszystkie doskonałości, przechodzące nawet granice jego marzeń; widział w nim „ideał obywatela greckiego“, jak go sobie młodzień-

cze pojęcia starego dziś Rudominy wypieściły. I przypisywał to już widocznej nad nim łasce Boga, już swojemu „Pamiętnikowi o wychowaniu młodzieńca“, w którym wyłożone zasady tak świetne wydały owoce.

Mieczysław mało powiedział, że kochał ojca; on go czcił, uwielbiał, apoteozował. Jego ojciec był wzorem ojców, wzorem obywateli, wzorem cnót wszystkich.

A jednak dwie te istoty, tak się nawzajem kochające i wielbiące, miały dla siebie tajemnice. Mieczysław nie wydał się nigdy z tem przed ojcem, że jest poetą, marzycielem i że rutynowa droga życia jest dla niego nieznośną; że gardził owym szematem praktyczności, do którego się stosują wszystkie czynności życiowe. Aczkolwiek stawiał ojca na najwyższym piedestale swojej wyobraźni, nie wypowiedział mu jednak nigdy ostatniego słowa swych myśli. Pan sędzia znowu, ze swojej strony, krył w głębiach swej duszy jakąś obawę, jakiś frasunek, którego sam określić nie umiał. Była to poprostu niepewność, czy syn ufa mu ślepo, i czy, mimo „ubitego gościńca“, jaki mu wytknął ojciec, nie zbacza na jakąś ścieżkę, wiodącą na Parnas.

Mieczysław we wszystkim idąc za mądrą radą ojca, nie sprzeciwiał mu się w niczem, wola jego zawsze szła w zgodzie z wolą ojca. Skończywszy szkoły, pojechał do Dorpatu, tam studyował prawo i filologię. Gdy ukończył chlubnie uniwersytet, oświadczył mu ojciec, że odtąd jest panem swoich

czynności i może robić, co mu się podoba; dodał wszelako, że mniema, iż dla młodzieńca wykształconego dobrze byłoby poznać świat ze strony praktycznej i zwiedzić obce kraje. Mieczysław zgodził się najchętniej na podróżowanie i uściskał z czułością ojca za jego radę.

Następnie pan sędzia oświadczył synowi w słowach pięknych, kwiecistych, jak to umiał, że największem jego szczęściem byłoby, gdyby Mieczysław poślubił córkę pani margrabiny de la Prémonières; aczkolwiek go wcale nie zmusza do tego, ma jednak błogą nadzieję, że Mieczysław, skoro pozna pannę i jej zacną matkę, będzie szczęśliwy, spełniając dawne rodzicielskie projekta. Mieczysław, nasłuchawszy się od dzieciństwa rozlicznych pochwał o pani margrabinie i o małej Maryni, którą pamiętał, jak przez sen, jako prześliczną i prześlicznie zawsze ubraną, odrzekł wpół żartem, wpół seryo:

— Ależ kochany papo, złote kajdany wkładasz na mnie i sędzę, że ja sam ich nie zerwę. Ta piękna Marynia, która miała lat sześć, kiedy ja miałem lat cztery i nic nie umiała po polsku, bo ją uczyłem jak chleb, jak woda, jak poziomka i kwiatek, to moja uczenica. Sędzę, że jeśli nie miłość, to pamięć życzliwą przechowała dla swego pierwszego nauczyciela. Wprawdzie i ona mnie uczyła nie jednej zabawki; więc jeśli się oboje z wolnem sercem spotkamy, to cóż naturalniejszego jak to, że się zabawimy w najpiękniejszą zabawę, jaka jest na świecie, to jest w miłość. A że panna Marya

jest o parę lat starszą ode mnie, będzie więc moją nauczycielką raz jeszcze, bo ja daję słowo kochanemu papie, że w studyach tego rodzaju nie jestem nawet początkującym.

Pan Rudomina patrzył na syna z wielkim niepokojem; zdało mu się, że za lekko traktował rzecz tak poważną, jak małżeństwo. Wszelako, nie robiąc żadnych uwag, odezwał się głosem uroczystym:

— Dziękuję ci, drogi synu, za tę szczerłość i otwartość z jaką mówisz do ojca i cieszę się niezmiernie, że serce twoje zupełnie jest wolne. Tem łatwiej będzie ci spełnić moją wolę, a raczej moje życzenie, byś pojął za żonę pannę de la Prémonières.

Mieczysław lekko się zarumienił; zdało mu się w tej chwili, że jest niewolnikiem, że odbierają mu własną wolę i robią go narzędziem cudzej idei. Lecz wnet się opamiętawszy myśla, że nie zna jeszcze tej, przeciwko której chce bunt podnosić, odparł z lekką ironią:

— Na wszystko się zgadzam, kochany ojcze, co tylko może zrobić ci przyjemność; lecz czy panna Marya, która dziś ma lat dwadzieścia siedm, bo ja mam dwadzieścia pięć, zachowała równie dziewicze serce, jak ja w mojej głupocie? Bo pozwolisz, kochany papo, nazwać to głupstwem, aby człowiek, doszedłszy lat dwudziestu pięciu, ani razu się nie kochał... Przypominam nawet sobie w tej chwili, co sam powiadasz w swoich „Pamiętnikach o wychowaniu młodzieńca“, że młody człowiek, przed ożenieniem się, powinien koniecznie przejść przez szal miłości; nazywasz to wprawdzie „chorobą“,

„ospą“, ale wszelako konieczną, by małżeństwo, oparte na szacunku i przyjaźni, nie podpadło nigdy tej chorobie w „bocznym kierunku“.

Mądry pan sędzia przygryzł usta, zamyślił się chwilę, nareszcie rzekł:

— Masz zupełną rację, mój drogi, przytaczając mi własne moje zdanie, że dobrze jest, gdy młody człowiek przed ożenieniem się przejdzie tę nieuniknioną chorobę młodości, którą nazywają poezją, miłością, szalem. Tak jest; by napój został klarownym, naprzód musi fermentować. Lecz są natury wyjątkowe, że tak powiem — wybrane, co za młodu wchodzi na drogi poważne, mądre i ogarniają myślą cały przestwór, nie przechodząc ciężką drogą doświadczeń. Jeśli się nie mylę, ty właśnie do takich osobistości należysz. Dla ciebie nie potrzeba kłaść palca w ogień, by mieć pewność, że on parzy. Pokochasz tę, z którą się ożenisz, która będzie towarzyszką twego życia i walk w niem koniecznych: tę, która będzie matką twoich dzieci i odda się cała ich wychowaniu i twemu szczęściu.

— I ja myślę, że to najlepiej i najpraktyczniej — odparł wesołym tonem Mieczysław. — Wszelako tu nie o mnie główna kwestya, tylko o pannę de la Prémonières. Czy możemy być pewni, że podziela nasze zasady? A jeśli już kocha innego?

Na ten ostatni argument pan Rudomina poszedł do biurka, wyjął ostatni list pani margrabiny, świeżej bardzo daty i dał go do czytania synowi. W liście tym stało wyraźnie, że pani de la Prémonières żywi gorącą nadzieję spełnienia obustronnych przyrzeczeń

co do połączenia dzieci węzłami małżeńskimi; dodaje nadto, że jej córka, oswojona od dzieciństwa z tą myślą, iż jest narzeczoną pana Mieczysława, nie oddała nikomu swego serca, mimo przedstawiających się jej licznych partyj i dzielając całkowicie przekonania i zasady matki, postanowiła chętnie czekać, dopóki młody pan Rudomina nie przyjedzie do sam Paryża dla poznania się i porozumienia wzajemnego. Następnie szły pochwały, wygłaszające zalety, do broć i talenta jedynaczki, która nietylko władała doskonale obcemi językami, ale po polsku mówiła i pisała poprawnie, jak to było życzeniem pana sędziego. Opisując wdzięki córki, nie przysłała wszakże pani margrabina jej fotografii, mimo, że o to już kilka razy pan Rudomina prosił. Dlaczego?... Oto pro prostu dlatego, żeby Mieczysław był zaciekawiony i nie oswoił się z rysami tej, której nie znał. Portret będzie niemy, martwy; można krytykować z niego osobę i wynajdywać w niej wady, choćby tylko co do zewnątrzności; żywy zaś obraz zaciera wszystkie niedostatki ruchem wewnętrznym, życiem słowa, uśmiechu, oraz duchowym blaskiem, tryskającym z oczu, które, jak ktoś powiedział, są zwierciadłem duszy. Otóż te zwierciadła na fotografii byłyby za bardzo matowe i mogłyby dać fałszywe wyobrażenie o swej rzeczywistej piękności.

Po tej rozmowie i po przeczytaniu listów pani de la Prémonières, Mieczysław uczuł się już w obowiązku „narzeczonego“ i z uśmiechem wesołym oświadczył ojcu, że skoro mu przeznaczono od lat dziecinnych mieć za żonę margrabiankę, on się

bynajmniej temu nie sprzeciwia; owszem, zgadzasię jechać do Paryża, by ujrzeć nieznaną „ideał“ i wyznać mu swoje uczucia, które, jak się spodziewa, będą gorące bo pierwsze, dla nikogo jeszcze nie użyte.

Pan Rudomina uściskał syna, dziękując mu jeszcze raz za posłuszeństwo woli ojcowskiej i rękując mu szczęście na całe życie, a sobie śmierć spokojną.

Mieczysław wyjechał zagranicę. Zwiedził Niemcy, Włochy, a po kilkumiesięcznej podróży, zjechał do Paryża, gdzie stałe bawił przez pięć miesięcy. Możnaaby z tego wnosić, że wdzięki pięknej margrabianki zdołały podbić dziewicze serce młodzieńca.

Jak było naprawdę, pokaże się w dalszym ciągu; my wroćmy do zajazdu pani Mendlowej.

Mieczysław został sam w numerze *Kasztelańskim*, gdyż uprzejma gospodyni wyszła na spotkanie gościa, świeżo przybyłego. Młody Rudomina, paląc hawańskie cygaro, chodził w zamyśleniu po stancyi zajazdu, gdy otworzyły się drzwi z trzaskiem i huknął głos basowy:

— Do kroćset stu tysięcy wilczych skór i baranich rogów, czy to ty jesteś, Mieczysławie, co objechawszy pół świata, wpadłeś nagle, jak bomba, do zajazdu Mendlowej?

— Aleksander!... Zawsze ten sam wrzaskun i zawadyaka Aleksander—odparł, śmiejąc się, Mieczysław i wyciągnął do szczerzego uściska rękę.

Aleksander Haraburda rzucił się gwałtownie na szyję Mieczysława i ścisnął go, całował do uduszenia, przepłatając uściski wykrzyknikami.

— A niech piorun trzaśnie, niech zmora zdusi!... Jakże rad jestem, żeś już wrócił, kochany Mieczku! Na honor, niech mnie kule biją, jeśli bym się tak cieszył z miłości jakiej bogatej panny, jak się cieszę z twego przyjazdu. Dyabelnie zaczynam się nudzić; teraz dopiero z tobą będziemy hulać!

Mieczysław zgnieciony, wydostawszy się z nawalnicy uścisków, odparł żartobliwie:

— Ależ, mój Olesiu, nie połam mi kości, jeśli chcesz, bym ci towarzyszył w hulankach. Powiedz mi uczciwie, co ty porabiasz? Czy gospodarujesz? Czy się żenisz? Czy, jak zawsze, zbijasz tylko bąki i wrzeszczysz tubalnie?

Aleksander rozśmiał się na całe gardło, a rzucając się całą swoją osobą w ogromny, stary fotel, wyciągnął nogi na stancję, jak kazała moda oraz dobry ton i rzekł:

— Najprzód, mój ty włóczykiju, nie pytaj o sprawy innych, dopóki nie opowiesz swoich. Ty zawsze sądzić i krytytykować gotów, zwyczajnie pan „sędzic“; ale do miliona skoków zajęczych! gadaj mi, coś widział u Chińczyków i Persów, bo podobno aż tam byłeś gdzieś na południu, czy na północy.

Z kolei Mieczysław rozśmiał się serdecznie i rzekł, klepiąc po ramieniu dawnego kolegę:

— Jakto znać dotychczas, mój Olesiu, że ty w szkołach najlepiej z nas wszystkich rysowałeś

mapy; znajomość twoja geografii zawsze jest wyjątkowa! Wstydź się próżniaku — dodał z dobroliwością życzliwą — tak plątać językiem bez sensu.

— Ba, ba, ba! — krzyknął Aleksander, kładąc już nogi na stół, by mu było wygodniej — zaczynasz mi prawieć morały, do stu tysięcy lisich ogonów! Furda z geografją i monografią! Ja kpię z nich, jak z moich Żydków wierzących. Ot, daj mi lepiej takie cygaro, jakie sam palisz. Ja nie pytam o ród jego, wiem tylko, że dobrze pachnie. Gadaj mi, czy ostrygi lepsze są w Paryżu, niż u tego hycła Lejby?

— Ale jakżeż ty klniesz po myśliwsku, szanowny obywatelu — zauważył Mieczysław, podając mu cygaro i patrząc z pewnym smutkiem na przyjaciela, którego tak dawno niewidział.

Mieczysław miał jakąś dziwną, niewytłumaczoną słabość do Aleksandra; datowała się ta sympatya z lat dziecinnych, a usprawiedlić się tylko mogła dobrocią i poetycznością serca Mieczysława, dla którego pamiątki i wspomnienia z czasów młodocianych miały urok czarowny talizmanu. Mieczysław w szkołach zawsze bronił Aleksandra i opiekował się nim niejako; uczył go i pracował za niego. Wszystko było napróżno, bo Aleksander postanowił przez całe życie być głupim i dotrzymał tej obietnicy. Nie był to wszakże umysł pozbawiony wszelkiej bystrości; owszem, miał on spryt cygański, a węchem odgadywał rozum i naukę w drugich; lecz takich zawsze unikał, mając instynkt zacho-

wawczy wysoko rozwinięty. Dla jednego tylko Mieczysława żywił w sercu pewną dozę przywiązania, przebaczał mu jego rozum i naukę, starając się wszelako, cynizmem i trywialnemi conceptami, wyrwać go, o ile mógł, z nastroju poważnego. Starał się przeto usilnie popisywać się przed przyjacielem z większem jeszcze nieuctwem, niż było w istocie, a to celem drwienia ze wszystkiego, co było wyższe, mądre, niedostępne dla jego poziomego umysłu. Była to niby tarcza sceptyczna niedowiarka.

O gruncie tego młodego człowieka niewiele da się powiedzieć, albowiem nie było tam żadnego gruntu, ani zasady, ani poczucia obowiązku: ot, żyło się tak z dnia na dzień, zapominając o wczoraj, a nie troszcząc się o jutro. Latał sobie po świecie, jak suchy liść, pędzony wiatrem. Nie miał przywiązania ani do ojca domniemanego, ani do rzeczywistej matki, co była niby tylko mamką jego, a kochała go szalenie, uznając za najpiękniejszego i najdoskonalszego z ludzi. Aleksander nietylko, że nie cenił przywiązania Nastusi, ale przeciwnie, ono go nudziło, niecierpliwiło; on rozumiał przyjemność w użyciu i w najpospolitszych wybrykach młodości. Słowem, był najzwyczajniejszym z ludzi. I jeśli w nim było coś, co można nazwać szlachetnem, to jego sympatya dla Mieczysława. Młody Rudomina był jedynym człowiekiem, którego sądu i opinii lękał się Aleksander; w tej jego obawie leżało właśnie to, co się zdawało uczuciem.

Z powierzchowności Aleksander był wykapanym portretem pana Juliana Szabrańskiego; ta sama długa, tyczkowa figura o barczystych plecach

i ogromnych rękach, te same konopiaste włosy, kręcące się na całej głowie, te same rysy z cynicznym, figlarno-głupim uśmiechem. Tylko oczy miał piękniejsze, snąc odziedziczył je po matce i zęby białe, równe, jak perły. Nosił ogromne, burztynowe faworyty i takąż hiszpankę, co go czyniło wielce przystojnym młodzieńcem w oczach wielu panien.

I powiedzmy prawdę—Aleksander miał wielkie szczęście u kobiet, jak to się często zdarza patentowanym głupcom. Lecz on za to bardzo był trudnym w wyborze; nie szło mu bowiem tyle o pannę, ile o jej posag; choć po całej gubernii jeździł, konkurując o posagi, nie mógł dotąd znaleźć odpowiedniej swoim marzeniom.

Po dość długiej rozmowie, pełnej wrzasku i klątw oryginalnych Aleksandra, w ciągu której Mieczysław to śmiał się serdecznie, to strofował przyjaciela, przy ponczu i dobrych a mocnych cygarach, dwaj młodzieńcy czuli się serdecznie usposobieni dla siebie. Mieczysławowi zdawało się, że to brat jego młodszy, jeszcze niedojrzały, ale poczciwy i serdecznie go kochający; Aleksander znów czuł instynktem, że ma przed sobą człowieka, acz wiele mędrszego od siebie, ale pełnego pobłażliwości i dobroci.

— Czy wiesz co Mieczku!—zawołał w przystępie szczerości, kiedy poncz zaczął już skutkować—przyśięgam ci na imię wszystkich czarownic z Łysej góry i na ich przeoryszę, a moją babkę, pannę Teklę Maszadro, która nie darmo nosi imię Morowej

Baby, że gdybym cię nie kochał, to byłbym twoim śmiertelnym wrogiem, tak ci zazdrościć wszystkiego.

— I czegoż mi tak zazdrościsz? — zapytał z uśmiechem Mieczysław.

— Jakto czego? do milion fur beczek dyabłów! Jesteś mądry, jak rabin, jesteś bogaty, twój ojciec kocha cię i zasypuje złotem, kiedy mój stary kutwa pęka ze złości, gdy żądam od niego marnych kilkudziesięciu rubli. Gdyby nie moja mamka Nastusia, która czort wie skąd zawsze ma pieniądze i wtyka mi je ukradkiem, to na honor, nieraz nie miałbym złotówki przy duszy.

— Ależ boś ty marnotrawca, jak słyszałem, mój Olesiu; wiesz, że twój ojciec nie jest zbyt bogaty, a ty zamiast mu pomagać w gospodarstwie i przysparzać, latasz i baki zbijasz, jak próżniak.

— To kłamstwo, że jestem próżniak! — zawołał junacko Aleksander. — Ja się staram o fortunę, jak mogę. Objechałem już wszystkie panny, co podobno mają posagi, ale, do kroćset szatanów! żadna nie będzie miała gotówką nawet stu tysięcy!... Pal licha taką pannę, którą wzięwszy, trzeba orać i bronować, żeby nie zdechnąć z głodu... Ta znowu moja przeklęta babka, ten upiór, ta dżuma, podobno bogata, jak sam Lucyfer; ale cóż, kiedy żyje i żyje!... Ma już podobno lat sto i dyabli jej nie biorą.

— I nic ci nie daje? — zapytał z ciekawością Mieczysław. — Mówią, że to istotnie milionowa osoba ta panna Maszadro, a ty przecież przez matkę jesteś jej najbliższym krewnym...

— A niech ją siarczyste... ogarną! — zawołał ze złością Aleksander. — Wyobraź sobie, byłem kiedyś parę razy u niej, to nawet ze mną gadać nie chciała, a ostatnim razem wysłała mi trzyrublowy papierek przez służbę... Myślałem, że mię apopleksya na miejscu zatłucze! Przykleiłem te trzy ruble na ścianie i napisałem ołówkiem, żeby je sobie schowała na pogrzeb. Odtąd już moja noga tam nie powstała.

— Toś źle zrobił — rzekł poważnie Rudomina. — Twój koncept był głupi i bez serca. Nie będę się dziwił, jeśli w testamencie wydziedziczy cię zupełnie. Starzy nie zapominają takiej obelgi.

Aleksander chodził zamaszycie po stancyi i wykrzykiwał:

— Niech wydziedziczy!... Ja kpię z jej testamentu. Wiem, co mi się prawnie należy po rodzonej ciotce mojej matki i potrafię to wydrzeć bodajby z piekła!... Ale do tysiąca łap niedźwieich! — zawołał, zatrzymując się na środku — jaki z ciebie filozof, mości sędzicu. Strofujesz mię za mój koncept z trzema rublami, a sam czybyś postąpił inaczej? Czybyś je schował do kieszeni? Mów, dorpacki prawniku, co znasz i „prawo“ i „lewo“.

Zanim Mieczysław zdołał otworzyć usta, Aleksander huknął:

— Albo lepiej nic nie mów; czekaj, aż ja ci coś powiem... Widzisz mój kochany — ciągnął oratorskim tonem, przybierając pozory powagi i logiki — każdy głupi ma swój rozum, nieprawdaż?

Ty mnie masz za głupca, ja ciebie za mądrego, a kto wie, czy się obaj grubo nie mylimy. Ty umiesz pięknie gadać, bo wy jesteście, jak mój ojciec powiada, wszyscy z dziada pradziada „Hypokratesy“; ale mimo to, lubicie tak dobrze pieniądze, jak i my, zwyczajni ludzie. I gdybym nie był tak dyskretny, jak jestem, tobym ci wręcz powiedział, co ludzie o tobie i o twoim ojcu gadają.

Mieczysław miał wielką ochotę parsknąć głośnym śmiechem; ale widząc zaperzoną twarz przyjaciela i w oczach mgłę ponczu, chcąc uniknąć kłótni, do której zawsze Aleksander był skory, odrzekł spokojnie, niby przekonany:

— Może masz i rację w tem, co mówisz; lecz ponieważ jesteś moim kolegą i przyjacielem, powinienś mi bez ogródki wręcz powiedzieć, co ludzie gadają o mnie i o moim ojcu. Ja ci z góry daję słowo, że się bynajmniej nie obrażę.

— Otóż słuchaj, ja ci powiem. Ludzie gadają, że twój ojciec, choć taki filozof i mędrzec, ożenił się jedynie dla posagu.

Mieczysław, mocno się zaczerwienił, oburzony, iż ludzie śmia posądzać o to jego ojca; lecz nie okazując tego po sobie, rzekł spokojnie:

— To więc tak mówią o moim ojcu? Dobrze, a cóż mówią o mnie.

— Żeś ty taki sam... kubek w kubek pan Jakubek! — prawić Aleksander, mocno już podchmielony ponczem. — Et, bratku, co to ze mną udawać i grać w ciuciubabkę, do kroćset rogów bawolich! Nie chcesz mi powiedzieć prawdy? Robisz sekret?

Mniejsza o to, pal cię lichu... Ja wiem doskonale, czegoś się włóczył po zamorskich krajach.

— No powiedźże, powiedz Olesiu, kochany, złoty — podchwycił Mieczysław, widocznie zaciekawiony, jakie wieści krążyły między ludźmi o jego wojażu.

Aleksander łyknął jeszcze haust ponczu, zagłębił ręce w kieszeniach i mówił z pijaną ironią:

— My, wielcy filozofowie — Demoscenesy! Alcybiadesy! i do kroćset, wszystkie Esy, co gardzimy mamoną, a szukamy wszędzie tylko mądrości, serca i poezji, pędzimy na koniec świata do jakiejś starej, obrzydliwej baby, co ma podobno lat siedemdziesiąt, ale jest księżną i ma miliony w kufkach... Co? Może nieprawda, może mi zaprzeczysz, żeś jeździł w konkury do jakiejś milionowej Ksantypy i to za wolą i rozkazem ojca? Ha! bratku, milczysz teraz, bo cię złapałem, jak wilka w kniei!

I Aleksander tryumfująco rozśmiał się na całe gardło.

Mieczysław wtórował mu także głośnym śmiechem, ale widocznie przymuszonym! Nareszcie po przejściu tego wesołego duetu, młody Rudomina rzekł poważnie:

— W każdym kłamstwie jest odrobina prawdy. Że jeździłem, jak się wyrażają, w konkury, to jest prawdą; ale, że do starej i milionowej baby, to jest fałszem, jak się sam zaraz o tem przekonasz, gdy ci pokażę fotografię tej, o której rękę się staram.

— A więc widzisz! — zawołał Aleksander, bijąc w stół pięścią — że ludzie mają rację i ja

mam rację... Tu panny dla ciebie za mało posażne; pojechałeś więc za morze szukać gotówki. Mieczku! na honor papy Lucycpera, tyś taki mądry, jak Salomon... Ale pokażno fotografię, czempredziej pokaż, bo konam z niecierpliwości.

Mieczysław wyjął z pugilaresu fotografię młodej i ładnej kobiety, ubranej wykwintnie, z uśmiechem na ustach, z melancholicznem spojrzeniem i rzekł, podając koledze:

— Jest to właśnie osoba, o którą się staram.

Aleksander pożerał oczyma portret pięknej kobiety i z nieudanym zapalem zawołał:

— A niech ją siarczyste ogarną, jakaż ładna bestya! Ale wiele ma posagu? Gadaj, tylko prawdę.

— Na honor mówię ci prawdę, że nie wiem, ile ma i czy ma jaki posag; nikogo o to nie pytałem i nigdy nie zapytam.

Naturalnie Aleksander nie wierzył temu; przypatrywał się ciągle fotografii, kłął, zżymał się na ojca i na pannę Maszadro. Nareszcie rzucił się, jak długi, na łóżko Mieczysława i zachrapał siarczyscie.

Mieczysław tymczasem zapalił drugą świecę, wyjął jakąś książkę, usiadł w fotelu i zaczął czytać.

II.

Piękna Terenia.

Przy Bernardyńskiej ulicy w Grodnie, niedaleko kościoła, mieszkała w bardzo porządnym domu z ogrodem pani Baurowa, wdowa od lat wielu,

rodem Saksonka, ale już mówiąca doskonale po polsku i kochająca serdecznie Polskę, jako kraj, w którym niegdyś rządili królowie sascy. Dla niej Grodno było Dreznem, o którym wspomnienia z młodości przechowała w niemieckich piosenkach i w książce od nabożeństwa. Baurowa przeżyła już lat trzydzieści w Grodnie, gdzie pochowała męża i dwoje dzieci; chociaż owdowiała bardzo młodo, nie myślała nigdy o powtórnem zamążpójściu, a oddana pracy uczciwej, acz mozolnej, była powszechnie lubianą i szanowaną przez znajomych.

Czytelnik zapewne przypomni sobie, że traf, w osobie pana Sypełka, zaznajomił panią Baurowę z panną Teklą Maszadro i że ta ostatnia powierzyła jej w opiekę córeczkę pani Haraburdowej, której na chrzcie dano imiona Anna Teresa. Odtąd życie poczciwej Niemki całkiem się zmieniło. Panna Maszadro kazała jej zaniechać zupełnie prania bielizny, oświadczając, że odtąd nie potrzebuje pracować na chleb powszedni, gdyż będzie go miała aż nadto do końca życia; żądała jedynie opieki, starań i przywiązania macierzyńskiego dla dziewczyny, którą jej powierzyła, a która, wzrastając, ma ją uważać za ciotkę, ale nie za matkę, jak to wyraźnie było zastrzeżone.

Jakoż, zaraz po wzięciu do siebie małej Tereni, pani Baurowa dostała z góry kilka tysięcy gotówką, dano jej na mieszkanie dom porządnym z kilkoma pokojami, zakupiono meble i kazano przyjąć służącą. Zaczyna Baurowa myślała z początku, że jest pod wpływem „złego“, który postanowił ku-

sić jej cnotę. Z pewną bojaźnią i trwogą rozmyślała nad nagłą zmianą swego losu i modliła się gorąco, prosząc Boga, by od niej usunął pokusy. Lecz po kilku miesiącach, gdy nikt nie godził ani na jej cnotę, ani na jej moralność, uwierzyła w swoje szczęście, do którego dyabeł nie mieszał się wcale. A tem snadniej mogła w nie wierzyć, że miała pod swoją opieką niewinnego aniołka. To też w końcu dobroduszna Saksonka uwierzyła święcie, że to sam Bóg, wynagradzając jej lzy i boleść po stracie męża i dzieci, zesłał jej z nieba swego anioła pod postacią ludzką, a wraz z nim, całe szczęście ziemskie. Tak wyrozumowawszy sobie, była zupełnie spokojną na sumieniu, a całą swoją miłość i wdzięczność przelała na małą dziewczeczkę.

Panna Maszadro oświadczyła Baurowej, że nikt zgoła niema o tem wiedzieć, od kogo ona ma to dziecko i kto się niem opiekuje; ciekawym sąsiadom kazała powiedzieć, że to jest dziecko jej siostry, która niby umarła, a ona się niem zaopiekowała.

Baurowa sumiennie wykonała wolę i rozkazy hojnej pani, już to nie widząc nic zdrożnego w tem kłamstwie, już też z natury dyskretna i umiejąca szanować cudze tajemnice. Wszelako w swojej niewinnej dyplomacyi miała to przekonanie, że panna Maszadro jest matką dziecięcia, które przeto jest owocem miłości, a dla miłości wielkie miała sentymentalna Niemka pobożanie. Nadto wiedziała dobrze, że u wielkich panów rzecz taka kazi honor na całe życie, potrzeba więc ją pokryć największą

tajemnicą. Dziwiło ją tylko niezmiernie, a bardziej jeszcze gorszyło, że ta matka, tak bogata i niezależna, nie pragnie widzieć, uściskać, przytulić do serca swoje dzieciątko.

— Przecieżbyś o tem nikt nie wiedział — rozumowała sobie — ludzkieby oko tu jej nie widziało; niechby przyjechała zakwefiona, a bodaj i w masce, jak to jest w tej niemieckiej powieści, co ją kiedyś czytałam i niemało łez nad nią wylałam.

Pani Baurowa przez lat dwadzieścia trzy, jak miała u siebie Terenię, dwa razy tylko widziała pannę Maszadro: pierwszy raz przy oddaniu małej dzieciny pod jej opiekę, a drugi w lat ośmnaście, kiedy już Terenia ukończyła pensję w Grodnie, Baurowa zapytała listownie panny Maszadro, jakie są nadal jej rozkazy względem „sieroty“, którą się raczy opiekować. Zapytana opiekunka sama zjechała do Grodna, stanęła w swojej kamienicy i przez pana Sypełka kazała przywołać Baurowę. Rozpytywała się długo i dość łaskawie o swoją pupilkę. Poczciwa Niemka ze łzami rozplywała się w pochwałach nad przybraną swoją siostrzenicą, mówiąc o jej nieporównanych wdziękach, przymiotach i talentach.

— A jak gra na klawikordzie! a jak śpiewa!— mówiła, składając ręce i wznosząc oczy ku niebu— to niech jaśnie pani wierzy, że aniołowie w niebie piękniej nie potrafią.

Panna Maszadro myślała bardzo długo nad tem wszystkiem z czego biorąc otuchę, serdeczna Baurowa ośmieliła się odezwać:

— Ach, gdyby to jaśnie pani sama, własnymi oczami chciała się o tem przekonać, co ja mówię, to jestem pewna, że z radości serce jaśnie pani kołatałoby ot tak, jak moje w tej chwili.

Panna Tekla podniosła dumnie głowę, spojrzała zimno na mówiącą i odparła sucho:

— Nie do acani należy robić mi przedstawienia i uwagi; acani powinnością jest spełniać moją wolę, za którą płacę i dochowywać tajemnicy, od której los twój zależy.

Biedna kobieta, strwożona, stropiona, zalała się rzewnymi łzami i odrzekła z bojaźnią:

— Ależ, jaśnie pani, ja tego nie powiedziałam w złej myśli... a tajemnica, że jaśnie pani opiekuje się tą najdroższą sierotą, umrze wraz ze mną. Oh — ciągnęła coraz w większem rozrzewnieniu — niechby mi lepiej język usechł, niżbym miała głupim gadaniem przyczynić szkody jaśnie pani, lub mojej najukochańszej dziecinie. Bóg świadkiem moim, że nawet księdzu na spowiedzi nie powiedziałam dotąd, czyje to jest dziecko.

Panna Maszadro jeszcze groźniej spojrzała na naiwną kobiecinę i odrzekła gniewnie:

— A jakżebyś acani mogła to powiedzieć, skoro sama nie wiesz?

— Tak, juści, że ja nie wiem... ale człowiek i z tego, co myśli, powinien się spowiadać; a co ja sobie nieraz myślę, to tylko mnie i Bogu wiadomo. Choć to może ciężki grzech, że nie mówię spowiednikowi, wolę jednak grzech wziąć na swoją duszę, niż ludziom szkodzić.

W tej chwili dwa złowrogie płomyki łysnęły w oczach dziedziczki Maszadzrowa; pierwszy raz dopiero usłyszała w dobroduszej aluzji, że jej dziewiczą cnotę miano w podejrzeniu, bo dotąd nie przyszło jej nawet to na myśl. Zamknęła jednak w sobie obrazę i rzekła niby spokojnie:

— Myśl sobie, co chcesz, moja pani Baurowa, twoje myśli należą do ciebie; tylko pamiętaj, nie wyjawiaj ich ani księdzu, ani ludziom, ani twojej siostrzenicy. Zakazuję ci tego zarówno; bądź posłuszną, jeżeli nie chcesz się rozłączyć z Teresą, którą, jak widzę, mocno kochasz.

— O moja dobrodziejko! moja serdeczna jasna pani! — wołała, chlipając, Niemka — lepiej mię poświęć, porznicie na kawałki, niżlibyście mnie mieli rozłączyć z moim aniołkiem... *O mein Gott, mein lieber Gott!* Odtąd przysięgam, że nic nawet myśleć nie będę, kiedy to uraża jaśnie panią.

Panna Maszadro ucięła nagle tę rozmowę i rzekła dobrotliwie:

— Otóż, ponieważ mówisz mi acani, że jej wychowanka posiada piękny głos i ma talent do muzyki, życzyłabym sobie, aby się dalej kształciła w tych talentach. Dla sieroty, dla ubogiej, dobrze je posiadać; z ich pomocą może zrobić karierę. Tutaj, w Grodnie, niema znakomitych artystów, przeto pojedziesz pani do Wilna i tam zostanieie obie lat parę; Teresa będzie brała lekcye muzyki od Moniuszki, a nadto chciałabym, żeby się uczyła języków francuskiego, angielskiego i niemieckiego.

— Po niemiecku umie doskonale! — zawołała z dumą pani Baurowa. — Od jej dzieciństwa tym językiem do niej mówiłam, a francuskie książki czyta, jak polskie. Po angielsku to jeszcze nie wiem, czy bardzo mocna.

— To wszystko dobrze — odparła z bladym, ironicznym uśmiechem panna Maszadro. — Mimo to, spełnisz acani moją wolę. Teresa ma się uczyć języków, grania i śpiewu. Co trzy miesiące będziesz acani pisać do mnie, donosząc mi o wszystkim... Mianowicie... jeśliby Teresa w kim się pokochała... ja chcę natychmiast być o tem zawiadomioną... Rozumiesz mię acani? Tymczasem masz oto dwa tysiące rubli; nie szczędzić ani wygód, ani ubiorów dla sieroty; nie mówić jej nigdy o mnie i zawsze trzymać język za zębami.. A teraz żegnaj acanią; za kilka dni możecie wyjechać do Wilna.

Pani Baurowa, trzymając w ręku pieniądze, ukłoniła się niezgrabnie i wyszła chwiejnym krokiem, jak z pod obucha. Szumiało, dzwoniło jej w uszach, a oczy mroczyły się łzami.

I odtąd nie widziała już opiekunki swojej wychowawicy.

Dwa lata prędko minęły, pani Baurowa napisała list z Wilna do panny Maszadro, donosząc, że jej „siostrzenica“ jest doskonałością chodzącą, że mówi wszystkimi językami, gra i śpiewa cudownie i że serce jej dotąd zupełnie wolne, gdyż — jak twierdziła — niema na świecie człowieka, coby godzien był jej spojrzenia.

Panna Maszadro przysłała na drogę pieniądze, kazała wrócić do Grodna, mówiąc, że dalszą swoją wolę objawi sama za widzeniem się z Baurową.

Jak kazała, tak się stało. Znowu wróciły obie kobiety do Grodna i zamieszkały w tym samym domu przy Bernardyńskiej ulicy, w którym dawniej mieszkały.

Teresa miała wówczas lat dwadzieścia; piękna, wykształcona panna zwracała wszystkich uwagę na siebie. Zresztą, w tak małym mieście, jak Grodno, podobnie uposażona postać w żaden sposób nie może zostać w ukryciu, choćby najbardziej tego pragnęła. Na ulicy, w kościele, widziano jej ciemne, duże oczy; zwrócono uwagę na jej ubiór elegancki, choć skromny. Mężczyźni ją admirowali, zazdrościły kobiety tej tam jakiejś Baurówniej, Niemce, którą ciotka wychowała na wielką panią, choć sama była kiedyś praczką. Ludzie mówili, że spadła na nią sukcesya z Drezna i że, gdy baba się wzbogaciła, postanowiła wydać siostrzenicę za hrabiego.

Biedna sierota, którą dla jej nadzwyczajnych wdzięków, zaczęto wszędzie prześladować ognistemi spojrzeniami, uśmiechami i ukłonami, przelękała się tej admiracyi prowincjonalnej i postanowiła jak najmniej wystawiać się na podobne hołdy. Wychodziła więc z ciotką na spacer dopiero późnym wieczorem i to w miejsca najmniej uczęszczane. Do kościoła chodziła tylko na ranną Mszę; mocno osłonięta wualką, siadywała zwykle w ostatniej ławce.

Nic to jednak nie pomogło. Grodzieńską młodzież napadła entuzyastyczna gorączka kochania się w „pięknej Tereni“, jak ją powszechnie nazywano. I na rannej Mszy u Bernardynów, i na wieczornych spacerach koło Kołodży, pełno zawsze było adoratorów czapkujących, niby komarów, którym opędzić się nie można. W kościele Bernardyńskim pełno po ławkach było napisów ołówkiem: „Prześliczna Tereniu, kocham cię!“ — lub: „O czarodziejko Teresinetto, umieram z miłości dla ciebie!“ — i tym podobnych, jak kogo z adoratorów stać było na dowcip.

Teresa, znudzona i obrażona podobną manifestacją uczuć, postanowiła wcale nie wychodzić z mieszkania, dopóki o niej nie zapomną. Lecz i w tej samotności wydawało jej obecność granie i śpiewanie; liczne oklaski przekonywały ją boleśnie, że nawet u siebie nie jest wolną od niedyskretnej natarczywości młodzieży.

Do najzapaleńszych i najzuchwalszych jej adoratorów należał pan Aleksander Haraburda; on to pierwszy posunął śmiałość aż do zapukania do drzwi pani Baurowej i kazał oświadczyć kucharce, że ma pilny interes widzenia się ze starszą panią. Przyjęty grzecznie przez poczciwą wdowę i zapytany o cel przybycia, oświadczył wręcz, że jest najzapaleńszym wielbicielem jej siostrzenicy i pragnie ją widzieć osobiście, by mógł u nóg jej złożyć swoje hołdy.

Pani Baurowa naturalnie odprawiła niezbyt grzecznie wielbiciele, oświadczając mu dość wyraźnie, że nie życzy sobie więcej tego, by on zaszczycał jej dom bytnością.

Ale pan Aleksander, bynajmniej nie zrażony, nie przestawał niepokoić dwóch kobiet i nasyłał przez Żydków faktorów czułe bileciki, cukry i bukiety, co wszystko razem, nietknięte, wracało do nadsyłającego, lub konsumowane było przez posła.

* * *

Było to w jesieni, dość już późnej; śniegi i przymrozki zapowiadały blizką zimę. Pani Baurowa, cierpiąca oddawna na reumatyzm, zapadła ciężko i prawie obezwładniała. Leczyli ją najlepsi lekarze grodzieńscy, lecz uporczywa choroba nietylko się nie zmniejszała, ale owszem pogarszała i stała się tak ciężką, że biedna kobieta jęczała boleśnie po całych nocach, prosząc Boga o miłosierdzie lub o śmierć. Terenia we łzach i w boleści nie odstępowała łoża chorej, modląc się i pocieszając ją, ile zdołała, robiąc nadzieję, że to wkrótce przejdzie. Lecz uporczywa choroba nietylko nie ustępowała, ale sprowadziła za sobą drugą, jakąś gorączkę trawiącą, jak wszystko złe na świecie, co lubi chodzić w parze.

Biedna kobieta, czując, że już koniec jej życia się zbliża, postanowiła wyjawnić Tereni tajemnicę, którą wiernie przez lat dwadzieścia trzy zachowywała w sobie.

Jakoż pewnego dnia, po odbytej spowiedzi i Komunii, kazała sierocie usiąść przy sobie i odezwała się słabym głosem w te słowa:

— Moje najdroższe dziecko, Bóg już powołuje moją grzeszną duszę przed swój sąd; lecz nie

mogłabym przed Nim stanąć śmiało, gdybym ci nie wyjawiała tajemnicy, którą włożono na moje sumienie. Dochowałam jej wiernie i święcie aż do końca życia; lecz dziś Bóg mi każe powierzyć ją tobie, abyś wiedziała, kto jesteś i do kogo masz się udać, zostawszy sama na świecie. Tak, moja najmilsza; ty mi byłaś wszystkim na świecie: córką, siostrzenicą, aniołem życia mego... chociaż ja... dla ciebie jestem zupełnie obcą, jak i ty dla mnie...

— Ależ ciotko! — zawołała z płaczem Teresa, pewna, że biedna kobieta majaczy w gorączce — ja przecież jestem córką twojej rodzonej siostry, jestem twoją najbliższą siostrzenicą, córką prawie, którą wychowała od niemowlęctwa.

— Tak, to prawda, tyś najbliższa mego serca — odparła z całą przytomnością umysłu Baurowa — i Bóg moim świadkiem, że nikogo na ziemi tak nie kochałam, jak ciebie. Mimo to ja nie jestem dla ciebie niczem więcej, jak tylko opiekunką, sługą płatną. Tak, płatną, i hojnie, bo twoja matka, nie chcąc, czy nie mogąc mieć córki przy sobie, mnie ją powierzyła, dając mi kilka tysięcy rocznie na nasze utrzymanie. Jej to zawdzięczasz wszystko, co masz i co umiesz, bo ja, niestety! biedna, prosta kobieta, byłam posłusznym narzędziem jej woli.

Terenia, słysząc te słowa pełne zdrowego rozsądku i przekonania, zawołała złamanym głosem:

— Jakto! więc matka moja żyje i mną się opiekuje, a ja jej nie znam i nigdy jej przycisnąć do serca nie mogłam! Za co, dlaczego? O ciotko, o najdroższa moja opiekunko, mów, mów na Boga,

kto jest moja matka i gdzie ona? Ja chcę ją widzieć i u nóg jej wypowiedzieć wszystko, co dusza moja wypieściła dla tego drogiego imienia: matka.

Baurowa smutnie zwiesiła głowę na piersi i milczała długą chwilę; nareszcie rzekła cichym głosem, jakby walcząc ze sobą:

— Nie łudź się, drogie dziecko, że twoja matka również cię kocha, jak ty ją pragniesz kochać. To zimna i twarda istota. Ona daje ci tylko pieniądze, ale nie serce.

— Ale to moja matka!—powtórzyła, jak w obłędzie, poetyczna dziewczeczka. — Ona mnie w łonie swoim nosiła, ja jestem jej ciałem, jej krwią... Niech się tylko raz w życiu spotkamy, niech powiemy sobie słów kilka, a wnet dusze nasze się zrozumieją... O, powiedz, powiedz, kto jest ta, którą mam prawo nazwać matką, a przebaczę ci, droga ciotko, tę tajemnicę, do którejś mnie nie przypuściła przez całe życie.

To mówiąc, piękna Terenia padła na kolana przed łóżem chorej i nogi jej całowała ze łzami.

Baurowa po raz pierwszy w życiu uczuła w sercu zazdrość, że jej najdroższa Terenia może kogoś kochać bardziej niż ją, kogoś nieznanego sobie i tylko dlatego, że ten ktoś jest matką z ciała. Rzekła więc głosem ponurym:

— Twoja matka nie ma i nie miała męża, jest dotąd panną, starą panną i wstydzi się ciebie, moje dziecko kochane, jako nieprawego owocu swojej miłości.

— Tem więcej ją kocham, wiedząc, że jest nieszczęśliwą, że była zdradzoną w najdroższych uczuciach! Niechże jej poświęcę moje życie, niech jej zabliznię rany, dotąd niezagojone... Ale ty, droga opiekunko moja, dlaczego mię męczysz? dlaczego nie mówisz mi jej imienia?

Pani Baurowa zwróciła zamroczone łzami oczy na krucyfiks, wiszący nad łóżkiem i wyszeptwała cicho:

— Jezu mój, cierpiący i opuszczony przez swoich, całuję Twoje rany... Tyś niewinny więcej cierpiał ode mnie grzesznicy... dozwól, niech umrę w spokoju!

A odwracając twarz do Teresy, rzekła już głosem zupełnie spokojnym:

— Oby Cię Bóg błogosławił, moje drogie dziecko, obyś była szczęśliwą zawsze, oby ci nigdy ludzie nie zrobili krzywdy. A módl się za moją duszę, pamiętaj, że ci byłam matką przez serce, przez miłość.

— Ale nazwisko mojej rodzonej matki! — powtarzała Teresa, przyciskając do ust ręce umierającej. — Powiedz, powiedz ukochana ciotko!...

— Dziękuję ci, dziękuję, że mię zawsze nazywasz ciotką — mówiła z bladym uśmiechem serdeczna kobieta. — Słyszac tę nazwę, lżej mi umierać. Więc ty mię kochasz, choć nie jestem twoją ciotką?... Ha!... matka twoja... nazywa się... tak, trzeba, żebyś wiedziała!... nazywa się... panna Tekla Maszadro!

Powiedziawszy te słowa, odwróciła się do siostry, zrobiła znak krzyża świętego i w kilka chwil oddała ducha Bogu.

* * *

Pomijamy milczeniem cały ogrom smutku i bóleści biednej sieroty, która została sama, zupełnie sama na świecie. Po odbytych ceremoniach pogrzebu, na który prawie całe Grodno się wysypało, chcąc widzieć, czy ze łzami do twarzy było „pięknej Tereni“, wszystko naraz ucichło: każdy wrócił do siebie, a najzuchwalsi nawet nie śmieli nieść swoich trywialnych hołdów pogrążonej w ciężkiej bóleści sierocie.

Ludzie bardziej są głupi, niż źli.

Wróciwszy z pogrzebu i patrząc na opustoszałe miejsca, w których niedawno żyła jej opiekunka, co jej dotąd zastępowała matkę, Teresa wybuchła głośnym, spazmatycznym płaczem. Łatwo pojąć, co się dzieje w duszy istoty, patrzącej na martwe przedmioty, które zdają się żyć i przemawiać do nas o stracie niczem nie nagrodzonej. Cień zmarłej osoby zdaje się przesuwać po mieszkaniu opuszczonym przez nią na zawsze, rozgorączkowana wyobraźnia nasza widzi ją wszędzie a nieraz się nam zdaje, że czujemy jej oddech, dotknięcie jej ręki. Poczciwa, stara służka, co przez lat kilka przebywała u Baurowej i serdecznie do obu kobiet była przywiązana, sama płacząc rzewnie, pocieszała, jak mogła, strapioną sierotę, poprzysiegając jej, iż nigdy jej nie opuści, bodajby nawet miała służyć bez żadnej zapłaty.

Po przejściu pierwszej, gwałtownej boleści, nastąpiła cicha, zamknięta w sobie żalność, melancholia, a w dni kilka rezygnacya i poddanie się konieczne wyrokom Bożym. Bierny ten stan umysłu nie zwykł trwać długo i dzięki za to Opatrzności, bo inaczej człowiek potargałby wszystkie obowiązki, jakie go wiążą z ziemią, lecąc za umarłym w krainę duchów. Czas to mądry lekarz.

W dni kilkanaście, jakkolwiek Teresa była ciągle pod ciężkiem brzemieniem smutku, wróciła jej przecież równowaga myśli, a z nią i chęć do samoistnego działania.

— Nie mogę tak pozostać bezczynnie—mówiła do siebie. — Jestem ubogą, potrzebuję pracować na życie; mam trochę nauki, trochę talentu muzycznego, trzeba to zużytkować, żeby nie potrzebować łaski obcych ludzi. Wprawdzie mam matkę—mówiła z bijącym sercem — ale jej nie znam i dopóty od niej nic nie przyjmę, dopóki jej nóg nie uściskam, dopóki ona nie nazwie mię swoją córką. Żyłam dotąd z jej łask, jej pieniędzmi, to prawda, ale to było bezwiedne; nie wiedziałam, że mam matkę... A ona?... ona, może przez wstyd, z obawy, aby jej własne dziecko nie wyrzuciło jej błędu młodości, lękała się go przycisnąć do serca. O matko moja!—zawołała z uniesieniem—spójrz w moje serce, czy znajdziesz tam co, oprócz miłości dla ciebie? Ja cię kocham stokroć więcej nieszczęśliwą, opuszczoną, zdradzoną, niż gdybyś była szczęśliwą, poważaną i czczoną przez ludzi. A ojciec? Któż jest mój ojciec? O niego nawet nie pytałam mojej umarłej ciotki. Czy on także

żyje jeszcze? Nie, on już musi nie żyć, boby okupił nareszcie błąd młodości wiedząc, że ma córkę i że żona jego wobec Boga! we łzach i w smutku pędzi życie.

W tem poetycznem usposobieniu, Terenia postanowiła napisać list do panny Maszadro. Nie namyślała się długo nad stylem i formą; pisała, co jej serce dyktowało. Pisała do matki — to dosyć.

List był następującej treści:

„Pani!

„Najzaczniejsza kobieta, której opiece i wychowaniu mnie powierzyłaś, już nie żyje! Dusza jej czysta i szlachetna poszła do nieba po nagrodę za czyny, jakie tu spełniała. Przez całe życie sumienna i wierna, dochowywała święcie tajemnicy sobie powierzonej; idąc za Twoją, Pani, wolą i rozkazem, nie objawiła mi nigdy tajemnicy mego urodzenia. Dopiero na łożu śmiertelnem, w chwili, kiedy już wszystkie względy świata stają się dla człowieka znikomością, a tylko sam duch działa wedle rozkazu Bożego, zaczęła ta kobieta, którą nazywałam moją ciotką, wyznała mi, że jest mi obcą... że jestem jej tylko powierzoną przez Tę, co mi dała życie, a którą śmiem nazwać drogiem imieniem „Matki“.

„O Pani, przebacz mej zuchwałości, mej sercowej odwadze, że zdzieram zasłonę, którą los zawiesił między mną a Tobą. Ale śmiałość moja da się usprawiedliwić wielkością mego uczucia, co rwąc wszystkie formy światowe, pragnie się rzucić pod stopy Matki. Matko! o moja Ukochana Matko! Gdy-

byś wiedziała, co ja w tej chwili czuję, gdy Cię nazywam tem świętem imieniem!... Jak moje serce bije w piersiach, a łzy radości zalewają oczy na samą myśl, że ja piszę do mojej Matki, do Tej, co mi dała życie i pod sercem mnie swoim nosiła... Moje szczęście tylko ślepy zrozumie, gdy nagle przejrzy i ujrzy światło Boże; tylko sierota, co przez długie życie modląc się za duszę nieznaną a ukochanej Matki, zrozumie tę pełnię błogosławionego szczęścia, gdy jej powiedzą:—Twoja Matka żyje, jest na ziemi i przyciśnie cię do łona!...

„Pani, Matko!... Ja wiem, żeś nieszczęśliwa, żeś zdradzona w najtkliwszych Twoich uczuciach; że człowiek, co posiadał Twą miłość czystą, dziewiczą, opuścił Cię niegodnie. Ale Matko Droga, czyż dlatego, że było jedno serce niskie i poziome, masz już nie wierzyć w miłość i uwielbienie Twego dziecięcia, Twojej córki, która nie znając Cię, widywała Cię w krainie aniołów i modliła się rzewnie za Twój spokój duchowy?

„Dziś, kiedy wiem, że Ty żyjesz, Najdroższa Matko, kiedy Ty wiesz, że ja żyję, dla czegoż nasze serca nie mają się zlać w jednym uścisku świętym, by zapomnieć wszystkich minionych bólów i cierpień?

„O Matko, ja moją miłością, mojem bezgranicznem poświęceniem, zatnę w Twojej pamięci wszystkie ślady zawodów ludzkich. Ja Cię otoczę taką czcią, takim uwielbieniem, jak żadna z córek dla swej matki nie uczyniła, boś Ty mi droższa, stokroć droższa niż wszystkie matki, co przez życie przeszły

w spokoju i w bezświadomym szacunku ludzi. Tyś ofiara Twej wiary i miłości...

„O przebacz, przebacz, Pani tym, prostym a serdecznym słowom; jest to wylew mej duszy i przyjm je tak, jak Ci je niosę. Pamiętaj, Droga Matko, że Cię nie proszę, byś mię przyjęła pod swój dach i otoczyła szczęściem materyalnem. Nie, stokroć nie. Ja zostanę w ukryciu, zawsze bezimienna, sierota; ja nic nie chcę od Ciebie, tylko Twojej miłości, Twego uścisku, pragnę raz postyszeć z ust Twoich, że jestem Twoją córką. Ludzie nigdy wiedzieć nie będą o naszym stosunku, tajemnica Twoja jest moją świętością i niema tortury na ziemi, coby mi ją wydrzeć zdołała. Ale też i nie będzie szczęśliwszej istoty nade mnie, gdy u nóg Twoich zawołam: — Matko moja! ja Cię kocham nad życie“.

Możemy sobie wyobrazić niepokój, gorączkę, trwożę i rozmaite uczucia, jakie miotaly sercem Tereni, gdy ten list wysłała do domniemanej matki. Nie jadła, nie spała, czekając odpowiedzi. I odpowiedź nadeszła czwartego dnia.

Drżącemi rękami rozłamała pieczętkę, a mgła łez zaciemniała jej oczy. I czytała, czytała, czytała...

A słowa listu panny Maszadro tak brzmiały:

„Z listu Waćpanny widzę, żeś romantyczka i egzaltantka. To źle, to mi się wcale nie podoba. Wina w tem Twojej opiekunki Baurowej, co chociaż była dobrą i poczciwą, ale wielce ograniczoną kobietą.

„Jakiem prawem Acanna śmiesz mnie posądzać o „rozwiążłość“ życia i wnosisz zuchwale, że

jesteś moją córką nieprawą? Na to Acannie odpowiem, że jesteś w błędzie: nie jesteś moją córką wcale, ale sierotą po blizkiej mojej krewnej, która umarła, wydając Cię na świat. Jeśli się Tobą opiekowałam przez całe życie, to jedynie przez pamięć dla Twojej matki. Zapowiadam przeto, abys mi Aćpanna podobnych listów nie pisywała więcej, bo nietylko nie otrzymasz odpowiedzi, ale usunę moją opiekę zupełnie i grosza Ci nie udzielę. Tymczasem posyłam Ci pięćset rubli i nadal obiecuję moją łaskę i pomoc, z warunkiem jednak, że Aćpanna zaniechasz całkiem swoich głupich korespondencyj“.

Po przeczytaniu tego listu, zakreśliło się Tereni w głowie, zaszumiało w uszach... i padła wpół zemdlała na krzesło.

ROZDZIAŁ III.

B e z t y t u ł u.

W janopolskim dworze ruch był niezwyčajny; krzątano się, biegano, wydawano rozkazy—słowem działo się coś uroczystego, jakby nadchodziło uroczyste święto, albo gody weselne, lub spodziewano się przybycia ważnej jakiej osoby.

Pan Rudomina, już sześćdziesięcioletni starzec, ale jeszcze pełen rześkości i siły, z dziwną radością na twarzy, uśmiechnięty, słodki i uprzejmy dla otaczających, jak zawsze, sam wszędzie chodził, wszystkiego dopatrywał i wydawał rozkazy. Twarz

jego blada, nie pokryta żadnym zarostem, ujmuje mu lat przynajmniej jaki dziesiątek; czaszka nieco wyłysiała, otoczona dokoła szpakowatym włosom, dziwnie pięknie a poważnie odbijała przy jego szlachetnych, acz nieco dumnych rysach twarzy. Oczy, pełne jeszcze życia i rozumu, osłonięte, jak zwykle, okularami, miały dotąd ten sam, co dawniej, wyraz dowcipu, łagodności i złośliwej ironii w danych razach. Dziś jednak w tych oczach jaśniała tylko radość i dobrotliwa łagodność.

Pan sędzia był szczęśliwy i to szczęście objawiało się w całej jego osobie. Przyjechał bowiem ukochany jego jedynak po dwuletnim wojażu, a przyjechał taki sam, jak wyjechał, to jest dobry, serdeczny, zawsze kochający ojca, nie zepsuty żadnemi fałszywemi doktrynami zagranicznych demagogów, ale owszem, jeszcze mędrszy, jeszcze doskonalszy, niż wyjechał. Nie dziw przeto, że z takiego syna pan Rudomina jest dumny i szczęśliwy, odżywa, młodnieje jego życiem, i powiada sobie w duchu:

— To jestem ja, tylko w doskonalszem wydaniu!

Nic człowieka nie czyni tak szczęśliwym, jak widzieć drugiego siebie.

Po kilku dniach, kiedy Mieczysław wypoczął z podróży i opowiedział już ojcu o wszystkim, co widział we Włoszech, w Niemczech i we Francyi, pan sędzia postanowił sprosić sąsiadów na obiad, już to dla podzielenia się z nimi swoją radością już

też przez dumę ojcowską, by pokazać ludziom swój skarb i powiedzieć im, bodaj tylko oczami:

— Patrzcie, jakiego to ja mam syna!

I oto właśnie ta krzątająca w domu, te niezwykłe przybory były na cześć Mieczysława. Zaproszono bowiem z pięćdziesięciu szlachty z sąsiednich powiatów, a przyjęcie miało być wspaniałe, jakiego jeszcze nie widział Janopol.

Była godzina dziesiąta rano. Mieczysław, trochę sybaryta, trochę rozpróżniony życiem hotelowym, wylegał się jeszcze w łóżku, nie troszcząc się bynajmniej o to, co się dzieje w domu po za jego pokojem,—gdy dyskretnie zapukano do drzwi i jednocześnie ze słowem *entrez*, ukazała się postać pana sędziego.

Pan sędzia, w długim, eleganckim angielskim surducie, w batystowej koszuli i atłasowym krawacie, z twarzą wesołą, promieniejącą, wyglądał prawdziwie na modnego papę, który może jeszcze rywalizować z synem. Powiedzmy prawdę: mądry pan Rudomina do elegancji i do młodości miał pewną słabość; nie dlatego wcale, by się podobać kobietom, ale, że młodość jest objawem życia, ruchu wewnętrznego, i potęgi rozumu,—gdy przeciwnie starość, schodząc fizycznie po szczeblach życia, zniża się do dzieciństwa i traci siły moralne. Od tego prawa bardzo mały jest wyjątek w genialnych osobistościach.

Co zaś do ubioru, mody i elegancji, to pan sędzia przez całe życie był jej zwolennikiem, jako formalista i cywilizator, dbający wielce o pozór zewnętrzny.

— Wiec jeszcze myślisz, że jesteś w Paryżu?—
odezwał się z uśmiechem, wchodząc do pokoju sy-
na. — Wołasz *entrez...* Ciekaw jestem, coby powie-
dział na to Grzesio, przynoszący ci buty. Niezawo-
dnieby odparł:—To nie Andrus, panie, tylko ja.

Mieczysław rozśmiał się i pocałowałszy ojca
w rękę na dzień dobry, rzekł wesoło:

— To prawda. że ta francuzczyzna tak się
trzyma człowieka, jak pijawka, szczególnie nas,
Polaków. Ale bo też to dziwnie gładki język; mo-
żna przez całą godzinę prawić głupstwa po francu-
sku i wydadzą się dowcipem, gdy przeciwnie, dwa
słowa polskie, powiedziane głupio, już odbierają
chęć słuchania.

— Mowa każdego narodu jest treścią jego du-
cha — odparł poważnie pan sędzia — i gdy dla nas
wystarcza jedno słowo dla określenia naszej my-
śli, Francuz zużywa ich kilkadziesiąt, by pojął sam
siebie i przekonał drugiego. No, ale ja widzę, że
ty nietylko język, ale i obyczaje francuskie ściśle
naśladujesz: śpisz do dziesiątej. Jadasz zapewne
śniadanie o pierwszej, obiad o siódmej, a kładziesz
się spać o drugiej. Wszystko to dobrze, mój pary-
żaninie—ciągnął żartobliwie papa—ale pamiętaj, że
jesteś na wsi i do tego na Litwie, gdzie cywilizacya
francuska jeszcze się nie rozgospodarowała. My
jadamy obiad o pierwszej, najdalej o drugiej go-
dzinie, a spać idziemy o dziesiątej, jak Bóg przy-
kazał i święty obyczaj.

— Ależ wstaję, natychmiast wstaję najdroższy
ojcze, tylko mnie nie łaj i nie wytykaj mi wad,

które sam znam doskonale—odparł wesoło Mieczysław.—Wiem, że jestem próżniak, leniuch i ciągle sobie obiecuję poprawić się jutro z tych wad. Dziś więc jeszcze proszę o pobłażanie. Za to jutro...

— Będę spał do jedenastej—rzekł, śmiejąc się, pan sędzia.—Ale dobrze, dobrze, pozwalam ci spać jak najdłużej każdego innego dnia, tylko nie dzisiaj; pamiętaj, że dziś mieć będziemy zaproszonych gości na obiad, którzy najdalej o dwunastej zaczną się zjeżdżać.

— Ach prawda!—zawołał Mieczysław wyskakując z łóżka — na śmierć zapomniałem, że dziś na moją cześć wyprawia papa bankiet. Wstaję, ubieram się jak najmodniej... i gotów będę stać się bohaterem dnia dzisiejszego.

Wśród tej poufałej wesołości pomiędzy ojcem a synem, śmiejących się i dowcipkujących, jak dwaj przyjaciele, Mieczysław, nie tracąc czasu, ubierał się, wyjmując najmodniejsze kamizelki i krawaty, robiąc żartobliwe komentarze o tem, gdzie co kupione i ile kosztuje; pan Rudomina tymczasem siedząc w fotelu przed stolikiem, przeglądał książki i albumy, rozrzucone w nieładzie.

— Jakto? — zawołał nareszcie, przerzucając album paryskie — tu, w tej zgrai rozmaitych figur, znajduje się i panna de la Prèmonières? Przyznam ci się, mój drogi, że mnie to trochę dziwi...

— Dlaczego?—zapytał Mieczysław, udając doskonale, że nie rozumie aluzji ojca.—Przecież tu są same znakomitości: pani Sand, Wiktor Hugo, Du-

masy i inni geniusze współcześni. Zdaje mi się, że panna Marya jest w wyborowem towarzystwie.

— Tak, to prawda—odrzekł niby z uśmiechem pan Rudomina.—Jest nawet cesarz Napoleon i cesarzowa Eugenia, bez których się żaden album nie obejdzie; ale widzę, że są tu równie sławne aktorki i aktorzy, nawet w kostyumach teatralnych.

— Cóż w tem złego?—zapytał z naiwną miną młody Rudomina. — Artyści w Paryżu wysoko są cenieni i upewniam papę, że nawet sama panna de la Prémonières nie obraziłaby się tem otoczeniem.

Pan sędzia miał słodko-kwaśny uśmiech na ustach i zamilkł. Syn uczynił toż samo. Trzeba bowiem wiedzieć, że w materyi, którą potracili, stosunek między ojcem a synem trzymał się na stopie czysto dyplomatycznej. Pan Rudomina przez dyskrecyę, czy przez inne jakie wyrachowanie, nie dopytywał się o szczere uczucia syna dla margrabianki; ze swej strony syn, acz oddawał wiele pochwał pannie de la Prémonières i jej matce, nie zrobił dotąd najmniejszej wzmianki o miłości, ani o swem postanowieniu, co do ożenienia się. Mówili o wszystkim, dotykali wszelkich przedmiotów poufale, otwarcie, szczerze — ten jeden był zwykle pomijany z wyraźnym zamiarem.

Mimo to pan sędzia pałał niecierpliwością dowiedzenia się, czy Mieczysław zakochany jest w panie, przeznaczonej mu od lat dziecinnych, a nie mogąc dyplomacyą wywołać otwartego wyznania, wziął w tej chwili zamiar zapytać się o to bez ogródki i dowiedzieć się stanowczo, jak się rzeczy mają?

Namyślał się długo jak zacząć, przewracał karty albumu, przygryzał usta i mrużył oczy, jak to było jego zwyczajem, gdy miał zamiar odkryć tajniki czyjegoś serca. Nareszcie rzekł z powagą:

— Powiedz mi, mój Mieczysławie, czy się już oświadczyłeś o rękę panny Maryi i jaką otrzymałeś odpowiedź, bo jeszcześmy dotąd o tem nie mówili.

Mieczysław, który właśnie w tej chwili zawiązywał swój krawat, odwrócił się nagle od lustra, spojrzął na ojca, zarumienił się mocno i odrzekł:

— Ależ ja jeździłem dopiero ją poznać... nie wiedziałem, że mam się i oświadczyć.

— Więc ci się nie podobała panna de la Prèmonièeres? — zapytał spokojnie pan Rudomina. — Dlaczegoś mi tego nie powiedział z góry?

— Ależ papo kochany — odparł Mieczysław, wysilając się na wesołość — ani z góry, ani z dołu nie powiem tego, co nie jest... Owszem, panna Marya podobała mi się bardzo, bo ona musi się podobać każdemu, kto ma dobry smak i wykształcenie, do czego ja, mimo mej niezrozumiałości, mam także pretensję. Czyż z tego, że ją pomieściłem w albumie między innymi kobietami, papa wnosi o braku we mnie uczucia? To niesłusznie. Najprzód ja już mówiłem kochanemu papie i jeszcze raz powtarzam, że podług mnie, panna Marya jest bardzo ładna, pięknie wychowana, posiada wiele talentów i przymiotów; a że ją umieściłem — dodał, śmiejąc się wesoło — w tem liczmem towarzystwie, co mi papa bierze za złe, to jedynie przez filantropię a nie przez egoizm. Panna Marya tak lubi liczne i świetne oto-

czenie, a tak przywykła do jego hołdów, że gdybym ją zamknął samą w jakim medalionie, zanudziłaby się na śmierć i gniewnieby patrzyła na swego tyrana.

W tym lekkim a szyderycznym tonie odpowiedzi leżała cała prawda, którą pan Rudomina chciał wiedzieć; zrozumiał dostatecznie, że syn jego nie jest wcale zakochany w margrabiance. Wszelako objawszy myślą całe położenie w jednej chwili, a pamiętając doskonale, że sam się ożenił także bez miłości, mimo to był bardzo szczęśliwy, udał, że nie rozumie ironii syna, oskarżającej o płochość jego przyszlą towarzyszkę i rzekł z uśmiechem łagodnym:

— Niewdzięczny jesteś, Mieczysławie i nie umiesz ocenić szczęścia.

— A z czego papa tak wnosi? — zapytał prędko Mieczysław.

— Wniosek bardzo naturalny. Widzę z listu pani markizowej żeś się podobał obu tym paniom; matka nie tai, że jej córka jest w tobie zakochana i najmniejszych nie stawia przeszkód do przyszłego waszego związku. Tymczasem ty...

Mieczysław przerwał ojcu:

— A ja, kochany ojcze, czy stawiam jakie przeszkody? Owszem, owszem, *c'est un grand honneur pour moi* zostać mężem *de la charmante mademoiselle Marie*. Zresztą powiedziałem ci z góry, papo i raz jeszcze powtarzam, że twoja wola jest dla mnie świętą i pragnę w życiu całym zastosować się do niej.

Sąsiedzi.

Pan Rudomina poruszył się niecierpliwie w fotelu, zamknął album i rzekł nieco cierpkim tonem:

— Ależ ja nigdy nie pragnąłem mieć w synu biernego narzędzia ojcowskiej woli! Tu nie idzie o to, że ja tak chcę, ale czy ty chcesz...

— Czy ja chcę! — powtórzył mocno zarumieniony Mieczysław.—Na to doprawdy nie umiałbym papie szczerze odpowiedzieć. O miłości nigdy nie mówiłem z panną Maryą. Widziałem dobrze, że jest dość na mnie łaskawą, ale czy mnie kocha, jak to twierdzi pani margrabina, tego także nie wiem. Ja bo miłość jakoś dziwnie sobie wyobrażam — dodał z pewnem zamyśleniem. — Myśmy się bawili, uczęszczali do teatrów, na bale i koncerty, słowem czas nasz tak nam pochłaniali inni, żeśmy go zbyt mało mieli dla siebie.

— No, ale przecież — ciągnął, indagując, pan Rudomina — cóż mówi twoje serce?

— Ha, ha, ha! — roześmiał się przymusowo Mieczysław — moje serce to jakiś dziwny potwór; twarde, jak kamień, a głupie, jak cielę.

— Jakto? Nie rozumiem tego porównania.

— Najlogiczniejsze w świecie. Nieraz rozczuła się i mięknie, jak wosk, na widok kalectwa, łachmanów i wszystkich powszednich bied ludzkich; tłucze mi nieraz młotem w piersiach na wspomnienie bohaterских poświęceń, wielkich czynów; kwili i beczy, jak dziecko, z powodu muzyki, śpiewu i tym podobnych romantyczności poetycznych; nawet tragedia lub dramat, choć to tylko jest sztuką, udaniem, wywiera niepośledni wpływ na to głupie

moje serce. Mimo to, powtarzam raz jeszcze, musi ono być kamienne, skoro dotąd nie zapłonęło miłością do żadnej kobiety. A widziałem ich przecież tyle, tak ładnych, tak czarujących! Co gorsza, ja kocham wszystkie i chciałbym być przez nie kochany.

Ten zwrot żartobliwy, po mimowolnym a szczerym wybuchu prawdy, był niejako cofnięciem się z drogi otwartości. Mieczysław, jak już mówiliśmy, ukrywał przed ojcem to, co było właśnie cechą jego natury, to jest poetyczność, i jeśli kiedy w nieogłędnym zapale wydał się z tą „wadą“, wnet starał się ją zatrzeć przybraną formą trywialności.

Pan Rudomina podparł melancholicznie głowę na rękę, patrzył długo na syna, nareszcie odezwał się w te słowa:

— Trudno mi zbadać, ile w tem, co mówisz, jest prawdy, a ile pozoru. Jedno widzę jasno, że się nie zakochałeś w pannie de la Prémonières. Ale kto wie, czyja w tem wina. Może to już taka twoja natura, mój drogi Mieczysławie, że to, co ci rają drudzy, nie przypada ci do smaku. Wiedziałeś z góry, że ta, którą masz poznać, jest dla ciebie przeznaczoną, że trzeba ją kochać i że ona ma także kochać ciebie. Otóż to „trzeba“ i to „także“, dla pewnych charakterów są właśnie najdrażliwszym szkopułem. Bajronizm, nieszczęsny bajronizm — mówił dalej pan sędzia z widoczną boleścią w głosie — zaszczerpił swój jad we wszystkie wzniosłe umysły i szlachetne serca młodych ludzi. Na tę chorobę umarł Słowacki, przez nią zgasł Puszkina

w kwiecie wieku i tylu innych, choć nie geniuszów, ale prawdziwych talentów, zmarnowało się pod wpływem trucizny tego utrapionego lorda-poety. Niestety widzę, że i ty masz w sobie już jej zarody i tylko wczesne ożenienie się z rozumną a dobrą kobietą może cię uleczyć.

Mieczysław jeszcze nigdy nie słyszał słów podobnych z ust ojca. Słowa te oskarżały go wyraźnie o ten grzech, z którym on przez życie całe tak się taił. Można więc sobie wyobrazić, jak został niemi uderzony; podobny był do złodzieja, co na gorącym uczynku został złapany za fałdy sukni. I napróżno silił się na uśmiech i szukał myślą słowa na koncept; myśli i usta były nieposłuszne.

Trwała długa chwila milczenia. Nareszcie syn pierwszy się odezwał:

— Doprawdy, nie wiem za co kochany papa tak mnie surowo złażał. Ja najmniejszej skłonności nie mam do poezyi, a tem mniej do bajronizmu; owszem, jestem praktyczny, zimny, może za bardzo zimny i praktyczny, ale już takim jestem.

Mieczysław tłumaczył się, jak żak szkolny.

Na ustach pana sędziego błędził łagodny, ale ironiczny uśmiech; odezwał się wreszcie z ojcowską powagą:

— Wiesz dobrze, mój drogi synu, jak cię kocham i jak gorąco pragnę twego szczęścia; wiesz także, jak kochałem twoją matkę i że jej pamięć jest dla mnie świętą. A jednak ja się ożeniłem bez miłości, a twoja matka oddała mi swoją rękę prawie mnie nie znając. Mimo to pożycie nasze było

najszcześliwsze, a szacunek i przywiązanie nasze wzajemne były wyższe i stalsze, niż najgwałtowniejsza miłość. Przeto postanowiłem, dla własnego twego dobra, nie dozwolić błąkać się twojej wyobraźni po rozmaitych manowcach czczych ideałów i po raz pierwszy przemawiam do ciebie tak stanowczo, że chcę, że taka jest moja wola, abyś się ożenił z panną de la Prémonières i to w krótkim czasie.

Na to uroczyste przemówienie, Mieczysław nie zdołał jeszcze nic odpowiedzieć, bo mocne kołatanie kijem do drzwi przerwało rozmowę. Wraz z uderzeniem kija, dały się słyszeć gromkie słowa, poufałym wymówione głosem:

— Cóż u million dyabłów! gdzieżeście się pochowali, szanowni sąsiedzi? Szukam was po całym domu, a wiecie, że mi nogi nie służą.

— A, pan Józef! Wchodź, proszę, bez ceremonii—odezwał się uprzejmie pan Rudomina, gdy Mieczysław tymczasem pośpieszył sam drzwi otworzyć, a witając pana Haraburdę, mówił wesoło, z uśmiechem, chcąc zagłuszyć w sobie wrażenie, jakiego doznał przed chwilą.

— Po tych uderzeniach militarnych, nie słysząc jeszcze głosu, odgadłem, że to szanowny pan kapitan przypuszcza szturm do mego pokoju. Szczęściem, że już wstałem z łóżka, bo może byłbym z niego wysadzony w powietrze, jak ów sławny fort turecki, o którym tyle razy słyszałem z ust pana kapitana dobrodzieja.

Na wspomnienie wysadzonego w powietrze fortu, pan Haraburda roześmiał się serdecznie, wesoło, jak za dawnych, młodych lat, i odrzekł junacko:

— A cóż myślicie acaństwo, że jeszczebym dziś nie potrafił puścić w powietrze głupich Turków i wysłać ich do siódmego nieba na ucztę Mahometa z huryskami? Ba! żeby mię opuścił tylko ten przekłety reumatyzm i ta czartowska podagra, pokazałbym ja wam jeszcze, co umiem!

Mówiąc to, pan Haraburda opierał się na kiju, bo nogi mu się trzęsły i mocno był sfatygowany, przeszedłszy pieszo przez łąkę. Usiadł więc na podanem mu przez Mieczysława krześle i znowu zaczął prawić.

Pan Haraburda w jednych prawie był latach z panem Rudominą, a wyglądał przy nim o jakie lat dziesięć starszy. Włos miał zupełnie siwy, twarz pooraną, na której wyrazistemi głoskami wypisane były burzliwe walki wewnętrzne, już to pochodzące z jego gwałtownego charakteru, już też z wielu strapiień domowych i niepowodzeń fortuny. Nadto siły jego fizyczne, przez zbyt hulaszczę życie, wielce się nadwyreżyły i boleśnie brak ich czuć mu się dawał.

Pan Haraburda był już kompletnym starcem; niktby w nim ani poznał owego niegdyś świetnego Febusa, pogromcę serc niewieścich. A co najsmutniejsza, że szukając pociechy na swoje strapienia, których główną przyczyną był jego jedynak, zaczął jej szukać w trunkach i często, bardzo często wi-

dywano go zupełnie nieprzytomnym. A jakkolwiek wpływ pana Rudominy był na niego wielki, potężny, jakkolwiek słuchał go i bał się zarazem, jak dziecko, w tem jednym był niepoprawny. Tail się przed panem Jackiem, zapierał, przysięgał nawet pod słowem honoru, że już więcej pić nie będzie, bo to mu widocznie szkodzi na zdrowiu; lecz na drugi dzień znowu powtarzał to samo, wmawiając w siebie, że to tylko dla zabicia robaka, co gryzie pod sercem.

Niestety! tym gryzącym go robakiem był Aleksander. Tracił on do reszty ojca majątek, okradał go, zaciągał długi, próżnował, nie okazywał ojcu ani przywiązania, ani szacunku.

Biedny kapitan, porównywając swego jedynaka z jedynakiem sąsiada, nieraz zapłakał gorzko ukradkiem i wyszeptał cicho:

— O, czemuż lepiej nie dał mi Bóg córkę! Z dziewczyny miałbym pociechę, miałbym jej przywiązanie, opiekę, a ten łotr czyha tylko na moje życie!

Pan Haraburda dnia tego był zupełnie trzeźwy, jużto z obawy pana Jacka, już też wiedząc, że w czasie obiadu będzie pił doskonale wina, w które piwnica pana Rudominy obficie była zaopatrzoną. Nie chciał, jak mówił, psuć sobie gębę zwyczajną „siwuchą“—a pan kapitan gdy był trzeźwy, bywał jeszcze wesół i conceptowicz.

— Cóż, panie Jacku, szanowny mój sąsiedzie, widzę z waszej miny, że jesteście wielce uszczęśliwieni waszym synem. Bogiem a prawdą, jest z czego

się cieszyć; chłopiec, jak malina, tego ma w głowie i poczciwie w sercu. Brak mu tylko huzarskiego munduru, a na honor! wszystkie kobiety szalałyby za nim.

— Jak niegdyś za tobą, kochany panie Józefie — odrzekł śmiejąc się pan Rudomina, widocznie jednak kontent z pochwał, oddanych synowi.

— Ba! — westchnął ciężko pan kapitan — kiedy to było!... A że było, to prawda. Dyabelne miałem szczęście do kobiet; lgnęły do mnie, jak magnes do żelaza. Jeśli nie wierzycie temu, to spytajcie się panny Tekli Maszadro, mojej najukochańszej ciotki.

I mówiąc to, pan Haraburda roześmiał się na całe gardło, jak było jego zwyczajem, kiedy był rad ze swego konceptu.

— Oj, panie Józefie — rzekł pan Rudomina, będący także w humorze do żartowania — odpowiesz ty przed Bogiem ciężko za pannę Teklę! A toż to z twojej winy została ona starą panną, nikogo ze śmiertelników nie mogła pokochać. Ja myślę, że ona dotąd kocha się w tobie.

— A niech ją wciórnaści!... — wrzasnął pan Haraburda, uderzając kijem o podłogę. — Byłbym pięknie wyszedł, żebym się z tą megerą ożenił! Nie wspominajcie mi tej Morowej Baby, bo stracę zupełnie apetyt i humor!

— A gdzież jest Oleś? — zapytał Mieczysław, zwracając rozmowę na inny przedmiot, jak sądził, przyjemniejszy dla pana kapitana.

Ale na to pytanie pan Haraburda sposepniał widocznie, musnął gwałtownie po siwych wąsach i rzekł sucho:

— A lichy go wie, gdzie się obraca; czy on mnie kiedy mówi, gdzie idzie i skąd wraca? Ot, lata po świecie, jak kot z pęcherzem u ogona, i póty będzie latał, aż kark gdzie skręci.

— Wtem trochę twojej winy, szanowny sąsiedzie—wtrącił z melancholią w głosie pan Rudomina. Zabardzo go pieściłeś, zawiele mu dawałeś wolności od dzieciństwa, i teraz tego są skutki.

— Wy bo, panie Jacku — ofuknął pan kapitan — zawsze szukacie powodu, by winę zwalić na mnie. Co to pieściłeś, co to dawałeś wolność! Alboż to wy nie pieściliście waszego? Czy trzymaliście go na obroży? Że się nie pastwiłem nad sierotą bez matki, to prawda; aleć no, nie psułem go i nie popychałem do złego.

Na twarzy pana Haraburdy, kiedy to mówił, był wyraz nie tylko gniewu, ale i głębokiego smutku.

Pan Rudomina wszelako obstawał przy swoim:

— Owszem, kochany panie Józefie, powtarzałem ci to wiecznie i powtarzam jeszcze; chłopiec nie chciał szkół kończyć, wyszedł z trzeciej klasy. a wy nic na to; w domu nie wglądaliście w jego czyny, robił, co chciał, a wiem, że zawsze robił głupstwa. A teraz za stare już drzewo, by go nagiąć i sprostować.

Biedny pan Haraburda miał lzy w oczach, odrzekł drżącym głosem:

— Wy jesteście, panie Jacku, bez litości nade mną: nietylko mnie strofujecie wiecznie za moje wady, ale jeszcze i za wady tego nicponia. Do milion fur beczek! to wiele złego na jednego.

— Ależ, kochany panie — odezwał się Mieczysław, widocznie wzruszony — to już taki zwyczaj papy, że wszystkich monituje: przed chwilą mnie łajał, nimeście tu przyszli; teraz panu się dostało. Nie traćcie przecież kurażu, panie kapitanie i krzyżową sztuką odpierajcie ataki. Was stać na wymowę, gdy tego zechcecie.

Pan Rudomina z miłością poklepał syna po ramieniu rzekł z uśmiechem:

— A to ty niby dobry syn, co przeciwko ojcu uzbraja przeciwnika! Widzisz, szanowny panie Józefie, że i z mego jedynaka niewielka pociecha.

— „Na seło duryty!“ panie Jacku — odparł z widocznym wzruszeniem pan Haraburda. — Dobrze wam żartować z bliźniego, kiedy sami jesteście szczęśliwi i macie stokrotną pociechę w waszym synie. Ale, do miliona kaduków! grzeszycie także pychą, jak ja czem innem, myśląc, że w tem wazsa tylko zasługa, żeście to wy go tak wychowali i nauczyli waszego rozumu. Furda panie Jacku. Nie każdy syn idzie po ojcu. Widzimy głupich rodziców, a synów mądrych, i przeciwnie. Ot, taka już natura. Od dzieciństwa to było dobre, pocziwe i rozumne, bo tak mu Pan Bóg dał.

— Nie przeczę temu — odparł poważnie pan Rudomina — że biorąc rzeczy z punktu filozoficznego...

— A dajcież mi pokój z waszą filozofią! — prze-

rwał niecierpliwie pan kapitan. — Najlepszy filozof to Pan Bóg, On jeden wie, co robi.

Pan Haraburda na starość stał się bardzo pobożnym.

— Gdzie grzech, tam jest i kara—ciągnął dalej sentymentalnie.—Ja wam zazdrościłem syna i pragnąłem go mieć, może więcej wam na złość, niż sobie na pociechę. Ha, i Bóg mi dał to, czego tak gorąco pragnąłem. Ale „traścia maty“, powiedział sobie, odbiorę ci za to żonę, poczciwa, serdeczną kobietę, a dam gagatka, co niech go kule biją!...

Mieczysław rozśmiał się szczerze i rzekł:

— Ależ, szanowny panie kapitanie, jeśli tak Pan Bóg powiedział i zrobił panu na złość, to niebardzo grzecznie z Jego strony...

— A wara, mój chłopcze, od żartów z Pana Boga i Jego świętych wyroków!—zawołał pan Józef, broniąc swojej logiki.—Pan Bóg nikomu nie robi na złość, tylko ludzie Jemu naprzykrzają się głupstwami... i Pan Bóg za to ich własne głupstwa im oddaje.

— To głęboko teologiczne—mówił Mieczysław, przygryzając usta, by nie parsknąć śmiechem.

A pan kapitan, dumny z pochwały, puszczał ogromne kłęby dymu z fajki i powtarzał, kiwając głową:

— Tak, tak, na starość człowiek wie wiele rzeczy, których nie wiedział za młodu.

Pan Rudomina tymczasem wymknął się z pokoju syna, już to dla zmienienia ubioru, już też dla wydania rozkazów. Gdy Mieczysław i kapitan zo-

stali sami, pan Haraburda rzucił impetycznie fajkę na stół i zawołał z wylewem szczerości:

— O mój ty kochany Mieczysławie, czemu ty nie jesteś moim synem! Ten twój ojciec, do kroćset! to chyba dyabłu zapisał duszę, że mu tak wszystko idzie na świecie, jak z płatka.

W głosie pana kapitana już nie była zazdrość, ale rozczulenie nerwowe, kobiece.

Mieczysław zbliżył się i pocałował w ramię pana kapitana, odrzekł z sympatją:

— Serdecznie kochanemu panu dziękuję za jego łaskawą o mnie opinię, choć może niecałkiem na nią zasługuję. Chciej mi wierzyć, panie, że choć nie jestem twoim synem, mam dla pana uczucie szczerego przywiązania.

— Bóg ci zapłać, Bóg ci zapłać, drogi chłopcze!—mówił pan Haraburda, tłumiąc łzy, cisnące mu się do oczu — bo ja jestem prawdziwy starzec sierota. Nikogo, nikogo, żywej duszy przychylniej nie mam koło siebie... Oh, ten mój syn, czeka tylko na moją śmierć, żeby coprędzej stracić do reszty całą chudobę. I czemu to Bóg sprawiedliwy nie postąpił wedle swojej mądrości, ale usłuchał mego głupiego rozumu!...

— Jakto?—zapytał Mieczysław, strapiiony tym nagłym zwrotem religijno-filozoficznym.

— A przecież to jasne. Gdyby mi dał córkę, piękną młodą, hożą dziewczynę, a dobrą, jak była jej matka... ha, kto wie, tybyś się w niej pokochał, ona w tobie... ot i byłbyś, panie Mieczysławie, moim

zięciem, moim synem, a ja doczekałbym się wnuków... i umarłbym szczęśliwy na waszem ręku.

— Ha! drogi panie—odrzekł poważnie Mieczysław — nie mówmy o tem, co już być nie może, a miejmy nadzieję, że Aleksander poprawi się z błędów młodości i da jeszcze panu pociechę i szczęście. Może się także ożenić, a synowa..

Pan Haraburda machnął niecierpliwie ręką i już nic nie mógł odpowiedzieć, bo nagły turkot powozów na dziedzińcu zwiastował przyjazd gości, zaproszonych na obiad.

Mieczysław pośpieszył do ojca, stojącego na ganku pod filarami i wraz z nim czynił honory domu, witając i dziękując łaskawym sąsiadom i powietnikom za dotrzymanie słowa.

IV.

„Pan Bóg wie, co robi“.

Okrutnie jest stromy spadek ze szczytu nadziei—szczęścia, w przepaść zwątpienia i rozpacz.

Piękna Terenia, po przyjściu do przytomności, do której ją płaczem i głośnem wołaniem przywołała stara Katarzyna, rzuciła się jej na szyję i łkając mówiła:

— „Ona“ mnie się wyrzeka! Gardzi mną! Ja nie mam matki... jestem najniezszczęśliwszą istotą na ziemi!

Poczciwe kobiecisko nic tego wszystkiego nie rozumiało, wszelako dzielając boleść strapionej pani, cieszyła ją, jak mogła:

— Ej, nie gadajcie tego, serdeczna panusiu, toć wy młoda, ładna jak róża, dla was szczęście nie za górami. Jenó uspokójcie się, a przyzwijcie Boga do serca, aby zły nie miał przystępu do was.

— Ty nie wiesz, moja poczciwa Katarzyno, ty nie jesteś w stanie pojąć, co ja cierpię, co się dzieje w mojem sercu! Gdybym dziś mogła umrzeć, byłabym najszczęśliwszą.

— Nie bluźnijcie, droga panienko, nie wspominajcie o śmierci. Czy to ja tyle w życiu cierpiałam, a nie wzywałam ostatniej godziny, bo to grzech, ciężki grzech... Ja, panusiu, — mówiła, pocieszając

Katarzyna — miałam już cztery razy wyjść zamaż, a każdy z tych niedowiarków porzucił mię, oszukał. Ostatni, niech ciężko odpowie na sądzie Boskim! to okradł mię ze szczętem, bom mu w dobrej wierze, że będzie moim, oddała wszystek grosz, com sobie uciulała po służbach. Ot, wiele to ja wycierpiałam za moje dobre serce! A jednak nie rzuciłam się do Niemna, choć nieraz „zły“ doradzał, ale poszłam do kościoła Bernardynów i wyplakawszy się gorzko, ofiarowałam moje nieszczęście na chwałę Bogu.

Mimo tych wszystkich pocieszeń, nieutulona w żalu Teresa płakała gorzko i wciąż powtarzała w sobie:

— Ona mną gardzi, ona mnie się wyrzekła!

Nie wierzyła bowiem zupełnie owej relacji panny Maszadro, jakoby ona była córką jakiejś jej krewnej, zmarłej przy wydaniu jej na świat. Teresa widziała w tem zaparcie się macierzyństwa i wyraźną wolę, by nie napastowała więcej swoją miłością tej, o której była pewną, że jest jej matką.

Przebolawszy srodze pierwsze chwile, Terenia zaczęła się uspakajać. Bo z sercem ludzkim, to jak z wiosenną naturą; tembardziej, gdy to serce jest młode, wiosenne i pełne zapału do życia. Po burzy i grzmotach, następuje znowu pogoda, trawa staje się zieleńszą, a kwiaty wonieją. Kiedy się nawałnica wewnętrzna uspokoiła, po łzach obfitych, które zwykle przynoszą wielką ulgę sercom niewieścim, nastąpiły spokój i rozwaga, czyli rezygnacya.

Teresa przypomniała sobie w dni kilka, że jej opiekunka i domniemana matka przysłała jej, wraz z listem, pięćset rubli. Wydawało się jej to ostateczną zniewagą, szyderstwem, jałmużną, rzuconą jej na odczepne, a na tę myśl oburzyła się jej duma, jej godność...

— Wyrzeka się mnie, wstydzi — mówiła biedna dziewczyna, płonąć cała oburzeniem — pieniądze tylko chce się wywiązywać ze świętego długu macierzyństwa. O nie! już dosyć tego, za długo żyłam tą jałmużną. Dziś nie przyjmę jej, za nic w świecie nie przyjmę... Wolę biedę, nędzę, niż żyć na łasce tej, co mna pogardza.

I zaraz po tym monologu, usiadłszy przy stoliku, napisała list następujący do panny Maszadro:

„Pani!

Po raz ostatni w życiu będę Cię utrudzała moim listem; odtąd, posłuszna twemu rozkazowi, Pani, nigdy się nie odezwę i nie zakłócę Twego spokoju.

Dotąd, nieświadoma niczego, żyłam z Twojej łaski i hojności, za co ci, Pani, składam dzięki i nie przestanę prosić Boga o Twoje szczęście, o jak najdłuższe życie; lecz odkąd się dowiedziałam, że jestem zupełnie obcą dla Ciebie Pani, postanowiłam nie być więcej ciężarem dla Pani i wspaniała jałmużnę, jakąś mi raczyła przysłać przy liście, zwracam z największym podziękowaniem i wdzięcznością.

Pani zrobiłaś tak wiele dla obcej sobie istoty, powierzyłaś mnie opiece najgodniejszej kobiety, która

sercem była mi matką, dałaś mi wychowanie i nauki nad mój stan i moją wartość. Z łaski Twej i dobroci nic mi nigdy nie brakło dotąd; nie doznałam biedy, nie rozumiałam, co to walka w życiu o chleb powszedni. Jest to dług święty, który ci winnam spłacić. Tak, odtąd będę sama pracować na siebie i tę trochę talentów, jakie posiadam z łaski Twojej, potrafię zużytkować i przy pomocy Bożej zwracać, choć częściowo, koszta, któreś przez lat tyle łożyła na sierotę.

Przyjm Pani wyrazy mego głębokiego uszanowania i wdzięczności, z jaką zostaję.

Teresa.“

Panna Maszadro czytała ten list kilka razy, obracała go na wszystkie strony, kładła go na stół i znowu brała do rąk. Nareszcie powstała z krzesła i rzekła z determinacją w głosie:

— Ha!... muszę sama poznać tę dziewczynę!

W godzinę była już w drodze do Grodna.

Panna Maszadro stanęła, jak zwykle, w swoim domu przy ulicy Zamkowej i kazała zaraz po przyjeździe, przywołać do siebie pana Sypełka.

Znakomity bowiem ów geometra i heraldyk od lat kilkunastu zaniechał zupełnie fabrykowania starych dokumentów i wiernej imitacji rozmaitych podpisów, wraz z pieczęciami. Zapewne go znudziły studia archeologiczne, przynoszące mu niewielkie korzyści, a często niebezpieczne powikłania. Postanowił więc zostać „porządnym obywatelem miasta“, to jest mieć gotówkę i pożyczać ją na procenta. Ja-

koż dziwnie pomyslny skutek uwieńczył te zamiary. Pan Sypełek, już to dzięki swojej przebiegłości, już też hojności panny Maszadro, ma dziś kilkadziesiąt tysięcy gotówki, wypożycza ją Żydkom grodzieńskim i panom szlachcie w pilnych razach na lichwiarskie procenta. Jest nieubłagany w terminie oddania, jakby był wcielonym wyrokiem sądowym. Jeździ sam po dworach w eleganckiej nejtyczance, paroma końmi, a furman jego nosi liberyę z bronzowemi guzikami. Nadto tytułuje się jeneralnym plenipotentem jaśnie wielmożnej panny Tekli Maszadro, szczyt się jej wielkiem zaufaniem i wyłączną jej łaską.

Twierdząc tak, wcale nie kłamał pan Sypełek. Panna Maszadro bowiem dziwnie sobie upodobała spryt pana Sypełka i wysoko ceniła jego wstrzeźliwość języka, który on przez lat dwadzieścia trzymał na wodzy, jakby go połknął i nie zdradził tajemnicy. Wypróbowany już p. Sypełek został przypuszczony do innych interesów starej panny. Jeździł już kilkanaście razy ze zbożem i drzewem z Maszadowa do Królewca, do Jurborga, a wszędzie sprawił się dobrze, trzeźwo, brał nietylko od kupców łapowe, ale i od pani dostawał hojne porękawiczne.

Słowem, tajemnica wykradzenia i zamiany dziecka państwa Haraburdów wyszła na dobre panu Sypełkowi. Był to dla niego wielki los, wygrany milczeniem.

Na rozkazy dostojnej swej pryncypałki, jeneralny plenipotent zjawił się natychmiast, składając od proga najniższe ukłony, a zbliżając się posuwicie do ucałowania ręki. Ten dowód łaski oddawna był dozwolony.

Panna Maszadro, która zaledwie o lat kilka była starszą od pana Sypełka, wyglądała obecnie na szpitalną babułę; ogromna jej postać zgięta była w połowie, niby drzewo złamane; włosy, niegdyś kruczej czarności, przeszły w białość śnieżną, a bujne ich kosmyki wymykały się w nieładzie z pod czarnego, tiulowego czepca. Nos strączkowy, zatabaczony, wyciągnął się jeszcze bardziej i literalnie spadał na brodę. Twarz żółta, poorana zmarszczkami, miała zawsze wyraz surowy, nieprzystępny, a usta z natury wąskie, zniknęły całkiem wskutek braku zębów. Słowem, był to kompletny obraz ruiny starego zamczyska, w którym puszczyki lubią przemieszkiwać. Oczy tylko, te bure, przymrużone oczy, zostały te same, co dawniej, z kocimi płomykami i z sówią mądrością.

Pan Sypełek przeciwnie, można rzec, iż na starość odmłodził. Z fircykowatego szlifibruka, stał się poważnym mieszczaninem, nabrał tuszy, brzuch mu się zaokrąglił wspaniale. Ubiera się zawsze modnie i z pewną pretensją, co mu także znacznie ujmuje wieku, a pewność, że ma gotówkę i pobiera z niej dobre procenta, nadaje twarzy jego wyraz wielkiego zadowolenia i szacunku dla siebie.

Pan Sypełek ma na sobie surdut wigoniowy, aksamitną, wiśniową kamizelkę, gruby złoty łańcuch od zegarka, na którym wisi pieczęć z krwawnikiem, sygnet przerażającej wielkości i kluczyk bregetowski. Wszystko to razem, błyszcząc, dzwoniąc i klekocąc, nadaje wielki szyk ubiorowi pana plenipotentą. Laska ze srebrną gałką i kapelus

cylindrowy, jak można najwyższy, uzupełniają świeżną tualetę eleganta grodzieńskiego.

Po niskich ukłonach i trzykrotnem ucałowaniu suchej ręki dostojnej pryncypałki, pan Sypełek zapytał, jak można najśłodszym głosem:

— I cóż mogło jaśnie panią sprowadzić do naszego Grodna w taką szkaradną porę i po tak złych drogach? Czy nielepiej było przywołać swego wiernego sługę i wydać mu rozkazy w Maszadrowie, niż narażać swoje szlachetne zdrowie na „próby“ kataru i kaszlu?

Pan Sypełek lubił zawsze mówić wykwintnym stylem.

Panna Tekla odrzekła dość kwaśno:

— Widzisz acan, są rzeczy, które sama muszę załatwić. Nie przyjechałabym pewno, gdyby nie to... że chcę widzieć... tę, wiesz acan, sierotę, Teresę Haraburdównę. Teraz, po śmierci Baurowej, dziewczyna dostała kompletnego pomieszania zmysłów. Naprzód jej się ubrdało, że jestem jej matką, napisała do mnie list romantyczny, jak z książki; a gdym jej wprost odpisała, że się myli i że jedynie opiekuję się nią dlatego, że jest sierotą po mojej blizkiej krewnej, zwróciła mi pieniądze, którym jej w liście posłała.

— A ile było pieniędzy? — zapytał ciekawie pan plenipotent.

— Mniejsza o to, ile było — odrzekła cierpko panna Maszadro. — Ale widzę z listu, że to dziewczyna energiczna i nie przyjmie już więcej jałmużny, jak się wyraża. A nie chciałabym, żeby się

zmarnowała na świecie; zawszeć to córka mojej siostrzenicy.

Panna Tekla umilkła. Pan Sypełek bawił się łańcuchem od zegarka, nie wiedząc, jaką dać radę, któraby się podobała pani, a nie obraziła jej. Rzeki nareszcie:

— Mojem zdaniem, jaśnie pani, jeśli ta panna okazała się niewdzięczną za łaski i dobrodziejstwa jaśnie pani i odsyła pieniądze, dane szcudrobliwą ręką, to trzeba ją trochę nauczyć *mores*. Nic nie dać. Jak trochę pobieduje, to wnet się upokorzy i sama będzie prosić o zasiłek.

— To głupia rada! — ofuknęła niecierpliwie panna Maszadro. — Acan jej chyba nie znasz dostatecznie. Z jej słów widzę, że ma dużo rozumu i woli, a nie wiem skąd się to wzięło po takim głupim ojcu i takiej trusi matce... Acan przecie widziałeś ją tyle razy, to mogłeś sam ocenić, że to jakaś „dziwna“ dziewczyna.

— O tak, jaśnie pani, przy oddawaniu pieniędzy nieboszcze Baurowej, z których pokwitowania oddawałem zawsze jaśnie pani, widywałem często pannę Haraburdównę. Że jest piękną, tego zaprzeczyć nie można; podobno posiada wysokie talenta; ale co do jej charakteru i „grzeczności“, to niewiele mogę powiedzieć. Jakaś bardzo dumna i małowanna; nie raczy mi nigdy nawet podać ręki, chociaż, mówiąc między nami, jestem jej ojcem chrześnym.

— Co tam acana ojcostwo! — przerwała z widocznym gniewem panna Maszadro — psu na budę

się nie zda. Nie masz się z czem odzywać. A że dumna, jak mówisz i małowówna, to lepiej; nie spowiewiera się przynajmniej i nie zrobi głupstwa. Radź acan mądrze, co zrobić, żeby dziewczyna przyjęła pieniądze?...

— Ja się tego podejmuję—rzekł z nadętością pan Sypełek. — Udowodnię i przekonam ją, że popełniła wielki błąd, obrażając łaskę jaśnie pani. Sądzę, że trafię do jej przekonania i stanie się zadość woli jaśnie pani.

— A no, to dobrze—rzekła w zamyśleniu panna Maszadro, w której toczyła się walka, czy ma sama widzieć się z sierotą, czy nie, bo pragnęła i bała się niemal jej widoku.

Postanowiła w końcu, żeby cudze ręce raczej wsadzić do żaru, niż samej się oparzyć.

— Nie trać więc acan chwili—rzekła, nie patrząc na współnika tajemnicy.—Jabym dziś jeszcze odjechała do domu. Masz oto tę paczkę, w niej jest tysiąc rubli; oddaj to, niech cię pokwituje i powiesz mi... ale tylko nie kłam acan... co ona powie.

— Tysiąc rubli!—zawołał plenipotent, cmokając ustami.—Chybaby miała pomieszanie zmysłów, gdyby nie przyjęła podobnej sumy. O! mogę upewnić jaśnie panią, że będę dobrze przyjęty!...

— Wątpię—wycedziła przez zęby stara panna.

Pan Sypełek porwał kapelusz i wyleciał, jak strzała, ciesząc się zawczasu, że jakie sto rubelków wpadnie mu do kieszeni, jako medyatorowi i wręczycielowi takiego prezentu.

Po upływie godziny powrócił, lecz z kwaśnej i zaambarasowanej miny łatwo odgadła panna Maszadro, że poselstwo się nie powiodło.

— Cóż, nie przyjęła?—zawołała do wchodzącego, a w głosie jej znać było widoczną obawę.

— A! jaśnie pani — odparł pan Sypełek, ocierając czoło chustką — co ja miałem kłopotu z tą panną Teresą! I oto jestem wśród zimy spotniały, jak w kanikułę; żaden na świecie adwokat nie użył tak silnej wymowy, jak ja.

— Mniejsza o acana wymowę; mów prędzej, czy przyjęła pieniądze?

— Gdzietam, jaśnie pani! To kamień nie dziewczyna. Powiedziała: „Nie przyjmę tych pieniędzy, proszę podziękować pani Maszadro“ — i więcej gadać nie chciała. Siedziała nad jakąś robotą niby mruk, nic nie odpowiadając, jakby mnie wcale nie było w pokoju.

To rzekłszy, pan Sypełek położył z ciężkiem westchnieniem na stole paczkę z banknotami.

To źle — mruknęła pod nosem panna Maszadro. — Więc nie przyjmie i ode mnie samej. Co ta dziewczyna teraz z sobą pocznie?

— Właśnie i o to pytałem — szepnął pan Sypełek.

— I cóż acanu odpowiedziała?

— Ba! odpowiedziała, niby królowa swemu słudze: „Niech się pan o to nie troszczy; a jeśli pani Maszadro chce wiedzieć, co będę robiła, to jej winnam dać odpowiedź. Oto mam już zamówione lekcye grania i śpiewu. Dadzą mi one skromne, ale

dostateczne utrzymanie.“—Piękne utrzymanie! Może jakie dwa złote za godzinę, a najwięcej mieć będzie trzy godziny na tydzień... Oj, ta dumna panienka cienko wkrótce zaśpiewa!

Panna Maszadre nic na ten argument nie odzwała, tylko rzuciła dwa kocie, jadowne płomyki na mówiącego i już nie walka, ale wyraźna burza odbiła się na jej pooranej twarzy. A była to pierwsza tak gwałtowna burza w sumieniu Morowej Dziewicy.

— Ja sama pójde do niej!— rzekła ponuro. — Zaprowadzisz mnie acan, ale nie wchodź za mną. Chcę z nią mówić sam na sam.

Pan Sypełek wiedział, że już niema co perswadować, bo postanowienia panny Maszadro były zawsze stanowcze. Wziął więc kapelusz i wyszedł za panią, zakwefioną czarnym, gęstym wualem.

Tymczasem Teresa, po wyjściu pana Sypełka, wybuchła głośnym, spazmatycznym płaczem. Tak długo, przez całą godzinę, panowała nad sobą i nad swoim uczuciem oburzenia bolesnego, że lzy stały się dla niej koniecznością, bo przynosiły ulgę samotnionej sierocie.

— Mój Boże — mówiła do siebie, przyciskając ręką serce—jak tu boli, jak tu strasznie boli!... Ci ludzie pieniędzmi chcą zaspokoić potrzebę serca. Ona, matka moja, która mię nie widziała od dzieciństwa i nie chce nigdy widzieć, przysłała mi jałmużnę przez swego służalca, człowieka wstrętnego dla mnie, którego sam widok dziwnie odpycha.

Teresa, będąc duszą czystą i szlachetną, instynktem odgadywała wewnętrzne brudy pana Sypełka, a choć nieraz naiwna Baurowa perswadowała jej, że to jest bardzo zacny i porządny człowiek, piękna Terenia zawsze powtarzała:

— Ja nie wiem, moja ciociu, dlaczego, ale nie cierpię tego pana.

Owóż wyplakawszy się po wyjściu niemiłego gościa, usiadła do fortepianu i zaczęła naprzód uderzać akordy improwizowane, fantastyczne, a jako artystka sercem i wyobraźnią, dała lot myślom wysoki, niby ptaszę wzlatujące pod obłoki; przechodząc z melodyi w melodyę, wysnuwała z siebie cudne słowa poezji, skargi i bólu. Utonawszy całkiem w krainie harmonii, nie słyszała wcale, jak zwolna drzwi się otworzyły i stanęła w nich czarna postać panny Maszadro.

Przez długą chwilę Morowa Dziewica chłonęła uchem cudne tony, wypływające z pod biegłych palców grającej; oparłszy obie ręce na parasolu, zasłuchana, zdumiona, nie wiedziała sama, skąd i dlaczego w piersiach jej zaczęło coś silnie kołatać. Miałożby to być serce? Czemu nie? Jeśli kamienne poruszała pieśń Orfeusza, czemużby i serce kamienne panny Maszadro nie poruszyło się także na dźwięki muzyki, jakiej jeszcze nigdy w życiu nie słyszała?

Nareszcie Teresa, uderzywszy ostatni akord na zakończenie wielkiej, zaimprowizowanej sonaty, odwróciła się i spostrzegła nagle jakąś marę nieruchomą, stojącą we drzwiach. Pierwsze wrażenie trwogi, przestachu, zatamowało jej oddech w pier-

siach; brakło jej głosu, by przywołać Katarzynę. Siadła więc powtórnie na krzesło i zmrużyła oczy, czekając, co dalej będzie.

Panna Maszadro pojęła przestrach samotnego dziewczęcia, odezwała się więc głosem o ile mogła łagodnym:

— Nie lękaj [się, pani, nie jestem widmem; przyszedłam tu, by pomówić z panią. Ale twoja muzyka... Grasz pani tak ślicznie, że nie chciałam przeszkadzać i słuchałam z wielką admiracją.

Teresa, słysząc głos ludzki, gdy się upewniła, że to jest jakaś kobieta a nie mara, powstała z miejsca i zbliżając się do drzwi, rzekła uprzejmym tonem:

— Proszę, niech pani raczy mi powiedzieć, czem mogę służyć?

— Najprzód krzesłem—odparła z uśmiechem, a raczej z wykrzywieniem twarzy panna Tekla. — Jestem już stara i nogi mi nie służą; pozwolisz pani zatem, że usiądę.

— I owszem, niech pani siada — rzekła dość zimnym tonem Teresa, na której przykre wrażenie wywarła twarz nieznajomej.

Wszelako szanując wiek i zachowując grzeczność, podsunęła fotel.

Lecz stara panna, zanim usiadła na wskazanym sobie miejscu, ujęła w rękę świecę, stojącą na stole, a zbliżywszy się do Tereni, zapuściła w nią swój wzrok przenikliwy, świdrujący, inkwizytorski.

Teresa, przerażona tym niedyskretnym postępkim i widokiem szpetnej twarzy, która przy blasku

świecy miała coś wrogiego, coś, co mimowoli przypominało czarownice szekspirowskie, cofnęła się o parę kroków i zapytała z pewną wyniosłością:

— Kto pani jesteś i co znaczy ten dziwny sposób zaznajamiania się?

Panna Maszadro nic na to nie odpowiedziała, jakby była głuchą, a nie zmieniając ani pozycji, ani badawczego wzroku, wyszeptwała przez zęby sama do siebie:

— Cóż za uderzające podobieństwo do niego, kiedy był młodym!... Te same oczy, to samo czoło, też usta; brak tylko munduru huzarskiego.

I rozśmiała się dziko, przymusowo, zawistnie, bo w jej oczach stanął piękny, błyszczący „Febus“, a w pamięci odbiło się z dawnych lat echo jego głosu, jego słów, jego uśmiechu, który taką czarodziejską miał władzę nad sercem Morowej Dziewicy. W tej chwili stara, kamienna kobieta nie była panią siebie; pobladła trupio, ręce jej drżały, a usta sine szeptały niezrozumiale:

— Nie, on jej nigdy widzieć nie będzie... chyba na łożu śmierci. Znadto byłby szczęśliwy.

— Ależ kto pani jesteś?—zawołała z wyraźną trwogą Teresa, przypuszczając, że z waryatką ma do czynienia. — Co tu panią sprowadza?

— Kto ja jestem?—powtórzyła spokojnym już głosem przybyła, stawiając świecę na stole. — Ja jestem... Tekla Maszadro!...

Gdyby piorun upadł pod nogi Teresy, nie ogłuszyłby jej tak silnie, jak te słowa. Zadrżała całym ciałem, blizką była omdlenia. Wszelako, zapano-

wawszy nad sobą siłą woli, nabrawszy tchu w piersi, odezwała się cichym głosem:

— Pani! jakże jestem szczęśliwą, że mogę ci sama podziękować za świadczone mi dotąd łaski.

— Którymi teraz gardzisz! — przerwała ironicznie panna Tekla. — Nie przyjęłaś pieniędzy, przysłanych w liście, nie przyjęłaś i tych, które ci wręczał Sypełek!... I dlaczego, jeśli wolno zapytać, taka duma i wzgarda?

— Nie nazywaj to pani dumą, ani wzgardą — rzekła poważnie Teresa. — Co pisałam, to śmiem powtórzyć raz jeszcze: hojność twoja wkłada na mnie dług, z którego nigdy uiścićbym się nie mogła. Przyjmując ją dłużej...

— A któż ci powiedział — przerwała ostro panna Maszadro — że to, co otrzymujesz ode mnie, wkłada na ciebie jakikolwiek obowiązek? Otóż wiedz o tem, mościa panno, że nie zaciągnęłaś u mnie żadnego długu, nawet długu wdzięczności. Tak, nie jesteś mi za nic obowiązana i możesz mię nienawidzieć, jeśli ci się podoba, niemniej przeto musisz wziąć pieniądze, które ci ofiaruję, albowiem... te pieniądze są twoją własnością.

Mówiąc to, stara panna rzucała kocie płomyki na zdumioną sierotę, badając wrażenie, jakie te wyrazy na niej uczynią. Lecz z wielkiem jej zdziwieniem, Terenia nie okazała najmniejszej radości, przeciwnie, odrzekła obojętnie:

— Wiem pani, że jestem sierotą, opuszczoną przez rodziców, a zatem nie mogę mieć żadnego majątku, któryby mi się prawnie należał; własną

tylko pracą mogę zdobyć niezależność i godziwe utrzymanie. Pani, która mi jesteś obcą — mówiła dalej złamanym głosem—byłaś aż nadto wspaniałą dla biednej sieroty i serce moje nie przestanie nigdy być wdzięczne. Dziś... już mogę sama zapracować i nie przyjmę od nikogo jałmużny.

— Dobra rasa — mruknęła panna Maszadro, a głośno dodała: — Nie jest to wcale jałmużną, co daje z dobrej woli stara, bogata krewna: bo już ci mówiłam, moja panno, i teraz powtarzam, że jesteś mi krewniaczką po matce, która była moją siostrzenicą.

— Więc moja matka nie żyje?!—zawołała drżącym głosem Teresa, a piękną jej twarz łyzy obfite zalały.—Pani! na imię Boga, powiedz, kto była moja matka, moja biedna, nieszczęśliwa matka? Wszak ona już nie żyje? Po cóż ta tajemnica, komu ona może zaszkodzić, jeśli zostanie wyjawiona córce?

Panna Maszadro spuściła głowę na piersi, zmarszczyła groźnie czoło, milczała długą chwilę, nareszcie odezwała się w ten sens:

— Słuchaj moje dziecko. Jestem stara, twarda, zawzięta, nie byłam nigdy żoną, nie byłam nigdy matką; całe życie zbierałam pieniądze i dziś mam ich dużo. Ale niestety, nie byłam nigdy szczęśliwą. Jeden był tylko człowiek na świecie, którego kochałam, a kochałam go po swojemu: twardo, zawzięcie, mściwo. On rozbił mi serce nazawsze, na całe życie, i nienawidzę go tak, jak niegdyś kochałam... Ty jesteś jego córką!

Teresa padła na kolana przed panną Maszadro.

— A moja matka... Pani, zaklinam cię na wszystko, co ci jest świętem, powiedz mi prawdę, co się stało z moją matką? Czy ona żyje, czy, jak mówisz, umarła?

— Ja nigdy nie kłamię!—odrzekła, podnosząc dumnie głowę, panna Maszadro.—Twoja matka nie żyje, umarła, wydając cię na świat, a ja się podjęłam tobą opiekować, jako twoja cioteczna babka.

— A mój ojciec? — dopytywała wciąż na kłęczkach Teresa. — On ją także opuścił?

— Tego ci teraz nie powiem—przerwała śpiesznie powstając Morowa Dziewica. — Nie przyszła jeszcze chwila, żebyś wiedziała wszystko. Bądź jednak cierpliwą, kiedyś może dowiesz się, kto jest twój ojciec i kto była twoja matka. Ojciec twój żyje, ale nie wie wcale o twojem istnieniu. Oto wszystko, co możesz wiedzieć. Teraz pytam cię po raz ostatni: czy przyjmiesz nadal moją opiekę i pieniądze, które oto tu składam?

Mówiąc to, panna Maszadro położyła na stole skórzany pugilares z pieniędzmi.

— Nigdy, przenigdy! — zawołała z egzaltacją młodości Teresa. — Skoro pani nie uznajesz mię za godną powierzenia mi tajemnicy mego urodzenia, ja czuję się niezależną i odmawiam stanowczo przyjęcia pieniędzy. Zabierz je pani, bo inaczej jutro ci je odeślę.

Taka była stanowczość w głosie Teresy, że stara panna zrozumiała, iż próżno byłoby ją zmuszać do

przyjęcia pieniędzy. Schowała więc pugilares do kieszeni i rzekła oschle:

— Masz waćpanna przewróconą głowę, zanadto się naczytała głupich książek. Ale mniejsza o to. Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz! Żegnam waćpannę!

I nie spojrzawszy już na Teresę, wyszła z jej mieszkania.

Pan Sypełek czekał na ulicy; nie pytał o skutek wizyty—bo stojąc zaczajony pod oknem, przez muślinowe firanki wszystko widział, choć nie wszystko słyszał.

Panna Maszadro także nie była skora do zwierzeń, więc w głębokiem milczeniu oboje wrócili do domu.

* * *

Po upływie kilku tygodni, piękna Teresa dała się poznać jako wysoko wykształcona nauczycielka gry i śpiewu. Arystokracya grodzieńska ubiegała się o to, aby utalentowana uczenica Moniuszki dawała lekcye ich córkom. Demokracya znów miała sobie za honor, żeby ta sama nauczycielka uczyła gry i śpiewu ich dzieci, która uczy córki pani gubernatorowej i pani prokuratorowej. Słowem, naraz całe Grodno stało się instrumentalno-wokalnem. Teresa musiała wielu propozycjom odmówić, tłumacząc się brakiem czasu. Stąd gniewy, obrazy i plotki.

Wszystko szło zwyczajnym trybem na Bożym świecie. Teresa miała ogromne wzięcie i hojnie była płaconą, ale też powiększyła się liczba jej nie-

przyjaciół, a właściwie nieprzyjaciółek, które nazywały ją kokietką, emancypantką i wolnomysłną dlatego, że nie miała matki i mieszkała sama ze starą służącą.

Panna Maszadro, zairytowana wielce uporem młodej dziewczyny, nie pojmowała tej natury dzielnej, energicznej a szlachetnej; postępowanie jej nazywała waryacją, romantycznością i t. p. Mimo to dziwny niepokój opanował jej umysł, a w sercu coś, z czego sama nie umiała sobie zdać sprawy, gryzło ją i trapiło. Tyle lat przeżyła w zgodzie ze swoją obojętnością, ze swoją mściwością i było jej dobrze; teraz widok tej pięknej sieroty, jej słowa pełne zapалу i uczucia, jej muzyka nareszcie, zakłóciły ten spokój — i Morowa Dziewica walczyła z marą sumienia w postaci Teresy!... Budziła się po nocach i widziała przed sobą córkę pana Haraburdy tak piękną, tak rozumną, a tak nadzwyczajnie podobną do niego, odpędzała tę postać, myśląc o swojej zemście, o swoich milionach, ale napróżno: w uszach jej brzmiały słowa Teresy, a przed oczami jej stała ciągle wysmukła postać dziewczęcia. Panna Maszadro nakażała swemu plenipotentowi, by śledził Teresę i dowiadywał się, co ona robi, czy dochód z lekcyj wystarcza jej na wygodne życie, czy nie cierpi braku; te wszystkie wiadomości co tydzień kazała ustnie sobie komunikować.

Pan Sypełek, wierny rozkazom i woli swej pryncypałki, badał, szpiegował i zdawał relację. Opowiadał tedy, że dumna panna Haraburdówna jada tylko jedną potrawę na obiad, że w piecu pałą

tylko dwa razy na tydzień, że tak jej się przewróciło w głowie, iż przeniosła się na inne mieszkanie i sama opłaca komorne, nie chcąc mieszkać tam, gdzie dotąd nic nie płaciła nieboszczka Baurowa, gdyż lokal był z góry opłacony przez pannę Maszadro.

Panna Tekla pokiwała głową, zażyła tabaki i nic nie rzekła.

V.

Miłość bez romansu.

W miesiącu styczniu, o godzinie ósmej wieczorem, wśród siarczystego mrozu, księżyc świecił jasno, pogodnie. Na ulicach Grodna ruch był duży, przesuwwały się sanki, dzwonki ich brzmiały wesoło. Młodzież sama powoziła panie, otulone w futra. Wyprzedzano się wzajemnie, śmieli się i dowcipkowali jedni z drugich. Słowem była to szlichtada, zwyczajna zabawa karnawałowa, ożywiająca w tym czasie spokojne zwykle Grodno. Nadto był bal w pałacu gubernatorskim, a więc w mieście ruch nadzwyczajny. Po kramach pełno młodzieży, kupującej rękawiczki i krawaty, po aptekach perfumy; fryzjerzy kręcą i pieką czupryny, a Żydówki latają z pudłami po domach, gdzie panie ubierają się na bal.

Na chodniku Zamkowej ulicy, szła śpiesznym krokiem młoda kobieta w aksamitnym, czarnym

płaszczyku, obłożonym dokoła piżmowcami, z takimże zarekawkiem, w środku którego trzymała zwiniętą paczkę nut.

Jej kapelusik aksamitny z czarnem piórem przysłonięty był wuałem, lecz twarz była odkryta; przy świetle latarni, a bardziej jeszcze dzięki jasności zimowego księżycą, można było widzieć prześliczną twarzyczkę, zarumienioną od mrozu, i ciemne, duże oczy, z melancholicznym wyrazem smutku, patrzące jedynie przed siebie, a mało zaciekawione tem, co się działo na ulicy.

A była to, jak się zapewne czytelnik domyśla, piękna Terenia, wracająca z lekcyj muzyki, której uczyła dzieci pani prokuratorowej. Pani prokuratorowa, chcąc wynagrodzić nauczycielce postępy swych córek, była tyle wspaniała, iż zaproponowała Tereni, że ją weźmie z sobą na bal; lecz Terenia wymówiła się żalobą po ciotce, która jej nie pozwalała tańczyć, a więc i znajdować się na balu.

Wracającą do domu Terenię, przy skrawku ulicy Zamkowej na Dominikańską, potrafił biegnący żwawo mężczyzna, ufryzowany, wyrekawiczony na białe i wyraźnie na bal wystrojony. W jednym oku miał szkiełko, jak wypadało na eleganta; lecz właśnie to modne szkiełko ómiło mu przedmioty i było powodem, że co moment potraçał przechodniów. Był to pan Aleksander Haraburda.

Przepraszam panią, najmocniej przepraszam!— zawołał, zatrzymawszy się dla poprawienia wypadłego z oka szkiełka; lecz spojrzawszy w twarz odkrytą nieznajomej, wykrzyknął głośno: — Na ho-

nor! niech mnie piorun trzaśnie, jeśli się myłę...
Wszak to prześliczna panna Teresa! O co za traf,
co za szczęśliwy traf! Niech mi wolno będzie...
złożyć...

Ale Teresa, nie słuchając dalszych słów galanta,
śpiesznym krokiem oddaliła się od miejsca spotkania.

— Pani, panno Baurówno... słówko... pozwól,
niech panię przeproszę za moją niezgrabność! —
mówił Aleksander, pędząc za Teresą. — Niechże pani
tak nie ucieka, do milion chrzabaszczy! Ja przecie
pani nie zjem.

Teresa, nie chcąc z siebie robić widowiska
dla innych przechodniów, zatrzymała się nagle i rze-
kła surowo:

— Pan jesteś impertynent, panie Haraburda!
Proszę, byś mnie pan uwolnił od swojej rozmowy
i poszedł w swoją drogę.

— Ale ja póty nie pójdę — mówił natrętnik,
idąc wciąż za Teresą — póki nie usłyszę od pani ła-
skawego słowa. Czy zawsze będziesz tak okrutną,
o piękna czarodziejko? Ja, co panią tak wielbię,
tak ubóstwiam...

— Ależ panie — odezwała się biedna dziewczyna
głosem, w którym był, i gniew, i płacz, i obrażona
duma — to nieszlachetne, to nikczemne, co pan ro-
bisz! Ubliżasz kobiecie samej, za którą wiesz, że się
nikt nie ujmie.

— Jakto nikt nie ujmie? — zawołał Aleksan-
der, idąc już obok Teresy. — Ja pierwszy ujmię się
wszędzie i zawsze za panią. Gotów jestem nawet
strzelać się, jeśliby tego była potrzeba, do krośset
armat!

Teresa z rozpaczą załamała ręce, usta jej drżały spazmatycznym płaczem; nie wiedziała, co z sobą począć i jak się uwolnić od tego natrętnego brutala. Postanowiła więc milczeć i iść jak najspieszniej.

Nie zraziło to bynajmniej bohaterskiego kawalera; owszem, milczenie pięknej Tereni uważał za pewne ustępstwo, za rezygnację z jej strony; nie przestawał więc prawić jej komplementów najtrywialniejszych, ozdobionych zwykłymi mu zaklęciami.

— Niech pani mi raczy podać rękę — rzekł nareszcie, zakrąglając swoje ramię—to będzie daleko przyzwoiciej i w lepszym tonie, niż iść tak każde z osobna. Ja panię odprowadzę do jej domu.

Teresa, oburzona do najwyższego stopnia, cofnęła się nagle i rzekła groźnie:

— Jeśli pan natychmiast nie odejdiesz, udam się pod opiekę prawa i zaskarżę pana jako napastnika, lub złodzieja ulicznego.

Aleksander rozśmiał się głośno, bezczelnie i rzekł z całą efronterją brutala:

— A przecież nic dotąd pani nie ukradłem, nawet całusa.

I przy tych słowach zrobił gest wyrazisty, chcąc ująć wpół przerażoną Terenię. Lecz w tej chwili silne targnięcie za kołnierz futrzany wstrzymało zapęd seduktora.

— Co to jest? — krzyknął szamocąc się Aleksander. — Któż to śmie brać mnie za kołnierz, do miliona czartów.

— Nędzniku! — odezwał się głos męski a groźny—a jakim prawem ty napastujesz kobietę, która

sama idzie? To podle! Precz stąd natychmiast, bo inaczej rozmówisz się ze mną.

— Mieczysław! na honor Lucypera, Mieczysław! — zawołał zdumiony, a bardziej jeszcze przerażony Aleksander. — Skądże cię tu dyabli sprowadzili i co ci do tego, co ja robię? Czy to państwo tak dobrze się znają — dodał z szyderstwem — że już mi nie wolno nawet...

— Milcz! — przerwał z gniewem młody Rudomina — ani słowa więcej!

A zwracając się do bladej z przestrachu Tereni, rzekł zdejmując kapelusz:

— Jeśli pani pozwoli, ja na ten raz zastąpię urzędowego obrońcę, a idąc zdaleka, odprowadzę panią do jej mieszkania.

— Panie — odezwała się Teresa drżącym głosem — dziękuję panu, stokrotnie dziękuję za jego szlachetne wdanie się... i z wdzięcznością przyjmuję jego opiekę.

Aleksander tymczasem stał z otwartą gębą, chciał śmiać się, szydzić, ale taka w nim złość zakipiała, że zgniółszy w palcach swój binokl, zaklął na czem świat stoi i poszedł w przeciwną stronę.

Mieczysław, dotrzymując danego słowa, szedł zdala za nieznaną i nie starał się bynajmniej o zbliżenie się do niej. Szedł, jak człowiek zupełnie obojętny. Wszelako — musimy powiedzieć prawdę — obudziła się w nim żywa ciekawość co do osóbkę, którą się zaopiekował. Z ubioru, z układu i z wyrażenia, odgadł, że należy do dobrego towarzystwa; ale dlaczego sama idzie ulicą o tak późnej porze?

W Paryżu, w Warszawie, nikogo to nie dziwi; ale w Grodnie, a nawet w Wilnie, kobiety nie wychodzą same raz dlatego, że ulice są ciemne, powtóre że to „nie uchodzi“.

Mieczysław nie widział dobrze rysów pięknej Tereni, bo nie przypatrywał się jej niedyskretnie, jakby zrobił niezawodnie inny w podobnej okoliczności. Zaledwie rzucił okiem na twarz nieznajomej, bo nie bronił „piękności“, tylko kobietę napastowaną; zauważył jednak, że była młodą i miała oczy duże, wyraziste, pełne rozumu.

Szli dobry kwadrans w milczeniu i oddaleniu od siebie; nareszcie w pewnej małej uliczce, Teresa zatrzymała się przed jednym z domów i rzekła uprzejmie do zbliżającego się Mieczysława:

— Tu już kres pańskiej fatygi i uprzejmości.

— Pani tu mieszka?—odezwał się Mieczysław czując, że trzeba coś powiedzieć.

— Tak panie, tu moje mieszkanie. Żegnam pana i jeszcze raz wyrażam moją wdzięczność za wyświadczoną nieznajomej przysługę.

— Pani, nie mówmy o tem; szczęśliwy traf pozwolił mi tylko wypełnić obowiązek stróża nocnego; ów niedyskretny napastnik znany mi jest dobrze, jako mój blizki sąsiad.

Teresa nie uznała za potrzebne mówić, iż wie, że to jest pan Haraburda, który już od roku przesładuje ją swemi czułościami; powiedziała więc krótko:

-- Ten pan zapewne musiał być pijany, inaczej nie da się wytłumaczyć jego niegrzeczność.

— Przebacz mu pani — odparł z uśmiechem Mieczysław—on zawsze jest w pół pijany.

— Dobranoc panu — rzekła uprzejmie Teresa, nie podając jednak ręki, czego się właśnie spodziewał Mieczysław i czemu byłby rad jedynie przez ciekawość, żeby zobaczyć, czy małą ma rękę nieznajoma.

— Dobra noc... i moje uszanowanie.

Rozstali się nieznajomi, nie pytając o swoje nazwiska, chociaż oboje niezaprzeczenie chcieli je wiedzieć. Oboje dyskretni i delikatni, nie skorzystali z okoliczności, by zaspokoić ciekawość bardzo naturalną w tym razie.

* * *

P. Rudomina był w ścisłej zażyłości z panem radcą X. Ten pan radca był to wielce szanowany człowiek już dla swojej zacności, już dla niezależnej fortuny, dla której ludzie zwykle mają dziwną słabość. Od lat kilkudziesięciu mieszkał stale w Grodnie; był żonaty i miał córkę jedynaczkę.

Panna radczanka, a było jej na imię Aurelia, miała już lat dwadzieścia kilka i byłaby wcale przystojną osobą, gdyby nie nadzwyczajna ilość piegów które z jej białej twarzy maskę czyniły. Włosy miała mocno rude „à la Cardoville“, jak sama mówiła, świeżo bowiem czytała powieść Eugeniusza Suégo: „Żyd wieczny tułacz“; zęby miała prześliczne, białe, a głos altowy. Panna Aurelia nie ukrywała przed ludźmi tych darów Bożych; włosy zaczęła sywać modnie, wysoko, strzępiasto, iż nieraz zda-

leka mogło się wydać patrzącemu, że panna ma miedziany rondel na głowie; śmiała się zawsze, pokazując swe białe zęby, a od zbytniego śmiechu miała wiele zmarszczek na twarzy. Że posiadała głos altowy, o tem każdy, kto chciał, mógł się przekonać, bo śpiewała z rana, w południe, wieczór, a często i w nocy, jeśli jej przyszło natchnienie.

I dziwna rzecz! Przy tych wszystkich wdziękach, talentach i posagu, o którym ludzie mówili, że miał być znaczny, ruda panna radczanka nie mogła dotąd wyjść zamaż, choć, powiedzmy prawdę, oddawna tego pragnęła gorąco. Była to osoba bardzo „emancypowana“, gardziła zwyczajnymi formami, zachowywanymi w Grodnie, uważając to miasto za niecywilizowane—znała bowiem Warszawę, Lwów i Kraków, a nadto Szczawnicę, Krynicy i Zakopane (jeździła bowiem z matką do Galicyi, do krewnych, a zarazem i do wód). Nie dziw, że osoba, co widziała tyle świata, uważała Grodno za ciemny kątek, o którym ów świat nic nie wie. W Warszawie, we Lwowie i u wód szczawnickich, mnóstwo młodzieży kochało się w pannie Aurelii, jak utrzymywała pani radczyni, ale ona tak była trudną w wyborze, że żadnego sobie „nie upodobała“. Panna Aurelia jeździła konno, a nawet widziano ją nieraz na koźle obok stangreta, powożącą rodziców w kabryolecie; sama też oddawała wizyty i sama zapraszała do siebie każdego, kto się jej podobał. Mimo to kronika miejskich skandalów nie mogła nic złego powiedzieć o pannie Aurelii, choć jej emancypacja była przedmiotem pogadanek. Rodzice, niezawodnie

słabi dla jedynaczki, pozwalali na wszystko, szepcąc tylko z cicha:

— To mądra dziewczyna, ona nie zrobi głupstwa.

Panna Aurelia dowiedziała się, że Teresa daje lekcyę grania i że była uczenicą Moniuszki; powiedziała więc sobie:

— Mam głos altowy, muszę go dociągnąć do jenerałbasu. Zapewne ta nauczycielka zna jenerałbas, o którym tyle już słyszałam, a nie wiem, w jakich jest nutach.

I napisała list do Tereni, prosząc o lekcyę śpiewu z jenerałbasem, za co przeznacziała rubla na godzinę.

Teresa nie zrozumiała dobrze listu i przysłała sama rozmówić się z panną Aurelią.

— Czy pani zna dobrze jenerałbas?—było pierwsze pytanie panny radczanki.

— Uczyłam się tego—odpowiedziała skromnie Terenia.

— A to dobrze, jestem bardzo kontenta; od jutra biorę u pani lekcyę śpiewu, bo koniecznie chcę śpiewać z jenerałbasem.

Stary pan Rudomina, mając jakiś interes urzędowy w Grodnie, polecił synowi, by sam był u państwa radcostwa, jako u dobrych jego znajomych, i zarazem zasięgnął wiadomości u pana radcy o interesie. Na drugi dzień po owem spotkaniu się z Teresą, Mieczysław o godzinie jedenastej z rana poszedł z wizytą do państwa radcostwa — a dziwnym trafem była to właśnie godzina lekcyi śpiewu

panny Aurelii. Że fortepian stał w salonie, przeto Mieczysław, wszedłszy do niego, musiał się zarekomendować znajdującym się tam paniom.

— Pan Rudomina! — zawołała, powstając i podając rękę na powitanie przybyłemu, panna Aurelia.—O ja pana sobie przypominam, choć już tyle lat nie widziałam. Jak to pięknie ze strony pana, że chociaż pan tak długo był zagranicą i „wojażował“, nie zapomniał przecie o dawnych znajomych i przyjaciółach.

— Pani, pani... — powtarzał Mieczysław kłaniając się, a nie mogąc przyjść do słowa—obowiązkiem moim było...

— Co tam obowiązkiem! Ja nie wierzę w żadne obowiązki—odparła, śmiejąc się, panna Aurelia i pokazując białe, perliste zęby.

Lecz spostrzegłszy, że Mieczysław wlepił ciekawy wzrok w jej towarzyszkę, odezwała się wesoło:

— A, przepraszam, że państwa nie poznałam wzajemnie. To pan Mieczysław Rudomina, który niedawno wrócił z Paryża, z Włoch, z Anglii i Bóg go wie nie skąd. Dwa lata podobno jeździł po zagranicy, co nic dziwnego dla kogoś, kto jest bogaty, jak Rudomina. A to—mówiła, wskazując ręką—panna Teresa Bauerówna, moja przyjaciółka i nauczycielka śpiewu. O! śpiewa, jak anioł i zna doskonale jenerałbas.

Teresa cała spurpurowiała, spuściła nieśmiało oczy, a serce jej biło gwałtownie; dowiedziała się bowiem, że ten, którego natychmiast poznała, nazywa się Rudomina. Nie chcąc się jednak wydać

z tem, że go już zna, udała zupełną obojętność i tylko zimnym ukłonem odpowiedziała na rekomendacyę.

Mieczysław uczynił to samo. I on się nie wydał z tem bynajmniej, że poznaje swoją protegowaną. Oddał jej etykietałny ukłon i zwracając się do panny Aurelii, zapytał, czy mógłby się widzieć z jej ojcem.

— Natychmiast uprzedzę papę, który jest właśnie w swoim gabinecie; rad będzie niezmiernie widzieć pana.

To mówiąc, uprzejma radczanka wybiegła z pokoju, zostawując samych Teresę i Mieczysława.

Nastąpiła przykra chwila milczenia.

Mieczysław nie wiedział od czego zacząć; Teresia była okrutnie pomieszana. Mieczysław patrzył na piękną twarz dziewczycy, w czarny, żałobny strój przybranej i dziwnego doznał wrażenia; poczuł się nieśmiałym, co mu się nigdy nie zdarzało dotąd. Rad był jednak w duszy temu niespodzianemu spotkaniu; widział bowiem w dzień swoją nieznaną i dowiedział się, kto ona. Nareszcie czując, że zbyt przydłużone milczenie wygląda na głupotę, odezwał się z grzecznością światowego człowieka:

— Szczęśliwy traf pozwala mi panią widzieć raz jeszcze, za co mu mocno jestem wdzięczny, a jeszcze wdzięczniejszy mu będę, jeśli usłyszę muzykę pani, o której już tyle słyszałem.

Mieczysław kłamał przez grzeczność, bo nie dotąd nie słyszał ani o Teresie, ani o jej muzyce.

— Mój talent muzyczny nie zasługuje, aby

o nim wiele mówiono — odrzekła Teresa, podniosszy swoje piękne, duże oczy na Mieczysława.

Spojrzenia ich spotkały się i mimowoli zatrzymały na sobie. Oboje mieli oczy rozumne, wyraziste, piękne. Mieczysław patrzył badawczo i z ciekawością, Teresa z melancholiczną skromnością. Jemu uderzyło silnie serce pod wpływem tych magnetycznych oczu i zdało mu się, że siła ich przenikawskroś jego myśli najtajniejsze. Terenia znowuż, jakby ją urzekło spojrzenie Mieczysława, zarumieniła się, spuściła oczy i zaczęła przeglądać nuty, które trzymała w ręku. Czując jednak, że się wydaje z wrażeniem, jakiegoś doznała, odezwała się pierwsza:

— Ja także jestem rada, że mogę panu jeszcze raz podziękować za...

— O tem nie mówmy, pani—przerwał Mieczysław, nie odrywając wzroku od pięknej twarzy dziewicy.—Ja tylko dziękuję pani, żeś nie odrzuciła mych usług. Dziękuję trafowi, a nawet gotów jestem podziękować natrętnemu Haraburdzie, że mi dał sposobność...

Nie mógł skończyć, bo wbiegła panna Aurelia dónosząc, że właśnie papa wyszedł przed chwilą, ale zapewne wkrótce powróci.

— My tymczasem będziemy pana bawić muzyką—dodała uprzejmie. — Wszak pan lubi śpiew?

— Zachwygam się nim—odrzekł z galenteryą Rudomina — i jeśli panie będą tak łaskawe, z góry składam już moje hołdy dziękczynne.

— To zawczasie! — zawołała, śmiejąc się, panna Aurelija, by pokazać swe białe zęby. — Bę-

dziesz pan dziękował dopiero „po skutku“. Ja śpiewam altem, ale już dociągam do jenerałbasu. Terenia zaś śpiewa „wszystkiemi tonami“. Oh, jaki ona ma cudowny głos!—mówiła szczerze panna radczanka. — Pan się zaraz przekona.

— Ale ja dziś wcale nie jestem przy głosie—wymawiała się z lekkim uśmiechem Teresa — i żądnym „tonem“ nie mogę śpiewać... Ty będziesz tak dobra, Aurelciu i sama zaśpiewasz.

— Tak, tak, ja zaśpiewam najprzód, a ty po mnie, bo po twoim śpiewie mój źle się wyda. A to, że nie jesteś przy głosie, nie jest prawdą, tłumaczysz się, jak pensyonarka. Ot, zaśpiewamy duet z „Lukrecyi“, czy zgoda?

— Nie, ja dziś nie śpiewam,— odparła stanowczo Teresa — proszę cię, uwolnij mnie od tego.

Mieczysław milczał i przygryzał wąsy; szukał myślą, co powiedzieć, by zniewolić Teresę, aby zgodziła się na śpiew.

Nareszcie panna Aurelia zasiadła do fortepianu i po kilku grzmotliwych akordach, zaczęła *cavatine* z „Lukrecyi“. Śpiew jej był tak głośny, krzykliwy, że wybornie można było prowadzić rozmowę, a śpiewająca wcale jej nie słyszała. Korzystając Mieczysław z tej muzykalnej powodzi, zbliżył się do Teresy i szepnął:

— A jeśli ja ośmielę się prosić panią o śpiew, jako o „zapłatę“ za moją straż nocną, czy pani nie będzie wspaniałomyślną?

— Pan używasz dyplomacyi—odrzekła z uśmiechem Teresa—i korzystasz z mego długu wdzięcz-

ności. Ha, jeśli to ma być „zapłata“, to będę śpiewać.

— Niech zostaną lichwiarzem w opinii pani, ale ja i po śpiewie nie powiem, że jestem „pokwitowany“. Będę się dopominał i o muzykę.

— A więc dobrze, będzie śpiew i muzyka, ale z kolei ja zażądam „pokwitowania“, że już nie jestem pana dłużniczką.

Mówiąc to, Teresamiąła na ustach uśmiech czarujący, naiwny, a pełen powabu.

Mieczysław był zachwycony taktem, skromnością i naturalnym dowcipem młodej osoby, dla której od pierwszej chwili spotkania uczuł dziwną sympatyę. Nadto była tajemnica między temi młodemi ludźmi, a tajemnica niewinna jest właśnie owym drutem elektrycznym, który w telegrafii uczuć odbija litery, dla nich tylko zrozumiałe. Ludzie patrzą i nic nie widzą, bo nie mają klucza misternego.

Gdy panna Aurelia wstała od fortepianu, cała purpurowa z wyteżenia i uczucia artystycznego, Mieczysław, oddając jej kawalerski ukłon, rzekł z intencją, by być zrozumianym przez Teresę:

— Oczarowała mię pani swoim śpiewem. Nie umiem jej wyrazić mego podziwu, powiem tylko tyle, że śpiew pani jest zupełnie w duchu szkoły Wagnera, jednego z najpierwszych dziś kompozytorów.

Ironia była wyrazista, choć w cukrze podana; lecz panna Aurelia nie dostrzegła jej bynajmniej, owszem, biorąc cześć słowa za prawdę, odrzekła niby skromnie:

— Za wielką mi pochwałę pan oddajesz; a co też pan powiesz, gdy usłyszysz śpiew słowiczy Tereni? No, moja droga — rzekła, całując swoją przyjaciółkę — proszę cię, jak mnie kochasz, zaśpiewaj nam co ładnego.

— Ja panią nie śmiem prosić — odezwał się Mieczysław — chyba przez protekcyę łaskawą panny Aurelii...

— Ale co tam tyle ceregieli! — zawołała wesoło panna radczanka — moja Terenia jest dobra i grzeszna, dla mnie to zrobi.

Teresa, nie opierając się już i nie mówiąc ani słowa, zasiadła do fortepianu i z mocno bijącym sercem zaczęła modulować akorda. Czuła w sobie nerwowe wzruszenie, miała bowiem przed sobą słuchacza, o którego opinię zaniepokoiła się, co się jej po raz pierwszy w życiu zdarzyło. Pragnęła śpiewać dobrze. I nie szukała żadnych oryginalnych nowości muzycznych, któremi, jak to odgadła, Mieczysław był przesycony zagranicą. Po kilku przebiegach harmonicznych i preludyach, wykonanych z mistrzowską biegłością, wypłynęła cicha, lekka melodia, czarująca swoją uroczą powagą i rzewnością:

Wilia naszych strumieni rodzica...

Zrazu głos śpiewającej był drżący, niepewny, jakby tony na łzach wypłynęły z serca do krtani. Ale pomału, pomału, nerwy się uspokoiły pod wpływem artyzmu: melodia rozlegała się jasna, czysta, a głos nabrał siły i pewności. Teresa śpiewała tak

cudnie, że sama Aldona pozazdrościłaby jej głosu i uczucia.

To też młody Alf, choć nie u stóp wieży, ale stojąc oparty o kominek, był cały zasluchany, zachwycony, oczarowany!...

Gdy skończyła, panna Aurelia zawołała:

— Bravo, bravissimo! Śpiewałaś, jak anioł. Jeszczem cię nigdy nie słyszała tak pięknie śpiewającej.

A odwracając się do Mieczysława, rzekła wesoło:

— Jakże, panie Rudomina, i pan ani jednym słowem pochwały nie podziękujesz naszej artystce?

Ale Mieczysław nic nie odpowiadając, w milczeniu patrzył na Teresę. Z jego wyrazistych oczu Teresa zrozumiała stokroć więcej, niżby wszyscy ludzie sypali jej kwiaty pod nogi. W tym wzroku nie była pochwała, nie było podziwienie, ale sama miłość—dla śpiewu czy dla śpiewającej? nie wiemy jeszcze.

Pod wpływem tego wzroku, pomieszana, drżąca, nie miała sił wstać od fortepianu, a rozmarzona sama uczuciem, które nią owładnęło, zaczęła grać sonatę Beethovena, utwór znany powszechnie jako klasyczne arcydzieło.

Wszystkie prawdziwe wielkości, poczęte w duchu poetów i muzyków, mają to do siebie, że są rozumiane i ocenione przez ogół; każdy w nich znajdzie coś swego, co czuł, co myślał, co przebolewał. Beethoven szczególnie tem zachwyca, że w jego muzyce tak prostej a naturalnej, jest wypowiedziany

rytmicznym słowem cały poemat życia. Są tam nie tylko burze, walki i namiętności, co tak nieraz męczą swemi kontorsyami nerwy słuchacza; ale jest także ten wielki, filozoficzny spokój, to umiarkowanie estetyczne, co jak błogi wpływ wiary i nadziei, pokrzepia zbolące uczucia.

Mieczysław, idąc w ślad myślą za pochodem wielkich myśli mistrza, oddanych tak cudnie przez grającą, cofnął się w lata dziecinne, widział się matką chłopięciem, pieśczeniem, kochanem przez matkę, tę piękną, dobrą matkę, którą Bóg tak rychło zabrał do siebie — i przypomniał mu się ten dzień straszny, okropny, kiedy ją bladą, umarłą wkładali w trumnę. I widział siebie, jak płakał, by obudzić uspioną mamę; i widział ojca, złamanego bolem, jak go utulał i przyciskał do piersi. Poetyczny młodzian nie czuł prawie, jak mu łzy bezwiednie popłynęły po męskiej twarzy.

Niestety! panna Aurelia, śledząca wrażenia gościa, pierwsza je dostrzegła i zawołała trywialnie:

— Nie graj Tereniu, przestań! — bo pan Rudomina płacze.

Mieczysław tak nagle a tak prozaicznie zbudzony z miłych, acz bolesnych wspomnień, przesunął rękę po twarzy dla starcia śladów łez, a nic nie odpowiadając na uwagę panny Aurelii, zbliżył się do Teresy i rzekł z dziwnym uczuciem w głosie:

— Teraz ja pani zostaję dłużnikiem, i to na zawsze!

— Co ma znaczyć — odezwała się powtórnie, panna Aurelia — że pan nam zagrasz i zaśpiewasz.

Sąsiedzi.

Wszak prawda, że się nam obydwom należy rewanż?

— O pani! — rzekł Mieczysław, wracając do naturalnego stanu i przybierając uśmiech salonowy— ja ani gram, ani śpiewam; umiem tylko śmiać się... i płakać, jak to pani widziała przed chwilą.

— O! ja nie lubię, kiedy mężczyzna płacze! — zawołała emancypantka — wolę, jak się śmieje.

— To też obiecuję poprawę — rzekł szyderczo Mieczysław—i będę się śmiał, ile pani rozkaże, niech pani tylko jeszcze co zaśpiewa.

—Nie, wcale nie będę już śpiewać—odparła panna radczanka, niezbyt domyślna w rzeczach aluzyi.— Niech nam pan lepiej co opowie o Paryżu, o modach i rozmaitych ciekawych rzeczach. Ja tak pałam chęcią widzenia Paryża, iż oddałabym połowę życia, żebym mogła tam pojechać.

Teresa, siedząc jeszcze przy fortepianie, milczała. Ona nic nie słyszała, co koło niej mówiono, w jej uszach dzwoniły jeszcze słowa: „Zostaję pani dłużnikiem, i to nazawsze“. W głowie huczał chaos poplątanych myśli, a sercem jej targał niepokój, trwoga. Czuła bowiem, że ten młody człowiek wywarł na nią wpływ niezwykajny, nieznan jej dotąd i że wpłatał się w jej życie, jak złota nić w czarną tkaninę.

Gdy Mieczysław, by zadowolić pannę Aurelię, zaczął coś opowiadać o modach paryskich, drzwi się otworzyły i ukazała się szanowna postać pana radcy. Po przywitaniach i zamienionych grzecznościach, zaczęła się rozmowa o interesie.

Pani radczyni nie wychodziła nigdy rano do gości, już to, że zwykle była nieubrana i zajęta kuchnią, już też, że zostawiała to córce, która wybor- nie bez skrzydeł opiekuńczych matki mogła się obejść. Lecz dziś, dowiedziawszy się, że gościem był bogaty kawaler, nagłona przez córkę, by wyszła, ubrała się świątecznie i zjawiała się wkrótce po mężu.

Gdy panowie ukończyli rozmowę, dotyczącą sprawy, którą pan radca z największą chęcią ofiarował sam się zająć, mówiąc, że będzie bardzo szczęśliwym, wyświadczając tę małą przysługę panu sędziemu, pani radczyni, której córka coś szepnęła na ucho, podniosła się z kanapy i rzekła uprzejmie:

— Ja sędzę, że pan nie tylko za interesem ra- czy nas odwiedzić, ale i tak... ot, dla przyjemności.

Mieczysław rad z zaproszenia, spodziewał się bowiem znowu tu ujrzeć piękną Terenię, odrzekł pośpiesznie:

— Najprzyjemniej mi będzie zabrać bliższą zna- jomość z domem państwa, gdyż wiem, że ojciec mój żywi prawdziwą przyjaźń dla całej ich rodziny.

Pan radca serdecznie uściskał rękę Mieczysława, pani radczyni dygnęła, niby świecę umoczył w łoju, a panna Aurelia mrugnęła na matkę, żeby nic więcej nie mówiła, bo dosyć już powiedziała.

Przy pożegnaniu, gdy każdy z kolei podawał „modnie“ rękę Mieczysławowi, to jest, ojciec, matka i córka, Mieczysław zbliżył się do Teresy i także dłoń jej podał. Terenia uczuła, że ją zlekka uściskał. To uściśnienie, w innym razie i przez kogo innego, obraziłoby mocno Teresę, lecz dziś była pod wpły-

wem czaru, a Mieczysław zrobił to z takim szacunkiem i z takim wyrazem w oczach, że biedna, niewinna dziewczyna spojrzała nań oczyma łez pełnemi, w których wyraźnie można było wyczytać:

— Dziękuję ci, że nie gardzisz biedną sierotą.

Mieczysław gdyby mógł, przycisnąłby do ust serdecznie, gorąco, tę białą rączkę; ale nie wypadało. Naturalnie nie uczynił tego.

Po wyjściu gościa, panna Aurelia rozpromieniona, przeczuwając w Mieczysławie przyszłego konkurenta, zaczęła się rozwodzić nad nim z pochwałami. Zauważyła, że Paryż „pachnie“ od niego. Opowiadała rodzicom, jak był zachwycony jej śpiewem, że porównał jej głos do całej orkiestry Wagnera, że rozplakał się, jak Terenia grała Sonatę, z czego wnosić można, że czuły i ma dobre serce.

— Tylko — dodała z pewnym tryumfem — śpiew cichy Tereni nie zrobił na nim wielkiego wrażenia.

— Ależ bo, moja droga, pozwól sobie powiedzieć — mówiła, zwracając się do Teresy — skąd ci przyszło do głowy zaśpiewać mu piosnkę taką starą, oklepaną? Śpiewałaś ładnie, co prawda, ale onby wolał coś z opery; on taki znawca!...

— Zaśpiewałam, co mi przyszło na myśl — odrzekła Teresa, byle coś powiedzieć.

— Ale to bogaty panicz, jedynek! — odezwał się pan radca, zażywając tabakę. — Będzie miał z jaki milion fortuny.

— To właśnie „stosowna“ partya dla naszej Relci — wtrąciła pani radczyni, patrząc na córkę, by

wyczytać z jej twarzy czy dobrze powiedziała, czy jej to do gustu.

— Szeroko o tem Dawid pisał—westchnął mitycznie pan radca. — To gruba ryba i pewno pan sędzia Rudomina wynalazł już dla niego jaką milionową pannę. O! bo to mądry człowiek ten pan sędzia, a przytem jaki uczony! Ho, ho, ho!

— Niby to młody pan Rudomina to taki baran — zauważyła z niechęcią panna Aurelia—że będzie czekał, aż mu ojciec wyswata pannę. On sam sobie wybierze według gustu i woli.

— I ja tak myślę—rzekła potakując matka.— Teraz nie moda, żeby rodzice wtrącali się do spraw dzieci. Nieprawdaż Aurelciu?

— Et, co tam mama plecie — ofuknęła panna Aurelia.—Moda czy nie moda, o tem się przekonamy za drugą bytnością pana Mieczysława.

Teresa, aczkolwiek obecna przy tej rodzinnej naradzie, nie słyszała prawie, co mówiono; słowo, rzucone przez pana radcę o milionowej fortunie Mieczysława, zrobiła na niej wrażenie wiadra zimnej wody, wylanego jej na głowę.

Nie wiedziała sama dlaczego, ale pragnęła widzieć w Mieczysławie młodzieńca ubogiego, jak ona; tymczasem los ich postawił na krańcach dwóch światów — ubóstwa i milionowej fortuny.

W kilka dni Mieczysław nie omieszkał skorzystać z zaproszenia państwa radcostwa i ich córki; przybył już nie za interesem, ale wprost z wizytą od siebie i „przypadek“ zrządził, że znowu trafił w tę samą godzinę, kiedy panna Aurelia miała le-

kcyę śpiewu. Mieczysław był ożywiony, wesoły, mówił dużo i zachwycał coraz bardziej pannę radczankę.

Teresa, milcząca, nie wtrącała się prawie do rozmowy i po półgodzinnem jeszcze pobycie w salonie, wyszła cichaczem, nie pożegnawszy się z nim. Wróciwszy do siebie, biedna sierota wybuchła rzewnym płaczem. Dlaczego płakała? Nie potrafiłaby powiedzieć ani przed sobą, ani przed kimkolwiek. W sercu jej było tęskno, boleśnie i tak smutno, tak smutno, że chyba tylko anioł litości mógł zrozumieć te łzy sieroce.

Tymczasem ponowiła się znowu bytność Mieczysława w domu pana radcy i znowu o godzinie jedenastej. Panna Aurelia, nie wątpiąc już, że ma w nim konkurenta, była rozpromieniona; grała, śpiewała, by do reszty podbić serce wielbiciela.

W chwili, kiedy uprzejma gospodyni wyszła wydać rozkaz, by podano wino i ciasta, Mieczysław zbliżył się do Teresy i rzekł z widocznem wzruszeniem w głosie:

— Czy pani pozwoli, abym jej osobiście złożył moje uszanowanie?

— Jakto?—zapytała Teresa, podnosząc ze zdziwieniem swoje piękne oczy na mówiącego.

— To jasne. Ja tu przychodzę tylko dla widzenia pani—odrzekł Mieczysław z dziwną szczerością— i aby już nadal unikać tych wizyt, chciej pani zezwolić, bym ją widywał u niej samej.

— Ależ panie... — odrzekła Terenia cała zarumieniona, zdetonowana i z bijącym mocno sercem— ciotka moja umarła... ja mieszkam sama...

— Ja wiem już wszystko o pani — odpowiedział Mieczysław, biorąc za rękę pomieszaną dziewczę. — Szanuję i cenię panię tak wysoko, że nie odważyłbym się zrobić tej propozycji, gdybym nie miał uczciwych zamiarów.

-- Nie rozumiem pana — wyszeptła ledwie dosłyszonym głosem Terenia.

— A więc powiem wyraźniej: kocham panią i chcę się starać o jej rękę... jeśli to będzie mi dozwolonem.

Teresa blizką była omdlenia, co widząc, Mieczysław rzekł, przyciskając jej rękę do ust:

— Na miłość Boga, odpowiedz mi pani, bo nadchodzą.

— Dobrze—wymówiła cichutko, i wyszła z salonu.

VI.

Śmierć Nastusi. — Katastrofa.

Aleksander, będąc w ciągłej niezgodzie z ojcem i nie mogąc nic już od niego pozyskać ani prośbą, ani groźbą, był w bardzo krytycznym położeniu finansowem. Pożyczył już kilkadziesiąt rubli od Mieczysława; ale po ostatniem spotkaniu się z nim w Grodnie, Mieczysław stanowczo zerwał z nim wszelkie stosunki koleżeńskie. Aleksander, udając także obrażonego, unikał spotkania z Mieczysławem, a w rzeczy samej, lękając się, by ten mu nie dał surowej nauki.

Żydkowie grodzieńscy jakoś także dziwnie stwardnieli i odmawiali pożyczki, nawet za obiecany procent sto za sto. Aleksander zachodził w głowę, co tu zrobić, skąd wziąć pieniędzy? Nareszcie jeden usłużny faktor rzekł mu nawiasem:

— Nu, czemu wielmożny pan nie uda się do tego pana jeometry Sypełka, co jest plenipotentem panny „Maszadrowo“? Un taki bogaty i pożyczka wszystkim panom obywatelom.

Aleksander nie znał pana Sypełka, ale natchniony dobrą radą, wnet wziął jego adres i udał się do jego mieszkania.

Po rekomendacyi i wielu komplementach ze strony Aleksandra, że tyle słyszał dobrego o panu jenerelnym plenipotencie jego babki, Aleksander zaczął dyplomatycznie, niby zasięgając rady światłego męża, jakim sposobem mógłby od swojej najukochańszej babci dostać trochę pieniędzy, gdyż teraz właśnie jest trochę „żenowany“, nie mogąc po dobrej cenie sprzedać prowiantów.

Pan Sypełek, wysłuchawszy tej przemowy, uśmiechnął się, potrząsł swoje breloki i rzekł uroczyście:

— Nie radzę panu udawać się do jaśnie wielmożnej pani Maszadro, bo wiem detalicznie, jak jest mocno urażoną na pana za jego ostatni postępek w jej własnym domu.

— Ha! ha!—rozśmiał się niby wesoło Aleksander — jak to, czyżby moja droga babcia miała się obrazić za tak niewinny żart? Ona zażartowała ze mnie, przysyłając mi trzy ruble przez służbę, i ja

także zażartowałem, przylepiając ten papierek na ścianie.

— Z dopisem, by te pieniądze zachowała sobie na pogrzeb — odezwał się ze zgrozą pan plenipotent.—O! to był trochę za gruby żart, a pan wiesz, że *verba volant, scripta manent!* — bryznął łaciną.

— Na tych ścianach łatwo zatrzeć mój napis— mówił, ciągle siląc się na dowcip, wnuk panny Maszadro. — Jedno pociągnięcie pendzla mularskiego, a będzie *scripta volant*.

— Wszelakoż—ciągnął poetycznie pan Sypełek, lubiący kwiecisty styl — te pańskie słowa zapisały się w sercu jego dostojnej kuzynki i wątpię, czy możnaby było zamazać je pendzlem mularskim.

— A kiedy tak — zawołał rezolutnie Aleksander—to do milion słuchów zajęczych, ja nie pojedę przeproszać tej starej kutwy! Wiem i tak, że jak baba kitę odwali, to mi się wszystko dostanie, jako prawowitemu spadkobiercy.

-- Hm, hm!—mruknął szyderczo jeneralny plenipotent — mądrzy są ludzie! Co było, już wiemy; co jest, widzimy; a co będzie, zobaczymy.

— Jakto? Więc pan wątpisz, że milionowa fortuna tej Morowej Czarownicy przejdzie w moje ręce? — zawołał z nieukrytą złością Aleksander. — Przecież ona nie ma nikogo bliższego nade mnie!

Pan Sypełek przymrużył oczy i zaczął piórkiem zęby sobie wykluwać; uśmiech dziwny, zagadkowy, błędził po jego wypukłych ustach; nareszcie rzekł z wyraźną ironią:

— A czy pan jesteś tego pewny, co mówisz?

— Jakto, czy jestem pewny, że się nazywam Aleksander Haraburda? — zakrzyknął obywatel. — Robisz mi pan śmieszne pytanie, mości Sypełek. Lecz skończmy raz tę rozmowę, która do niczego nie prowadzi, a mówmy otwarcie. Ja przyszedłem do pana żądać, byś mi wyświadczył małą przysługę, i do kroćset rogów bawolich, sędzę, że to panu zrobi przyjemność zasłużyć się przysłemu dziedzicowi Maszadrowa.

— Zapewne pan żądasz pożyczki pieniędzy — przerwał domyślny pan Sypełek — czy tak?

— Admiruję domyślność i dowcip pana. Rze-czywiście potrzebuję głupich tysiąca złotych, które pan raczysz mi pożyczyć na dni kilka, z procentem, jakiego zażądasz.

Pan Sypełek wyciągnął się w krześle, poglądził swój okrągły brzusek i rzekł ze słodko szyderyczym uśmiechem:

— Jabym panu nietylko na kilka dni, ale nawet na kilka godzin nie pożyczył i rubla, bo pan... nie masz żadnej ewikcyi.

Na tak niedwuznaczną odmowę, krew uderzyła do skroni Aleksandra; zerwał się z miejsca i zawołał z gniewem:

— Pan mnie obrażasz taką mową! Czy pan wiesz, do kogo mówisz?

— Właśnie, że wiem do kogo mówię — ciągnął flegmatycznie plenipotent. — Gniew pański niestrasza mię wcale i raz jeszcze powtórzę, że nie dam panu złamanego grosza.

Ta czelna odpowiedź, odmówna a lekceważąca, przechodziła cierpliwość i dyplomacyę pana Aleksandra; urażony do żywego, zawołał z roziskrzonym wzrokiem i z podniesioną pięścią:

— Do kroćset pazurów Lucypera! Cóż to acan myślisz sobie? Zapominasz względów, któreś wnielen wnukowi „swojej pani“. Nikt jeszcze bezkarne nie ubliżył Haraburdzie, tembardziej taki sługus, jak acan, który, jak ludzie wiedzą, okradasz starą babę i pieniądze wypożyczasz na lichwę.

Z kolei pan Sypełek rozsrożył się wielce, że go tytułowano acanem, sługusem, nadto ni mniej ni więcej, jak złodziejem. Drażliwość jego o honor wystąpiła w purpurowej barwie na tłustą, błyszczącą twarz, a nie będąc tym razem panem siebie ani swego języka, za którego milczenie był sownie płatny, zawołał:

— Milcz, chamski synu! ty nie jesteś Haraburda, tylko nieprawy podrzutek!...

Aleksander rozwścieczony rzucił się na Sypełka i dużemi swemi rękami porwał go oburącz za gardło, a spienione usta, drżące od gniewu, gardłowym wyrzucały głosem:

— Psie podły! Odszczekaj obelgę, bo cię zaduszę!

Jeometra widząc, że koło niego kuso i że groźba może się zamienić w czyn, a czując krew, bijącą mu do skroni, jęczał duszony:

— Puść mię, puść mię pan... a powiem ci całą prawdę... przysięgam!

Aleksander zwolnił na chwilę serdeczny uścisk i zawołał rozkazująco:

— Teraz mów, jakim prawem odważyłeś nazwać się mię chamskim synem? Ale mów prawdę, bo jeżeli będziesz kłamał, to na wszystkich czartów w piekle, duszę twoją wnet tam pošlę!

Sypełek czuł, że przeprosinami i kłamstwem nic nie wskóra; zadaleko się posunął. A więc chcąc się „usprawiedliwić“ ze słów swoich, odetchnąwszy, jął prawie w ten sens:

— Otóż przyszła chwila, że pan się dowiesz ode mnie kto jesteś i zrobisz sobie z tego użytek, jaki ci się spodoba. Ja mogę się obejść i bez łaski panny Maszadro—mówił niby sam do siebie.—Milczałem lat dwadzieścia trzy, ale jeśli mię kto dusi za gardło, bym powiedział prawdę, to nie głupim milczeć, choć mi za to płacą.

— A będziesz ty gadał krętaczu!—zawołał Aleksander, zbliżając się znowu z pięściami. — Nie o twojej czarownicy Maszadro, ale o mnie gadaj, co wiesz!

— Ależ ja gadam, ja wszystko gadam! — sumitował się pokornie tchórzliwy plenipotent.—Tylko muszę zacząć od początku... a tym właśnie początkiem jest panna Maszadro.

Pan Sypełek rozwinął jasno i dobitnie, jak nieboszczka pani Haraburdowa, podczas nieobecności męża, powiła córkę; że w tym czasie jakiejś wieśniaczkę urodził się syn; że ten syn, to właśnie jest on, Aleksander; że panna Maszadro, chcąc zrobić miłą siurpryzę panu kapitanowi, zamieniła dzieci:

dziewczynkę oddano do obcych ludzi, a jego, syna chłopki, dziecko nieprawe, ogłoszono za syna państwa Haraburdów.

Sluchającemu tego opowiadania Aleksandrowi huczały w głowie dzwony wszystkich kościołów grodzieńskich. Zżymał się, potniał, bladł i czerwieniał naprzemian; a chociaż, wiedziony instynktem, czuł w głębi, że Sypełek mówi prawdę, odezwał się jednak, jak tonący, co się ostatniej gałęzi chwytą:

— A któż mi udowodni, że to, co mówisz, jest prawdą?

— Kto? — odrzekł machinalnie usuwając się w kąt pan Sypełek. — Jest na to żyjąca panna Maszadro, jest matka pana, Nastusia, i jest metryka chrztu prawdziwej panny Haraburdówny, której ja jestem ojcem chrzestnym, a panna Maszadro matką chrzestną.

— Piekło! piekło! — zawołał, rwąc sobie włosy, Aleksander. — Ja was pozabijam wszystkich oszukańcy, łotry, fałszerze!

I w zapędzie wściekłości, zapomniał nawet zapytać pana Sypełka, gdzie jest owa prawdziwa Haraburdówna... Wyleciał, jak waryat, a wzięwszy pocztowe konie, popędził prosto do Antopola, dla zbadania Nastusi, azali naprawdę ona była jego matką.

* * *

Nastusia od kilku tygodni była już chora i nie opuszczała łóżka. Mieszkała ona na folwarku, gdzie pan Haraburda przeznaczył jej dwie stancyjki, jako

wiernej służce i mamce swego jedynaka. Żyła na łaskawym chlebie u pana, którego przez całe życie oszukiwała, już to przez miłość dla syna, już przez obawę. Trapiona wszakże tym grzechem, włożonym przemocą na jej duszę, dręczona niewypowiedzianą goryczą, biedna kobieta była wiecznie smutna i unikała ludzi. Z całą miłością macierzyńską kochała Aleksandra, a choć ten bynajmniej nie odpłacał jej wzajemnością, przebaczała mu wszystko, oddawała ostatni grosz, gdy go zapotrzebował. Obecnie czując, że już jej koniec się zbliża, prosiła Boga o śmierć rychłą; a że zgryzoty sumienia bardziej ją teraz trapiły niż kiedykolwiek, postanowiła powiedzieć prawdę Aleksandrowi, a on niech zrobi z nią, co zechce.

W tym celu prosiła już kilka razy „panicza“, by przyszedł do niej; ale panicza prawie nigdy nie było w domu, a jeśli zjawił się na parę dni, to zwykle kazał jej powiedzieć, że niema czasu, że później przyjdzie.

Nastka płakała, modliła się, prosiła gorąco Boga, by nie dozwolił jej umrzeć z tajemnicą, której nikomu nie chciała powierzyć, tylko ukochanemu synowi.

Tego dnia, którego Aleksander, cały wzburzony, przyleciał pocztą z Grodna, matka prawie dogorywała. Panicz, zeskoczywszy z bryczki, pobiegł prosto na folwark. Biedna kobieta, ujrzawszy syna, zerwała się z pościeli, wyciągnęła obie ręce do uścisku i zawołała drżącym głosem:

— O moje słońeczko jasne, mój ty synaczku ukochany, więc przyszedłeś pożegnać swoją..

Nie mogła dokończyć, wahała się jeszcze powiedzieć — „matkę“.

Aleksander nie rzucił się wcale w objęcia umierającej matki, lecz rzekł ostro i sucho:

— Dokończ kobieto, co chciałaś powiedzieć... a mów prawdę... Czy ja jestem twoim synem?

Z piersi matki wyrwał się jęk długi, przeciągły i zakrywając oczy obiema rękami, wyszeptala gasnącym głosem:

— To prawda, to święta prawda, że ty jesteś moim, a nie czyim synaczkim... I teraz, gdy idę zdać sprawę Bogu z moich ciężkich grzechów, nie boję się złych ludzi, którzy mi nakazali niegodne kłamstwo.

Aleksander stał na środku izby, jak posąg skamieniały; w oczach jego nie litość, nie żal umierającej matki, ale gniew, wściekłość pałała. Nie miał słów na wypowiedzenie swojej nienawiści.

Nastka, nie rozumiejąc uczuć niskich, jakie miotają jej synem, przypisywała to wzruszeniu i żalowi; odezwała się więc słodko, pieściotliwie:

— Pójdźże do mnie, mój skarbie najdroższy niech cię ściąskam po raz ostatni, niech pobłogosławię twoją jasną głowę.

— Dobrze, dobrze! To wszystko na później — odezwał się ponuro Aleksander. — Teraz mi mów, kto jest prawdziwym synem pana Haraburdy i gdzie się on obraca? Ja chcę wiedzieć wszystko, słyszysz Nastusi!

— Oj, powiedz do mnie choć raz „matulu“, a umrę szczęśliwa... Olutku, mój złoty synku, nazwij

ty mnie przed moją śmiercią matką! — błagała łkając Nastusia. — Ja nigdy jeszcze nie słyszałam imienia matki... Ja umrę z radości, gdy je usłyszę!

Aleksander spojrział obojętnym wzrokiem na matkę i odął usta wzgardliwie; lecz chcąc od umierającej dowiedzieć się wszystkiego, przysunął się do jej łoża, ujął za rękę, i rzekł zimno:

— A więc „matko“, gdzie jest dziecko pana Haraburdy? Czy to syn, czy córka?

Nastusia rękę syna przycisnęła namiętnie do ust, a łzy zalały jej twarz bladą; nareszcie rzekła, wznosząc oczy na krucyfiks:

— Przysięgam ci, synalku, na tę oto śmierć niewinnego Chrystusa, że ja jestem także niewinną w tym grzechu oszukaństwa. Żli ludzie to wszystko zrobili. Dlaczego? Ja nie wiem... Ot, taka była ich złość.

— Jacy ludzie? — zawołał gniewnie Aleksander. — Panna Maszadro, Sypełek, któż więcej?...

— A onić to, oni — mówiła szlochając Nastusia. — Niech im Bóg tego nie pamięta.

I zaczęła szczegółowo opowiadać, jak ją uwiódł i porzucił ekonom Szabrański; jak ona z desperacji rzuciła się do wody, lecz ją wyciągnęli, by żyła na większe swoje strapienie; jak się nią zaopiekowała dobra pani Haraburdowa, dała jej przytułek i serce; jak potem jednego dnia obojgu im dał Pan Bóg, jej syna, a pani kapitanowej córkę; jak panna Maszadro, ciotka pani Haraburdowej, postanowiła zamienić dzieci; jak stara znachorka, Gudula, która już nie żyje, dokonała tej przemiany; jak chcieli

w nią, w Nastusie, wmówić, że miała córkę, nie chłopca; jak ona wpadła z krzykiem do pokoju chorej pani kapitanowej i upominała się o swego synka, a pani Haraburdowa z przestachu i z tego, że ją oszukano, dostała gorączki i tegoż dnia umarła.

— A że to było z mojej winy—mówiła Nastusia, bijąc się w piersi — o mało nie zwaryowałam z rozpacz. Wówczas panna Maszadro kazała mi przysiąc przy trupie mojej pani, że nigdy nie powiem, co się stało... I groziła mi, że jak pan Haraburda dowie się prawdy, to zabije moje dziecko, mego synka, a mnie na całe życie wsadzą do lochu.

Gdy to Nastusia opowiadała, rzewnie płacząc i lamentując, w pierwszej stancyi dał się słyszeć słaby odgłos ciała upadającego. Aleksander wybiegł, by zobaczyć, co się stało, i ujrzał pana Haraburdę, leżacego na ziemi.

— Słyszał więc wszystko! Słyszał! — ryknął Aleksander z wściekłością.—Wie teraz, że nie jestem jego synem!... Przekleństwo! Przekleństwo im wszystkim!

Z temi słowy wyleciał, jak waryat, na dziedzińiec, nie myśląc wcale o ratunku zemdlonego ojca, ani o blizkim zgonie prawdziwej matki.

— Ja! syn ekonoma i chłopki! Ja... bękart, podrzutek! — wołał, wrywając sobie z głowy rude włosy i biegnąc prosto do lasu.—Nie, ja tej hańby nie przeżyję!... Powieszę się, utopię, albo w łeb sobie palnę!

Miał trzy rodzaje śmierci do wyboru...

Jakimże sposobem pan Haraburda stał się mi-

mowolnym świadkiem wyznania Nastusi? Bardzo prostym.

Gdy mu powiedziano, że Nastka jest bardzo chora, że się spowiadała rano i przyjęła Ostatnie Namaszczenia, że panicz, jak tylko przyjechał z Grodna, wnet pośpieszył na folwark, by ją pożegnać: p. Haraburda, który, jak wiadomo, miał niezmiernie dobre serce, mimo, że mocno cierpiał na nogę, poszedł wnet na folwark, podpierając się kijem, by odwiedzić chorą i obdarzyć ją słowem pociechy. Wszedłszy do pierwszej izby, od której drzwi do drugiej były nieco uchylone, zatrzymał się chwilę dla wypoczęcia, bo mu ból w nodze zaczął dokuć; przysiadł na stołku i tak siedząc, wysłuchał mimowoli całą rozmowę Nastki z Aleksandrem. Uczucie bólu, gniewu, oburzenia, wraz z uczuciem radości, że ma córkę, ośwładnęły nim tak dalece, że nerwowy a osłabiony fizycznie, zemdlął.

Dziewka folwarczna, będąca na usługach Nastusi, przyszła się dowiedzieć, czy chora czego nie potrzebuje. Ujrawszy pana, rozciągniętego na ziemi i nieżywego, jak mniemała, wydała krzyk tak przeraźliwy, że cała czeladź się zbiegła. Zaniesiono zemdlonego do domu i zaczęto cucić wszystkimi sposobami, znanymi na wsi. Gdy potem pan kapitan, odzyskawszy przytomność, kazał się koniecznie zaprowadzić do Nastusi, by z jej ust jeszcze raz usłyszeć ową fatalną historję i dowiedzieć się przynajmniej, czy jego córka żyje, dano mu znać, że biedna kobieta już Bogu ducha oddała.

Śmierć Nastusi była gromem dla niecierpliwego umysłu pana kapitana. Płakał, złorzeczył, przeklinał i kazał przywołać natychmiast Aleksandra, by na nim wyrzucił całą swą boleść.

Powiedziano mu, że panicz tak uczuł śmierć mamki, iż z płaczem poszedł do lasu.

— O, wyrodek! — zawołał pan Haraburda — on uczuł śmierć matki! On, co jej nawet nie uściśnął na drogę wieczności, a mnie, leżącego na ziemi, nie podniósł i nie ratował! Dzięki niebu, że to nie moja krew — mówił zcicha, by go nie słyszano — że to nie mój syn... Serce moje to przeczuwało. Ale jeszcze nie pora oznajmiać to ludziom. Niech się wpiery dowiem, gdzie moje dziecię, gdzie moja ukochana córka; wówczas wypędzę tego chama z mego domu, to szczenię, podrzuczone przez tę przeklętą czarownicę... Lecz co ja tu sam poradzę z moim biednym rozumem? — zawołał, chwytając się za głowę. — Piekielną intrygę trzymano w tajemnicy przez lat dwadzieścia trzy... któż mi ją teraz wyjaśni, kto powie prawdę, kto wskaże, gdzie jest moja córka? Może ją zabili zbrodniarze — oszusty!

Pan Haraburda zaczął rzewnie w głos płakać. Nareszcie ukląkł przed obrazem Matki Boskiej, zaczął się modlić za duszę nieboszczki żony, a zarazem prosił gorąco Boga, by mu przed śmiercią pozwolił widzieć i przycisnąć do serca jego własne, rodzone dziecię.

Ta modlitwa i ufność w miłosierdzie Boga pokrzepiła wielce jego zboliałe serce.

— Ha!—rzekł sam do siebie—nie mam nikogo bliższego nad pana Jacka Rudominę. On oświeci mię i poradzi, jak postąpić: czy jechać zaraz do Grodna i zaskarżyć o to pannę Maszadro, czy też... Może lepiej udać się w pokorę i zakląć ją na rany Boskie, by powiedziała prawdę, dlaczego mi ukradła córkę i co z nią zrobiła?

Gdy pan Haraburda wkładał na siebie algierkę i czapkę, celem udania się przez łąkę do Janopola, drzwi otworzyły się z trzaskiem i wpadł blady, z rozczochranym włosem, z postronkiem na szyi Aleksander.

Pan Haraburda cofnął się przerażony o parę kroków i zawołał z pewną litością w głosie:

— Co ci jest, chłopcze? Wyglądasz, jak po-
tępieniec! Co znaczy ten sznur u szyi? Czy cię wieszano?...

Aleksander wnet zmiarkował, że łatwo rozbroi pana Haraburdę udaną pokorą i rozpaczą; rzucił się więc, jak długi, na ziemię i całując buty pana Haraburdy, mówił płaczącym głosem:

— Ojczel! panie! dobroczyńco mój! nie wiem teraz, jak cię nazywać... bo choć nie jesteś moim ojcem, serce moje ma dla ciebie uczucie synowskiel... Ja cię kocham, wielbię, jak ojca, bo innego znać nie chcę i widzieć nie chcę... Prawda, wiele w życiu mojem sprawiłem ci zmartwień i przykrości — za co dziś płacę krwawymi łzami... I oto patrzaj, mój najdroższy ojczel!... w pierwszej chwili, gdy się dowiedział, że nie jestem twoim synem, taka mię rozpacz ogarnęła, taki szal, że poleciałem do lasu,

by się powiesić na drzewie i już wisiałem. Lecz myśl, że się nie pożegnałem z tobą, że nie otrzymałem twego przebaczenia, zniewoliła mnie, żem oderznął sznur i przyszedł paść jeszcze raz w życiu do nóg twoich, ojczy mój najukochańszy...

Aleksander wszystko to mówił, leżąc u nóg pana Haraburdy i łkając rzewnie. Pan Haraburda z początku milczał, snać pasował się z sobą, nareszcie rzekł łagodnie:

— Wielki to grzech przed Bogiem targać się na własne życie. Nakazuję ci surowo, byś odrzucił pokusę szatańską od siebie. Zresztą, nie twoja w tem wina, że piekielna intryga ludzi wydarła mi córkę, a ciebie podłożono na jej miejsce. Tyś także nie wiedział o tem, jak i ja.

— To prawda, to prawda, mój dobroczyńco, że to nie moja wina! — wołał teatralnym głosem Aleksander.—Czyż „niemowlę“ ma pokutować za cudze grzechy?

Pan Haraburda targnął się za wąsy i rzekł uroczyście:

— Ba! jest i kupa twoich własnych grzechów. Byłeś zawsze nieponiem, próżniakiem i utracyszem... Dla ojca, to jest dla mnie, nie miałeś żadnego szacunku, ani przywiązania; oszukiwałeś mnie zawsze. I dlaczego, mój chłopcze, ja także nie mogę mieć do ciebie ojcowskiego przywiązania.

Pan Haraburda mówił to głosem wzruszonym, prawie czułym.

Aleksander tylko czekał na to, by rozczulić miękie serce pana Haraburdy. Nie szło mu bynaj-

mniej o jego przywiązanie, ale o swoją własną pozycję na świecie. Słuchał uwag pana Haraburdy z bogobojnem przejęciem się, wzdychał, zwracał oczy ku niebu, kułakami ocierał łzy z twarzy, narzeczcie odezwał się z pokorą:

— Wszystko to prawda, żem nie wart twego przywiązania, ojczyzna mój i dobrodzieju; byłem zawsze łotr, gałgan i łajdak. Mimo to jednak, serce moje nie zostało zepsute, dziś przejrzałem. Jasno widzę moje postępowanie, gotów jestem wyrwać sobie serce z piersi, by cię przekonać, mój dobroczyńco, że tam jest miłość i wdzięczność dla ciebie.

Nic łatwiejszego, jak upieścić starych słodkimi słowami i bodaj fałszywem uczuciem. Oni tak pragną miłości, jak ziemia popekana od skwaru pragnie kropel deszczu. Poczciwy pan kapitan miał już oczy łez pełne i radował się w duchu tej nadzwyczajnej przemianie w tym, którego dotąd uważał za syna, za swoje dziecko. Trudno odrazu zerwać z tradycją ojcowstwa, bo natura zespala się z pewnymi warunkami bytu na ziemi. Ten, co przez lat dwadzieścia kilka był „synem“, nie może odrazu zostać obcym człowiekiem dla ojca. Dziecko daleko łatwiej odleci myślą i sercem od rodziców; ale rodzice nie zrywają świętego węzła nawet dla najniewdzięczniejszych dzieci. Pan Haraburda, acz już wiedział, że Aleksander nie jest jego synem, tylko Szabrańskiego i Nastusi, wszelako czuł się skrepowanym tyloletnią przeszłością, a w dobroci swego serca usprawiedliwiał niewinne dziecko, będące narzędziem cudzej złości.

Cała więc nienawiść pana Haraburdy ciążyła teraz ku pannie Maszadro. Nie okazując wszelako po sobie pobłażliwości, odezwał się niby surowo:

— Przekonałem się dziś, mój Aleksandrze, że ty nie masz dobrego serca. Nastusia, matka twoja, umierając, prosiła, byś ją uścisnął i nazwał matką, a ty byłeś głuchy na jej prośby... To brzydtko.

— Ojczel—zawołał z przesadą Aleksander — ja nie wiem, jakim byłem i co mówiłem wobec mojej umierającej matki... Ale skoro się dowiedziałem, że nie jestem twoim synem, taka mnie szalona rozpacz ogarnęła, że uciekłem, jak obłąkany, by sobie odebrać życie. Co więcej, gdy m spostrzegłem ciebie, ojczel drogi, leżącego na ziemi w omdleniu, domyśliłem się, żeś słyszał całą naszą rozmowę; wówczas związałem sobie ten oto powróż na szyję i postanowiłem obwiesić się na drzewie.

— Nie mów tego! — przerwał ze zgrozą pan Haraburda. — Czy jesteś Judaszem, żebyś umierał taką haniebną śmiercią? Do milion fur batalionów... Cóż z tego, że się nie nazywasz Haraburda, tylko Szabrański? Twój ojciec jednak był tak dobry szlachcic, jak i ja.

— Ja nie mam innego ojca — krzyknął Aleksander — prócz kapitana Haraburdy! To mój ojciec, mój dobrodziej, tego znam, tego kocham, wielbię, ubóstwiam. O innym mi nie wspominajcie, bo strzeleć sobie w łeb.

Pan Haraburda zbliżył się do niego, pocałował go w czoło i rzekł serdecznie:

— No, ja wierzę temu że masz do mnie przywiązanie, bo i dla czegożbyś go nie miał? Byłem ci ojcem przez lat tyle, i zostanę nim, chociaż mam córkę. Lecz słuchaj, Aleksandrze—mówił dalej uroczystym głosem — ja stary, niedołężny, schorzały, nie dam sam rady tej piekielnej intrydze, ty mi dopomożesz do wyszukania dziewczyny, do dowiedzenia się, czy ona żyje.

— Dobrze, dobrze!—zawołał Aleksander, rzucając się w objęcia pana Haraburdy.—Ja ją znajdę, wyszukam, bodajby była pod ziemią! To będzie moja siostra, moja rodzona siostra... Wszak prawda?

Pan Haraburda, któremu łzy mroczyły oczy, odrzekł ze wzruszeniem:

— Tak, to będzie twoja siostra. Powiem ludziom, że moja żona urodziła bliźnięta; że córkę mi wykradziono przez złość piekielną, a syna zostawiono. Ty będziesz się zawsze nazywał Haraburda, bo takem cię ochrzcił; majątek mój podzielę na równe części dla was obojga. Tylko przyrzecz mi, chłopcze, że się poprawisz, nie będziesz marnotrawcą i próżniakiem, jak dotąd.

Aleksander wszystko przyrzekał, na wszystko przysięgał i dusił pana Haraburdę w uściskach pełnych zapału.

Nareszcie, gdy już zapanowała najzupełniejsza zgoda i miłość, pan kapitan odezwał się w ten sens:

— Widzisz, mój Olesiu, co głowa to rozum. Ja chcę do naszej tajemnicy przypuścić pana Jacka Rudomine; to mądry i stateczny człowiek. On nam poczciwie poradzi, jakim sposobem podejść tę Mo-

rową Babę, by nam wyznała prawdę, gdzie jest moja córka.

Aleksander, jak niegdyś miewał zwyczaj jego ojciec, pan Julian Szabrański, zapuścił palce w swoją ogromną czuprynę i rzekł tajemniczo:

— Broń Boże! broń Boże! Niech kochany papo nie mówi ani słowa o tem panu Rudominie. Ja sam to wszystko zrobię, pan sędzia popsuje nam tylko sprawę.

— A to jakim sposobem?—zapytał pan Haraburda.

— Pan sędzia powie to synowi, Mieczysław znowu powie komu, panna Maszadro się dowie, że my już wiemy, szukamy zguby naszej, i przechowa ją tak, iż nie będziemy mogli odszukać.

Pan Haraburda spojrział na Aleksandra i rzekł z uśmiechem:

— No, teraz widzę, że masz spryt ojcowski. Pamiętam, jak nieraz Julek nakazywał mi milczenie, kiedy miałem się wyrwać z czem niepotrzebnem. Może masz rację; nie powiem nic panu Rudominie—działajmy sami.

I znowu słaby a poczciwy pan kapitan uległ tak samo wpływowi potomka pana Szabrańskiego, jak niegdyś jemu samemu ulegał.

Cygański ród zawsze górę bierze.

ROZDZIAŁ VII.

Strapienia dwóch ojców.

Aleksander, wierny swej roli, nie odstępował pana Haraburdy przez dni kilka. Był czuły, posłuszny, serdeczny, a nawet nabożny, gdyż co wieczór odmawiał głośno wraz z ojcem Różaniec i klepał tak prędko Zdrowaśki, że pan Haraburda nie mógł za nim podążyć.

Pocziwy starzec, który sam, przez życie całe, nie potrafił ani na chwilę grać komedyi, nie przypuszczał najmniejszej obłudy ani zdrady w postępowaniu Olesia; owszem, przypisywał łasce Boga nad sobą i nad nim tak nagłą, tak nadzwyczajną zmianę. I w dobrodusznej swej wierze cytował historję o Synu Marnotrawnym, mówiąc:

— A no, i tamten wiele zgryzot przyczynił ojcu, a potem był dla niego prawdziwą pociechą.

Nie przychodziło mu już więcej na myśl, że Aleksander jest synem pana Juliana Szabrańskiego i Nastusi, zapomniał prawie o tem. Ochrzcił go był kiedyś na swoje imię, przez lat dwadzieścia kilka widział w nim syna, choć nicponia wprawdzie, ale zawsze syna, i dziś, kiedy ten syn się poprawił, nawrócił tak cudownym sposobem, miałby go odepchnąć, wyrzec się i powiedzieć ludziom, że to nie jego dziecko? Nigdy! Zaczne serce pana kapitana nie było zdolne do podobnego czynu. To też miły jego synalek, znając ojca doskonale, grał na nim,

jak na basetli. Stara to historia łotrów z pocziwcami.

Pan Haraburda, mając tajemnicę na sercu, a nie mogąc jej odkryć przed panem Rudominą, gdyż mu Aleksander przedstawił, że byłoby w tem największe niebezpieczeństwo, mocno się trapił i szukał w głowie środka, aby i sekret zachować, i wtajemniczyć weń swego sąsiada a przyjaciela, pana Jacka, którego rozumną radę wysoko cenił. Kilka razy w ciągu tygodnia był już w Janopolu, a idąc łąką, układał sobie jak i od czego zacząć, a idąc powiedział panu sędziemu, że ma córkę, którą już kocha, choć jej nie zna, i że odszukaniem jej cała jego myśl i dusza były zajęte. Lecz wnet przychodziło mu na myśl, że Aleksander ma rację mówiąc: „aby przed niewodem ryb nie łowić“; albowiem pan Rudomina nie będzie z tego robił sekretu przed synem, syn przed przyjaciółmi, ci przyjaciele doniosą o tem potężnej w swej złości pannie Maszadro, a ta każe przechować tak dziewczynę, że ją ludzkie oko nie ujrzy. Więc pan Haraburda, będąc w Janopolu, czuł się jak nie swój, tajemnica paliła go w gardle, piekła w sercu, a bał się z nią odezwać; spoglądał znacząco na pana Rudominę, wzdychał, i tylko te niewinne słowa pozwolił sobie powiedzieć:

— Wkrótce, kochany sąsiedzie, dowiesz się coś bardzo ważnego; ale teraz o nic mię nie pytaj, bo nic nie powiem.

Pan Rudomina niewiele zwracał uwagi na ten tajemniczy zwrót mowy, nie mający żadnego zwią-

zku z poprzednią rozmową; znając bowiem oddawna swego sąsiada, wiedział, że ten i na starość zachował umysł dziecienny, nieraz małe rzeczy brał za wielkie, a wielkie za nic. Przytem sam będąc od pewnego czasu czemś mocno strapiony, taił się także ze swoim smutkiem przed panem Haraburdą.

Dwie rzeczy tylko dziwnie uderzyły pana Rudominę, to jest: że od dni kilku nie widział już sąsiada podchmielonego, był bowiem ciągle trzeźwy, rozsądny, a na twarzy jego jaśniał wyraz radości; druga rzecz, że pan Haraburda, dotąd zwykle narzekający na syna, teraz przeciwnie, wychwalał go nieustannie, mówiąc: że to chłopiec poczciwy, z dobrem sercem, tylko dotąd był obalamucony złem towarzystwem. Pan Rudomina, acz niewiele wierzył tym pochwałam, wszelako cieszył się z przemiany tak nagłej, i w dumie ojcowskiej przypuszczał, że może przykład Mieczysława wpłynął tak skutecznie na Aleksandra.

Nareszcie jednego dnia Aleksander powrócił dość późno z Grodna, gdzie niby jeździł za sprawunkami i poszedł prosto do pokoju ojca.

— Ojcie! — zawołał z radością — przywożę ci dobrą nowinę. Ach, jak mi serce bije na samą myśl, że m potrafił odkryć ślad pobytu twojej córki, a mojej najdroższej siostry!

Na tę wiadomość pan Haraburda zerwał się z łóżka i krzyknął radośnie:

— Niech cię Bóg pobłogosławi, mój chłopczel! Mów, mów coprędzej, bo kipię cały. Gdzież ona, gdzie moje dziecię? Ja sam do niej pojedę.

— Ależ, papo kochany — zaklekotał Aleksander — to nie tak łatwo, jak ci się zdaje. Pozwól, niech ci opowiem, a dopiero sam uznasz, ile potrzeba zachodu, by odszukać tę drogą istotę.

I Aleksander zaczął kłamać najbezczelniejszą historję. Jak niby zagroził śmiercią Sypełkowi, jeśli nie powie prawdy, gdzie skryli pannę Haraburdównę; jak tenże Sypełek ze strachu powiedział, że ją wywieźli do Warszawy, gdzie pozostaje dotąd pod nazwiskiem Emeliny Maszadro; że tylko jednego nie wie jeszcze dostatecznie, to jest adresu jej mieszkania. Lecz temu łatwo zaradzić w Warszawie, udając się do biura adresowego, w którym wszyscy mieszkańcy są zapisani.

Pan Haraburda, słuchając tego opowiadania, spłakał się, jak bóbr, ścisnął, całował Aleksandra z radości że jego córka żyje i powtarzał w uniesieniu:

— O my wynajdziem biedną, ukochaną dziecinę! Pojedziemy obaj do Warszawy; sprzedam wszystko, co mam, a wyszukam moje dziecko. Ale biada—wołał, zaciskając ręce — tym złodziejom, zbrodniarzom! Ja im łby poukręcę! Żyły z nich wypruję! A tę przekłętą czarownicę, Maszadro, żywcem upiekę!

— Zemsta na później—mówił spokojnie umiarkowany młodzieniec.—Tak, drogi ojcze, my się zemścimy strasznie, przykładowie, ale wówczas, gdy już droga Emelina będzie u nas, pod naszym dachem, pod naszą opieką.

— Dobrze mówisz, mój chłopcze! Ty masz rozum i zimną krew, czego mi brakło przez życie całe. Kubek w kubek jesteś podobny do tego wisielca, Julka Szabrańskiego—mówił żartobliwie pan kapitan.—Ja przyznam się, że dziwną miałem zawsze słabość do tego łotra.

Na to wspomnienie o ojcu swym prawdziwym, Aleksander zaczerwienił się, jak indyk i zrobił grymas niesmaczny; nie podnosząc jednak dalej tych wspomnień, rzekł krótko:

— Otóż mojem zdaniem, kochany papo, trzeba jak najprędzej pojechać do Warszawy.

Aleksander nie był dotychczas w Warszawie i pragnął gorąco poznać to siedlisko uciech i przyjemności, a teraz mu się zdarzała pora.

— Ty, drogi ojcze, nie możesz sam jechać, bo nogi twoje nie pozwolą na tę podróż; ale ja sam pojedę i poruszę niebo i piekło, a wyszukam twoją córkę. Potrzeba tylko, abyś mi na drogę i na koszta poszukiwań dał pieniędzy, bo wiesz, najdroższy papo, że bez nich i do nieba trudno się dostać.

— Nie bluźń, chłopcze!—zawołał pobożny pan Haraburda.—Do nieba wpuszcza tylko cnota i miłosierdzie Boże. Ale tu, na ziemi, to prawda, że co ubijesz, to ujedziesz, do milion kaduków! To tylko dostaniesz, co zapłacisz. Masz rację, ja stary niedołęga więcej ci zawadzał, niż dopomógł. Jedź sam w imię Boże, a o pieniądze się nie kłopotaj. Mam paręset rubli w kantorku, resztę dokończysz u pachciarza i wyprawię cię do Warszawy.

Aleksander rzucił się ojcu na szyję i płakał z radości, choć miał wielką ochotę tańczyć i gwiźdać, tak mu wesoło było na sercu. Wychodząc z pokoju pana Haraburdy, uderzył się po czole i rzekł sam do siebie:

— Mieczysław ma mnie za durnia, a ja jednak ubiegnę go, gdy zechcę! Ot mi się udało tęgi zrobić interes! Stary łatwowierny oddaje ostatni grosz. Pohulam też sobie w Warsznie, co się nazywa! Pal dyabli dziewczynę, może już dawno nie żyje.

I w parę dni Aleksander popędził do nieznannej sobie stolicy.

* * *

Teraz przejdźmy do strapień pana Rudominy.

Mieczysław po poznaniu Teresy i wyznaniu, że ją kocha, stał się rzadkim gościem w domu. W Grodnie przesiadywał po dni kilka, mieszkając w kasztelańskim numerze u pani Mendlowej. Z początku pan sędzia nie zwracał na to uwagi, gdyż Mieczysław od młodości nigdy nie był krępowany widzialną wolą ojca, a że nigdy nie robił nadużyć, posiadał więc wysokie jego zaufanie. Lecz gdy w ciągu kilku tygodni pan Rudomina widział syna w Janopolu tylko gościem, i to na krótko, a gość ten był widocznie smutny, zamyślony, zdawał się unikać wszelkiej poufalszej z ojcem rozmowy, więc sobie myślał:

— Co on robi w Grodnie? Jaką mógł sobie znaleźć tam przyjemność, która tak go całego zajmuje? Chyba, że się zakochał.

Już na samą myśl taką truchlał pan sędzia.

— Ale nie, to niepodobna! — reflektował sam siebie. — W kimże w Grodnie mógłby się on zakochać? On taki trudny w wyborze, taki wybredny, że nawet taka piękność, jak panna de la Prèmonières, nie zrobiła na nim wrażenia?

Pan Rudomina zachodził w głowę szukając, co mogło posiadać Grodno, by Mieczysława zniewolić do zamieszkania w niem tak długo.

— Ha! pojedę sam do Grodna—rzekł nareszcie z determinacją—i przekonam się naocznie, co tam Mieczysław robi. Zresztą, może się coś dowiem od ludzi, jeśli on przede mną ma jaką tajemnicę.

I powiedzmy prawdę, przyszła mu w tej chwili na myśl pani Mendłowa, u której stał Mieczysław. Ona, co zawsze wszystko wiedziała, co kto robi, w kim się kto kocha a kogo nienawidzi, niezawodnie swoim „delikatnym“ sprytem mu siała pochwycić pewne dane o Mieczysławie.

I tak mądry pan sędzia, który najpiękniejszy napisał traktat „o wychowaniu młodzieńca“, był zmuszony udać się do tak poziomego środka, by się dowiedzieć prawdy o swoim jedynaku!

Nie będziemy opowiadali, jak pan sędzia pojechał do Grodna i stanął u pani Mendłowej, a opowiemy pokrótce miłość dwojga młodych ludzi.

Mieczysław bywał codziennie u Teresy, a często i dwa razy dziennie; nie mówił jej wprawdzie o swojej miłości, lecz wypisywał ją wierszem, a Teresa

pod te piękne, czułe elegie podkładała równie piękną muzykę i oboje śpiewali duety tak zgodne, tak pełne czucia, że najprozaiczniejszy słuchacz musiałby być niemi zachwycony. Oboje poeci, natury egzaltowane i namiętne, tworzyli sobie świat odrębny, nowy, nieznany, zapominając w tej krainie czarów duchowych o brudnym padole płaczu i zawiści ludzkich.

A zawiść ta już ich zaczęła prześladować właśnie za to, że byli tak szczęśliwi.

W tak małym mieście, jak Grodno, nie może być tajemnicy; ludzie wszystkiego się dowiedzą, wszystko wysledzą, osądzą, potępia. Tem łatwiej im to przychodzi, gdy dwie tak uwydatnione osobistości grają rolę bohaterów. Dziewczyna sierota, piękna, młoda, utalentowana, żyjąca sama pod strażą własnych przekonań i sumienia, zwraca koniecznie uwagę na siebie i sąd ludzi wisi ciągle nad jej głową, jak miecz Damoklesa. Lada pozór, lada cień — miecz spada, i bez miłosierdzia odrąbuje głowę! Mieczysław znów, młody, piękny i bogaty, był celem marzeń wszystkich panien w Grodnie. I gdy tysiące najpiękniejszych rojeń i nadziei snuło się po sercach dziewczec nadniemeńskich, nagle złowroga Fama niesie z ust do ust przerażającą wiadomość, że ten uroczy młodzieniec kocha się w jakiejś Niemce Baurownie, „guwernantce“, a co gorsza, mieszkającej samotnie, nie zaś w domu obywatelskim, jak wszystkie „porządne“ guwernantki. Całe Grodno zakipiło, zawrzało jednym głosem zgromy i oburzenia. Naturalnym następstwem rzeczy, wszystkie matki,

których córki Terenia uczyła, wypowiedziały jej lekcyę, dając do zrozumienia, że osoba tak podejrzanej reputacyi, jak ona, wstępu do ich domu mieć nie może.

Panna radczanka Aurelia, w moc swojej emancypacyi, postąpiła jeszcze zuchwalej, gdyż napadła Terenię w jej własnym domu, nagadała jej tyśiące głupstw i poprzysięgła jawną, wieczystą zemstę „za zdradę przyjaźni“.

Biedna sierota, aczkolwiek mocno uczyła tę ludzką pogardę, będąc jednak przekonaną, że na nią nie zasłużyła bynajmniej, stanęła śmiało do walki z życiem, z losem i z opinią ludzką. Bo miłość prawdziwa, czysta a bezinteresowna, ma to do siebie, że dziwny nadaje hart duszy, podnosi ją, uszlachetnia i często tworzy bohaterów, których w długie lata potem czci pamięć ludzka, jako wybrańców Bożych.

Terenia, której życie było skromne, nieskazitelne, nie pojmowała nawet w swej niewinności, za co ją ludzie potępili; domyślała się tylko, że jej zazdroścą Mieczysława i z tego punktu na rzecz się zapatrując, przy głębszej rozwadze, nie dziwiła się wcale, że cały areopag niewieści w Grodnie rzucił na nią anatemę. Lecz strona materyalna życia zaczęła ją kłóć swemi drobnymi szpilkami. Nie mając lekcyj, za które jej hojnie płacono, Teresa spostrzegła, że żyć już prawie niema z czego. Po sprzedaży złotnikom broszek, kolczyków i zegarka, pamiątek po nieboszczce Baurowej, która ją rada ubierała i stroiła w te wszystkie świecidełka, na dnie sakie-

wki ujrzała pustki i nie wiedziała biedna, czem jutro przyjdzie opędzić. Zawołała więc swoją wierną Katarzynę na radę i rzekła do niej z uśmiechem:

— Moja droga i poczciwa Katarzyno, nie chcę taić przed tobą, że jestem w wielkiej biedzie; nie mam lekcyj gdyż wszędzie mi odmówiono, i nie mam z czego ci płacić. Jednak śmiem cię prosić, abys mię nie opuszczała i zaczekała.

Katarzyna porwała ze łzami rękę Teresy i zawołała serdecznym głosem:

— Co też gadacie, panienko, gdziebym ja was opuścić mogła i to jeszcze w biedzie! Co do mojej zapłaty, nie turbujcie się wcale; mam co jeść, a pieniędzy mi wcale nie potrzeba.

— Tak — powtórzyła smutna Teresa — dotychczas miałyśmy co jeść przynajmniej, ale teraz... i tego nam może zabraknąć. Lecz sądzę, że za twoją pomocą wybrniemy z biedy. Otóż widzisz, postanowiłam zostać szwaczką, bo już nie będę uczyć muzyki. Ty, co masz tyle znajomości w Grodnie, wystaraj mi się o robotę. Zobaczysz, jak umiem szyć prędko; jestem pewna, że szyjąc bieliznę, więcej zarobię, niż muzyką.

Katarzyna nie dała sobie dwa razy o jednym mówić; tegoż dnia jeszcze poszła do znajomych i wieczorem przyniosła tuzin koszul do szycia od starego kawalera aptekarza, u którego niegdyś była kucharką. Za sztukę miano zapłacić po dziesięć złotych, zatem sto dwadzieścia złotych było w perspektywie za dobre uszycie i nadal praca u eleganta aptekarza.

Tymczasem Mieczysław o niczem nie wiedział. On zawsze znajdował Teresę szczęśliwą, uśmiechniętą, swobodną. W rozmowach swoich nie dotykał nigdy tej strony życia, która ma związek z powszedniością. Mówili o sztuce i poezji, czytali dzieła wielkich wieszczów, grali, śpiewali i byli w niebie. Dopiero po wyjściu Mieczysława, Teresa zasiadała do szycia, i szyła, szyła... aż nieraz dzień biały zajął już w okna. Tak upływały tygodnie.

Mieczysław, acz stały miał zamiar pojęcia Teresy za żonę, jednak puściwszy raz wodze swojej wienie poetyckiej, tak długo tajonej, zapomniał niemal o prozaicznym stanie miłości, to jest o małżeństwie. Dnie całe marzył i pisał; wieczorem czytał to i śpiewał wraz z ukochaną. Czy mógł być szczęśliwszy kiedy, jak teraz? Nie zwierzał się przed ojcem poprostu z obawy, by nie przerwano mu szczęścia, jakiego używał. Wiedział bowiem, że pan sędzia będzie stawiał opór jego miłości dla ubogiej dziewczyny; że panna margrabianka znowu, jak widmo, stanie na jego drodze do szczęścia; że zaczną się gniewy, kłótnie; że się zjawią te wszystkie robactwa, co napadają na wonną różę. Odkładał więc, odwlekał, jak mógł najdłużej, tę chwilę walki, którą jednak koniecznie stoczyć należało.

Pewnego wieczoru Mieczysław, znajdując się w restauracyi i siedząc przy tym samym stoliku, co i jakiś gaduła, wysłuchał go opowiadającego jakieś nowinki. Przeszedłszy wszystkie ploteczki miejskie, jął pan gaduła opowiadać o najnowszym skandalu, to jest o romansie panny Baurównej z panem Rudo-

miną. Pocziwiec nie znał Mieczysława i opowiadał mu wszystko tonem, jakim się mówi do nieznanego sobie a przyzwoitego człowieka, który lubi się uśmieć z tego, co zabawne. Mieczysław, nie zdradzając się wcale kim jest, słuchał z zajęciem opowiadania. Jegomość ów, wiedzący szczegółowo rzecz całą od pań grodzieńskich, powtarzał, co słyszał, a mianowicie, że bogaty szlachcic, niejaki pan Rudomina, zbałamucił młodą i ładną nauczycielkę muzyki, która dotąd miała jak najlepszą reputację; że z tego powodu porządne domy zamknęły drzwi przed panną, która mieszkając sama, przyjmuje u siebie kawalera, co jest bardzo dwuznacznem, żeby więcej nie powiedzieć; że panna Baurówna nie ma już ani jednej lekcyi i musiała rzucić się do innego rzemiosła, to jest do szycia bielizny.

— A kawaler — ciągnął dalej, śmiejąc się, opowiadający — już zadowolony z łatwego zwycięstwa, puścił pannę w trąbę, a ma się żenić z jakąś hrabianką, czy księżniczką zagraniczną.

Mieczysław siedział, jak skamieniały; krew mu biła do skroni, a serce mdlało w piersiach I to on, on przyczyną wszystkiego! Oczerniono, zabłocono jego świętość, jego poezję — za co, dlaczego? Dlatego, że on nie miał dość energii i stanowczości, by wystąpić śmiało przed ojcem i przed ludźmi. Tajemnica, o której wszyscy wiedzieli oprócz jego ojca, stała się teraz zbrodnią w przekonaniu Mieczysława. On nie powinien był robić sekretu ze swoich uczuć, ale je ujawnić światu w sposób zwyczajny, powszedni, uświęcony przez prawo społeczne; powinien był już

się ożenić z sierotą, nadać jej swoje imię, otoczyć ją opieką, dostatkami, by się nie terała w ubóstwie, pracy i poniżeniu.

Takie myśli, niby błyskawice, przelatywały przez umysł Mieczysława.

— Podły egoista ze mnie! — zawołał wychodząc z restauracyi. — A co gorzej, niedołączny głupiec! Tailem się przed ojcem, a on jeden byłby najlepszym doradcą i pośrednikiem. Tak, powiem ojcu wszystko; powiem, że ją kocham nad życie i z żadną się nie ożenię, jeśli nie z nią. Wiem, że mu zadam cios w serce; on pragnie czego innego dla mnie. Ale ja tamtej nie kocham, nigdy nie kochałem, nic mnie nie wiąże, żadne słowo. Jestem wolny.

Mieczysław szedł szparkim krokiem przez ulicę Dominikańską, minął Skrętną i dążył prosto do mieszkania Teresy. A była już godzina jedenasta wieczorem. O tak spóźnionej porze nigdy jeszcze Mieczysław nie był w mieszkaniu Tereni; stanąwszy więc przed domem, w którym mieszkała, zawahał się, czy ma wejść. Lecz gwałtowność jego usposobienia w tej chwili, i myśl, że ma złe naprawić, dodały mu odwagi do tego śmiałego kroku. Zapukał. Katarzyna wyszła, pytając kto tam i czego żąda, a poznawszy Mieczysława, odrzekła zakłopotana, iż wątpi, aby jej pani przyjęła wizytę o tej porze, tembardziej, że ma pilną robotę do ukończenia.

— Ja tylko słów kilka mam powiedzieć — odparł z bijącym sercem młodzieniec. — Nie zabawię długo, a muszę się koniecznie widzieć z panią.

— A no, to ja się zapytam.

Po chwili Katarzyna wróciła, mówiąc, że pani prosi.

Terenia, którą także mocno zdziwiło i zaniepokoiło to niezwykajne przyjście kochanka, przypuszczała jakąś katastrofę, jakieś nieszczęście; może jego ojciec chory, umiera, i Mieczysław przyszedł się z nią pożegnać, na długo może... Bez wahania więc kazała go prosić, i rzuciwszy robotę, wyszła pośpiesznie do pierwszego pokoju.

Mieczysław blady, pomieszany, stał, jak winowajca przed sędzią i dopiero w tej chwili spostrzegłszy twarz Teresy zmizerniała, oczy w czerwonych obwódkach od nocnej pracy, zadrżał, łzy mu popłynęły po męskiej twarzy.

— Co panu jest! — zawołała przełęczniona Teresa, zbliżając się i biorąc go za rękę.—Panie Mieczysławie, z jakąś złą nowiną pan przychodzisz?

Mieczysław przycisnął do ust podaną sobie rękę, lecz nie mógł przemówić słowa: było mu ciężko, duszno w piersiach.

— Pani! — odezwał się nareszcie—uspokój się, ja przyszedłem błagać cię o przebaczenie... o łaskę!...

— Pan mnie o przebaczenie, o łaskę prosisz? Co to jest? Nie rozumiem tych słów? — zawołała Teresa, cofając się i przyciskając ręką mocno bijące serce.

Przeraziły ją jego słowa. Nie rozumiejąc ich znaczenia, przypuszczała, że Mieczysław przyszedł ją pożegnać na zawsze i prosi o przebaczenie za wywołane uczucia.

— Ależ panie—odezwała się po chwili cichym głosem — pan mię dotąd niczem nie obraziłeś, cóż ci mam przebaczać...

— Szlachetna, wspaniała istoto!—zawołał z zapalem Mieczysław, klękając przed Terenią. — Ty cierpisz, męczysz się i nic nie mówisz przede mną! A ja, jako nędzny samolub, używam szczęścia przy tobie, nie pomyślawszy nawet, że złość ludzka jest w stanie targnąć się na najczystsze uczucia. Tak, droga moja, ubóstwiana Tereso, ja wiem wszystko, a dowiedziałem się przypadkiem. Wypowiedziano ci lekcye, sponiewierano twoje imię... i dziś ty, ofiara mojej ślepej miłości, musisz pracować jak najpospolitsza wyrobница. To okropne!

I Mieczysław zakrył dłonią oczy, bo mu łzy rzęśiste płynęły po twarzy. Teresa, dowiedziawszy się, że to tylko było przyczyną jego boleści, odechnęła całą piersią i rzekła prawie wesoło:

— Ależ drogi panie Mieczysławie, jeśli to tylko masz na sercu, to doprawdy nic wielkiego... I cóż stąd, że teraz zarabiam szyciem, jak przedtem grabaniem i śpiewaniem? Biorę pieniądze za to, jak brałam za tamto, zawsze więc jestem wyrobnicą, na chleb pracującą, bo kto nie ma ani rodziców ani fortuny, rzecz prosta, że musi sam na siebie pracować, czy to mężczyzna, czy kobieta. Wierzaj mi pan — mówiła z uśmiechem radości — że jestem szczęśliwą, bardzo szczęśliwą w moim stanie. Nie doświadczam upokorzeń i pogardy, jak wiele sierot, zmuszonych mieszkać pod cudzym dachem. Jestem u siebie, jestem niezależną i Bóg mi dał to najwię-

ksze szczęście, żem pozyskała w panu przyjaciela... brata...

— Przyjaciela! brata!—zawołał Mieczysław z namiętnym zapalem.—To słabe wyrazy, o moja Tereniu... Ja cię kocham inaczej niż brat, niż przyjaciel! Ty będziesz moją, na zawsze, na wieki, moją żoną, moją kochanką, moim aniołem opiekuńczym i moim natchnieniem w świecie piękna idealnego.

Teresa, pod wpływem uczucia i tych słów czarownych, oparła głowę na piersiach Mieczysława, i cała łzami zalana, wyszeptwała:

— Kocham cię, Mieczysławie i będę kochała do śmierci. Ale proszę cię i zaklinam, nie krępuj się naprzód żadnem słowem, dopóki...

— Co dopóki?—zawołał Mieczysław, przyciskając swe usta do jasnego czoła kochanki.—Co jeszcze ma stać nam na przeszkodzie do połączenia się? Jakie względy? Przez Boga, czy jeszcze mam dłużej, jak ostatni nędznik, zostawiać cię na pastwę ludzkich języków?

— Mieczysławie — przerwała Teresa głosem spokojnym, acz pełnym uczucia — Boga biore na świadka, żem ani na chwilę nie zwątpiła o twoich poczciwych a szlachetnych zamiarach względem nieznaney ci sieroty; dusza moja przeczuła, odgadła, kiedym cię raz pierwszy ujrzała, że ty staniesz się słońcem wśród ciemnej drogi życia mego, że ciebie będę kochać, muszę kochać, choćbyś nawet nie odplacał mi równem uczuciem. Bóg mi dał więcej niż marzyłam, niż śmiałam zapragnąć: dał mi twoją miłość.

— To niedość!—przerwał z kolei Mieczysław.—
Byłoby bluźnierstwem, świętokradztwem, podłością,
gdybym jeszcze śmiał powtarzać, że cię Kocham,
a nie zaprowadził przed ołtarz, jak tego wymaga
prawo społeczne dla uczczenia kobiety. Dziś po-
wziąłem stanowczy zamiar powiedzieć wszystko ojcu
i natychmiast dać na zapowiedzi. Biorę konie po-
cztowe i zaraz jadę do Janopola, dziś jeszcze, na
całą noc.

— W szlachetnym twoim zapędzie, zapominasz,
drogi Mieczysławie, jakie cię przeciwności czekają.
Ojciec twój najzacniejszy ma być człowiek, ale to
pan, arystokrata; czy myślisz, że się zgodzi na to,
aby syn jego, jednak, żenił się z dziewczyną bez
fortuny, bez imienia, która nie zna nawet rodu swego
i pochodzenia? Bo trzeba ci wiedzieć, Mieczysławie—
mówiła Teresa, mocno pobladłszy — że nieboszczka
Baurowa nie była nawet moją ciotką. Niestety! wy-
znała mi to umierając, że jestem jej zupełnie obcą
i że ona wcale nie znała ani mojej matki, ani ojca.
Dano jej niemowlę na wychowanie i żywiono ją mu-
żną z obcej ręki. Ta ręka była wprawdzie szczodłą,
nie żałowała pieniędzy na moje wychowanie, ale
serce było zawsze twarde, zamknięte. Opiekując
się mną, nie chciano mię widzieć przez całe życie.
Dopiero traf zrządził, żem raz widziała tę moją
opiekunkę, od której nie mogłam wybłagać, by mi
powiedziała, kto była moja matka; wiem tylko tyle,
że matka moja umarła, wydając mnie na świat,
a ojciec podobno żyje... lecz ani wiedzieć o mnie
nie chce.

Mieczysław słuchał zdumiony, zboląły, tego prostego a szczerego opowiadania; nie śmiał sam zadawać żadnych pytań, by się nie wydały niedelikatną ciekawością. Głowę podparł na rękę i tonął w myślach.

Teresa nie wymieniła imienia swojej opiekunki. Mieczysław tę tajemniczą opiekunkę posądzał zapewne, że jest matką Teresy, która zmuszona z tem się taić dla przyczyn światowych, powiedziała córce, że jej matka umarła. Nie śmiał więc pytać córki o imię występnej matki, która ją odepchnęła od siebie.

Odkrycie tej tajemnicy bynajmniej nie zraziło uczuć szlachetnego młodzieńca; czuł wszelako dobrze, ile to wpłynie na usposobienie jego ojca. Na pojęcie za żonę sieroty ubogiej, można jeszcze było uzyskać zezwolenie pana Rudominy; ale powiedzieć: „Moja wybrana nie zna swoich rodziców, nie ma nazwiska, i jest zupełnie, jak dziecię z domu podrzutków“ — to ciężko.

Na tę myśl, krew uderzyła do skroni zrozpaczonego młodzieńca, a rozgorączkowany cały i jakby odpowiadając sam sobie, mówił półgłosem, poetyzując położenie rzeczy:

— Przekłęte społeczeństwo i cywilizacya, której moralne prawa są niczem więcej, jak cyrkularzami. Cnota, piękność, talenta, idą na pastwę ludzkiej głupoty, nie za swoje winy, ale za grzechy drugich. Jestże w tem prawda? Jestże sprawiedliwość? Dziś, gdyby sam anioł zstąpił na ziemię, zapytanoby go najprzód o metrykę i papiery legity-

macyjne. A myśl Boża, gdy się wcieli w ludzką istotę i przemieni w ideał, wnet ją poziome robaki zaczną toczyć, biorąc na żer dla siebie. O moja Tereniu! moja najdroższa Tereniu!—mówił, przyciskając do piersi drżącą sierotę—ja ciebie nie opuszczę nigdy, nigdy! Bodajby stanąć do walki z ojcem, z całym światem! Tyś mi teraz droższa, stokroć droższa! I oto składam ci przysięgę na imię Boga, na imię matki mojej, że albo ty będziesz moją żoną, albo żadna kobieta!

Teresa rzewnie płakała w cichości.

Nareszcie, gdy się oboje nieco uspokoili, Mieczysław odezwał się w te słowa:

— Nie taję przed tobą, moja najmilsza, że będę miał ciężką przeprawę z ojcem; ale liczę na jego serce, na jego rozum i jego tkliwe przywiązanie do mnie. Jest to człowiek niezwyczajny pod względem charakteru, prawości i delikatności uczuć; ale, niestety, zabardzo praktyczny i racjonalny. Zagłębiał się jego w filozofii, zwicznęło zupełnie w nim ideał poetyczny. Nie wierzy w miłość, jako warunek szczęścia na ziemi, ale uważa ją za chorobę młodości, za szal, lub coś podobnego. Mimo to wszystko, ja go przekonam; czuję, że będzie musiał nakoniec uwierzyć w prawdziwą miłość i da nam swoje błogosławieństwo.

Teraz jeszcze prosba do ciebie, mój aniele. Ja pojedę do Janopola i nie wiem, jak tam długo zabawię; lecz tu nie wrócę, dopóki nie zyskam zezwolenia ojca. Ty przez ten czas bądź spokojną, ufaj

mi, wierz tak, jak ja tobie ufam i wierzę. Chciałbym cię jeszcze o jedną rzecz prosić, ale lękam się, by cię nie obraziła; a więc z bolem serca milczę i polecam cię opiece Boga.

Terenia domyśliła się, że to rzecz szła o pieniądze, że Mieczysław, przez delikatność, nawet nie śmiał wymówić tego słowa; to ją ujęło równie, jak jego troskliwość i subtelna delikatność; rzekła więc z łagodnym uśmiechem z po za łez:

— Jeśli sądzisz, mój drogi, że mi brak pieniędzy, to się bardzo mylisz; patrz, ja umiem być oszczędną i gospodarną, mam kapitały w stoliku.

I to mówiąc, wyciągnęła szufladkę, w której było 15 rubli, tegoż dnia otrzymanych za szycie bielizny.

— A co? widzisz mój panie „bogaczu“ — mówiła dalej, przybierając ton żartobliwy, by rozweselić znękaną umysł kochanka—i ja nie jestem tak bardzo biedną. Jeszczebym panu mogła pożyczyć—na procent.

Mieczysław ucałował drobne rączki Tereni. Widok tych piętnastu papierków rozradował tak jego serce, jak jeszcze nigdy marne złoto nie wywarło na nim wrażenia. A przecież miał on zawsze tysiące w swoim pugilaresie.

O pieniądzach zatem nie było więcej mowy. Nastąpiło pożegnanie. Terenia okazała hart i moc nadspodziewaną; żegnała go z uśmiechem, bez łez, i dodawała mu otuchy. Lecz po jego wyjściu za to, siły ją opuściły i padła zemdlona.

Mieczysław miał stały zamiar pojechać na całą noc do Janopola, lecz na poczcie nie było koni. Wysłał faktorów, by mu wyszukali prywatnego furmana, ale ci, co chcieli jechać na całą noc, mieli tylko jednego konia; drudzy, co mieli parę, oświadczyli, że konie co tylko wróciły z drogi, że są zmęczone i dopiero jutro rano mogą się wynająć. Mieczysław więc nie wyjechał aż nazajutrz. Złośliwy traf tak rzecz urządził, że w drodze rozminął się z ojcem. Pan Rudomina tegoż dnia właśnie jechał do Grodna. Żydkowie jednak furmani nie jadą nigdy gościńcem; wybierają zawsze najkrótszą drogę. Więc karetą na saniach pana Rudominy rozminęła się z parokonnemi, odkrytymi sankami, któremi jechał Mieczysław.

Z porządku rzeczy, pan sędzia stanął, jak zawsze, u Mendlowej i wielce zdziwiony dowiedział się, że syn jego dziś rano pojechał do Janopola. Uprzejma pani Mendlowa witała uniżenie jaśnie pana Rudominę, rozpytywała się w pochwałach dla Mieczysława i uśmiechała się dowcipnie, mówiąc, że teraz w Grodnie wielki harmider, o niczem bowiem nie gadają tylko o panu Mieczysławie; wszystkim pannom „okrutnie“ się spodobał, a papy i mamy—mówiła pani Mendlowa, — toby go sobie rozerwali.

Pan Rudomina uśmiechał się na te pochwały i zapytał niby od niechcienia:

— No, to pani Mendlowa musi także wiedzieć, jaka panna w Grodnie najlepiej się podoba memu synowi?

— Co nie mam wiedzieć — odrzekła figlarnie gospodyni zajazdu — kiedy o tem wszyscy wiedzą doskonale. Czyby pan Mieczysław mieszkał u mnie, gdyby nie piękne oczy panny Baurówny?... Ha, ha, ha! U wielkich panów to tak zawsze — mówiła z poufałością. — Jestem nie wczorajsza, znam takie rzeczy. Co to szkodzi pobałamucić ładną dziewczynę, kiedy ona zakochana na śmierć...

— A cóż to za jedna ta panna Baurówna? — zapytał obojętnie pan sędzia. — Nieznane mi to nazwisko.

— A skąd jaśnie pan ma znać, kiedy to „mie-rna sobie panienska“. Ona daje lekcye grania i śpiewania po rozmaitych domach... Ale teraz podobno jej nie chcą!

Pan sędzia odął wzgardliwie usta, przymrużył oczy i rzekł poważnie:

— To źle ze strony Mieczysława, że durzy biedną dziewczynę; może to zaszkodzić jej reputacyi i pozbawić ją chleba.

— A od czego młodość i piękność? — mówiła pani Mendlowa. — Jak się ożeni, to wszystkiemu da pokój. Pan Oleś Haraburda to aż do Warszawy pojechał szukać sobie jakiej „nowej“, bo mu już mało w Grodnie.

— Jakto, Aleksander pojechał do Warszawy? Nic mi o tem nie wspominał pan Józef. Zapewne nie wie.

— Co niema wiedzieć, kiedy mu sam dał pieniądze na drogę, i do mnie list napisał, żebym mu dodała 100 rubli, które sam pan kapitan ma oddać? No, ja dałam, bo panu kapitanowi trudno odmówi

Pan Rudomina zamyslił się głęboko, a na czoło jego wyszły dwie bruzdy.

— Więc wszyscy przede mną robią sekreta— myślał w sobie.— Syn nie mówi w kim się kocha, przyjaciel robi tajemnicę, że syna swego wysłał do Warszawy. To bolesne.

Pani Mendłowa, widząc zły humor pana sędziego, wyszła z pokoju, a pan sędzia kazał zaprządz konie i pojechał do domu.

ROZDZIAŁ VIII.

Pan Rudomina zawzięty, ale zwyciężony.

Po przyjeździe do Janopola, pan sędzia był w najgorszym humorze; oddawna nie widziano go w takim usposobieniu. Był ponury, milczący, a złowroga chmura wisiała nad jego czołem. I dziwne: nikogo nie spytał o syna, czy jest, „lub kiedy przyjechał; nie przywołał go do siebie, lecz czekał, aż sam się ukaże. Chodził po salonie wielkimi krokami, co zdradzało jego niepokój wewnętrzny, i puszczzał ogromne kłęby dymu z cygara. Myślał o Mieczysławie i jego tajemniczym romansie z jakąś tam „mierną panienką“, podług wyrażenia Mendłowej;

to o panu Haraburdzie, dlaczego on, widując się z nim tyle razy, nie powiedział, że syna wyprawił do Warszawy; dlaczego pożyczył nędzne sto rubli u Żydówki, a nie u sąsiada i przyjaciela? To wszystko razem zakrawało także na jakąś tajemnicę. Więc on nie posiada ich zaufania i nie wie zupełnie, co się dzieje wokoło niego.

Łatwo sobie wyobrazić, że takie myśli i przypuszczenia wprowadzić mogą w stan irytacji najspokojniejsze usposobienie.

W takim usposobieniu Mieczysław zastał ojca. Pan Rudomina, spostrzegłszy go wchodzącego, starał się zmienić wyraz twarzy, a przybierając uśmiech łagodny, odezwał się pierwszy na powitanie:

— A! jak się masz Mieczysławie; dziwnieśmy się rozminęli w drodze. Nie chciałbym, abyśmy się tak często „rozmijali“, bo w końcu możemy nie znaleźć jeden drugiego.

Pan sędzia mówił to z tak wyraźną intencją, że Mieczysław zrozumiał złośliwą aluzję i odrzekł, całując ojca w ramię, jak to było jego zwyczajem:

— Ja tam ojca zawsze znajdę, bo wiem drogę do niego. Ale kochany ojciec to może nieraz będzie zmuszony mnie szukać po rozstajnych drogach.

Ten żart w taką chwilę nie podobał się wyraźnie panu Rudominie, choć kiedyindziej rozśmiałby się z niego; odparł więc sucho a dobitnie:

— Widzę to, niestety, może zapóźno, że będę zmuszony szukać ciebie po rozstajnych drogach; ale i ty, co tak twierdzisz z pewnością, że wiesz do mnie drogę, możesz się także omylić.

Mieczysław zrozumiał, że ojciec w Grodnie został o wszystkim zawiadomiony; nie było więc potrzeby ani się cofać, ani wahać z wyznaniem; żelazo było gorące, trzeba więc je kuć silnie. Odezwał się przeto z determinacją człowieka-żołnierza, co idzie zdobyć groźną redutę:

— Wiem to i dobrze pamiętam z mądrych rad i nauk kochanego papy, tak pisanych, jak ustnych, że droga dla syna najprostsza przez serce ojcowskie; ta więc droga mnie nie zmyli i zawsze trafię do celu.

Pan Rudomina spojrział na syna i odrzekł z ironią:

— Zdaje mi się, że o tej drodze zupełnie zapomniałeś i szukasz krętych manowców, ciemnych ścieżek. Ale przestańmy bawić się w dwuznaczniki — dodał, zatrzymując się na środku salonu. — Mówmy szczerze. Od pewnego czasu masz przede mną tajemnicę, o której i wróble na dachu już wiedzą, oprócz jednego ojca. Dowiedziałem się jednak od ludzi, że bałamucisz jakąś pannę, dającą lekcje muzyki. Wybryki młodości są dozwolone w pewnych granicach, nie przeczę temu i nie potępiam ich surowo; wszelako w twojej pozycji „narzeczonego“ panny de la Prémonières, tak głośnie bałamuctwo z jakąś tam nauczycielką zakrawa trochę na skandal. To mi się nie podoba, mówię ci jasno i otwarcie, a zarazem wymagam i proszę, abys tym idylom położył już koniec.

Słowa i ton pana Rudominy były twarde i stanowcze; Mieczysław, nie przerywając, wysłuchał go do końca, nareszcie rzekł z równą stanowczością:

— Nie zaprzeczam, iż popełniłem wielki błąd, ostaniając przed ojcem tajemnicą moją miłość; lecz to milczenie pochodziło jedynie z obawy, by nie zrobić ojcu przykrości wyznaniem, że moje projektowane małżeństwo z panną Prémonières nigdy nastąpić nie może. Ja tej osoby nie kocham i czuję, że z nią nie byłbym szczęśliwy. Długo byłem posłuszny woli papy i pomimo mojej zupełnej obojętności dla panny Maryi, miałem zamiar dogodzić chęciom kochanego ojca, ożenić się z nią, chociaż jej wcale o tem nie mówiłem; a to postanowienie biernego posłuszeństwa trwało dopóty, dopóki serce nie upomniało się we mnie o swoje prawa. Dziś, wyznaję z boleścią, że nie mogę w tej mierze być posłuszny; kocham inną i z tą się tylko mogę ożenić, którą kocham.

Pan Rudomina blady, z drżącymi ustami, zdawał się zadawać sobie gwałt, by nie wybuchnąć. Oczy jego, przyćmione szklami, płonęły gniewem, dumą i wyrazem ironii, tej znanej już nam ironii, która była w naturze pana Rudominy i tylko poskromiona rozumem, w rzadkich wypadkach objawiała się na zewnątrz. Milczał przez chwilę, mierzając oczyma mówiącego, nareszcie odezwał się w te słowa:

— Dobrze i to, że mi otwarcie wypowiedziałeś, jaką obrałeś drogę do mego serca; wiem teraz, że to jest: nieposłuszeństwo, lekceważenie woli ojcowskiej, jawne poniewieranie jego opinii i zasad. Ha! na to niema środka jak ustąpić, walki prowadzić z tobą nie będę, bom już na to za stary. Jesteś pełnoletni i możesz zrobić, co ci się podoba; przede

mną już grób otwarty, a stamtąd już głos mój nie dojdzie z żadną wymówką do ciebie.

— Ojciec mój! — zawołał ze łzami w oczach Mieczysław, którego te słowa uderzyły w serce, jak ciężkie kamienie.—Na Boga, nie mów tak do mnie! Wolę twój gniew najsroższy, niż tak zimne obejście się... Czy moja wina tak wielka, żem pokochał piękną, rozumną i tak szlachetną kobietę, jak Teresa? Cóż ona winna, że jest biedną i sierotą, kiedy bogactwo jej duszy^o przenosi wszelkie skarby ziemskie? Poznaj ją tylko, drogi ojciec—mówił Mieczysław, padając na kolana—a sam uznasz, że szczęśliwszego wyboru twój syn nie mógł zrobić.

Pan sędzia cofnął się trochę od klęczącego Mieczysława i choć na widok tak upokorzonego syna uderzyło mu litością serce, nie pokazał jednak tego po sobie, odrzekł suchym tonem:

— Mieczysławie, po co ta sceniczna postawa? To może być piękne w poezyi, ale nie w rzeczywistości. Mówmy, jak ludzie, ale nie jak bohaterowie z melodramy.

Na te słowa pełne ironii, zerwał się Mieczysław, oczy mu się zaiskrzyły i na policzki wystąpił jaskrawy rumieniec.

— Ukląknę przed ojcem! — zawołał z dziwną mocą i godnością. — Na rozkaz sędziego powstaję, a teraz będę rozmawiał z człowiekiem.

Z kolei pan Rudomina zachwiał się w swojej zawziętości. Mieczysław był tak^o piękny w tej chwili, taka prawda duchowa, taka szlachetność opromieniała jego oblicze, w oczach miał taki wyraz ideal-

nej determinacji, jaką daje tylko wielka a czysta miłość, że pan Rudomina, lękając się, by go nie zwyciężyła „poezya“, uciekł się do najpowszedniejszej „prozy“ i odezwał się z uśmiechem sarkastycznym:

— A więc jako ojciec, człowiek i sędzia, zapytuję, jak się nazywa ta panna Teresa, której zaledwie imię wymieniłeś, czem byli jej rodzice i kto ją rodzi?

Pod wpływem tych wyrazów, Mieczysław nagle ochłonął, ostygł, spojrzął na ojca wzrokiem, w którym nie gniew, nie ironia, ale wyraźne było zwątpienie w „doskonałość ojcowską“.

Mądry pan Rudomina snać ten wzrok zrozumiał, bo spuścił swoje oczy, a na twarzy jego ukazał się lekki, różowy rumieniec. Pan sędzia wolałby stracić cały majątek, niż wiarę syna w swoją osobistość.

Mieczysław, uspokojony, jak się zdawało na pozór, odpowiedział zimno, ale prawdę ostateczną:

— Nie wiem, czem byli jej rodzice; matka bowiem umarła wydając ją na świat, a ojca nigdy nie widziała, chociaż mówiono jej, że żyje. Kto ją rodzi i czem się ona pieczętuje, nie mogę objaśnić papę, gdyż ona sama tego nie wie. Jakaś obca osoba opiekowała się nią przez całe życie, w tajemnicy największej, bo nawet jej nie widywała; po urodzeniu oddano dziecię w ręce jakiejś poczciwej kobiety, Baurowej, ta dała jej swoje nazwisko i kazała się nazywać ciotką. Lecz umierając wyznała, że Teresa jest dla niej obcą. Oto wszystko,

co wiem z jej ust, i mogę ojcu przysiąc honorem, że to jest prawda, gdyż jej usta nigdy nie splamiły się kłamstwem.

— Więc to dziecię miłości!—zawołał pan Rudomina, nie mogąc pohamować swego oburzenia.— Więc to prawdziwy romans, sielanka, bajronizm! I ty Mieczysławie — mówił, zbliżając się do syna— ty jedyny potomek uczciwej, szlacheckiej rodziny, chcesz się ożenić z kobietą bez rodu, bez nazwiska? Nie! to przechodzi granice zdrowego rozumu!

I pan sędzia desperacko załamał ręce. Wielka bolesć malowała się na jego twarzy.

Mieczysław milczał. Pan sędzia naradzał się z sobą, co ma mówić, jak przekonać syna i odwrócić go od szalonego zamiaru. Myślał długo, nareszcie odezwał się w ten sens:

— To, o co się lękałem przez życie całe dla ciebie, o co najbardziej drżałem myślą i sercem, to mnie właśnie uderzyło, jak grom. Jesteś poetą, marzycielem, istotą fantastyczną, szukającą ideałów... Mieczysławie, drogi mój synu, wierzej doświadczonemu ojcu, że nie znajdziesz ich na ziemi, bo ideały są tylko w idei, ale nie w rzeczywistości. Nie myśl, że ja nigdy w życiu nie doznałem tego oczadzenia umysłowego, co się nazywa egzaltacją. Po śmierci twojej świętej matki, zakochałem się w pięknej i poetycznej kobiecie; jej urok tak dalece działał na mnie, że była chwila, w której byłem blizki powtórnego ożenienia się. Lecz pamięć na ciebie, miłość dla ciebie, która była większą niż miłość dla kobiety, wstrzymały moje zamiary i z bó-

lem, ale z rezygnacją, poświęciłem moje marzenia, o szczęściu dla świętego obowiązku ojca. Nie mówię ci, Mieczysławie, o tem dlatego, aby obudzić w twojem sercu jakąś wdzięczność dla siebie: to był obowiązek ojca i prawo natury. Daję ci tylko przykład, że mimo to byłem szczęśliwy całe życie i nie żałowałem nigdy, że się powtórnie nie ożenił, bo ta miłość była tylko poetyczną fantazją, marzeniem, niczem więcej.

— Tak — odrzekł Mieczysław, bynajmniej nie przekonany — bo drogi ojciec był już raz żonaty i kochał szczerze moją matkę; jej pamięć przeto rywalizowała z nową miłością. Powtóre, jak papa sam mówi, ta miłość była fantazją, marzeniem, nie była więc istotą jego ducha, tylko mrzonką wyobraźni. Różnica przeto wielka między nami. Ja kocham rzeczywiście, z całym uznaniem i wiedzą, co kocham, a ojciec, większy ideolog ode mnie — dodał z uśmiechem — był tylko oczarowany wdziękami pani margrabiny.

— Więc ty wiesz o tem? — zawołał, zapominając się, pan Rudomina. — Któż ci to powiedział?

— Ona sama — odrzekł syn, rad, że obudził stronę uczuciową pamiętek w sercu ojca. — Ona, która dotąd kocha papę i nie mogąc sama nazywać się panią Rudominową, chce, żeby jej córka nosiła to nazwisko. Ale powiedz sam, drogi ojcze — ciągnął dalej Mieczysław — czy to nie prawdziwy feudalizm względem dzieci, zmuszać ich do połączenia się na całe życie, kiedy ich serca są dalekie od siebie? Ja panny Prémonières nie kocham, ona nie

kocha mnie, choć udaje, bo jej naturą jest udawanie. Ta istota nikogo na świecie nie może kochać prócz siebie; próżność paryska wzrosła w niej do kolosalnych rozmiarów. Ona nie ma żadnych uczuć ani dla kraju, ani dla rodziny; to-kosmopolitka, która wdziękiem swoim kokietuje i pragnie podobać się wszystkim. Stroje, zabawy, hołdy, to jej bożyszczą. Osądź sam, drogi ojcze, czy to żona dla mnie, czy to córka dla ciebie, czy to będzie matka twoich wnuków. Przypuszczam, że ulegając twojej woli, z nią się ożenię i zatruję sobie życie całe. Czyż ty, mój dobry, szlachetny ojcze, będziesz mógł być szczęśliwym patrząc, że sam własną ręką potargałeś szczęście twojego syna? Gorycz zatruje życie nam obu. I dlaczego? Oto dlatego, że przeznaczyłeś mi żonę, którąś znał czteroletnią, a matka jej kiedyś, jak sam mówisz ojcze, potrafiła oczadzić wdziękami twój silny umysł. Czyż to będzie logicznie?

Pan Rudomina, wzięty w taką matnię rozumowania synowskiego, nie wiedział, jak się z niej wydobyć. Pobity własną bronią, odezwał się niby przekonany:

— To, co mi mówisz o panie Prémonières, jest dla mnie zupełną nowością. Nie wiedziałem, że to osoba tak próżna i tak zdudzoziemcząca; zresztą, jeśli oboje nie macie do siebie sympatyj, to ja nie myślę być wcale ojcem tyranem z komedyi i przymuszać ciebie do żenienia się z nią. Ale też odmawiam ci stanowczo mego zezwolenia i mego błogosławieństwa, jeżeli zechcesz popełnić szaleństwo, żeniąc się z tą jejmościanką niewiomego rodu.

— Ojcie drogi — zawołał Mieczysław z uczuciem—nie pogardzaj istotą, której nie znasz; poznaj ją, a sam ocenisz, co warta.

— Jakto, więc chcesz, abym sam do niej pojechał i złożył jej moje uszanowanie?

Mieczysław pochwycił rękę ojca i przyciskając ją do ust, rzekł pieszczotliwie:

— Drogi papeczko, cóżby to szkodziło, gdybyś oddał hołd należny cnocie, piękności i szlachetnemu ubóstwu? To godne człowieka, godne męża, godne Rudominy.

Pan Rudomina opierał się jeszcze, ale już słabo; miękł widocznie i tylko powtarzał machinalnie:

— O, co z tego, to nic nie będzie...

Mieczysław już nie napierał więcej na ojca, nie przekonywał go i nie prosił; czuł, że pan Rudomina zwyciężony jest wewnątrz i tylko zewnątrz jeszcze zawzięty. Pełen przeto otuchy i dobrej nadziei, zostawił resztę czasowi. Przerwał więc rozmowę o sobie i o swoim „ideale“, a zaczął mówić o czem innym.

Wybór rozmowy był trudny. Czem tu zająć ojca, by rozpoznać jego umysł i zatrzeć niemiłe wrażenia poprzedniej rozmowy? Wziął więc przedmiot na chybił trafił i zaczął mówić o Aleksandrze, dziwiąc się, że go ani tutaj, ani w Grodnie nie widział.

Są dni fatalne, w których wszystko idzie wstecz lub krzywo. Najzwyczajniejsza rozmowa kończy się kłótnią, a najlepsza intencja bywa poczytaną

za złe. Zaledwie wspomniał o Aleksandrze, pan Rudomina ofuknął z gniewem:

— Ja się nie mieszam w cudze sprawy i wcale mię nie obchodzi, co pan Haraburda i syn jego robią. Tam są także jakieś tajemnice, sekreta, a gdzie tylko jest sekret, tam pewno albo głupstwo, albo podłość.

Mieczysław rozśmiał się i rzekł poufnie:

— Pan kapitan jest tak poczciwy i naiwny, że sekretów robić nie potrafi; ale kochany papo jest dziś w złym humorze i wszystko widzi na czarno. Aleksander zaś jest tak doskonale głupi, że sam się zdradzi wpierw, nim go o co posądza. Jakież więc u nich mogą być sekreta?

— To nie wiesz chyba — odparł pan sędzia, patrząc na syna—że pan Haraburda wyprawił syna do Warszawy już od dwóch tygodni; mimo to ani słowa mi nie wspomniał. Mendlowa mi mówiła, że kazał jeszcze pożyczyć synowi sto rubli na swoje imię, a do mnie się nie udał o taką bagatelkę. Widzisz więc, że to jakaś tajemnica, do której mnie przypuścić nie uznali za godnego.

Mieczysław wzruszył ramionami i chciał coś odpowiedzieć, gdy w tej chwili otworzyły się drzwi salonu i pan Haraburda stanął sam przed nimi. Na twarzy jego była tak wyraźna troska, niepokój i zmartwienie, że poczciwe serce Mieczysława wzruszyło się szczerą litością i rzekł z prawdziwym współczuciem:

— Cóżto jest szanownemu panu kapitanowi, że tak jakoś kwaśną ma minę?

— Co mi jest?—mruknął pan kapitan, siadając zasapany na krzesło. — Do milion fur beczek, same kłamstwa, same podłości, same tajemnice na świecie! To istna Sodomia i Gomora, co się dzieje wokół nas! Nie rozumiem, jak Bóg nie zaleje ogniem siarczystym tych wszystkich fałszerzy, złodziej, co ludziom kradną dzieci i podsuwają im inne na ich miejsce.

Pan Rudomina z synem zamienili spojrzenia, co miało znaczyć: „Biedak pijany i plecie Bóg wie co“.

— Ależ kochany sąsiedzie — odezwał się pan Rudomina—kto komu ukraść dziecko? Mów jaśniej. Czyżby syna twego ukradziono w Warszawie i zamieniono na innego?

— Nie drwij z cudzego nieszczęścia, panie Jacku!—zawołał drżącym głosem pan Haraburda — bo jak mi Bóg miły, powiem żeś Jezuita i Hipokraty!

— To wszystko być może — odparł z uśmiechem pan Rudomina — ale i wy, panie Józefie, bawicie się w jezuityzm; nie powiedzieliście nawet, dlaczego syna wyprawiliście do Warszawy. I przykro mi było dowiedzieć się dopiero w Grodnie o tem, co się dzieje w mojem sąsiedztwie.

— Ba! głupstwom zrobił, że ci odrazu nie powiedziałem całej prawdy, panie Jacku; ale ten niepoń, ten Aleksander, bodaj go... Wmówił mi, że dla wyjaśnienia zbrodni panny Maszadro potrzeba jak najdłużej zachować tajemnicę przed ludźmi. Ja usłuchałem i przekonałem się, że mię ten łajdak

oszukał. Wziął pieniądze, pojechał do Warszawy za Emeliną, a to wszystko nieprawda, kłamstwo, oszustwo!...

Z tej plątaniny nic a nic nie mogli zrozumieć panowie Rudominowie. Sądzili tylko, że pan kapitan ma gorączkę.

— Do kroćset!—zawołał pan Haraburda—spoglądacie na mnie oba, jakbyście przed sobą mieli pijanego lub waryata! Otóż mądrzy z was ludzie, a nie odgadujecie tego, że człowiek, co ma wielką boleść na sercu, jest nią pijany i dlatego trudno go zrozumieć.

Biedny starzec zakrył oczy dłonią i zaczął łkać, jak dziecko.

Ojciec i syn wzruszeni byli widocznie, ale nie wiedzieli, co mówić i jak pocieszać, nie znając przyczyny tak głębokiego żalu pana Haraburdy. Czekali więc w milczeniu, co dalej powie.

Nareszcie pan Haraburda wyprostował się w krześle, otarł oczy, podniósł głowę i zaczął mówić nadspodziewanie logicznie:

— Słuchajcie mię obaj uważnie, a powiem wam rzecz dziwną, niesłychaną na świecie... Ty, panie Jacku, znasz mnie od dzieciństwa i wiesz, żem nikomu przez życie całe nie zrobił krzywdy, chyba mimo woli i chęci. A nade mną ludzie dokonali strasznej zbrodni, o której, jak głupiec ostatni, przez lat dwadzieścia kilka nie wiedziałem... I oto dziś widzicie przed sobą starca opuszczonego, oszukanego, sierotę z białymi włosami, kalekę, któremu wydarto jedyną życia pociechę, to jest jego własną córkę!

— Co mówisz, panie [Józefie? — zawołał, zrywając się pan Rudomina, ujmując rękę przyjaciela.— Jakto, pani Haraburdowa...

— Tak, żona moja miała córkę—przerwał pan kapitan — a ten łotr Aleksander, to nie moje dziecko, to pomiot ekonomiczny.

— Panie Józefie! na miłość Boską, panie Józefie, nie spotwarzajże prochów zmarłej! Twoja żona była uczciwa, zacna kobieta! Jak możesz...

— A któż tu mówi, do kroćset! że moja żona była nieuczciwa, lub niewierna? To był prawdziwy anioł, którego Bóg zabrał do siebie, bo ja jej nie byłem godzien... To ta przeklęta czarownica z piekła rodem, ta panna Maszadro, popełniła tę zbrodnię.

— Więc to syn panny Maszadro? — zawołał zdumiony Mieczysław.—Gdzież więc jest córka pana?

— Ba! otóż to, że niewiadomo, gdzie jest i co z nią zbrodniarze zrobili. Ale Aleksander nie jest wcale synem panny Maszadro, bo gdzieżby ta spróchniała wierzba mogła mieć dziecko! To syn mamki Nastusi i Juliana Szabrańskiego.

I tu począł detalicznie pan Haraburda opowiadać, jak wysłuchał całą rozmowę umierającej Nastusi z synem, jak w pierwszej chwili chciał go wypędzić z domu, jak potem Aleksander chciał się powiesić z rozpacz, jak mu się rzucił do nóg, jak przysięgał, że się poprawi, jak nareszcie obiecał wyszukać ukradzioną dziewczynę, której następnie miał być bratem, gdyż pan Haraburda, jak mówił, nie chciał poniewierać chłopcem, którego od urodzenia uważał za syna.

— Poczciwy, zacny panie Józefie!—rzekł pan Rudomina mocno wzruszony — zawsze i wszędzie twoje dobre, szlachetne serce jest ofiarą nikkczemych. To fatalna historia! I dziwić się tylko trzeba wytrwałości w zemście panny Maszadro, że przez tyle lat tajemnica się nie wydała.

— Lecz za co ta piekielnica tak się mści na mnie?!—zawołał naiwny pan Haraburda.—Co ja jej zrobiłem złego? Przecież kiedyś udawała, że się kocha we mnie...

— Toż właśnie za tę miłość tak cię nienawidzi—odrzekł pan sędzia.—Ożeniłeś się z jej siostrzenicą, kiedy ona pragnęła być panią Haraburdową.

— Ha! dyabli ją wiedzieli, że to taka mściwa baba! Przecież sama się zgodziła wydać za mnie Zuzię i udawała taką dobrą, przychylną!

Mieczysław, pogrążony dotąd w głębokiem zamyśleniu i przez cały czas opowiadania milczący, zapytał nareszcie rozrzewnionym głosem:

— I cóż kochany panie, czy Aleksander znalazł w Warszawie jaką poszlakę ukradzionego dziecka?

— To druga znowu historia—odparł pan Haraburda, targając się za wąsy. — Ten łotr okłamał mnie bezczelnie, jak się zaraz o tem dowiecie. Po jego wyjeździe, czekałem cierpliwie tydzień, dwa tygodnie; nareszcie, nie mając żadnego listu z Warszawy, postanowiłem sam działać i ze swojej strony poszukiwać ukradzonej córki. Pojechałem więc do Grodna, do owego jegomościa Sypełka, o którym Nastusia wspominała, że był współnikiem panny Maszadro. W Grodnie, od poczciwej Mendlowej do-

wiedziałem się, co to za zacz! Że to jest plenipotent, powiernik tej sekutnicy, a w dodatku lichwiarz, złodziej, bez czci, bez wiary. Kazałem go prosić do siebie i przysięgam na honor, że nie robiąc żadnych furyj ani odgrózek, opowiedziałem mu, że już wiem wszystko i żądałem, by mi powtórzył to, co mówił Aleksandrowi o Emelinie Maszadro. Ten niedowiarzek zaczął się śmiać na całe gardło i odrzekł, że Aleksander ma spryt prawdziwie ojcowski, to jest tego gałgana Szabrańskiego. Nie zapierał się, iż wie o tem, że on jest jego synem, że mi ukradziono córkę; ale kłął się na Boga, że wcale nie mówił Aleksandrowi, iż ona się znajduje w Warszawie i nazywa się Emelina. Dowiódł mi jasno, że Aleksander mię obelgał, jedynie dla wyłudzenia kilkuset rubli, by je przepuścić w Warszawie. Ot co jest!

— No, ależ ten Sypełek—zawołał Mieczysław— musi wiedzieć przecie, co zrobiono z pańską córką? Trzeba mu było zagrozić pistoletem, toby powiedział prawdę. Łotry zwykle są tchórze, to rzecz dowiedziona.

— Bał zagrozić pistoletem! to łatwo, ale trzeba go wpierw mieć w ręku, a ja nic nie miałem oprócz mojego kija... A powtóre on się zaprzysiągł, że nic nie wie, że to przed nim także tajemnica i że on tylko, jako doktor, był wezwany przez pannę Maszadro do zaszczepienia ospy nowonarodzonej dziecinie.

— A skądże wie o zamianie dzieci? — zapytał pan Rudomina. — Czy także jako doktor odgadł tajemnicę.

— Właśnie go o to pytałem—odrzekł pan Haraburda—lecz on mi powiedział, że dowiedział się o tem od Nastusi, do której był przywołany jako lekarz. Ona go upewniała, że miała syna, a pani Haraburdowa córkę; że panna Maszadro miała zamienić nowonarodzone dzieci i że on, jako uczciwy człowiek, chciał mnie natychmiast o tem zawiadomić, lecz lękając się procesu kryminalnego z tak możną panią, milczał, nie dowierzając słowom Nastusi.

— Ale to infamis, kłamca, oszust! — zawołał Mieczysław. — Cała jego nieogiczność mowy pokazuje, że był współnikiem panny Maszadro. Zresztą samo to, że od tylu lat jest jej powiernikiem i służalcem, udowadnia, że są złączeni tajemnicą zbrodni.

— On inaczej dowodzi — odparł prostoduszny pan Haraburda.—Utrzymuje mianowicie, że on jest tylko honorowym plenipotentem panny Maszadro; że nie bierze od niej ani grosza za swoje usługi, tylko mając litość nad opuszczoną, starą kobietą, którą wszyscy okradają, podjął się ciężkiego obowiązku bronienia starej panny od krzywdy ludzkiej. I wyznał mi nawet otwarcie, że ta sekutnica jest tak skąpa, że mu kilku rubli nie chce pożyczyć w potrzebie, a co okropniejsza, nie zapłaciła mu nawet za szczepienie ospy mojej córki!

— Więc ty może, panie Józefie, zapłaciłeś za to?—zagadnął pan Rudomina, uśmiechając się złośliwie.

— A naturalnie—potaknął sumienny pan kapitan.—rzuciłem mu papierek pięćdziesięciurublowy

i rzekłem:—Na, masz acan za swoją fatygę doktor-
ską, nie czekaj przed ludźmi, żeś darmo wakcy-
nował córkę Haraburdów. — On porwał pieniądze,
ukłonił mi się aż do samej ziemi, a choć łotr wie-
rutny, powiedział piękne słowo:—Jakto znać zaraz
wspaniałego ojca! Głos krwi nigdy nie myli.

— Ależ, panie Józefie, panie Józefie!—odezwał
się pan sędzia mocno oburzony—dopókiż będziesz
dzieckiem i pozwolisz się łąpać na słowa, jak muchy
na miód? Ten Sypełek to złodziej, oszust ostatniej
klasy i ty mu jeszcze zapłaciłeś za drwiny z siebie!
Na honor, takiego egzemplarza, jak ty, chyba niema
drugiego na świecie.

Mieczysław, który znowu z innej strony widział
ten postępek, rzucił się na szyję pana Haraburdy
i zawołał, ściskając go serdecznie:

— Niech sobie papa potępia pana kapitana za
jego niewinność dziecięcą, ale gotów jestem przy-
siądz, że takiego drugiego serca, chyba także niema
na świecie.

Nareszcie zaczęto radzić, obmyślać, jakiego
użyć środka, by się dowiedzieć, gdzie jest owa ukra-
dziona dziewczeczka. Pan Haraburda głosował, że
trzeba przekupić Sypełka; że on tak lubi pieniądze,
iż za nie zdradzi Pana Boga, nietylko pannę Ma-
szadro.

— A więc i nas zdradzi — zauważył pan Ru-
domina— weźmie pieniądze i prawdy nie powie.

Mieczysław twierdził, że najlepiej będzie udać
się pod opiekę prawa i zawezwać policję do wysle-
dzenia tajemnicy.

Lecz i temu wnioskowi oparł się pan Rudomina, dowodząc, że intryga, co trwa lat tyle, musi być silnie zorganizowana i że zapewne wielu ludzi wchodzi do tej tajemnicy. Pieniądze grają tu najważniejszą rolę, a zatem wykrycie tajemnicy sposobem zwyczajnym nie jest możebne. Nareszcie tak zakonkludował:

— Ty, panie Józefie, przez jakiś czas siedź cicho i w nic się nie wtrącaj. Ja sam pojedę do panny Maszadro, poznam tę osobliwą istotę i będę wiedział, z jakiej strony uderzyć w jej najsłabszą stronę. Bo każdy człowiek ma swoje słabe strony; trzeba umieć tylko je poznać i wiedzieć, jak trafić do tych tajników.

Pan Haraburda, uszczęśliwiony, ściskał, całował przyjaciela, i poprzysięgał mu wdzięczność do śmierci. Mieczysław także wieszował ojcu szczęśliwej myśli i rad był niezmiernie, że ojciec bierze czynny udział w tej nieszczęśliwej sprawie.

ROZDZIAŁ IX.

Niespodzianka ogólna.—Testament p. Maszadro.

Pan Rudomina robił z siebie wielkie poświęcenie na rzecz pana Haraburdy. Z natury swego charakteru i systemu życia, nie lubił mieszać się w cudze sprawy, tembardziej tak ciemne, zawile, a nawet zbrodnicze; lecz tym razem zrobił wyjątek i sam się oświadczył z pośrednictwem, co wyraźnie okazywało wielką życzliwość dla pana kapitana.

Pan sędzia pamiętał dobrze obietnicę swoją, uczynioną przed kilkudziesięciu laty dawniejszemu „wrogowi“, że odtąd będzie mu bratem, przyjacielem, doradcą. I rzeczywiście przez lat dwadzieścia kilka obaj dotrzymywali wiernie swego słowa: pan Rudomina opiekował się, rzec można, panem Józefem, a pan Józef kochał go, słuchał i bał się, jak prawdziwe dziecko! Miałoby się dziś cofnąć pan sędzia i uchylić, kiedy najważniejsza sprawa w życiu pana Haraburdy ważyła się w cieniach tajemnic? Trzeba było mądrości do pochwylenia wątku, a pan Rudomina, nie wątpiąc, że ją posiada, nie krył pod korcem swojego światła i oświadczył głośno:

— Ja jeden zgłębić zdołam tę tajemnicę!

Zapomniał, co mędrzec Pański w swej „Pieśni Królewskiej“ powiedział: „O mądrości ludzka, jakże trudno polegać na tobie“.

Pan sędzia, który prawie tylko ze słyszenia znał pannę Maszadro, a kiedyś, przed laty, widział ją raz w życiu, przemyślał długo a mozolnie—jaki dać obrót swej misyi, od czego zacząć rozmowę, jakiej użyć dyplomacyi, by Morowa?Dziewica poczuła się zwyciężoną i jeśli nie całą prawdę, to choć pół prawdy wyznała? Z tych medytacyj wynikło, że wypada najprzod poznać się z panem Sypełkiem, wyrozumieć z każdej strony przedajną figurę i mając już pewne dane, pojechać do Maszadrowa. W tym celu pan sędzia, po kilku dniach, spędzonych na układaniu mądrych planów, co mówiąc nawiasem, wielce niecierpliwiło szparkiego pana

Haraburdę, wyjechał poczwórną kareta do Grodna, a stamtąd miał się udać do panny Maszadro.

Przez te dni kilka Mieczysław rzadko widywał ojca, a będąc sam strapiony sercowo, najwięcej czasu przepędzał w Antopolu, już to pocieszając pana Haraburdę, już to pocieszając sam siebie, opowiadając mu o swojej miłości, o wdziękach Tereni, jej rzadkich przymiotach serca i rozumu, nadto o jej artyzmie muzycznym.

— Wielki mi żal ciebie, mój drogi chłopcze— mówił zawsze czuły na miłosne sprawy pan kapitan— ale z tego chyba nic nie będzie. Ja znam dobrze pana Jacka; ma on wiele rozumu i serca, ale nie pozwoli synowi żenić się z ubogą dziewczyną i do tego jakąś Niemką.

— Ale ja chcę tylko, żeby ją poznał!— powtórzył Mieczysław ze smutkiem. — Jestem pewien, iż ojciec, który mię tak kocha, sam uzna, że tylko z tą kobietą mogę być szczęśliwy.

Pan Haraburda palił fajkę, kiwał głową i konkludował rzecz w ten sens:

— Inaczej młody, a inaczej stary patrzy na wdzięki kobiety. Ja temu nie przeczę, że ta twoja panna Baurówna może być bardzo piękna, mądra i cnotliwa; ale zawsze to, pozwól sobie powiedzieć, niskiego rodu osoba, a Rudominowie przecież nie wypadli sroce z pod ogona, jak i Haraburdy. Ot pomyśl tylko, że jak Bóg pozwoli, a odnajdzie się moja jedynaczka, to właśnie dla ciebie żona! Cóż ty na to, panie Mieczysławie!

— Ależ zmiłuj się pan — wołał Mieczysław napół ze śmiechem, napół seryo — jak mi pan możesz proponować coś podobnego, słysząc, że kocham inną?

— Ba! ba! — upierał się niezderutowany pan Haraburda — albo się to ja w jednej kochałem, a ożeniłem się z taką, z którą wcale romansu nie prowadziłem. Ta piękna, ta jeszcze piękniejsza!... a jak ujrzysz moją córkę, to dopiero sam powiesz, że się ani umywała do niej panna Baurówna. Na honor, jestem tego pewny.

Na takie konsolacje nic już nie odpowiadał Mieczysław i myślał tylko w duchu, że przekonać starych o prawdziwej miłości bardzo jest trudno.

Pan Rudomina, przyjechawszy do Grodna i stanąwszy, jak zwykle, u pani Mendlowej, kazał natychmiast przez faktora przywołać do siebie pana geometrę Sypełka. Pan Sypełek, który wiedział to, co i wszyscy w Grodnie, o miłości młodego Rudominy dla pięknej Tereni, nie zdziwił się bynajmniej, że go pan sędzia przywołał do siebie.

— Ha! — myślał sobie — może to być dla mnie dobra gratka! Zapewne ojciec nie może sobie dać rady z synalkiem, chce więc mnie użyć za pośrednika w tej sprawie. A teraz właśnie mogę upiec pieczeń przy cudzym ogniu, kiedy panna drapnęła z Grodna. Na to noszę głowę na karku, by w mętnej wodzie umieć złapać rybę.

Z tą filozoficzną maksymą, zjawił się pan Sypełek wystrojony świątecznie przed panem Rudominą. Oddawszy uniżony ukłon, i zarekomendowawszy się jaśnie wielmożnemu panu, nie czekając odezwę pana Rudominy, sam zaczął:

— Wielki to dla mnie zaszczyt i honor, że jaśnie wielmożny pan marszałek raczył przywołać do siebie swego uniżonego sługę i podnóżka, a tem samem usunął moją nieśmiałość, gdyż ja oto właśnie wybierałem się do jaśnie [pana w interesie bardzo delikatnym.

Pan sędzia patrzył z pewnem zdumieniem na mówiącego, a gdy ten skończył, odparł sucho:

— Pan do mnie masz interes?... To mnie dziwi.

— A jednak... wszelakoż... — mówił, mrugając jednym okiem, plenipotent—i jaśnie pan marszałek musi mieć do mnie jakiś interesik, skoro raczył...

— Ja? — przerwał z pewną dumą pan Rudomina.—Ja do pana nie mam żadnego osobistego interesu; mam tylko zadać panu pewne pytanie, ale to później. Chciej mi pani mówić teraz o swoim interesie.

— To rzecz delikatna,—bardzo delikatna — prawił pan Sypełek — brząkając brelokami, lecz honor wymaga, a poczucie obowiązku, opieki, jaki mam nad biedną sierotą, która jest moją chrześniaczką, zmusza mię do szukania protekcyi u jaśnie wielmożnego marszałka, który jest gospodarzem i opiekunem całego powiatu; źle mówię: całej gubernii.

— Ależ do rzeczy, panie Sypełek! — zawołał widocznie zniecierpliwiony pan Rudomina.—Pan mówisz tak zagadkowo, że nie a nie zrozumieć nie mogę. Mów pan jasno i poprostu.

— Właśnie to jest zasadą mojego życia — odrzekł, kłaniając się, geometra — być jasnym, prostym i szczerym, jak dziecko; nie cierpię kłamstwa, obłudy, ani też żadnych wykrętów, których ludzie tak często używają. Lecz pozwoli jasnie pan, że są pewne okoliczności...

— Odrzuć pan wszelkie okoliczności, a mów, o co rzecz idzie.

— Ośmielony łaskawością pańską, wypowiem moją suplikę i rzecz całą dokumentnie wyłożę. Syn jasnie pana, wielmożny pan Mieczysław Rudomina, o którego wysokim rozumie głosi stugębna Fama, rzucił łaskawem okiem na biedną sierotę, pannę Teresę Baurównę, która jest, jak już mówiłem, moją chrzestną córką. Nie żałowałem starań, opieki i pieniędzy, by dać jej świetną edukację. Jakoż, dzięki Bogu, wszystko szło dotąd, jak z płatka. Dziewczę urodziwe a skromne, jak fiołek, miało wielkie szczęście do ludzi; już nie jeden bogaty kawaler chciał się z nią żenić, ale odmawiała wszystkim, pracowała sama na siebie, dając lekcycy wysokiego śpiewu i melodyjnej muzyki. Nieszczęście chciało, że przypadkiem jakimś poznała jasnie wielmożnego Rudominę i... jakto bywa między młodymi, od słowa przyszło aż do gorącej miłości... I... o zgrozo! — ciągnął opiekun, przewracając oczy, jak w konwulsjach—niewinne dziewczę dało się nakoniec wy-

krać... zapewne wśród nocy, i niema wieści, gdzie się podziała.

Tu pan Sypełek otarł suche oczy fularem i czekał, jaki skutek słowa jego wywrą.

Pan Rudomina zerwał się z krzesła i zawołał z niezwykłym impetem:

— Ależ to fałsz, to potwarz! Syn mój nie wykradł tej panny, gdyż już od dziesięciu dni jest w domu, w Janopolu. Jak pan śmiesz podobne oszczerstwo rzucać na nasze imię?... Zresztą wiedz pan o tem, że syn mój miał najuczciwsze zamiary względem tej dziewczyny i to do tego stopnia, że postanowił ożenić się z nią. Pocóżby więc ją wykradał?

— A jednak—odrzekł spokojnie Sypełek—fakt spełniony najlepiej świadczy o prawdzie. Tego samego dnia, a raczej tejże nocy, kiedy jaśnie wielmożny pan sędzia wyjechał z Grodna, i pańska Teresa Baurówna znikła także. Kucharka jej powiada tylko, że przyjechali po nią jacyś nieznani ludzie, których twarzy nie mogła widzieć (znać byli zamaskowani) i oddali jej pani jakieś pismo. Skoro je przeczytała, wnet się ubrała do podróży, rzekłszy te słowa do Katarzyny: „Nie czekaj mię z powrotem ani dziś, ani jutro; masz pieniądze i szukaj sobie innej służby“.

Pan Rudomina zmarszczył groźnie czoło, przygrył wargi i milczał. Może Mieczysław, szalenie zakochany, jak sam mówił, dopuścił się haniebnego czynu i wykradł dziewczynę, a sam, by uspokoić

czujność ojca, przebywa w Janopolu, aż jednego pięknego poranku zniknie, by się z nią połączyć.

Na tę myśl krew uderzyła do skroni pana sędziego; zapomniał o swojej powadze, o umiarkowaniu, którem się odznaczał; zapomniał nareszcie o interesie pana Haraburdy, a rozgorączkowany prawie tą fatalną wiadomością, zapytał nagle pana Sypełka:

— Dlaczegoż tak późno pan mnie o tem zawiadamiasz? I cóż ja tu mogę poradzić? Że nie dozwolę synowi z nią się ożenić, to więcej niż pewne; ale jeśli panna uciekła i gdzieś się ukrywa, to czegoż pan w tym razie żądasz ode mnie?

— Widzi jaśnie pan — rzekł układnie pan Sypełek — na wszystko jest rada na świecie, bo, jak mówi przysłowie: „Trafił frant na franta i wyciął mu kuranta“. Otóż ja się domyślam, gdzie niebożatko zostało ukryte i łatwo trop wysledzę, a wysledziwszy, z mego tytułu ojca chrzestnego i opiekuna, oddam panienkę na jakiś czas do klasztoru do Szczuczyna. Mam tam rodzoną siostrę przeoryszą; bogobojna ta niewiasta potrafi jejmościance wybić z głowy romanse i dowieść jasno, że za wysokie progi na jej nogi, że nie może zostać panią Rudominową.

Ten powszedni, głupi fortel, wydał się wielce rozsądnym mądremu panu sędziemu, i choć w pierwszej chwili uczuł pewien wstręt do wchodzenia w stosunki z takim jegomością, jak pan Sypełek, to jednak zgodnie ze słabością ludzkiej natury, dumą wzięła górę i pochwaliła środki. Rzekł więc:

— A no, to niezły pomysł, jeśli pan go możesz uskutečnić; nie zaszkodzi, aby taka panna, co się daje wykraść, posiedziała trochę na rekolekcyach. Ja panu to od służę, bo także pragnę, aby syn mój wybił sobie z głowy ten śmieszny romans; wyprawię go natychmiast do Paryża, a reszta sama się zrobi.

Pan Rudomina nie wydał się przed panem Sypełkiem ze swoich zamiarów, ożenienia syna mimo jego woli. Uważał to za zbyteczne.

— O! ja nie wątpię—zawołał z nadętością pan plenipotent — że jaśnie pan marszałek umie być hojnym i wspaniałym za najmniejszą przysługę; lecz tu idzie o chwilę obecną. Ja jestem człowiek biedny, nie mający nigdy grosza przy duszy, bo jeżeli mam jakie kilka złotych, wnet je rozdram ubogim braciom to moja zasada. Przeto na podróż nie miałbym nawet kilku rubli. Następnie, żeby umieścić pannę w klasztorze, trzeba także trochę grosza, bo siostrzyczki szczuczynskie również są biedne i tylko żyją łaską dobrodziejów. Nie mógłbym więc zostawić im mojej chrześniaczki na karku, gdybym za to z góry coś nie dał. Jaśnie pan to rozumie, że tylko tam otworzą drzwi, gdzie się sztuka złotem.

Pan Rudomina uśmiechnął się szyderczo i rzekł z pańską wyniosłością:

— Bądź acan spokojny, dam ci z góry pieniądze, bo wiem, z kim mam do czynienia.

— Z najbiedniejszym i najuczciwszym człowiekiem — odparł judaszowsko pan Sypełek.

Pan Rudomina wyjął pięć papierków storublowych i położył je na stole, mówiąc:

— Masz oto waćpan pięćset rubli, zrób z nich jaki chcesz użytek, ale pamiętaj, żeby ta panna Baurówna przez kilka miesięcy przynajmniej została w klasztorze.

Sypełek nie mógł wierzyć swoim oczom, że za bezczelne kłamstwo tak mu hojnie płacą; kłaniał się do nóg pana Rudominy i powtarzał z cicha:

— Duszę moją kładę w zastaw, że stanie się podług woli jaśnie pana.

O poczciwy panie Haraburdo, dlaczegóż nie jesteś tu przytomnym? Widziałbyś, jak mądry pan sędzia, co się śmiał z ciebie, żeś zapłacił 50 rubli za kłamstwo, sam płaci 500 za tenże towar.

* * *

My teraz zobaczymy, co było w słowach pana geometry kłamstwa, a co prawdy. Prawdą było, że Teresa już od tygodnia wyjechała z Grodna. Gdzie? Nikt nie wiedział, oprócz jednej Katarzyny. Podług zlecenia pani, nikomu o tem nie mówiła i natrętnemu panu Sypełkowi, który się koniecznie o tem chciał dowiedzieć, zagroziła pięścią, ostrzegając, aby się nie mieszał do tego, co do niego nie należy. Na tym wyjeździe Teresy, pan Sypełek, jak na kanwie, wyhaftował piękną historję wykradzenia, i to wszystko, co już słyszeliśmy, a za co mu tak hojnie zapłacono. Nie miał on wcale siostry przeoryszy w Szczuczynie i nie było jego zamiarem wyszukiwać Teresy; owszem, chciał, żeby ona jak najdłużej była niewi-

działną, a nawet całkiem zginęła. Snuł bowiem nowe zamachy na pannę Maszadro i na pana Haraburdę, co mu miały przynieść złote owoce. Nie troszczył się też wcale o to, co powie i co pomyśli pan Rudomina, gdy się Teresa zjawi niespodzianie. Miał już w ręku pieniądze, a to było wszystko, co go obchodziło. Zresztą, czas i wypadki podsunę mu nową nić kłamstwa.

Pan sędzia tak był cały przejęty sprawą wykradzenia, że już nic nie wspominał o intrydze panny Maszadro. Zalecił tylko panu Sypełkowi, aby jak najprędzej wyszukał zbiegłą, zamknął ją w klasztorze i zdał mu z tego wszystkiego relację. A że to wszystko, podług słów pana Sypełka, miało się uskuteczyć w ciągu trzech dni, więc pan Rudomina postanowił czekać w Grodnie i dopóty nie wracać do domu, ani też jechać do Maszadowa, dopóki nie będzie wiedział z pewnością, gdzie się obraca wykradziona kochanka Mieczysława.

Zostawmyż pana sędziego w Grodnie, a sami przenieśmy się tam, gdzie właśnie znajduje się Teresa.

Panna Maszadro, zasłabszy niebezpiecznie, nagliła doktora, by jej powiedział prawdę, jak długo jeszcze żyć może. Lekarz, biorąc to za siłę rozumu i pojęcie o konieczności rozporządzenia ostatnią wolą, objaśnił, że co najwięcej pożyje jeszcze dni kilka. Po tym wyroku panna Maszadro kazała natychmiast wysłać konie do Grodna, by jej przywieziono pannę Teresę Baurównę. Nadto wysłała pewną roztropną kobietę, która miała powiedzieć Te-

resie, że panna Maszadro jest na łożu śmiertelnem, i chce koniecznie ją widzieć.

Dla Teresy było to dostatecznem, by natychmiast spełnić wolę umierającej, a serce jej biło przecuciem, że właśnie nadeszła chwila, w której się dowie o matce i o ojcu swoim. Powiedziała więc tylko wiernej Katarzynie gdzie jedzie i zaleciła jej jak największy sekret.

Katarzyna, wierna zleceniu, wszystkim pytającym odpowiadała jedno, iż zupełnie nie wie, gdzie pani pojechała i kiedy wróci. Stąd też łatwo było wynalazczemu panu geometrze osnuć historię wykradzenia.

Panna Maszadro już prawie dogorywała. Gdy Terenię wprowadzono do jej sypialnego pokoju, chora wysiłkiem woli podniosła się z poduszek, odezwała się słabym głosem:

— Dzięki ci, pocziwa Tereniu, żeś nie odmówiła prośbie umierającej grzesznicy. Patrz na mnie, jak na istotę z tamtego świata, dla której już ziemi niema.

Teresa, zdjęta litością na widok tej kobiety starej, osamotnionej i umierającej w bogactwie, jak najlichsza żebraczka, z oczyma łez pełnemi ujęła za rękę pannę Maszadro i pocałowała z uczuciem tę suchą, zwiędłą rękę, mówiąc wzruszonym głosem:

— Kochana pani, może tak źle nie jest, jak sądzisz; najniebezpieczniejsza choroba często się przesila; zresztą doktor powinien tu być przy pani.

Na sinych ustach panny Maszadro pokazał się uśmiech bolesno-ironiczny. Wlepiwszy badawcze oczy w piękną twarz Teresy, mówiła wolno:

— Więc ty masz dla mnie współczucie, dobra dziewczyno?.. Więc ty potrafisz przebaczyć to złe, jakie ci wyrządziłam? Mówisz, że ja żyć jeszcze mogę!.. Biedna, niewinna Tereniu, ty nie wiesz, że życie dla mnie stało się obmierzłem i że śmierć, tak straszna dla innych, dla mnie będzie dobrodziejstwem. Spać snem twardym, nieprzebudzonym, to dopiero spokój i szczęście.

Tyle było goryczy, tyle rozpaczy w słowach umierającej, że tkliwa dusza Teresy uczuła, ile ta kobieta cierpi, umierając z ciężkim grzechem na sumieniu, a jako dobra i czuła z natury, rzekła głosem anielskiej litości:

— Droga pani, miłosierdzie Boże jest tylko dla tych, co cierpią, i co sami siebie obwiniają. Ci, co nigdy nic złego nie zrobili, są to najczęściej dusze bierno, zimne; przez życie całe spali snem umarłych. Nie dla tych Chrystus dał się umęczyć, nie im obiecał niebo...

Panna Maszadro przerwała:

— Chcesz mnie pocieszyć, dobra duszo, i przypominasz że Chrystus obiecał niebo łotrowi, umierającemu z Nim razem na krzyżu. Ale on żałował swych grzechów, a ja, widzisz moje dziecię, jestem zatwardziałą grzesznicą, nie mogę się zdobyć na skruchę i nie żałuję tego, komu wyrządziłam krzywdę... Tak, ja nie wyrzucam sobie, że twój ojciec był oszukiwany przez całe życie, mając przy

sobie dziecko chłopskie, że uważał je za syna, gdy ty, prawe jego dziecię, nie byłaś mu znana. Ja się cieszę, że ten syn domniemany był dla niego zgryzotą, strapieniem przez życie całe... To moja zemsta, to moja słuszna, sprawiedliwa zemsta... za złe, jakie on mi wyrządził. Raz w życiu kochałam, a mnie nikt nigdy nie kochał. Nie kochali mnie rodzice, bo byłam brzydka; nie kochały mnie towarzyszki, bo byłam zimna i zamknięta w sobie. Twój ojciec udawał czas jakiś, że mnie kocha... O! jakże wówczas byłam szczęśliwą! Oddałam mu całe moje serce, całą moją duszę. Lecz niestety, i on mnie zdradził, porzucił, ożenił się z twoją matką, która go prawie nie знаła i nie kochała... Wówczas nienawiść zajęła miejsce miłości; znienawidziłam ich oboje. Ja ją przygarnęłam do siebie jako sierotę i kuzynkę, bo twoja matka, Zuzanna Turska, była moją siostrzenicą, a ona wydarła mi tego, którego kochałam. Więc i jego znienawidziłam tak dalece, że nic nie było dla mnie rozkoszniejszego, jak myśleć o zemście nad nim... I Pan Bóg, a raczej szatan, dopomógł mi do tego. Gdyś się miała urodzić, a ojciec twój wyjechał do Kijowa po sukcesyę, która wówczas na niego spadła, ja postanowiłam wykonać moją zemstę, tak długo pieszczoną w duszy.

Teresa, klęcząc u nóg panny Maszadro, słuchała w milczeniu, zalana łzami, tej ostatniej spowiedzi; umierająca odetchnęła, zwilżyła wodą usta i ciągnęła dalej:

— Traf zdarzył, że w tym czasie biedna wiejska dziewczyna, uwiedziona przez ekonoma, rzuciła się

w wodę, lecz ją wyratowano. Twoja matka dobra, choć głupia, zajęła się jej losem i zostawiła ją przy sobie. Szczególnem zdarzeniem, obie zostały matkami jednocześnie: Zuzanna powiła córkę, to jest ciebie, Tereniu, a Nastusia syna. Wówczas ja, z pomocą pewnej kobiety, zamieniłam dzieci: twojej matce podłożono chłopca, a Nastusi ciebie. Ale Nastusia wiedziała, że ma syna, i jak szalona wpadła do pokoju chorej twojej matki, zaczęła wołać rozpaczliwie, że jej ukradziono dziecko. Matka twoja, przestraszona, dostała gorączki i umarła w kilka godzin; ty zaś, pod moją niewidzialną opieką, wychowywałaś się u Baurowej. Gdybym ciebie nie była poznała, umierałabym spokojnie... Lecz ty... ha! ja nie wiem, co jest w tobie... ty mi zatrulaś spokój, ty mi cierniem utkwiłaś w sumieniu. I oto widzisz, ja mam łzy w oczach, kiedy patrzę na ciebie... ja, com nigdy nie płakała!...

Panna Maszadro, wysilona tą długą mową, leżała, jak martwa; rękę tylko wyciągnęła ku płaczącej Teresie, jakby ją prosiła o przebaczenie.

— Ja ci przebaczam, z całej duszy przebaczam, pani, babko moja! — mówiła, płacząc, Teresa i całując rękę wyschłą umierającej. — Ale to nie jest dostateczne dla ciebie, dla twojej duszy... Restytucya musi być dokonana na ziemi jeśli pragniemy, by nam Bóg odpuścił w niebie. Mój ojciec powinien wiedzieć o wszystkim, powinien ci przebaczyć, równie jak ty, droga babko, przebaczysz jemu. Wtenczas dopiero Bóg cię podźwignie z łoża śmierci, będziesz zdrową, będziesz żyła z nami i cieszyła się

naszem szczęściem. Lecz powiedz mi, kto jest mój ojciec, jak się nazywa?

— Józef Haraburda — rzekła cicho panna Maszadro.

— Haraburda! — zawołała Teresa, zrywając się z kolan. — Więc ten... Aleksander Haraburda, nie jest jego synem! O dziwne wyroki Boże...

— On jest synem ekonoma Szabrańskiego i Nastusi chłopki, która była jego mamką — odrzekła z szyderstwem panna Maszadro. — A gdzieżby taki łotr miał być synem szlacheckim?

Obie kobiety milczały przez chwilę. Teresa modliła się w duchu i dziękowała Bogu, że jej dał wiedzieć, kto jest jej ojcem, skoro już nie miała matki. Panna Maszadro walczyła z sobą, czy ma przed śmiercią widzieć pana Haraburdę i powiedzieć mu sama:

— Masz, oto wracam ci córkę!

Terenia, jakby odgadując myśl grzesznicy, rzuciła się jej na szyję z wylaniem serdecznego dziecka i zawołała pieszczotliwie:

— Babciu, moja najdroższa babciu, nie przerywaj w połowie twego szlachetnego dzieła! Powiedz to wszystko memu ojcu, tak, jakieś mnie wyznała. Niech ręce nasze w uścisku serdecznym złączą się, a serca niech przebaczą wzajemne urazy. Babko moja ukochana, zobaczysz, jaką uczujesz ulgę w sumieniu, jaką radość w duszy, gdy ujrzysz ojca i córkę u nóg twoich, błogosławiących ciebie i przebaczących ci z całego serca.

Panna Maszadro zakryła oczy dłonią, i po namyśle dość długim, rzekła z determinacją:

— Siadaj, moja droga wnuczko! i pisz to, co ci podyktuję. Widzę, że musisz ci uledeć.

Terenia usiadła przed tym samym stolikiem i pisała z tegoż samego kałamarza, do tejże samej osoby, do której przed dwudziestu kilku laty pisała jej matka, Zuzanna Turska, i tak samo za dyktowaniem panny Tekli Maszadro; była tylko różnica w treści i w duchu dyktującej. Panna Tekla dyktowała słabym głosem:

„Panie Kapitanie Haraburdo!

„Przyjeżdżaj Pan natychmiast do Maszadowa, jeśli chcesz dowiedzieć się z ust umierającej, kto jest Twojem prawdziwym dzieckiem. Córka Twoja jest przy mnie i list ten pisze. A śpiesz się, bo godziny moje policzone.

Tekla Maszadro“.

Terenia dodała od siebie:

„Córka Twoja, Najdroższy Ojcze, upada ze łzami do nóg Twoich, i błaga, byś przyjechał z miłosierdziem i przebaczeniem dla umierającej, co wkrótce stanie przed sądem Bożym.

Teresa“.

List ten przez konnego posłańca został wyprawiony do Antopola, z zaleceniem jak największego pośpiechu.

Okolo godziny czwartej rano, pan Haraburda już był w Maszadowie.

Chora, czując się lepiej, jak to zwykle bywa na kilka godzin przed śmiercią, usnęła snem lekkim,

spokojnym, a Terenia nieodstępnie przy jej łożu czuwała z troskliwością córki nad każdym jej ruchem — gdy nagle na dziedzińcu dały się słyszeć dzwonki sani i parskanie zziających koni.

Teresa odgadła, że to przyjechał dawca jej życia; zerwała się z siedzenia i z sercem bijącym w piersiach, jak młot, wyszła do bawialnego pokoju na jego spotkanie. Błada, drżąca, trzymała w ręku świecę; wyglądała, jak duch, jak nadziemski istota, opromieniona urokiem niewysłowionej radości i poetycznej ekstazy.

Pan Haraburda stanął w progu i z zaiskrzonym wzrokiem patrzył na to cudne zjawisko. Terenia wydała mu się aniołem, nie mógł słowa do niej przemówić. Nareszcie ochłonawszy z pierwszego wrażenia, odezwał się drżącym głosem:

— Ja jestem Józef Haraburda, przyjechałem tu... po moją córkę... w te przeklęte progi... tej Morowej... Czy to pani jesteś moją córką?

— To ja, ojcze, ja jestem twoją córką! — zawołała spazmatycznym głosem Teresa i rzuciła się do nóg pana Haraburdy.

Nie mogąc nic więcej powiedzieć, ścisnęła nogi i ręce rozrzewnionego starca, płaczącego w głos, jak dziecko.

— To ty... to ty!... moja dziecino droga! — wołał tubalnym głosem pan Haraburda, a łzy, jak groch, toczyły się po jego twarzy. — I to ciebie, takiego anioła piękności i dobroci, złość ludzka mi wydarła!... O! niech ją piekło pochłonie tę córkę szatana, co mi zatrula życie całe, podrzucając cham-

skie dziecko na miejsce mojej prawej, mojej rodzinnej córki!

— Ojczy mój, najdroższy mój ojczy! — błagała Terenia ze złożonymi, jak do modlitwy, rękami — zaklinam cię na Boga, na rany Chrystusa, przebac, daruj nieszczęśliwej mojej babce. Ona cierpi... cierpi więcej niż ty, ojczy, wyobrazić sobie zdołasz... Jej chwile są policzone, dziś jeszcze może stanie przed sądem Najwyższego... Czyż to szczęście, jakie czujemy w tej chwili, nie potrafi zatrzeć w twem sercu pamięci złego, które było niczem, więcej, jak odwrotną stroną miłości dla ciebie...

Pan Haraburda niewiele zrozumiał z tego, co mówiła Terenia, głos jej rozbrajał jego zawziętość, a widok napawał taką radością, że pochwycawszy ją w ramiona, zawołał siarczyście:

— Ależ ja przebaczę nawet samemu dyabłu, gdy ty się wstawisz za niego, mój cudny aniołku, moja najmilsza córko! Wszak ci Terenia na imię?... Nieprawdaż? To zupełnie tak samo, jak owa śliczna Teresa Baurówna, w której tak szalenie zakochany Mieczysław Rudomina.

— Ależ to ja nią jestem... — odezwała się Terenia cała zapłoniona. — Pod tem nazwiskiem wzrosłam i wychowałam się... Baurowa była moją mniemaną ciotką.

— Do milion fur... beczek! — krzyknął pan Haraburda, wybuchając szaloną radością. — To więc ty jesteś ową Terenią, w której tak śmiertelnie zakochany syn pana Jacka!.. A niech mię piorun trząśnie! to dopiero będzie historia, jak się rzecz wy-

kryjel... On nie chciał mojej córki Haraburdówny, kiedy mu ją swatałem; niechże się teraz żeniłz Baurówną... Ale wara mu do mego dziecka, do mojej Terenil

Teresa, ukrywszy twarz na piersiach ojca, wyszeptwała nieśmiałym głosem:

— Ja ci będę we wszystkim posłuszną, drogi ojcze... ale pan Mieczysław pokochał ubogą sieroty, bez nazwiska... jakże więc dobrym, jak szlachetnym być musi.

— A i ty go bardzo kochasz, tego urwisa?— zapytał, śmiejąc się, pan kapitan.

— Dotąd on był mi najdroższym na świecie— odparła szczerze Terenia— ale dziś czuję, że ty, mój ojcze, będziesz mi jeszcze droższym od niego.

Pan Haraburda całował, ścisnął Terenię, a uszczypnąwszy ją z lekka w policzek, rzekł z miśsterną miną:

— Wszystko to jest zrzędzeniem widocznej łaski Boga i Jego świętej opieki nad tobą, moje drogie dziecko. To cud, to wyraźny cud! Ale poczekaj jeszcze i nie wydawaj nic, dopóki nie przyjedzie tu „mądry“ p. Jacek Rudomina, ojciec twego gagatka!... To dopiero będzie tragedia—mówił śmiejąc się do łez pan Haraburda—jak mu zaprezentuję ciebie i powiem: — Oto właśnie jest panna Teresa Baurówna, z którą syn wasz chce się żenić, a wy mu bronicie tego... — A jak pan Jacek cię ujrzy i zostanie zachwycony twojemi wdziękami, naturalnie odrazu się zgodzi. Ja mu wtenczas powiem... Wiesz, co powiem: — Teraz zapóźnie, panie Jacku,

dajesz twoje pozwolenie, bo Mieczysław dał mi słowo, że się ożeni z moją córką, panną Haraburdówną, a nie z jakąś tam Niemką z końca świata. — Wówczas pan Jacek będzie zachodził w głowę i ogłupieje nareszcie całkiem... A jakże ja będę szczęśliwy, widzieć choć raz w życiu „głupim“ pana Jacka.

Gdy pan Haraburda domawiał z głośnym śmiechem tych słów, z pokoju chorej dał się słyszeć dzwonek silnie poruszony. Teresa wyrwała się z objęć ojca i pobiegła do panny Maszadro, która, przebudzona ze snu śmiechem pana kapitana, rzekła do wchodzącej Tereni:

— Słyszałam głos twego ojca... Więc pan Haraburda przyjechał?... I śmieje się, cieszy, że już ja umieram!... To słuszne... schodzi mu z drogi wróg jego.

— O nie sądź tak, droga babko! — zawołała Teresa, całując w rękę pannę Maszadro. — Mój dobry ojciec ma najlepsze serce i ubolewa nad twoją chorobą. Ale on jest z natury wesół, jak widzę, śmiał się, i żartował ze mnie.

Pośpiesnie twardym, gorączkowym, panna Tekla czuła się mocno osłabioną; kazała sobie podać kropel morfinowych, zażyła je, a patrząc na zegarek, stojący przy niej, odezwała się z widocznym wzruszeniem:

— Już niewiele mi pozostaje... do wieczora pewno nie dociągnę... Silny duch opuści nędzną skrzynkę glinianą... Idź, drogie dziecko, i powiedz twemu ojcu, że go proszę do siebie... Złożę w jego

ręce testament, który już dawno zrobiłam i który mam pod poduszką...

Terenia, stojąc we drzwiach, skinęła na ojca, by wszedł.

Pomału, cicho, wszedł pan Haraburda. Na widok panny Maszadro, której lat tyle nie widział, a która w tej chwili wydała mu się trupem a nie żyjącą istotą, wstrząsnął się cały i głos mu ostygł na ustach; wszelako poczciwe jego serce uczuło wnet litość nad tą, co mu tyle wyrządziła złego, a głos wewnętrzny mu mówił:

— Ona już umiera, niema co mścić się wobec śmierci.

— Panie kapitanie—odezwała się pierwsza panna Maszadro — nie żądam twego przebaczenia, bo wiem, że to daremno; lecz ja ci sama przebaczam wszystko, com wycierpiała przez ciebie... Oddaję ci twoją córkę, dobrą, ładną i rozumną dziewczynę... będziesz znowu szczęśliwy... a ja umieram nie pomszczona...

— Panno Teklo, ciotko moja—odrzekł łagodnie pan Haraburda, zbliżając się do łoża—ja ci również przebaczam wszystko... Nie mówmy już więcej o tem. I niech mię Bóg ciężko skarze, jeśli mam jeszcze w sercu urazę do ciebie, moja kochana ciotko.

Panna Maszadro utkwiała wzrok badawczy, przenikliwy w twarzy mówiącego, westchnęła boleśnie i rzekła drżącym głosem:

— Lżej mi teraz umierać... Panie Józefie, ja cię kiedyś... wysoko ceniłam... Ale mniejsza o to;

dziś już jestem trup, zgnilizna... Pomódl się choć raz za moją grzeszną duszę.

Sięgnęła ręką pod poduszkę, wyjąła opieczętowany papier i oddając go panu Haraburdzie, mówiła dalej:

— Oto moja ostatnia wola, której egzekutorem robię cię, panie Józefie, oraz twego sąsiada, pana Rudominę. Znajduje się tam także kopia metryki Teresy Haraburdówny, ochrzczonej w kościele Bernardynów w Grodnie. Ja byłem jej matką chrzestną, a geometra Sypełek ojcem chrzestnym... Teraz — mówiła słabym głosem — zostawcie mnie samą. Jestem zmęczoną i chciałabym zasnąć. Czuję, że sen skleja mi powieki.

Uplłynęła godzina, a panna Maszadro się nie budziła. Niespokojna Terenia zbliżyła się na palcach do jej łóżka i lekko ujęła ją za rękę. Ręka była zimna, martwa; przyłożyła ucho do serca — ale i serce już nie biło.

— Umarła! — zawołała przerażona Terenia i z płaczem przywołała ojca.

Pan Haraburda, również przerażony, jął używać wszelkich środków, by przywołać do zmysłów pannę Maszadro. Dawał jej wachać sole, nacierał octem pulsa — lecz wszystko okazało się bezskutecznem. Życie nie wracało. Zwołano więc na ratunek całą czeladź, na czele której stary ekonom, doświadczony w tej mierze, radził przyłożyć lustro do ust, a nie spotniało oddechem, rzekł uroczyście:

— Już wszystko napróżno: dziedziczka oddała ducha Bogu. Módlmy się za jej duszę.

Pan Haraburda, płacząc rzewnie, ukląkł przy zwłokach i zaczął w głos odmawiać litanie za umarłych. Terenia także płakała w cichości i modliła się o spokój duszy tej, co go nie miała za życia. I oto dwa serca czyste, poczciwe, nad którymi nieboszczka mściła się przez życie, oddały jej ostatnią posługę przy śmierci, łzami uczciły jej zgon.

Pan Rudomina tymczasem, przesiadawszy trzydniówkę w Grodnie i nie doczekawszy się powrotu pana Sypełka z wyprawy, uznał za właściwe pojechać nareszcie do Maszadrowa, dla zawarcia dyplomatycznych preliminaryów z panną Maszadro.

Trafił właśnie na dzień jej pogrzebu. Pan Haraburda wyszedł na jego spotkanie i rzekł z pewną wymówką, acz wzruszonym głosem:

— Zapóźno przyjechałeś, kochany sąsiedzie; panna Tekla Maszadro, ciotka mojej żony, już skończyła swój smutny żywot; umarła zawczoraj i dziś ją chowamy.

— To dziwne — szepnął pan Rudomina, widocznie pomieszany. — Któż mógł się spodziewać? Nie słyszeliśmy nic o jej chorobie. Ja wprawdzie spóźniłem się trochę, ale ..

— Na potem odłożmy nasze sprawy — odparł pan Haraburda. — Teraz oddajmy ostatnią posługę umarłej. A dobrześ zrobił, panie Jacku, żeś przyjechał; nieboszczka bowiem przeznaczyła cię, wraz ze mną, na egzekutora testamentu, który podług woli zmarłej, ma być otworzony na gruncie, wobec czte-

rech świadków. Zatem po pogrzebie zaprosimy na stypę pana Dulembę i pana Czczota; zacni obaj starcy i nasi sąsiedzi.

— Dobrze, dobrze, jak chcesz, panie Józefie— odparł z pewną dystrakcją pan sędzia, gdyż całą swą uwagę w tej chwili zwrócił na Terenię, która nie wiedząc o przybyciu gościa, weszła do pokoju.

Jej postać, pełna skromności i dystynkcyi, jej czarny strój, jej smutek na pięknej a szlachetnej twarzy, dziwnie uderzyły pana Rudominę. Mimowoli prawie powstał z krzesła i oddał ukłon[„]pełen uszanowania.

Teresa odwzajemniła się również ukłonem nieznanemu, a zapytawszy ojca o jakąś dyspozycję względem urzędzenia stypy, którą pan Haraburda wyprawiał na cześć zmarłej, wyszła natychmiast.

Pan Rudomina, śledząc wzrokiem za odchodzącą, zapytał ciekawie:

— Kto jest ta młoda, ładna osoba? Zapewne blizka krewna zmarłej? Na honor, dziwnie arystokratyczny ma układ.

Była to wielka pochwała ze strony pana sędziego.

Pan Haraburda uśmiechnął się złośliwie, przygryzł wąsy i odrzekł obojętnie:

— Jest to jakaś Teresa Baurówna z Grodna, nieznaną mi wcale: zastałem ją tu, jako doglądającą w chorobie nieboszczkę Maszadro.

— Teresa Baurówna!—zawołał pan Rudomina, nie mogąc zapanować nad swoim wzruszeniem.—

Ale to być nie może! Tamta została podobno wykradzioną.

— Przez kogo?—zapytał, tamując śmiech, pan Haraburda. — Czy przez jakiego kochanka?

— Nie wiem przez kogo — cedził przez zęby pan sędzia. — Mówił mi o tem jej ojciec chrzestny i wyjechał właśnie jej szukać.

— Ale to kłamstwo! wierutne kłamstwo! — krzyknął, zapominając się, pan Haraburda.—Panna Teresa już tydzień cały jest tu w Maszadrowie i tylko podłość takiego Sypełka, co, na nieszczęście, trzymał ją do chrztu, mogła rzucić taką potwarz na niewinną dziewczynę. Ale ja go nauczę!

Tu ugryzł się w język pan kapitan i dodał obojętnie:

— Ja zawsze się ujmuję za sierotami... do milion fur beczek!

Podczas pogrzebu, pan Rudomina nie spuszczał oczu z pięknej Tereni i możemy śmiało twierdzić, że tak był zmieszany, iż nie odmówił ani jednego pacierza za duszę zmarłej.

Pan Haraburda, choć płakał i modlił się, ale ciągle zerkał ukradkiem to na Terenię, to na pana Rudominę, który w nią patrzył, jak w tęczę. Znać było na twarzy pana sędziego podziw, zdumienie i pytanie, jakim sposobem ta biedna sierota, ta nauczycielka muzyki, może posiadać maniery tak dystyngowane i być tak klasycznie piękną.

Baczej uwagi pana Rudominy; nie uszło uderzające podobieństwo rysów pana Haraburdy do Teresy.

— To jego twarz za młodu—mówił w duchu pan sędzia. — Miałażby to być jego córka?

Terenia, nie wiedząc bynajmniej, że jest przedmiotem tak śledczego rozbioru i nie wiedząc wcale, kto jest ów pan przybyły na pogrzeb, była swobodną, naturalną, choć poważną i smutną. Są kobiety, którym najbardziej do twarzy ze smutkiem i powagą.

Ciało nieboszczki zostało złożone w familijnym grobie i wszystkie ceremonie pogrzebowe ukończono. Pan Haraburda, jako jedyny daleki krewny zmarłej, uważany był przez asystujących za spadkobiercę i dziedzica Maszadrowa. Niewstrzeźliwi a ciekawi ludzie wieszowali mu tak pięknej fortuny i okazywali niezwykle dotąd uszanowanie. Pan Haraburda ani zaprzeczał, ani potwierdzał; kłaniał się wszystkim uprzejmie, dziękował za asystowanie zwłokom, lecz na stypę zaprosił tylko proboszcza, pana Rudominę, pana Dulembę, siedmdziesięcioletniego już starca, i pana Czczota, będącego w tymże prawie wieku.

Podczas obiadu wszyscy byli poważni i małomówni. Teresa z niewymowną prostotą i wdziękiem oddawała honory domu, niby pani i gospodyni. Pan Rudomina okiem znawcy oceniał każdy ruch młodej osoby; a że pan Haraburda z umysłu posadził go między sobą a Terenią, łatwo mu więc było zacząć rozmowę z tą, która teraz wyłącznie zwracała jego uwagę. Domyślając się, że Teresa nie wie, kto on jest, zamierzył doświadczyć, jakie wrażenie zrobi na niej, gdy się dowie, że to on właśnie jest ojcem

Mieczysława i trzyma w swem ręku ich losy. Uśmiechnął się więc nieco ironicznie, jak to pan sędzia umiał i rzekł bardzo grzecznie do swojej sąsiadki.

— Tyle już pochwał słyszałem o pani od mego syna, że bardzo miło mi poznać ją osobiście.

— A któż jest syn pański?—zapytała Terenia, patrząc jasno swemi mądrymi oczami na pana Rudominę.—Niech wiem, komu zawdzięczam łaskawy sąd o mnie.

— Syn mój, Mieczysław Rudomina — ciągnął pomалу pan sędzia — ma szczęście znać panią od dawna i jak mi mówił, zaszczyca się jej przyjaźnią.

Usłyszawszy to nazwisko, Terenia pobladła, serce jej zaczęło bić silnie; lecz pamiętając, że teraz ma ojca, opiekę i nazwisko, nie zdetonowała się wcale, tylko podniósłszy swoje piękne, duże oczy na pana Rudominę, odrzekła z godnością:

— Więc ja mam zaszczyt rozmawiać z panem Rudominą? Z kolei zatem śmiem także powiedzieć, że jestem bardzo szczęśliwą poznać pana, gdyż przywiązanie i cześć, jaką ma syn pański dla niego, budziły we mnie wysokie uszanowanie dla jego osoby.

— Rozumna i piękna—pomyślał w duchu Rudomina—a jaka skromna, jaka przyzwoita! Czemuż ta dziewczyna nie z naszej klasy pochodzi!

Pan Rudomina ciągnął dalej konwersacyę, by poznać i zbadać umysłowość Teresy. A na twarzy jego wyraźny był odblask podziwu dla rozumu pięknej sąsiadki. Pan Haraburda, który to wszystko pilnie uważał, choć rozmawiał z księdzem probo-

szcem (a pan Dulemba z panem Czeczotem), zacierał ręce pod stołem i szeptał do siebie:

— Poczekaj, mądry panie Jacku, ja ci sprawię jeszcze lepszą łaźnię!

Gdy się obiad skończył, po kawie i po likierach, w które obfitowała apteczka nieboszczki panny Maszadro, pan Haraburda odezwał się uroczyście:

— Panowie bracia i sąsiedzi! oraz ty, szanowny księżu proboszczu, oto nadeszła chwila otwarcia testamentu nieboszczki mojej ciotki, panny Tekli Maszadro. Składam go więc w ręce pana Jacka Rudominy, jako egzekutora i najmędrszego z nas wszystkich; niech on rozpieczętuje i czyta głośno przy szanownych świadkach, tu obecnych.

Pan Rudomina wziął do rąk testament, rozpieczętował i zaczął w głos czytać:

„W imię Ojca, Syna i Ducha Świętego.

„Ja, niżej podpisana, Tekla Maszadro, będąc zdrową na umyśle i ciele, rozporządzam majątkiem moim, tak ruchomym, jak i nieruchomym, składającym się z pięciuset tysięcy rubli, na rzecz imci panny Anny Teresy Haraburdównej, córki legalnej pana Józefa kapitana Haraburdy i małżonki jego, Zuzanny Turskiej, mojej siostrzenicy.

„Ta panna Teresa Haraburdówna, której tu metrykę dołączam, znana jest dotąd pod imieniem Teresy Baurównej, a to dlatego, że ja, mając śmiertelną urazę do jej ojca, pana kapitana Haraburdy, podczas jego niebytności, gdy żona jego urodziła córkę, zamieniłam ją na inne dziecko, dając mu w jej miejsce syna Nastusi, chłopki z Antopola,

która wiedząc o wszystkim, lecz zagrożona przeze mnie karą więzienia lub śmierci, milczała całe życie i była mamką własnego syna. Ten syn nosi nieprawnie nazwisko pana Haraburdy, jest bowiem synem Szabrańskiego, ekonoma z Antopola.

„Nie znałam długi czas tej sieroty Haraburdówny, która jest moją cioteczną wnuczką, chociaż się nią opiekowałam przez całe życie; lecz nienawiść, jaką miałam w sercu dla jej ojca, nie dozwalała, bym jej powiedziała prawdę. Dziś jednak, gdy naocznie poznała tę piękną, szlachetną dziewczynę, która nic nie pragnęła, jak tylko poznać swoją matkę i pogardziła w swej dumie pieniędzmi, mówiąc, że od obcej nie chce jałmużny, serce moje wzruszyło się. I oto, czując bliską śmierć, zapisuję jej cały mój majątek, by wynagrodzić to złe, jakie jej wyrządziłam.

„Nadto pana kapitana Haraburdę czynię dożywotnim właścicielem Maszadowa, nie zapominając wszelakoż o Aleksandrze Szabrańskim, któremu leguję owe trzy ruble, które mu niegdyś ofiarowałam, a które on nalepił na drzwiach mego domu z dopiskiem, żebym je sobie zachowała na pogrzeb.

„Wiem, że pogrzebem zwłok moich zajmą się pan Haraburda i jego córka. Egzekutorami testamentu są: wielmożny pan Rudomina i kapitan Haraburda.

„Własnoręcznie podpisuję:

Tekla Maszadro“.

Zdumienie obecnych było nie do opisania.

Pan Rudomina, któremu drżały ręce w ciągu czytania, spojrział z rozczuleniem na Teresę, a oczy jego były łez pełne. Ksiądz proboszcz pierwszy się odezwał:

— Niezbadane są wyroki Pańskie! Korzmy się w duchu przed Jego sprawiedliwością i dziękujmy, że Pan daje upamiętanie grzesznikom, nie pragnąc zatracenia ich duszy.

Pan Dulemba i pan Czczot wzdychali nabożnie i kiwali głowami, gdy wtem pan Haraburda zawołał drżącym ze wzruszenia głosem:

— Panowie! oto jest moja córka, Teresa Haraburdówna. Niech Bóg przebaczy pannie Maszadro jej zemstę nade mną. Ja z całego serca jej to przebaczyłem, bo nie zmarnowała mojego dziecka, owszem, oddała mi je mądre, śliczne i dobre, jak anioł.

Teresa rzuciła się w objęcia ojca i wybuchła głośnym płaczem.

Pan Rudomina stał w milczeniu, jak posąg. Po raz pierwszy w życiu zapomniał być oratorem. Co widząc pan Haraburda, gdy się uśmierzył w swoim wzruszeniu, zawołał wesoło:

— A co, drogi panie Jacku! Pan Bóg ma więcej rozumu, niż pan sędzia Rudomina?

— Wielka prawda! — zawołał rozrzewniony pan Jacek i rzucił się w objęcia pana Haraburdy.

Impetyczny pan kapitan, nie czekając długo, odezwał się znowu:

— Szanowni sąsiedzi! Teraz oto przedstawiam

wam przyszłą synową pana sędziego Rudominy, a żonę pana Mieczysława Rudominy.

To mówiąc, wskazał córkę, a zwracając się do p. Jacka, dodał:

— Wszak prawda, kochany sąsiedzie, nie pogardzisz Haraburdówną i jej lichym posagiem?

Pan kapitan z radości pozwolił sobie być złośliwym. Pan Rudomina odrzekł z powagą, zbliżając się do Tereni i biorąc ją za rękę:

— Pani! bądź przekonana, że gdybyś nie miała żadnego wiana, oprócz swych zalet i swych wdzięków, uznałbym się za najszczęśliwszego z ojców, posiadając taką synową. I przysięgam ci na mój honor i na popioły mojej żony, że jeszcze przed otwarciem testamentu, już postanowiłem dozwolić synowi ożenić się z sierotą Baurówną, cóż dopiero teraz, gdy wiem, że jesteś córką mego przyjaciela, najpocziwszego z ludzi! Mogę tylko powiedzieć, że Pan Bóg daje mi szczęście nad zasługi.

Po tej pięknej mowie pana Rudominy, pan Haraburda znowu się odezwał, śmiejąc się, jak dziecko:

— A widzę, panie Jacku, że choć raz w życiu „z głupiałeś!“ i to mnie więcej cieszy, niż miliony panny Maszadro.

ZAKOŃCZENIE.

Obowiązkiem autora jest jeszcze dopowiedzieć, co się stało z Aleksandrem i z panem Sypełkiem, bo inaczej czytelnik nie byłby zadowolony. Oleś, kiedy już przehulał wszystko i narobił jeszcze długów w Warszawie, przyjechał do Grodna, a stanąwszy u Mendłowej, dowiedział się od niej, że już pan Mieczysław Rudomina ożenił się z ową panną Baurówną, która jest córką pana Haraburdy, a on, Aleksander, jak mówiła pani Mendłowa, jest tylko synem ekonoma i chłopki. Aleksander rwał włosy z głowy na takie rozwiązanie tajemnicy. Lecz po przejściu gwałtownej burzy, nastąpiła rozwaga; nie śmiał się już stawić przed panem Haraburdą, natomiast powziął zamiar prosić pana Rudominę, by go przyjął w służbę do siebie.

— Będę ekonomem u Mieczysława! — zawołał z postanowieniem — i dowiodę tej szlachcie, że i dziecko chłopskie potrafi być godne szacunku. Tak, dosyć już tej podłej roli kłamcy i próżniaka; widzę, że na świecie tylko praca, uczciwość i rozum dają poważanie i fortunę:

Pan Rudomina przyjął go jako rządcę, a on przez lat trzy był wiernym, sumiennym i pracowitym sługą.

Po tej dostatecznej próbie, stary kapitan przywołał go do siebie i rzekł uroczyście:

— Mój chłopcze, poprawiłeś się, zostałeś uczciwym; otóż za to oddaję ci w dzierżawę Antopol,

a sam będę mieszkał przy córce i przy zięciu. Nie odbieram ci nawet nazwiska Haraburdy, bo widzę, że go nie splamisz.

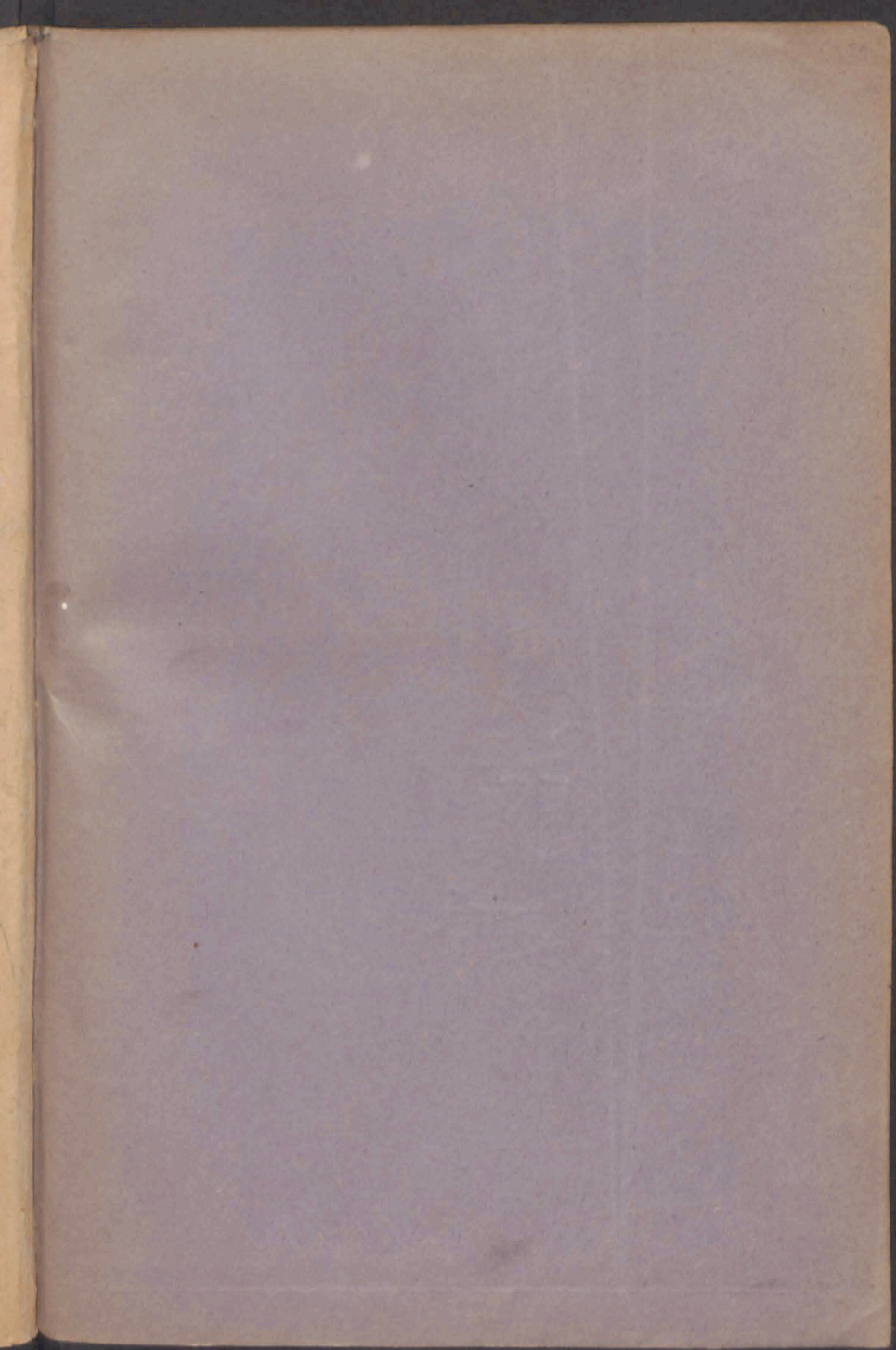
Aleksander rzucił się do nóg dobrego pana kapitana i za nic nie dziękował tak szczerze, jak za nazwisko Haraburdów. W tymże roku ożenił się z panną Aurelią, radczankę. Ludzie mówią, że jest porządnym człowiekiem.

Co zaś do pana Sypełka, ten po śmierci panny Maszadro zaczął znowu fabrykowanie dokumentów i tak mu poszło jakoś niezręcznie, że dostał się nieborak do więzienia.

Odsiedziawszy tam lat parę, wypuszczony na wolność, opuścił niewdzięczne Grodno i osiadł w małym miasteczku powiatowem, jako pokątny doradca.

K O N I E C .







3

